

1406

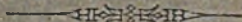
WYPRAWA
S. S. ROGOZIŃSKIEGO

ŻEGLUGA WZDŁUŻ BRZEGÓW ZACHODNIEJ AFRYKI

NA LUGRZE.

„LUCYA - MAŁGORZATA.“

1882—1883.

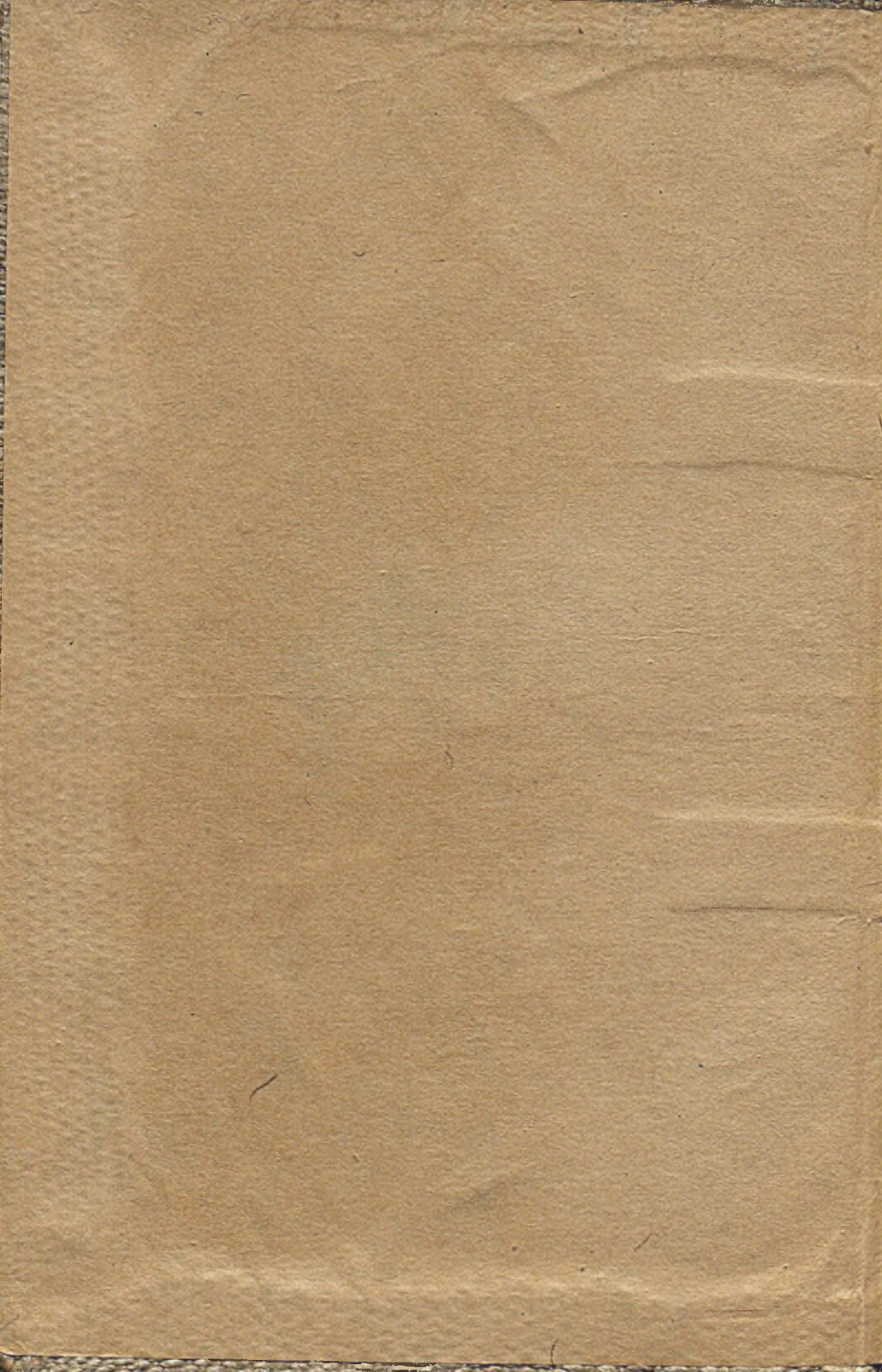


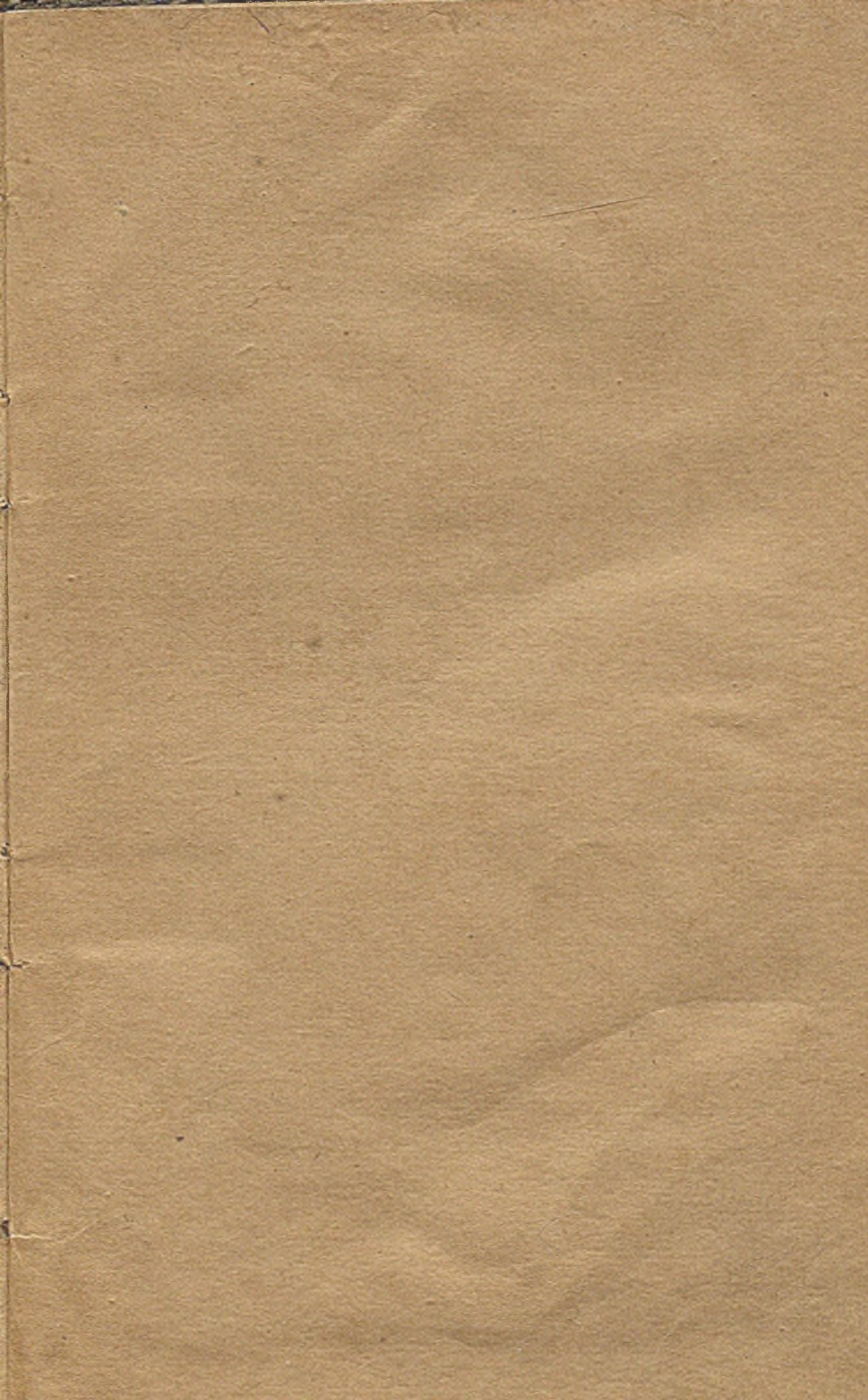
WARSZAWA.

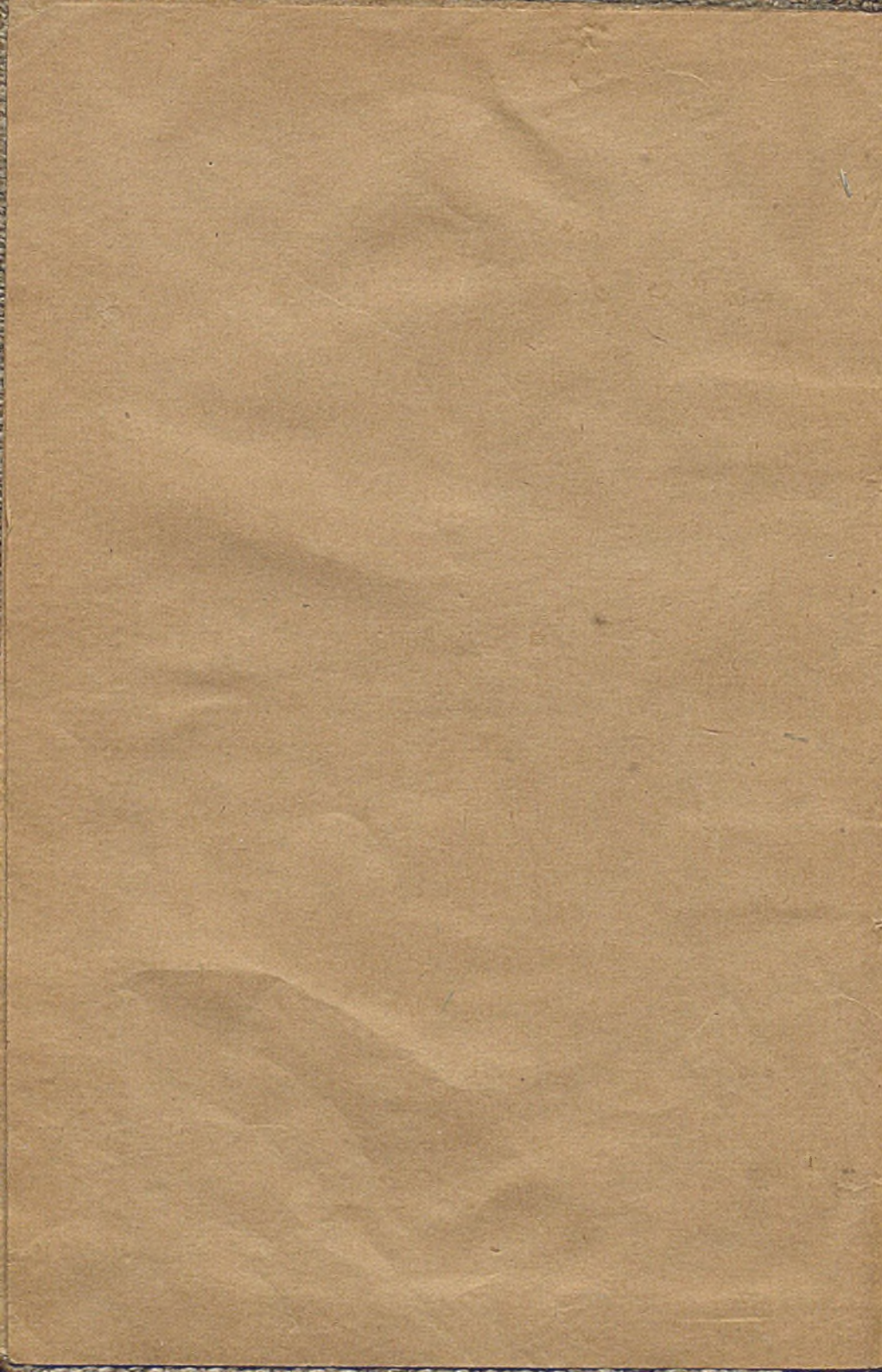
NAKŁADEM KSIĘGARNI A. GRUSZECKIEGO.

Nowy-Świat nr. 53 róg Wareckiej.

130



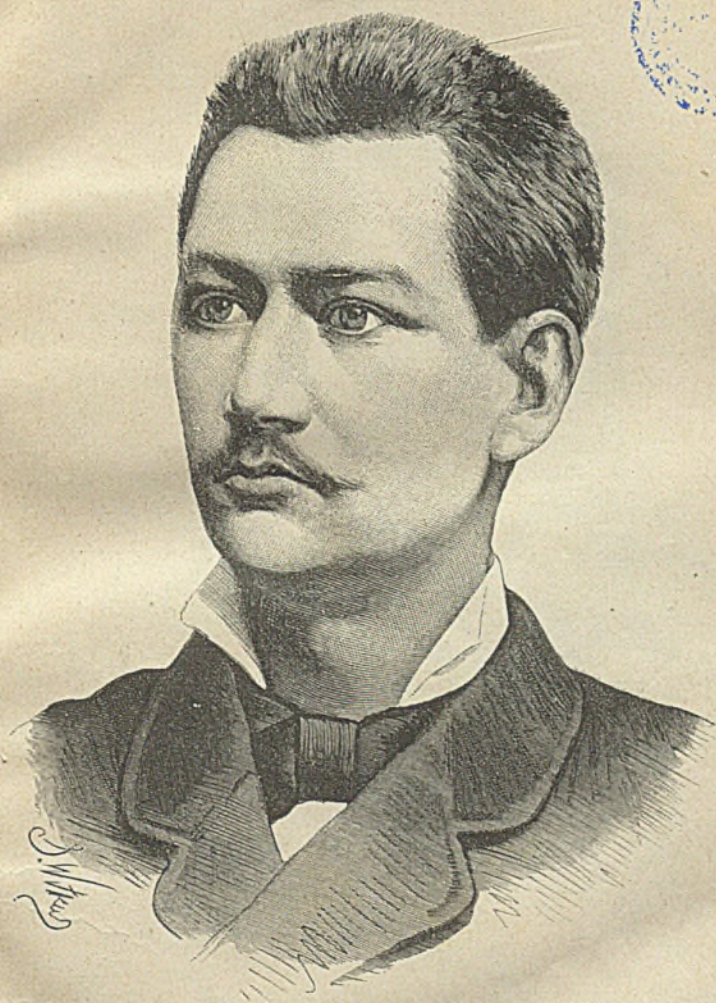




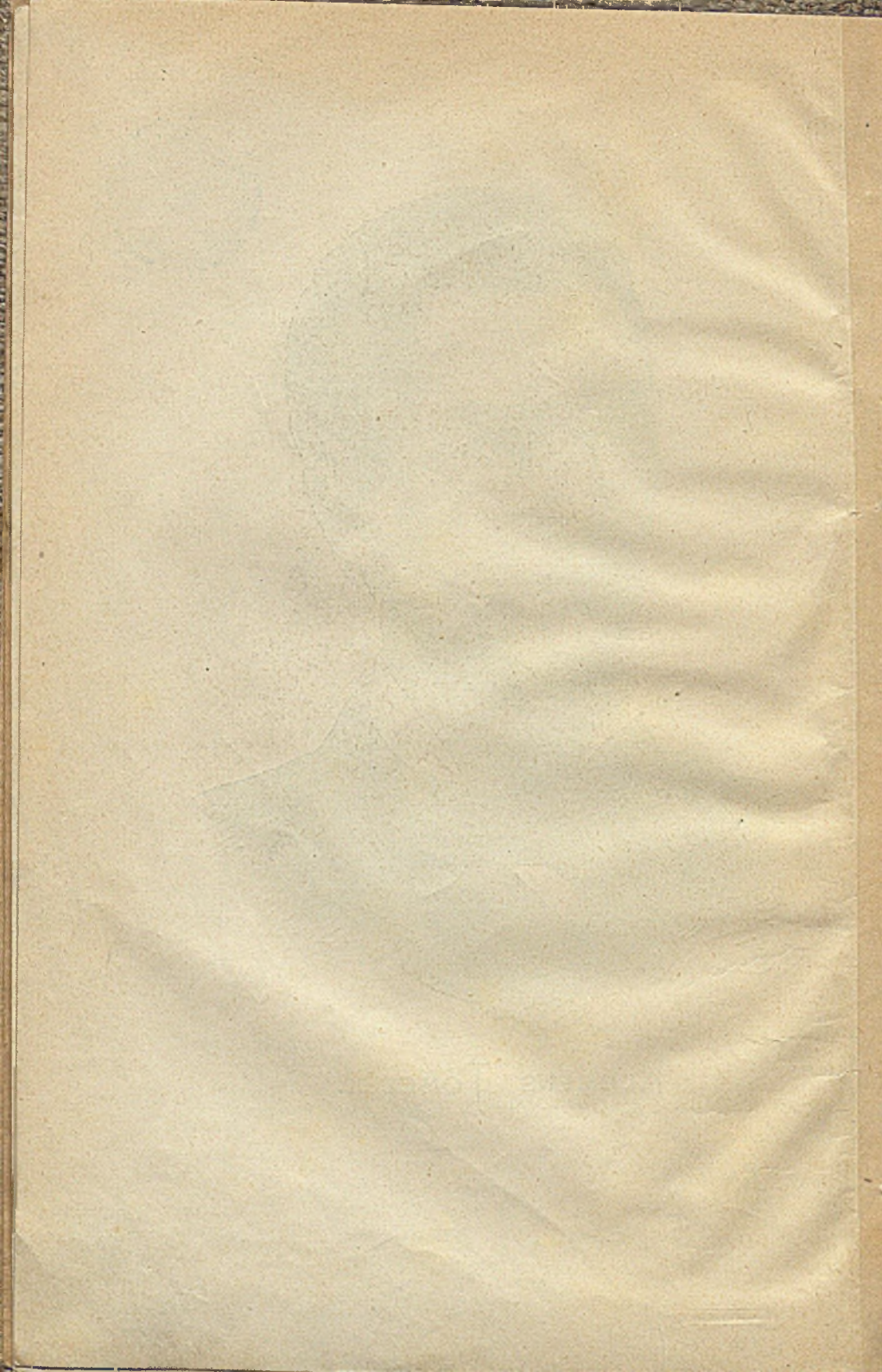


910.4(26) : 821.162.1 - 3M.88856

Дозволено Цензурою.
Варшава, дня 17 Июля 1886 года.



KLEMENS TOMCZÉK.





S. S. ROGOZIŃSKI.

Cieniom
Filipa Sulimierskiego
i
Klemensa Tomczéka.

Zgasły mój mistrzu! Wieczny mój drużo!

Wspomnijcie tu ze mną te dnię gdy jeden duch
nas ożywiał — kiedyś wśród ciosów i trosk w Was
jednych czerpał otuchę. Z Wami dzieła zaczątki
powstały i z Wami rozrosły się w czyn.

Wam więc jasno, drogie me postacie — gdziekolwiek
krążycie wolni od kajdan śmiertelnych — niech
będą oddane te wspomnień pełne ówiarłki.



Роз
впр
~~930~~

8-3/92

PRZEDMOWA.

Niniejsza praca przedstawia relację z żeglugi odbyte w latach 1882—1883 na ługrze „Łucya-Małgorzata” w celach naukowych wzdłuż brzegów Zachodniej Afryki i jej wysp—po drodze do Kamerunu dokąd dążyłem obrawszy sobie wtedy ów punkt za bazę operacyjną dla badania wnętrza afrykańskiego ładu.

Pragnę przez te opisy, które powstały przeważnie na pokładzie „Łucyi-Małgorzaty” w drodze, lub też na stacji Mondoleh — najczęściej gdy wrażenia były jeszcze świeże i niezatarte—zapoznać mych ziomków z owemi stronami—wśród których, o kilka staj zaledwie od brzegu oceanu,—drzemią jeszcze olbrzymie obszary kuli ziemskiej w dziewym śnie nietkniętej przyrody—nieznane i ciemne.

Ostatnie lata wzbudziły wprawdzie szczególny interes dla badań afrykańskiego ładu i nie tylko jednostki lecz rządy całe zajęły się takowym — czy zawsze w tych samych celach — czy zawsze dla zdobywania nowych prawd tylko i mając dobro ludów ziemie te zamieszkujących na oku—to inne pytanie nie nas się tyżące.

Skromne rozmiary ekspedycyi musiały się stosować do środków jakimi rozporządzałem—a stanowiły one wyłącznie prawie fundusze własne, prywatne. Kilku tylko szlachetnych przyjaciół przedsięwzięcia — którym cele jego były zrozumiałemi—poparło wyprawę materyalnie. Cześć zaś złożyłem na wstępie przedewszystkiem pamięci i imionom dwóch zgasłych przedwcześnie przyjaciół, których światłe umysły i wzniosłe dusze główną były dźwignią przedsięwziętego dzieła. Wypada mi tu złożyć należny wyraz uznania panu Leopoldowi Janikowskiemu, który wytrwał i sumienną pracą na swoim stanowisku podtrzymywał praktyczną stronę ekspedycyi.

Kiedym wyruszał pod Równik—zmarły Filip Sulimierski był może jedynym, który czuł zemną w zupełności, że nie knujemy awanturniczych planów jak sądziła większość naszego ogółu i że nawet najbiedniejszy kraj niema prawa hamować kroków tych jednostek swego społeczeństwa, których powołanie wypiera po za obręb własnych interesów do szerokiej międzynarodowej areny wiedzy „gdzie niema narodów, lecz jest ludzkość jedna.”

Te dalekie pionierki — jakkolwiek skromnemi będą owoce każdej z osobna, mają swe wielkie znaczenie: z niemi nowe drogi, nowe odsłaniają ziemi obszary powołując całe ludy pod sztandar cywilizacji. Dozwólcie po całej ziemi swobodnie wymieniać myśli — dajcie wszędzie drogi i komunikacye—a niebędzie przesądów, niech znikną przesady a zajaśni światło! Niech każdy tę składa cegielkę, którą złożyć pragnie do tego gmachu.

Biada temu społeczeństwu, które nie chce brać udziału w tym ogólnym turnieju we wszystkich kierunkach wiedzy, które samo ścieśnia swój horyzont i spycha się w zastój niedozwalając wszystkim gałęziom swego drzewa się rozwinąć! To początek jego końca; — sechnącej gałęzi tu odciąć niemożna — odcięcie czy obumieranie jednej z nich zuaczy, że cały pień pruchnieje.

Jako notatki pisane prawie zawsze — jak wspominałem — w podróży, wymagają te opisy pobłażania za liczne niedostatki; może nam się uda w przyszłości przejrzeć lepiej i uzupełnić takowe. Żegluga „*Lucyi Małgorzaty*” tworzy odrębną całość, może być jednakże również uważaną za część pierwszą wyprawy, po której ukaże się niebawem druga zawierająca wyprawy lądowe w krajach Kameruńskich i Bakundu.

Londyn, we Wrześniu 1886 r.

S. S. Rogoziński.



ROZDZIAŁ I.

Kilka słów do czytelnika.—Cel i zadanie wyprawy.—Tomczek i Janikowski.—Zwłoka i walka o byt.—Załoga „Łucyi-Małgorzaty” i urządzenie okrętu.—Pożegnania i pożegnalne uwagi.—Stary Vattier.—Wyplłynięcie z Havru.

Ktokolwiek poznał życie marynarza, lub może miał sposobność oswoić się z oceanem, jego burzami i słońcem, jego poważnemi i wesołemi pieśniami i z ciężką po nim wędrówką—ten nie weźmie mi za złe, że w tym opisie trzechletniej podróży w Afryce poświęcę też kilka ustępów państwu Poseidona, po którego sinych obszarach krzyżowaliśmy przez 4 miesiące, zanim stanęliśmy u brzegów, u których rozpoczęła się główna działalność ekspedycyi.

Kto jednak nie czuł nigdy pociągu do dalekich podróży, do badań geograficznych, kogo nie ożywiało pragnienie odkrycia stron jeszcze nieznanych, zdobycia nowych pól pracy, a dla przeladowanej ludnością starej Europy nowych gruntów—więcej przestrzeni i ruchu; słowem, komu wystarczała działalność na własnej glebie, ten niechaj nie żałuje, że nie poszedł tą drogą—jest on szczęśliwszym, bo życie eksploratora—to życie ciągłych trosk i cierni, ciągłego pragnienia i ciągłych zawodów; choć i on ma swe chwile duchowej rozkoszy—ale tylko gdy zdołał krok nowy naprzód uczynić. Po pierwszym jednak, już widzi przed sobą drugi, poznaje obszar pozostałej pracy i niejednokrotnie przygnieciony jej ciężarem poznaje, że dla dokonania całego dzieła życie to za

krótkie, że zaledwie wystarczy na rozkołysanie kolebki swej myśli, która już zrosła się z jego duszą; że nie zobaczy jego końca i że może nieublagane prawa przyrody przerwą iskrę żywota przed chwilą wycięstwa.

Otóż do tych pielgrzymów bez spokoju i strzechy, których cały świat jest mieszkaniem, ziemia pościelą, a rafa koralowa lub step daleki stanie się grobem—do takich, mówię, mnie losy zaliczyły. W zamorskich podróżach przeczytałem kilka kart z najżywszej księgi—ze świata samego; za siną falą, na południu, poznałem ląd inny, który zaczął mnie silnie pociągać ku sobie, następnie zastanawiać, a wreszcie zrosł się z memi myślami—była to Afryka!

Tam, między Sudanem a Kongo, po za brzegami, które oblewa ocean Atlantycki, ukrywa ta część świata obrzymi pas ziemi nieznaney jeszcze zupełnie, w której Kongo i Niger czerpią wielką część swych wód. Te pola żaden plug badacza jeszcze nie orał i ta właśnie zasłona pociągała mnie ku sobie, jak również też zgasłego przedwcześnie Klemensa Tomeczka, geologa, z którym niejeden długi wieczór na północy minął nam na rozprawach o nierozstrzygniętych jeszcze zagadkach, jakie te przestrzenie zawierają.

Postanowilem je rozwiązać, a podana mi dłoń drogiego mi przyjaciela stwierdziła, że stanęło nas już dwóch do pracy, owianych jednym duchem.

Porzuciłem więc w styczniu 1882 r. mą służbę marynarską, w której byłem porucznikiem floty i d. 5 marca tegoż roku opuściłem starą naszą, a jednak wiecznie młodą i żywą Warszawę, dążąc do Hawru, gdzie nabyłem dla zamierzonej podróży żaglowiec „Łucyę-Małgorzatę” i rozpoczęto przygotowania, ekwipowanie wyprawy. Wkrótce przyłączył się do nas trzeci sumienny i poczciwy towarzysz Leopold Janikowski, jedyny z innych ochotników, który wytrwał w zamiarach przy zadaniu naszym.

Długą jednakże jeszcze i ciężką była walka o byt ekspedycyi; niejednokrotnie dzieło chwiała się w całej swej

podstawie—zdawało się czasami, że runie lada chwila, gdyż prawie wszystkie wydatki własnymi musiałem opędzać środkami. Minęło lato, jesień przeszła prawie cała, rozpoczęły się wichry i sloty, a „Lucya” wciąż jeszcze stała przykuta do mętnych wód Hawru. Nikt już prawie nie wierzył, że ona w ogóle podniesie kotwicę; wreszcie w grudniu nadeszła upragniona ta chwila—udało się rozbić ostatnie przeszkody!

Havre—scena ciągłych tych walk o byt ekspedycyi — Europa wreszcie cała wraz ze swą wielką symetrycznie przyciosaną cywilizacją wydawała mi się duszną, straszną, przygniatającą: wszystko wołało na ocean, na pole działania, do pracy otwartej, choć cięższej może — pragnąłem nareszcie odetchnąć wolną, swobodną piersią.

Celem podróży morskiej były góry Kameruńskie, położone na brzegach zatoki Biafryjskiej, a w których postanowiłem utworzyć stację stałą, niejako podstawę operacyjną dla badania przyległych stron lądu. Po drodze jednak pragnąłem zwiedzić jak najwięcej części brzegów—i to krzyżowanie wzdłuż nich zawiera ta pierwsza część, czyli „Żegluga Łucyi-Małgorzaty.”

Zalogę okrętową zaangażowałem francuską—na miejsu. Z niektórymi typami takowej musimy tu na wstępie się zapoznać, gdyż spotkamy się z nimi później. Oto kapitan Boutes—mały, krępy, dzielny marynarz, jeden z tych synów Neptuna, którym po zżyciu się z falą już za sucho na lądzie. Był on już po kilkakrotnie w Gabonie, na zachodnio-afrykańskim brzegu, znał Fernando-Poo ¹⁾ wraz z sąsiednimi wyspami i brzegami; był to więc człowiek cenny dla nas i okazał też niejednokrotnie niemałą pomoc. Botman okrętowy (przywódca majtków) znał już także afrykańskie brzegi; dobry to był marynarz, lecz niestety zbyt

¹⁾ Wyspa ta nazwaną została podług jej odkrywcy: Fernando Poo—będę więc zawsze zachowywał pisownią, ściśle zgadzającą się z tem nazwiskiem, t. j. Poo, a nie Po.

buńczucznej natury, do czego dodawała mu pochopu herculesowa jego zaiste postać, którą zawsze można było odróżnić pomiędzy brodatymi jego podwładnymi — majtkami, także dziarskimi charakterystycznymi twarzami wiarusów morskich, którzy oddawna zapomnieli pierwszego chrztu Neptuna. Jedyne chłopiec okrętowy, który zajmował się kuchnią, częste sprawiał kłopoty członkom ekspedycji. Małe omyłki, które mu widocznie nie sprawiały wielkich zgryzot sumienia, bezwarunkowo nie chciały się zgadzać z przyzwyczajeniami kajut—kompanii. Niewinne napełnienie samowaru morską wodą zamiast słodką, małe podsmażenie bigosu łojem masztowym—wywoływały pioruny i gromy zgorzonych pasażerów na poczciwą głowę zdumionego chłopaka, który zupełnie mając nie mógł, jak można być tak wybrednym, kiedy się ma apetyt. Przypisywał więc to niezadowolone morskiej chorobie i choć szczerze się przyznawał do „pater peccavi,” również szczerze o tem zapominał.

Ponieważ mamy na „Łucyi” daleką odbyć podróż, trzeba nam się także i z nią zapoznać.

Trzy bretońskie maszty, wyekwipowane większemi niż za zwyczaj żaglami i wysmukła jej kibić, pozwalają nam poznać ją zdaleka, obszerna zaś markiza czyli „tent,” rozciągająca się nad całym pokładem, oznajmiają, że to okręt przeznaczony dla stref tropikalnych. Otóż poznaliśmy ją zdaleka.

Siadajmy do łodzi i przybywajmy na pokład. Napotykaemy w zbiorowej kajucie członków ekspedycji, przedewszystkiem dobrych już naszych znajomych, K. Tomczeka i L. Janikowskiego; zajęci są właśnie pakowaniem, oczekując jak i ja z niecierpliwością chwili wypłynięcia. Kajutę tę tworzy podługowaty salonik, otrzymujący światło z góry i zawierający w pośrodku stół obiadowy otoczony krzesłami; wzdłuż ścian burtowych łóżka członków, w głębi wielką mapę Afryki, na której czarna linia wskazuje cel i zadanie wyprawy, z prawej zaś i lewej strony mapy—półki noszące około 400 tomów biblioteki ekspedycyjnej.

Przy wejściu do zbiorowej kajuty znajdują się drugie drzwi, prowadzące do magazynu, w którym spostrzegamy szczerlnie poukładane skrzynie i beczki, zawierające przedmioty zamiany i podarki dla murzynów. Wyszedszy ze zbiorowej kajuty na pokład, widzimy na przodzie oddział dla majtków, kuchnię i galion; za nią zaś, idąc ku sterowi i minawszy średni maszt, przechodzimy przez część pokładu, gdzie podczas pięknej pogody, pasażerowie „Łucyi-Małgorzaty” obiadują na świeżem powietrzu—i schodzimy wreszcie do biura okrętowego, gdzie poustawiane instrumenty nawigacyjne i mapy marynarskie czekają chwili, w której kotwica się podniesie i gwizdawka botsmana ożywi pokład, wzywając wszystkich do wspólnej pracy. Nad stołem nawigacyjnym znajduje się apteczka okrętowa i ekspedycyjna, wreszcie repozytorya, na których tykają chronometry okrętowe; z prawej zaś i lewej strony są kajuty: moja, jako naczelnika ekspedycyi, i kapitana Boutes. Dalej pod sterem leżą zapasy okrętowe—prowiant. Dwie czterowiosłowe szalupy „Warszawianka” i „Syrena” uzupełniają inwentarz, Dolar zaś, wielki pies Janikowskiego i trzy w magazynie polujące koty—liczbę pasażerów.

Gdym ostatecznie przybył z Paryża na okręt, po załatwieniu tam ostatnich interesów, kapitan Boutes spoglądał już ze wzrastającą niecierpliwością na ład, który nas otaczał. Trudno byłoby obliczyć, ile razy dziennie spoglądał on na barometr, grożąc mu rozbitciem na kawałki, jeżeli się wkrótce nie podniesie. Czy przestraszony losem, jaki go czekał, czy rzeczywiście zmęczony ciąglem opadaniem—udobruchał się wreszcie okrętowy aneroid i wkrótce zawiął też świeży NE, ¹⁾ oddawna oczekiwany. Nie było czasu do stracenia,

¹⁾ Wiatry i w ogóle linie kompasu będziemy oznaczali podług ogólnej nomenklatury, czyli: N (północny), NE (półn.-wschod.), E (wschodni), SE (połudn.-wschod.), S (południowy), SW (połudn.-zach.), W (zach.), NW (półn.-zach. itp.

trzeba było korzystać z pogody; podniesiono więc szalupy, umocowano wszystko co było ruchomem i oczekiwaliśmy pierwszej porannej fali odpływowej, by nareszcie wyruszyć z portu. W wilią dnia wypłynięcia „Łucya” zawizowała swe papiery w konsulatach i nastąpiły pożegnania, przy których po raz setny obily się o uszy dobrze już znane zapytania i wykrzykniki: „Więc pan rzeczywiście jedziesz?” „Czegóż panu brak w Europie?” „Po cóż panu ta szalona wyprawa!”

Napróżno starałem się w takich razach przekonywać, że gdyby wszyscy tak myśleli, każda jednostka nie znalazłaby nad własne swe kąty; perswazyje na nic się nie przydały!—co nie podlega ogólnemu szablonowi codziennego życia, to zawsze jeszcze uważanem bywa za pewnego rodzaju herezję, a co najmniej za dziwactwo. Ogół pojąć nie chce, a w naszym kraju czułem to podwójnie, że nie posiadałby wygodnego sposobu zapoznania się ze światem w swym północnym gabinecie, przy pomocy martwej głoski, gdyby nie było jednostek przejętych żądzą poznania ziemi naszej z żywszej księgi—z największej—z łona samej przyrody.

Otoczenie zwykle nie pojmuje badacza. Od pierwszego do ostatniego kroku swej ciernistej drogi napotyka on nieufność w swe czyste zamiary; to podsuwają mu cele handlowe, to żądzą sławy, to widoki karyery—nikt mu wierzyć nie chce, że powoduje nim miłość jedynie; inna to miłość! nie skierowana ona ani do drogiej kobiety, ni do swej chaty, ni do swej rodziny—lecz do celów wyższych, dręczących go nigdy nienasysonem pragnieniem: miłość do prawd wiecznych wszechświata! A jak ciągną ku sobie głębie nurtów wodnych—przestrzenie niezbadanych lądów i przestwory powietrznego oceanu! Ktoby poczuł ten magnes, ten za mną by poszedł!

Tak rozmyślając, kroczyłem ostatniego wieczora ku okrętowi. Przy słowie „ostatni” serce zabiło mimowoli; bałem się, by między wieczorem tym a chwilą podniesienia ko-

twicy nie stanęła jeszcze jaka nowa zwłoka. Przechodząc około hawrskiego ratusza, zauważyłem światło w oknach kółka „Wilhelm Tell,” a mając w niem poczciwych przyjaciół: profesora hydrografii Vattiera i p. Le Jolis, poszedłem się z nimi pożegnać.

Sędziwy profesor przyjął mnie ze zwykłą swą ujmującą serdecznością.

— Nareszcie więc, nareszcie — zawołał — jesteś pan u celu! Wyplywasz pan! Obyście pamiętali, że tu w „Cabinet de lecture” nad „Wilhelmem Tellem” pilnie będzie śledził za wami stary przyjaciel.

— Panie profesorze — odparłem — jeżeli wrócimy z Afryki, pierwszy krok po wylądowaniu w Hawrze, będzie ku wam skierowanym.

— Dobrze, dobrze, odszukacie mnie tam — na gorze wtedy.

— Ależ, panie profesorze — zawołałem zasmucony — tu, tu was odnajdziemy! Przecież ja przez ten czas bliżej może będę kosa!

— Nie—młody przyjacielu, to są wieczne prawa natury, a mnie je wreszcie dają me siwe włosy! No, ale mniej—sza kto kogo szukać będzie, aby wam się tylko udało, aby się spełniły wasze życzenia. Jakże finansowo teraz z ekspedycją?

Zachmurzyło mi się czoło...

— Niestety—odparłem z westchnieniem—pozostał jeszcze dług na rachunku p. X. — lecz ten przyrzekł czekać powrotu „Lucyi-Małgorzaty.”

Stary profesor posmutniał; chciał coś powiedzieć widoocznie, ale ciężko mu było się wysłowić—przemógł się wreszcie—wstał nagle, podał mi obie dłonie i rzekł głosem stłumionym, spiesźnie, urywkowo, jak gdyby się bał, że nie zdąży wypowiedzieć co myślał. „Chciałbym byście wyjechali bez długu w mieście—kto to zrozumie ile walki kosztowało was to lato, nim nadeszła chwila wypłynięcia—przecież wi-

działem to codziennie—po co mają się chwalić wasi nieprzyjaciele, żeście dług pozostawili tu w Hawrze! Nie jestem bogatym—ale tę rzecz załatwimy—mam parę franków w domu—a jak mi zabraknie to mi pożyczycie panie Le Jolis, nieprawda?” — rzekł zwracając się do swego towarzysza. „Przyjmijcie tę pożyczkę! ja obgadywać was nie będę — a jak będziecie mogli, wiem, że mi oddacie. Proszę nie odmówcie! Zadanie wasze, zadanie miejcie przed oczyma!”

Do głębi poruszony, nie byłem w stanie nic odpowiedzieć, trzymałem tylko staruszkę za rękę chcąc go wstrzymać od spełnienia takiej ofiary — gdyż przecie wyruszałem na bardzo niepewne losy — ale pocziwiy profesor się wyrwał i ze słowami: „Alfons! vite!” znikł w przed-sionku.

Pozostałem sam w pokoju z panem Le Jolis i poprawiając węgle w kominku starałem się ukryć wewnętrzne wzruszenie.

Stary profesorze Vattier—jeżeli ród ludzki zawiera jeszcze takie perły—warto dla niego pracować!

Staruszek wkrótce powrócił, wręczając mimo oporu należność winną panu X. i ze słowami „do widzenia, do widzenia!” podał mi jeszcze raz obie dłonie na pożegnanie.

Było późno w nocy, gdy po załatwieniu interesu pana X. wracałem do okrętu! Jeżeli z niewielu szczęśliwych chwil życia była jednak jedna taką w zupełności—była nią owa wieczorna godzina! Ostatnia chwila na lądzie ukazała mi jeszcze człowieka w jakich już nie wierzyłem—jak gdyby los był chciał zaświecić nam z lądu na pożegnanie tym jasnym świecznikiem na daleką drogę.

„Lucya” leżała we śnie pogrążona. Światło księżycy oświecało jej liny i maszty, na których jutro rozwinąć się miały żagle. Spojrzałem na nią jakby na drogą wierną kochankę! Ileż krwawego potu, ile zółci, ile nocy bezsennych kosztowała mnie walka o twój byt ma „Lucyo” — wie to tylko w zupełności jedyny tylko Tomeczek śpiący już w grobie!

Dziś jesteś wolną — jutro popłyniemy! Dobranoc ci w ostatnim dniu tym na ładzie!

Następnego dnia, 13 grudnia 1882 r., podnieśliśmy kotwicę. Dzień był śliczny, jasny, słoneczny — świeży NE poruszał z lekka falą, gdy wypływaliśmy z portu, z brzegu śledziło liczne grono widzów za wypływającymi. Wreszcie „Łucya” minęła ostatnią latarnię morską — na portowych wałach powiewały kapelusze — ktoś nas żegnał jeszcze, — schwyciłem lunetę — był to poczciwy nasz stary protesor Vattier i nasz przyjaciel pan Le Jolis.

„Pod sztandar!” zakomenderowałem — „trzy saluty!” i trzy razy podniosła się flaga Warszawy na głównym maszcie „Łucyi-Małgorzaty” żegnając się ze starym naszym druhem, podczas gdy brzegi Hawru znikać zaczęły na horyzoncie.

ROZDZIAŁ II.

W kanale Angielskim. — Różnica francuskich i angielskich brzegów. — Pierwsze chwile żeglugi. — Wiatr się wzmaga. — Barometr. — Charakter majtka. — Wichry zmuszają „Łucyę“ do szukania schronienia w Falmouth.

Żegluga po kanale angielskim należy do najmniej przyjemniejszych w świecie. Gęsta mgła i ciągle „dawanie drogi“ (wymijanie) przepływającym okrętom — największe zwykle przyczyny gniewu dla marynarza — prześladowają go tu prawie nieustannie. Sławne w historii te wody — oddzielające wesołą Francję od poważnej Anglii, są zawsze ożywione wskazując liczne maszty, żagle i smugi dymu parowców. Nie można nazwać kanału burzliwym — fale jego są jednakże częstokroć bardzo niesforne, szczególnie podczas zachodniego wiatru, który już niejedyn okręt rozbił o skaliste brzegi Bretonii. Dla łądów, które oddziela, kanał był dziwnie niesprawiedliwym, rozmywając wapienne swe łoża, obdarzył z jednej strony Anglię wygodnymi dla żeglugi brzegami, mnóstwem obszernych i bezpiecznych portów, podczas gdy z drugiej utworzył ponure rozciosane skały północnej Francji. Cherbourg, Havre i inne porty w Kanale leżące są tak niespokojne i mają tak trudne wejścia, iż podczas złej pogody pomiatają odpoczywającymi w nich okrętami jak otwarte morze, a cały brzeg Bretonii jest prawie nieprzystępnym. Wybrzeża angielskie przeciwnie, posiadają mnóstwo wygodnych zatok i zatoczek, oraz porty, w których ani odpływ i połączony z nim niski stan morza, ani prąd fali

przyplywowej, ani wreszcie wichry jesienne zbytńio okrętom szkodzić nie mogą.

Ponieważ po długim panowaniu pñ. zachod. wiatrów, wypływaliśmy z NE-em, spodziewałem się więc, iż dopisze on nam przecież dni kilka i dozwoli przynajmniej „zakasać rękawy,“ co przetłumaczywszy na język lądowy znaczy wydostać się z La Manche. Niebo było też jasnem i zdawało się potwierdzać mniemanie. Gdy się uspokoiło na pokładzie, po postawieniu żagli—siedliśmy do stołu. Nareszcie na pełnem morzu, nareszcie płyniemy!

Tysiące myśli strzelało mi po głowie, tysiące uczuć ożywiało piersi. Opuszczałem więc Europę, udało się urzeczywistnić dzieło. Przeżywałem ową chwilę, o którą pytałem sam siebie czasem rozpaczliwie, podczas długich miesięcy walki, czy nastąpi ona w ogóle? Dla uświęcenia wpłynięcia dobyto starego Oporto, przeznaczonego umyślnie w tym celu; był to podarek jednego z havrskich liwerantów ekspedycyi, który tak mnie oszukal na winie, że przy pożegnaniu, aż się popłakał poczeiwiec tracący nadzieję służenia „Łucyi-Małgorzacie“ dalej z równą skrupulatnością.

Każdy wyjazd wiąże jakoś silniej człowieka z tem co mu drogie, to też najpierw sprowadził myśli do kraju i poświęciwszy jemu pierwsze zdrowia, okrążyliśmy wspomnieniem jeszcze raz na wschodzie pozostałych przyjaciół. Długo stara ojczysta Warszawa zajmowała rozmowę pierwszego obiadu, potem wniósł Janikowski zdrowie naczelnika ekspedycyi. Podziękowałem poczeiwemu towarzyszewi i wstaliśmy od stołu.

Wróciłem na pokład. Łucya żwawo niosła nas naprzód. Podług „logu“ przekonałem się, że chociaż wiatr nie był zbyt wielki, płynęliśmy 7 węzłów. Nicstety jednakże, wszystko przepowiadać zaczęło zmianę wiatru, i wbrew oczekiwaniu nagle około wieczora, żagle bić zaczęły o maszty. Prędkość okrętu zmniejszała się znacznie, a z nadejściem nocy, będąc około Cherbourga, nie poruszaliśmy się prawie z micj-

sea. Tymczasem członkowie ekspedycyi ulegli morskiej chorobie. Neptun zażądał swego, tak, że przy kolacyi towarzyszył mi tylko kapitan Boutes.

Korzystając z ciszy i niekolysania się okrętu, dokończyłem korespondencyi ekspedycyjnej, czego ostatnie zajęcia, jak pakowanie i formalności portowe, nie dozwoliły mi uczynić w porcie. Miałem nadzieję, że około angielskich brzegów spotkamy rybaków, byłem opatrzoney w angielskie marki i sądziłem, że będę mógł w ten sposób przesłać ostatnie kilka listów.

Dlatego kazałem wziąć kurs na Slart-Point, gdzie prawie zawsze napotkać można rybackie łodzie. Tymczasem po naglej ciszy, morze na inną przeszło nutę. Następnego dnia, 14 grudnia, wiatr znów się podniósł i to tak silnie, że żał mi się zrobiło, gdy zszedłem do zbiorowej kajuty. Biedna kajut-kompania! przemieniła się w lazaret. Sam nigdy nie doznawałem morskiej choroby—nie mogę więc sobie przedstawić cierpienia jakie sprawia, lecz sądząc po chorych, których często widziałem, musi to być rzecz dolegliwa.

Podnoszący się wiatr wzmagał się ciągle, skręcając na W a prąd przyplywowej fali stawał się coraz silniejszym, myśląc znacznie obrachowania nawigacyjne. Powinniśmy byli wieczorem spostrzedz Slart-Point i jego białą latarnię morską—natomiast nieoczekiwanie ukazał się o 7¹/₂ wieczorem czerwony rotujący płomień, świadczący, że prąd znacznie był nas odsunął na wschód. Woląłem zrezygnować z wyekspe-dyowania listów i kazałem dla bezpieczeństwa zmienić kurs na SSW. Wiatr tymczasem przemienił się w wicher, który doszedł do takiego stopnia, iż 15 rano na okręcie już trudno było utrzymać się na nogach. Rzucił „Lucyą“ crescendo to na prawo, to na lewo i utrzymywał załogę przy ciągłej robocie. Podróżnicy moi najbardziej na tem cierpieli; była to zbyt nagła lekcya Neptuna. Widząc jak wszystko tańczy na okolo, nie opuszczali prawie swych kabin, a ci, którzy się na to odważyli, musieli przywiązywać swe krzesła, by

nie polecieć na drugi bort. W takich razach, gdy morze się sroży, najważniejszym przedmiotem okrętu staje się barometr. On decyduje o wszystkim i on jest regulatorem humoru. „Cóż barometr?” Oto pierwsze zapytanie zrana. „Czy barometr się podnosi?”—oto ostatnie wieczorem. A jeżeli stoi nisko albo opada, to trudno pójść spać, czuwa się przy nim, wpatruje w niego, czy się nie udobrucha, nie podniesie o milimetr i dozwoli położyć się w weselszem usposobieniu. Niestety—tym razem humor upadał, bo nieubłagany prorok zapowiadał ciągle burzę. Załoga się srożyła. „Jakto! krzyknął botsman, przygotowując się do straszliwej kłatwy — od samego początku?” „Do miliona piorunów, czy to kto widział na świecie!” „Zaledwie na soli”—i posypał się zapas wykrzykników tak czysto marynarskich, że trudno byłoby podać tu ustępy z owego oryginalnego słownika terminów morskich naszego botsmana. Leży to w naturze majtka—mówi Arago—jak w ogóle każdego, który walczyć musi z ciężką pracą — ulżyć sobie wymyślając na wszystko co otacza. Zdaje mu się, że im dobitniejszy wynajdzie termin, tem dotkliwiej drasnął wrogie siły, a tem więcej ulżył sobie. To też majtek zawsze wymyśla, bo dzień i noc musi pracować. Jeżeli wiatr zawiął pomyślny wołają go postawić żagle—wymyśla dlatego, że nie zawiął silniej; jeżeli wiatr przeciwny albo podniósł się do huraganu, wymyśla crescendo za każde popchnięcie jakiego doznaje, za każdy łokieć liny, który przeciągnąć musi. Będąc na okręcie, przeklina i okręt i budowę jego, w której nie dobrego wynaleźć nie może, budowniczego i robotników portowych, i port, i rok, w którym okręt na morze spuścili, i wreszcie siebie samego. Trudno jednak brać ów gniew marynarski na seryo, to ciężka praca wyrwała go z piersi, wkrótce on przeminie, a kiedy majtka spotkasz potem na brzegu, żującego flegmatycznie swój tytoń i zapytasz się o okręt, o! wtedy nie będzie lepszego okrętu na świecie, rozumniejszego życia nad życie marynarza, nie lepszego nad morze. Ale wtedy wszystko co lądowe odplacić musi za

jego udobruchanie. Gniewa się na kurz lądowy, który nie pozwala mu dokończyć ulubionej prymki—jeżeli ta przypadkiem spadła w piasek — śmiercią grozi komisarzowi policyi, który wsadził go na odwach za rozbite szyby jakiej portowej karczemni i przeklina każdego lądowca, który wchodzi mu w drogę i nie dozwala po ostatnim kieliszku, spokojnie polawirować do domu.

Przy tem wszystkim jednakże, wicher rzucal „Łucyą” coraz silniej po kanale. Dnia 16 rano wreszcie przyszedł do mnie kapitan Boutes z zapytaniem, czybym nie zechciał zawinąć do jakiej zatoczki i tam doczekać się zmiany pogody, zanim puścimy się na ocean. Po krótkiej naradzie postanowiliśmy tedy zmienić kierunek i wpłynąć do Falmouthu. Niechętnie zdecydowałem się na tak prędką stacyę i to wyłącznie na najkrótszy czas, lecz rzeczywiście uważałem za pożyteczniejsze skorzystać jeszcze z bliskości brzegów, gdzie równocześnie można było dać chwilę odpoczynku podróżnikom naszym, po raz pierwszy, po większej części, znajdującym się na morzu, oraz wyekspedyować ostatnie listy z Europy.

Postanowienie to, wywołało ogólną radość w kabinach. Wkrótce też zarysowały się jasno wybrzeża Anglii i około wpół do czwartej po południu, stanęliśmy 16 grudnia na kotwicy w Falmoucie.

ROZDZIAŁ III.

Falmouth.—Korzystne jego położenie.—Komora angielska.—
Jej ścisłość.—Wycieczka do miasta. — Konserwatyzm angielski.—
Angielska kawiarnia.—Uprzejma straż.—Policeman angielski i kolonialny.—
Chronometry ekspedycyji.—Pogoda się uspokaja.—Na ocean.

Falmouth, aczkolwiek niewielkie miasteczko, mające za-
ledwie 13,000 m. jest jednakże ważnym portem dla marynarki
handlowej jako punkt leżący przy wyjściu z kanału na ocean
Atlantycki; armatorowie okrętów i wielkie firmy handlowe
wybierają go przeto często jako punkt zborny, w którym
ich statki przed rozpoczęciem transatlantyckiej żeglugi, cze-
kają na instrukeye. Obronne zaś położenie i wysokość brze-
gów czynią z niego dobrą przystań wojenną. Od strony mo-
rza nie widać portu, zauważa się tylko wąskie wejście do
obszernej zatoki, która w kształcie ręki wcina się w ląd,
przypominając piękne i obronne porty: Brest i Helsingfors.
Dopiero przepłynąwszy cieśninę, która dzieli zatokę od
otwartego kanału i stojąc na otwierającej się przed nami
rejdzie— ujrzelśmy miasto, ciągnące się w głębi u stóp gór
Kornwalijskich. Za ledwie spadła kotwica, a już zjawila się
łódź parowa pod rządową flagą z urzędnikami komory. Po
wymianie kilku grzeczności oświadczyłem, że okręt wiezie
naukową ekspedycyę, że żadnych towarów nie będę wyłado-
wywał w Falmoucie, do którego zawinąłem jedynie chroniąc
się przed niepogodą. Zapisawszy tonaż, nazwę okrętu i cel
podróży, i przejrzawszy papiery okrętowe, urzędnik oświad-
czył się zadowolonym, zażądał tylko tytoń i spirytualie do
opieczętowania. Anglia przedewszystkiem dba o swój handel.

Opieczętowano więc nawet kilka paczek przeznaczonych na codzienny użytek, aby majtkowie nie mogli praktykować bardzo rozpowszechnionego handlu zamiany tytoniem i arakiem z miejscowymi majtkami i rybakami, a tym sposobem nie wprowadzali do Anglii zagranicznego nieocelonego towaru. Ta skrupulatność może się wyda przesadzoną, jednakże jest ona bardzo pożyteczną. W każdym angielskim porcie stoi codziennie mniejsza lub większa ilość okrętów zagranicznych. Każdy majtek na nich się znajdujący nie ma może pensa przy duszy, ale ma zawsze pewien zapas tytoniu, bez którego istnieć nie może, a który w danym razie zamienia w porcie na inne potrzeby. Otóż gdyby Anglia nie była zapobiegła temu, przybywałoby codziennie dzięki rozwojowi jej handlu morskiego, ilość znaczna tytoniu do państwa, nie opłacająca swego wstępu. Toż samo odbywa się z arakiem i spirytusem. Dlatego komora angielska, zaraz po przybyciu okrętu, kładzie pieczęcie nawet na małe ilości wymienionych artykułów, pozostawiając załodze tylko jej dzienną porcję. Biada okrętowi, gdy przed jego wypłynięciem z portu, pieczęcie okażą się naruszonemi. Zapłaci on wtedy więcej kary, niż warta potrójna ilość całego opieczętowanego materiału. Dopiero gdy opuści angielskie brzegi, gdy już nie ma styczności z terytoryum państwowem, może sobie postąpić z pieczęciami jak mu się podoba. Mimo nieprzyjaźni do naszego zagranicznego rumu, jednakże przybyli z konieczności goście, bynajmniej nie czuli do niego wstrętu. Zauważyłem, że spoglądają z wielkiem zamiłowaniem na beczki i butelki; wypilem więc w ręce najstarszego zdrowie królowej Wiktorii, starszy wypił do młodszego a wymieniwszy znów kilka grzeczności, pożegnali się z nami i opuścili pokład okrętu.

W kajut-kompanii kotwica przywróciła ogólne zdrowie. Podróżnicy wyszli na pokład oglądać rysujący się port. Neptun jest wprawdzie burzycielem zdrowia lądowego, ale nie pastwi się długo nad swą ofiarą. Jest z nim jak z gniewem majtka.

Ponieważ bliskość brzegów i portu pociągała naszych rekonwalescentów z nadzwyczajną siłą ku sobie, kazałem więc spuścić szalupę i popłynęliśmy do portowej przystani. Było około 5 ej po południu. Szalupa miała zlecenie, być znów w przystani wieczorem o 10-ej, mieliśmy więc dosyć czasu, aby zwiedzić kilka uliczek, z których miasteczko się składa. Nie będę takowego opisywał, bo kto widział jakikolwiek mały port północny—ten zna je wszystkie. Kto zaś nie widział żadnego, ten znajdzie w opisach Anglii wiele ścisłszych a zapewne i barwniejszych szkiców, niżby znalazł w tych prostych notatkach marynarskich. Falmouth jest to stare zgrzybiałe miasteczko o wysokich ostrych dachach. Główny jego ruch, panuje na długiej ulicy Market-Street, gdzie znajdują się również wyróżniające się budynki: stary poważny kościół i kilka gmachów rządowych.

Ponieważ to była sobota—dzień, w którym rzeczywiście kończy się tygodniowa praca w Angli—a oprócz tego czas adwentowy, panował więc w miasteczku pewien parafialny nastrój. Przed kościołem stała grupa ludzi na około chorał-gwi cechowych; śpiewami obchodzono adwent, a przez oświetlone okna kawiarni, właściwiej piwiarni, rysowały się inne grupy, odpoczywające przy fajkach i pintach (miara dla płynów).

Wszystko w Anglii, nawet przyjemności i rozrywki, odbywają się podług ścisłych zwyczajów i starych tradycji. Innowacje i cudzoziemszczyzny nie podobają się poważnemu synowi Albionu, i będąc pomiędzy nimi, radzę podróżnikowi jak najmniej odróżniać się od ogólnego trybu, jeżeli nie chce zrazić ku sobie swych gospodarzy i otoczenia.

Ruchliwemu francuzowi nie podoba się ten zastój, jak się mylnie wyraża, a jednak w tych zwyczajach jest wiele po-wabu i bardzo łatwo można je polubić.

W sobotę wieczorem, klasa robotnicza i wolni marynarze, zbierają się zwykle w stale obranej kawiarni. Spracowany przez tydzień John Bull, wchodzi do niej wtedy z wolną pier-



się, siada spokojnie na wielkiej dębowej ławce przy ścianie, albo na jednym ze starych krzeseł otaczających okrągły stół w pośrodku pokoju stojący. Znana mu gospodyni przynosi zwykłą pintę ale'u, fajkę, która do pinty dodaje się darmo i wkrótce przybyły puszcza gęste kłęby dymu, przysłuchując się pieśniom grającej na pianinie córki gospodarskiej i wpatrując się w dogorywające na kominku kłody. Tego wszystkiego albowiem potrzeba mu do szczęścia i żadnej ze wspomnianych rzeczy nie powinno mu brakować przy jego sobotniej pincie. Przypomina to brodatemu majtkowi daleką rodzinę, własny dom, własny kominek, jego spokojną wieś, jego port, który mu się wydaje poczciwszym, i ułatwia obrachowanie kiedy znów zawita do swoich.

Po wyekspedycowaniu listów i przejściu się po mieście, odbyciu właśnie opisanych obserwacji przy regulaminowej pincie i fajce, nadeszła dziesiąta, powróciliśmy więc do przystani. Łodzi naszej jednakże nie było; majtkowie moi musieli się pomylić co do przystani. Skorzystaliśmy więc z szalupy portowej, by powrócić na okręt. Szalupa ta należała do straży morskiej, która właśnie miała odbywać zwykłą swą rondę po rejdzie, a widząc nasze zakłopotanie, zaproponowała nam, nie zważając na znaczną liczbę pasażerów, swe usługi. Powróciwszy na okręt, spostrzegłem że własnej szalupy nie było u burtu; majtkowie rzeczywiście do innej byli dopłynęli przystani, gdzie za karę niedbałości czekać musieli do 2-ej w nocy dopóki nie spostrzegli pomyłki. Uprzejmi nasi strażnicy tymczasem, wypiwszy po szklance dżynu, kończyli swą rondę.

Policya angielska zawsze odznacza się grzecnością, przeciwnie francuskiej. Jeżeli cudzoziemiec potrzebuje jakiegokolwiek wskazówki, otrzyma ją najprędzej i najchętniej od „policemana.” W koloniach wielkobrytańskich, policjanci często bywają nie-europejczykami, w takim razie jednakże rząd postępuje nadzwyczaj umiejętnie i pomysłowo, wybierając na posady stróżów porządku nie tubylców, lecz

krajowców innego plemienia, niecierpiącego kolonialnej ludności. Tak np. częstokroć w Indyach napotyka się jako policyanta chińczyka, w Hong-Kongu przeciwnie hindusa. Każdy z nich z zamiłowaniem jakie wzbudza w nim wzajemna nienawiść tych narodów, poluje na naruszcycieli ogólnego spokoju.

Następnego dnia rano, poznałem dopiero, jak dobrześmy uczynili zawijając do Falmouthu. W kanale szalała burza i kilkanaście okrętów naśladujących nasz przykład, stanęło przez noc także na kotwicy. Pogoda jaka panowała w La Manche, dała się uczuwać nawet w porcie, w nim albowiem okręta tak zaczęły się kołysać, że podnieśliśmy kotwicę i schroniwszy się jeszcze dalej, zarzucili ją bliżej brzegów; tu dopiero byliśmy w pokoju, który postanowiłem poświęcić chronometrom. Przedsięwzięliśmy z kapitanem Boutes dwie obserwacje, jedną na okręcie, drugą na brzegu, by mieć jak najściślejszą ich korekcyę. Instrumenta te — naumyślnie obstarowane dla ekspedycyi — dały w rzeczy samej wyśmienite rezultaty.

Już dyrektor paryskiego obserwatoryum, admirał Mouchéz, chwalił mi nasze chronometry, które więcej niż przez pół roku, obserwował codziennie sam, w swej wspaniałej pracowni. Korzystam z okazji, by w tem miejscu, szczerze złożyć mu dzięki.

19-go około południa pogoda zaczęła się uspakając, wystąpiło słońce, niebo było czyste, poczekaliśmy więc dopóki falowanie się nie uspokoi, co nastąpiło dnia następnego, i 20 około południa opuściliśmy Falmouth wypływając na ocean.

ROZDZIAŁ IV.

Żegnaj Europo! — Zmylone rachuby. — Burze. — Wigilia Bożego Narodzenia. — Złamany bugszpryt. — Chronometry stanęły. — Nowy Rok. — Zmiana pogody. — Nowa burza. — Ostateczny zwrot pogody. — Przylądek Bocca. — Na wodach afrykańskich. — Polów tona. — Porto-Santo. — Przybycie do Madery.

Żegnaj Europo! Przez długie może lata cię nie zobaczę, a może i na innym ładzie kości me pozostaną; w takim razie którykolwiek z mych towarzyszków, przywiezie ci „ultimum vale” a ty z zachodnimi wiatry, prześlesz je na wschód do Polski i złożysz je nad Wisłą na ojczyściej ziemi.

Wyphywając z Hawru mniemałem, iż na Boże Narodzenie, mniej więcej będziemy na Maderze, teraz jednakże przez Falmoutską zwłokę trzeba się było rozstać z tą myślą, odkładając ją do Nowego Roku. Niestety, ocean jednakże, w grudniowym znajdujący się humorze, nie pozwolił i na to liczyć żeglowcowi. Dzika zatoka Biskajska, znana z swych wiecznych burz, miała dłużej nas kołysać po sobie, jak się wkrótce okaże.

Pierwszego dnia żeglugi wszyscy siedzieli na pokładzie; pogoda była cicha, spokojna, wiatr zlekka nadał żagle, nie poruszając prawie ciemno-lazurowej powierzchni morza. Białe mewy okrążyły maszty i dążyły za okrętem, dopóki znaczna odległość nie zmusiła ich do powrotu ku opuszczonym brzegom Kornwalii, podczas gdy nam znikwały z oczu kolejno; Lizard, przylądek Landsend, a wreszcie i brzegi. Nic nie przerywało horyzontu, dokola niebo i woda — szerokie państwo oceanu.

Nagle zachmurzyło się; barometr zaczął opadać, morze się zakolysało. Drobne fale zaczęły gonić naokoło okrętu, rozpryskując białą pianę; wszystko zapowiadało nową niepogodę. Zaczęto opuszczać pokład i powoli zapanowała na nim cisza, przerywana tylko złowrogim szmerem w linach i ponurem pomrukiwaniem majtków.

Na ten raz jednak, Neptun długo się przygotowywał do boju, by tem straszniej na nas uderzyć. Podnosił fale powoli, ale spotężniając je z każdą dołą; barometr także powoli ale stale opadał; w atmosferze miała zapanować długa, ciężka walka.

22-go rano widok, jaki się przedstawił borem, był godzien pędzla wielkiego malarza. Góry wody podnosiły się z jednej, otchłanie otwierały się z drugiej strony, a w pośrodku— mała „Lucya” to wlatująca na szare masy, to spadająca z nich lotem błyskawicy, by znów być wyniesioną w powietrze i znów spłynąć na dół.

W zbiorowej kajucie, jak i w każdym oddziale okrętowym, trzeba było jeszcze raz przedsięwziąć przegląd ruchomości i poprzywiązywać wszystkie. Po stole kazałem przeciągnąć storm-ramę. Są to sznury związane w siatkę, w które wstawiają się podczas obiadu talerze i najniezbędniejsze sprzęty. Samowar nosi oddzielne podwójne hamulce, na nim imbryk swoje, wazę zaś i inne naczynia, wszystko z emaliowanego żelaza, zaledwie do połowy napełniać można było płynem, a i wtedy nawet trudno utrzymać przygotowane w nich potrawy. W kuchni okrętowej przyspasabianie pokarmów naturalnie również ciąglej wymagało gimnastyki.

Zresztą wtedy, gdy człowiek każdej chwili musi się bronić od napaści walczących żywiołów, staje się on mało wymagającym. Muskuly rąk i nóg pracują nieustannie celem utrzymania ciała w równowadze, przez to męczy się organizm i zaspakajając apetyt czemkolwiek bądź, mieszkaniec okrętu nie analizuje podanych mu potraw, a jeżeli i wtedy znajduje się ktoś wybredny, to żalują majtkowie, że nie pozostał na lądzie!

Tak nadeszły dnie świąt Bożego Narodzenia. Ponure były to święta. W Europie, na lądzie, wieczór 24 grudnia zebrał rodziny w ściśle połączone grona, mimowoli myśl sięgała w dawne czasy, budziła wspomnienia; lecz długo z niemi obcować nie było można, żywioły splaszały marzenia, szalejący wichur rozbił widzenia wyobraźni. Połamaliśmy się warszawskim opłatkiem. Duszony stokfisz, bigos, szklanka wina—oto na co była w stanie zdobyć się szarpana w prawo i w lewo kuchnia okrętowa. Wspomnienia dodały resztę, a orkan intonował nam dziką, urywaną swą muzyką.

26-go zasnąłem zmęczony w kajucie, gdy obudził mnie nagle przyspieszony krok wchodzącego botsmana. „Co się stało?“ — krzyknął p. Boutes, którego kajutą była naprzeciwko mojej, zrywając się na równo nogi. Niedawno był dopiero zszedł z pokładu, by chwilę odpocząć. „Orkan strzaskał bugszpryt, kapitanie.“ (Bugszprytem nazywa się rodzaj leżącego masztu, wysuniętego nad przodem okrętu). Boutes znów wyskoczył na górę. Trzeba było ratować bugszpryt, gdyż strata jego pozbawiała nas wielu żagli. Było to ciężkie zadanie podnieść z rozlukanych balwanów, co chwila wrywających się na pokład, kilko centnarowy maszt— a jednakże trzeba było! Raz, drugi i trzeci odrzucił balwan pracujących majtków; na nowo jednak zarzucono linę i wreszcie nad ranem bugszpryt był wyratowany. Piękny sążnisty maszt leżał niby liche drewno strzaskany na pokładzie.

Po ciężkiej nocy nastąpił cięższy jeszcze dzień. Wiatr ani myślał się uspokoić i pozostając ciągle SW, wyczerpywał ostatnie siły załogi. Wycieńczeni majtkowie nie mogli wypocząć ani na chwilę. Wtem o 12 w południe skoczyłem jak piorunem rażony—zdawało mi się... tak! nie myliłem się— że przy ogólnem zmęczeniu zapomniano o chronometrach. Trzymając się za napotykanne przedmioty, pobiegłem niespokojny do repozytoryów; tu spotkałem Boutes'a, który już był spostrzegł co się stało. Przysłuchiwałem się nieszczęs-

nym skrzynkom — nie slychać było regularnego tykania odbijającej półsekundy wskazówki. Rzeczywiście zapomniano je nakręcić — chronometry stanęły. Wolalbym stracić wielki żagiel, niż uczynić to spostrzeżenie. Wszystkie uczynione obserwacye były więc na nic, piękna moja korekta, ścisły chód dzienny, otrzymany dzięki admirałowi Moncher — wszystko na nic! Zapomniałem na chwilę i o morzu i o burzy, myśląc tylko nad tem, jaki wpływ na regularność chodu instrumentów będzie nadal wywierało to nieszczęśliwe zajście.

Wzmagająca się pod wieczór siła burzy nowe wyrządziła szkody okrętowi. Pękały liny, rwały się żagle, biedna „Łucya” zaskrzypiała we wszystkich swych częściach, a gdy przytem wyje orkan, ryczą rozhukane bałwany, a wrywająca się przez bort woda szumi nad głową i to wszystko podczas czarnej ciemnej nocy, wtedy powiem temu, który może przebiega te słowa w swych spokojnych czterech ścianach — wtedy, powtarzam, niewesoło na oceanie; mimowoli pyta się człowiek: cóż pozostanie całem — i żal mu swej nieości.

28-go niepogoda doszła do swego maximum. Od dawna nie mieliśmy słonecznego dnia, chronometry stały, nie mieliśmy więc ani szerokości, ani długości obserwowanej, a prąd, fale i wichry powinny były spędzić nas z kursu. Podług nawigacyjnego obserwowania, powinniśmy byli być około brzegów Hiszpanii; nie jednakże nie dozwalało stwierdzić rachuby. W nocy z 29 na 30 dopiero spostrzegliśmy nieoczekiwane płomień wieży przyładka Estaca de Varres. Wicher więc rzeczywiście był nas wpędził do Biskajskiej zatoki. Znajdowaliśmy się u brzegów Corunii, około najpółnocniejszego przyładka Hiszpanii. Odkrycie to było w każdym razie pożądane, wizowanie płomienia albowiem dozwoliło określić miejsce okrętu; bliskość zaś brzegów na chwilę nasunęła mi myśl schronienia się do Corunii. Naprózno jednak usiłowaliśmy to wykonać. Brzegowe buruny, wiatr i bałwany bijące od brzegu czyniły przedsięwzięcie niebezpiecznem. Trzeba więc było znów wypłynąć na ocean, nie zważa-

jąc na bliskość portu i nanowo rzucić się w ten taniec piekielny.

Była to noc Sylwestrowa, 31 grudzień 1882 roku; następnego dnia albowiem, kiedy wyszedł na pokład, życzył mi botsman i sternik szczęśliwego Nowego Roku.

— Więc to Nowy Rok? — zapytałem, zapomniawszy zupełnie podczas ostatnich utrapień o kalendarzu.

— Nowy Rok — odparli majtkowie — oj! żeby nam pogodę przyniósł.

Spojrzałem na barometry i o radości! wszystkie trzy podniosły się. Zakomunikowałem to załodze. „Vivat 1883 r.” rozległo się po pokładzie i rozdano podwójną porcję rumu z przyczyny Nowego Roku, co także wznieciło długo wstrzymywany dobry humor załogi, mogącej nareszcie wypocząć.

Byliśmy w 45 stopniach północnej szerokości, wiatr zdawał się mieć lekką inklinację ku północy, pojawiła się ogólna nadzieja i wiara, że nareszcie pogoda się zmieni — i rzeczywiście się zmieniła; był to najlepszy podarek noworoczny.

Uporeczywy SW przeszedł na zachód i zawiął wreszcie z NW, niebo się rozjaśniło, morze uspokajało stopniowo i powoli „Łucya-Małgorzata” mogła znów regularnie podążać na południe ze wzrastającą szybkością.

Stado igrających na słońcu delfinów otoczyło lewy burt i wywołało na pokład spektatorów. Wydobywszy się z surowych wód biskajskich, każdy był zadowolonym i witał zwinne zwierzęta jako znak pomyślny. Wojowniczy nasz botsman tylko żywił dla nich mniej przyjazne usposobienie i zajął się urządzeniem harpuni, w nadziei iż uda mu się urozmaić naszą kuchnię delfinią piersią. Okrętowa harpuna okazała się jednakże za małą, a podczas roboty nad nową, delfiny naswoje szczęście, a strapienie czatującego na nich majtki, znów ukryły się w głębi.

5-go stycznia na szerokości północnej 42° wiatr uciekł zupełnie, okręt prawie nie poruszał się z miejsca i na dobę

całą dał załodze odpocząć. Barometr podnosił się ciągle. Chętnie byłbym przybliżył się do brzegów, by zająć się chronometrami, lecz charakter takowych nie dozwalał tego. Niskie brzegi portugalskie, zawierające mało przystani, są nadzwyczaj niebezpiecznymi dla żeglugi, szczególnie podczas zachodnich wiatrów. Mimo gorącego żądania, by widzieć instrumenty znów w porządku, musiałem odłożyć spostrzeżenia do korzystniejszej chwili.

Chwila ta jednakże jeszcze nie miała być bliską. Jeszcze jedną walkę miała odbyć „Lucya” na wodach Europy.

Barometr, który 7 go stał nadzwyczaj wysoko, spadł nagle do przerażającego minimum. Twarz kapitana Boutes'a spęsniała.

— Ktoś nas przeklina—rzekł mi wieczorem schodząc do kajuty—bo się znowu zanosi na taniec.

I rzeczywiście następnego dnia, 8 stycznia, napadł orkan na okręt, tak silny, iż patrząc na zanurzający się przód „Lucyi-Małgorzaty,” zdawało się, że na wieki zniknie w bałwanach. Szarpnięcia były tak silne, że krzesła przywiązane do kabin odrywały się i tłukły po kajucie. Wpadające na pokład fale potokami wlewały się przez okna zbiorowej kajuty i zalewały podczas nocy łóżka miotanych w nich podróżników. Do kajuty mojej, podczas gdy drzwi prowadzące z pokładu były otwarte, wpadł olbrzymi bałwan, przemieniając ją w jezioro. Wszystkie rzeczy zamokły, co w Niemalę wprawilo mnie kłopot. Nie dbałem już o prywatne skrzynki, zawierające ubiory etc. Szło mi głównie o instrumenty i naboje, zająłem się więc rewizyą takowych. Na szczęście, miejsce zawierające te przedmioty, osobno strzeżone i znajdujące się w najbezpieczniejszej części okrętu, pozostało suchem i ani instrumenty, ani naboje nie uległy uszkodzeniu.

10-go wieczorem dopiero wiatr znów zmienił się na północny i sprowadził ostateczny zwrot pogody, przez wszystkich powitany radośnie. W mokrych i wilgotnych kajutach

stał się bowiem pobyt nadzwyczaj nieprzyjemnym, trzeba było świeżem odetchnąć powietrzem, przyjść nieco do siebie, osuszyć i przewietrzyć nieco kajuty. Byliśmy prawie miesiąc w drodze, od Hawru mając tak nieszczęśliwą żeglugę, jak rzadko który okręt. Z niecierpliwością więc pytano się mnie codziennie, ile nam jeszcze mil pozostało—niestety był jeszcze dobry kawał drogi, a od brzegów oddalać się było trudno. Abordować ład bez chronometrów byłbym się odważył, lecz szukać małą wyspę wśród oceanu było ryzykownem. Dlatego powitałem 12 go rano z wielką radością wiadomość, że ukazał się na horyzoncie przylądek La Rocca.

Wzięliśmy kurs okrętu na SE, stanęli pomiędzy przylądkami Espichel i Pascueiras i określiwszy wizowaniem rzeczonych przylądków ściśle miejsce okrętu, odbyliśmy spokojnie obserwacye chronometryczne, choć w ten sposób mając nareszcie znów ich korekeyę podług południka Greenwicha.

Odtąd żegluga szła regularnym trybem. Wiatr był północny. W niedzielę 14 stycznia minęliśmy równoleżnik Taryfy i wstąpili na wody afrykańskie.

Ogólna rozmowa skierowała się ku nareszcie zbliżającej się Maderze, na której jednakże czekał niemalże kłopot: przyprowadzenia okrętu do porządku po zniszczeniach, jakie pozostawiły po sobie przebyte burze. Planowano wycieczki, oglądano mapy Madery, wszystkich ogarnęła nadzieja upragnionego odpoczynku. Urozmaicenie obiadowego menu stało się też przyjemną przerwą w tej jednostajności, gdyż chłopiec okrętowy, zajmujący się, jak wspominaliśmy dawniej—sztuką kulinarną na „Łucyi-Małgorzacie,” w ostatnich czasach mimo chęci nieraz nie mógł dogodzić żołądkom kajutkompanii. Biedaka, który sam ledwo zdołał utrzymać się na nogach, kuchnia jego przyprowadzała do rozpacz. Żądano od niego obiadu, podczas gdy wiatr i fale bez jego żądania przyprawiwały takowy dymem i wodą morską, albo rozpraszały kociołki po pokładzie.

Afryka jednak postanowiła przyjąć nas gościnnie, na-

wet pod względem kuchni. 16-go rano zbudził mnie krzyk chłopca: kapitanie, kapitanie!—wkrótce usłyszałem na pokładzie trzepotanie się silnej ryby, a wyszedłszy z kajuty, ujrzałem olbrzymiego tona, który się był złapał na wyrzucanej wędecie. Zdobycz ta ostatecznie wprawiła całą załogę w dobry humor i zachwycała apetyt naszych podróżników do samej prawie Madery.

Nareszcie, boć przecie wszystko na tym świecie się kończy, okazała się i ona, dawno upragniony pierwszy cel żeglugi. 18-go rano ujrzelśmy pierwszą jej grupę, wyspy Parto Santo, przedstawiające z zachodniej strony górzyste pasmo o 7 wierzchołkach. W pośrodku wyspy głównej, na południowym jej brzegu, leży miasteczko Baleir, ciągnące się w malowniczej dolinie od zachodu na wschód pomiędzy górami.

Zamierzałem z początku stanąć na godzin kilka na kotwicy przed Baleirą, by uporządkować okręt przed wplynięciem do Funchalu, gdzie pragnąłem zawinąć w nie tak oplakany stan, w jaki wprawiła „Łucyę-Małgorzatę” ostatnia niefortunna żegluga; tem bardziej, że mieliśmy w Funchalu dobrego znajomego, hr. Benedykta Tyszkiewicza, szczerego przyjaciela ekspedycyi, przemieszkującego wtędy na Maderze.

Porto Santo nie posiadało jednak odpowiedniej przystani, popłynęliśmy więc dalej ku Maderze, która też wkrótce ukazała się na horyzoncie. Około 6-ej zarysował się jasno Funchal, podnoszący się, ze swemi kształtnymi willami na południowych skłonach gór, a około 9 ej stanęliśmy na kotwicy na 11 sążniach głębokości.

ROZDZIAŁ V.

Notatki geograficzne o Maderze.—Funchal z morza.—Port.—Grzeczność portugalczyków dla ekspedycyi.—Niefortunne wyładowanie.—Osobliwości Funchalu.—Poczta z Europy.—Hr. Benedykt Tyszkiewicz.—Jego willa i obserwatoryum.—Przerwana komunikacya z okrętem.—Gościnniey redaktor.

Statek przyplywający z Europy zauważa najpierw 2,000 metrów wysoki Pico-Ruivo i wyniosły grzebień Torrinas, najwyższe punkta królujące nad wyspą, która tworzy nieregularny czworobok, ze sterzącym na wschód długim skalistym przylądkiem Laurencu. Niegdyś wszystko to pokrytem było gęstemi lasami, od których wyspa wzięła swą nazwę. (Madera po hiszpańsku—Madeira zaś po portugalsku, znaczy drzewo); dziś jednak lasy te są w znacznej części wycięte szczególnie na południowem wybrzeżu.

Formacya wyspy jest wulkaniczną i zawiera wielkie masy bazaltu oraz tufu; powierzchnię zaś stanowi gruba skorupa, którą wytworzyły erupcyje trzeciorzędowego peryodu.

Różne fosylie, liczne zoofity i morskie testaceae, jakoteż masy wapienne, urozmaicają całość formacyi. Wszystko to ciągnie się jako górzysty, 60 kilometrów długi łańcuch, dążący w zachodnio-wschodnim kierunku. Pasma to, główny grzbiet wyspy, posiada mniej liczne, lub więcej wysokie wierzchołki (piki), z których najwyższemi są, oprócz wyżej już wymienionych: Pico-Arceiro 1,940 metrów wysoki, Boa Ventura 1890 metrów, Curral 1880 m., Cidrão 1815 m., Pico Grande i inne.

Kierunek, w jakim ciągnie się główny grzbiet, dzieli wyspę na południowe i północne wybrzeża, pełne malowniczych przepaści i górzystych skłonów, które od wierzchołków ciągną się ku morzu. Największa i najpiękniejsza z tych przepaści przerzyna południowe brzegi: jestto cudowny Curral das Freiras, czyli Grand Curral. Podług wszelkiego prawdopodobieństwa, przedstawia ta, 530 m. głęboka kotłownia, mająca otwór ku południowi—stary, wygasły krater.

Koryta rzeczne, jakie spotyka się na wyspie, są prawie wszystkie skaliste, nader głębokie, lecz pozbawione wody. Największą z rzek jest Janella, należąca do północnego wybrzeża. Wydaje się niemożliwym, ażeby te niewinne wyschłe rzeczki mogły tak wezbrać, iżby się stały niebezpiecznymi; a jednak sprawiały już groźne powodzie, jak np. w latach 1803 — 1848 i 1857, powodzie, które poczyniły liczne szkody i zniszczenia.

Gdyśmy stanęli na kotwicy, Funchal jaśniał rozrzuceniami po górach płomykami will i domków. O brzegi były fale morskie, a gdy splywały po drobnych lądowych kamkach, zdawało się przy szmerze jaki sprawiały, że w mieście panuje zgiełk i wrzawa. Często szmer fal jest przyczyną podobnych złudzeń. Cichy Funchal bynajmniej nie jest gwar-nem miastem, tembardziej zaś wieczorem; zasypia on wtedy spokojnie. Dienne ekskursye turystów były ukończone, mieszkańcy odpoczywali na tarasach swych domów — tylko morze gwarzyło, nucąc nieustanną swą pieśń. Nad górami rozciągała się mgła. Ruivo i parne wyżyny pokryły się szarawą, przezroczystą szatą. Na morzu zaś stało kilka okrętów: pakboty do Europy, do brzegów Afryki i Brazylii, a pomiędzy niemi odpoczywała kołysząca się zlekka „Lucya-Małgorzata,” której Neptun w porcie nawet nie dozwolił odpocząć zupełnie. Port Funchalu nie należy bowiem do najlepszych pod względem bezpieczeństwa przystani i spokoju. Zatoka za płaska, południowe wiatry często wzburzają morze, tak że stojący na kotwicy okręt podczas niepogody

i SW-ów znajduje się w większem niebezpieczeństwie niż na otwartem morzu, a jeżeli łańcuchy kotwic nie są w zupełnie dobrym stanie—może być łatwo rzuconym o skały nadbrzeżne. Rząd przytem nie czyni dla ulepszenia portu i zabezpieczenia okrętów, chociaż byłoby to nie tak trudnem i nie wymagałoby wielkich kosztów. Blizko zachodnich brzegów zatoki znajduje się wielka wysoka skała Loo-Rock, służąca jako fort, a którą nie trudno byłoby połączyć z brzegiem, tembardziej, że podwodne jej połączenie jest bardzo wysokie. Osiągnięto by w taki sposób wał, który stworzyłby aczkolwiek niewielką, lecz dość spokojną przystań dla mniejszych okrętów.

Po długiej a ciężkiej żegludze byłem jednakże kontent, że w ogóle znajdowaliśmy się w porcie. Ze smutkiem tylko spoglądałem na pogruchotane przez burze przednie części masztu, potrzebujące większych reperacyi, zanim się było można puścić dalej.

Po długich refleksyach nad tem, co będzie trzeba uczynić w porcie, zszedłem do kajuty, ho było późno. Mijając stół nawigacyjny, zauważyłem leżące jeszcze mapy przebytej drogi i rzuciłem okiem na linię żeglugi. Co za droga! Przedstawiając linię kursu, mapa streszczała w sobie całą naszą odyseę. Około brzegów północnej Hiszpanii linia przedstawiała zawikłany poligon—to grudniowe wichry tak nami rzucały na prawo i lewo; dalej na południu serya zygzaków—to styczniowe, a pomiędzy nimi ciągnie się długi rząd dat i cyfr, oznaczających obserwacye w południe odbyte, a dających w sumie 35 dni—35 dni z Hawru do Madry.

Wspominając inne żeglugi, porównywałem je z obecną; raz tylko odbyłem straszniejszą i dziwnym trafem — w tej samej Biskajskiej zatoce, lecz było to na wielkiej pancernej fregacie i przez kilka dni tylko. Ponieważ jednak niema złego, co by na dobre nie wyszło—zasnąłem dnia tego, notując w pamięci jeden rezultat pomyślny, a mianowicie ten, że przez owe 35 dni przybyło mi wiele doświadczenia, najdro-

gocenniejszego skarbu na świecie, którego nikt wydrzeć nie może.

Następnego dnia doniósł mi wcześniej majtek, że przybyły dwie szalupy portowe z urzędnikami. Wziąłem więc papiery okrętowe i wyszedłem na pokład, przygotowany na długie ceremonie, jakie się zwykle napotyka w portach portugalskich. Jeden zwyczaj głównie, którego spełnienia oczekiwałem ze strony przybyłych, zawsze mnie gniewał, a mianowicie, że okręt obcy stojąc w porcie Portugalii lub jej kolonii, otrzymuje zwykle nieproszonego gościa, którego musi nolens volens przyjąć na cały czas pobytu w porcie. Kwaternikiem tym jest żołnierz komory celnej, którego utrzymanie rząd ułatwia sobie w taki sposób. Postępowanie to oburza kapitanów.

Szalupy stały u burtu, jedna z nich mieściła urzędnika komendanta portu, druga rewizora komory celnej i „niezbędnego gościa.” Były to łodzie dobrze utrzymane, załoga zaś przedstawiała się również wcale nieźle. Będąc w ogóle uprzedzonym do portugalskich instytucji, które nie należą do najlepszych i najprostszych w świecie, doznałem przyjemnego wrażenia, dobrze uprzedzającego o tutejszym zarządzie portowym.

— Vous parlez français—zapytał się naczelnik wysłanych, z zupełnie czystym francuskim akcentem.

— Oui monsieur — odparłem — żądasz pan papierów okrętowych?

— Kto jest kapitanem okrętu?

— Ja, nazwisko znajdziesz pan w papierach.

Urzędnik uklonił się i wziął podane dokumenty.

— Skąd płynie okręt?

— Z Hawru.

— Jak długo był w drodze?

— 35 dni.

Urzędnik spojrział z niedowierzaniem.

— 35 dni—powtórzyłem mu.

— Cel żeglugi?—pytał dalej.

— Płynę do Fernando-Poo, z naukową ekspedycją.

— Aa, pamiętam! — zawołał nagle przybyły nader grzecznie—mon commandant, jesteście uprzedzeni, nie potrzebuję żadnych papierów, okręt wolny od wszelkich formalności. Mam pod tym względem instrukcje!

I dał znak drugiej szalupie, mającej wydać nam ze swego wnętrza ów nie ulubiany kwaterunek, by się oddaliła.

— Serdecznie dziękuję panu—rzekłem kłaniając się.

— Przepraszam, niema za co, wszystko w porządku.

To rzekłszy, zakomenderował: „na wiosła”; wymieniliśmy jeszcze ukłon i szalupy odplynęły do portu.

Formalności okrętowe były zalatwione w nadzwyczajny krótki sposób. Dla funchalskiego portu byłem więc niesprawiedliwym; pragnął ułatwić ekspedycji, o ile mógł.

Zaledwie odplynęły urzędowe łodzie, gdy zjawily się przy borcie prywatne, przywożąc osoby ofiarujące swe usługi. Każdy port ma podobnych „przyjaciół podróżnika.” Są to właściciele hotelów, obiecujący złote góry w swoich, „podług najlepszych sposobów urządzonych hotelach;” dostawcy prowizyi, ożywieni pragnieniem sprzedania obcym po podwójnych cenach tego, czego mieszkańcy miasta już nie chcą; krawcy, szewcy i praczki, malarze i fotografii, proponujący przybyszom widoki miejscowości.

Jeżeli jednakże przyszły podróżnik zechce dobrej rady, niechaj nie otwiera kłaniającym się nieznanym — ani swego serca, ani swej kasy. Niech ich zostawi najspokojniej na boku; udawszy się bowiem na ląd, znajdzie w mieście ofiarowane usługi za połowę ceny, a nawet taniej; przytem niechaj nie będzie zbyt delikatnym, nie troszczy się o to, że oni czekają: gdy im czasu zabraknie — choć na południu mają go zawsze za wiele — zapakują znowu swe skarby i powrócą do domu. Toż samo zaleciłem na „Łucyi-Malgorzacie” i zapobiegłem zwykłemu zakupom fotografii po 4 lub 5 fr. za sztukę, kosztującą w zakładzie franka. Natrętni przy-

bysze wkrótce też zauważyli, że nadzieje ich zawiodły i opuścili pokład. Równocześnie spuszczone szalupę i oprócz załogi wszyscy podążyli do portu, by nareszcie znów przejść się po lądzie.

Napróżno jednak szukaliśmy przystani dla łodzi; jakkolwiek portugalczyki są przez 400 lat panami wyspy, jednakże nie mieli czasu do wybudowania takowej. Za Loo-Rockiem są wprawdzie schodki, ku którym można z trudnością podpłynąć, lecz leżą one prawie za miastem i przybawający ich nie dostrzega. Zmierzałyśmy więc wprost ku brzegowi, o który wprawdzie były buruny, wdrapujące się na kamyki, lecz na których, jak zauważyłem, lądowały miejscowe łodzie.

Gdyśmy się zbliżali do brzegu, czyniono nam z niego znaki, byśmy się zatrzymali i przesiedli do krajowego czółna, dając do zrozumienia, że na naszej okrętowej szalupie nie dostaniemy się na brzeg. Rzeczywiście każdy grzebień fal nadchodzących z morza podnosił się, uderzając o brzeg wysoko i groził zalaniem; jednakże nie przypuszczałem, że wylądowanie na niekrajowym czólnie jest niemożliwym i pomimo głosów z lądu, które przypisywałem chęci wyzyskania nas, kazałem wiosłować naprzód. Nadchodzący wał wodny popchnął szalupę ku brzegowi i w chwili kiedy spłynął nazad, przygotowaliśmy się do wyskoczenia na kamyki, w których ugrzęzło kilka łodzi; lecz nim zdołaliśmy się wydostać, nadszedł drugi wał, wrywając się lotem błyskawicy pomiędzy nas, po nim trzeci i czwarty. Zmoczeni jak po tropikalnym deszczu, stanęliśmy na brzegu, otoczeni tłumem widzów, podczas gdy majtkowie nasi, stojąc po biodra w wodzie, usiłowali znów oswobodzić zalaną szalupę. Długo próbowali napróżno, nareszcie barczyste ramiona botsmana zepchnęły „Warszawiankę” z brzegu, wyczerpano wodę, majtkowie schwycili za borty i wskoczywszy szybko na wiosłowe ławy, powrócili na okręt. Byłem kontent, że się na tem skończyło, teraz bowiem przekonałem się rzeczywiście, przypa-

trzywszy się lekkim miejscowym łódkom i krajowemu sposobowi prędkiego wyciągania ich na brzeg wraz z pasażerami, że jestto rzeczą prawie niemożliwą dla przyplływającego okrętu, przybijać do brzegu zwyczajną szalupą. Miejsce są do tego celu zupełnie inaczej zbudowane, posiadają płaskie dno i 3 kile. Samo lądowanie zaś odbywa się w następujący sposób: każda z tych łodzi zbliżając się do brzegów, jest oczekiwana przez kilku ludzi, mających w pogotowiu okrągłą belkę. Wyczekawszy korzystnej chwili, t. j. nadejścia silnej fali, któraby popchnęła łódkę daleko naprzód, starszy z wiosłarzy daje znak brzegowej załodze, by była gotowa, sam zaś ze swymi towarzyszami skierowawszy łódź tyłem do brzegu, daje jej silny rzut naprzód; czółno pełnięte oprócz tego nadchodzącym wałem, zostaje wyrzucone na brzeg, gdzie już też oczekujący ludzie podrzucili przygotowany wałek i ciągną je szybko dalej, zanim nowe fale zalać je zdołają.

My jednakże musieliśmy chrztem opłacić doświadczenie i długie suszenie się na bulwarze przy pomocy południowego słońca, zdołało zaledwie jako tako uporządkować zrujnowane kostyummy. Tu nastąpiło formalne obłęzenie, prowadzone natarczywie przez różnego rodzaju przewodników, ofiarujących swą znajomość miejsca, i żebraków, których wszędzie pełno na południu, szczególnie w Hiszpanii, Portugalii i ich posiadłościach. W żadnym kraju żebractwo nie jest doprowadzone do takiego stopnia i nie czyni tak przykrego wrażenia, jak w wymienionych stronach. Biedniejsza klasa ludności — rzekłbyś, rodzi się tu nie do pracy, lecz do żebractwa — i male, często 6-letnie dzieci, wyciągają ręce z nałogu, z przyzwyczajenia, ile razy zobaczą cudzoziemca.

Samo miasto nie jest wielkie, górzyste i dość źle utrzymane. Krótki bulwar, który tworzy niejako połączenie części will i części handlowej miasta, mógłby być pięknym miejscem przechadzki, gdyby był w energiczniejszych rękach, w obecnym jednak stanie zaniedbania czyni on niekorzystne wrażenie.

Ogólną uwagę cudzoziemców zwracają na siebie sposoby komunikacyi. Arystokracja miejscowa i cudzoziemcy jeżdżą konno lub używają palankinów; ostatni jest szczególnie przeznaczony dla dam i chorych, — średnie zaś klasy używają oryginalnego ekwipażu. Są to niezbyt foremne, wołami zaprzężone sanie z podrezami, kryte rodzajem baldachinu. Sanie te co do szybkości nie dorównują nawet niemieckim dorożkom, wyszorowały zaś do takiego stopnia drobny bruk (przeprowadzony nie jako płaska, lecz jako falista powierzchnia), że chodzenie pieszo wpośrodku ulicy staje się prawie niemożliwem, tembardziej, że większa część ulic prowadzi pod górę lub na dół. Woźnica idzie zwykle obok sani, poganiając długim kijem swe woły.

Ponieważ wszyscy z niecierpliwością wyczekiwali listów i wiadomości z Europy, udaliśmy się najprzód na pocztę po korespondencyą. Wieleż zajęć w przeciągu kilku tygodni! Naokoło naszego kraju zanosilo się na wojnę — same smutne wiadomości.

Lecz stroniąc od zajęć burzliwych i przygotowań zniszczenia, zajdźmy tu na Maderze do ustronia szczęścia i ciszy — w najpiękniejszy kącik Funchalu, i to jeszcze należący do zacnego gościnnego rodaka. Jestto hr. Benedykt Tyszkiewicz z Czerwonego Dworu, dla przyjaciół ekspedycyi dobrze znana osobistość. Nad samym brzegiem, na wysokich skałach wznosi się w zachodniej części zatoki bujna południowa zieleń, wśród której wysokie królewskie palmy poruszają zlekka swe pierzaste korony, na cudownem lazurowym tle nieba Madery, ocieniając taras ślicznej willi. W niej niegdyś cesarzowa austriacka przychodziła do zdrowia, a dziś obrat tu swą siedzibę z żoną, dziećmi i garstką służących polaków, niezmnęzony nasz rodak. Zadzwoiłem do bramy i przeszedłszy śliczny cienisty park, którego południowy koloryt zachwycał wzrok ujrzałem wchodząc do willi, piękną, delikatną kobietę, siedzącą przy pianinie. Była to hrabina, której jeszcze nie znałem. Domyśliła się jednakże kim jestem

gdyż żaden okręt nie wpływa do portu, niepostrzeżony przez ostry teleskop hrabiego, zajmującego się żywo wszystkim, co jest połączone z podróżą i morzem i który dlatego na wystającej brzegowej skale parku przemienił śliczny pawilon na małe obserwatorium morskie. Zauważa się takowe już daleko z morza, po blisko stojącym wysokim maszcie, z powiewającą na nim flagą morskiego yachtklubu.

Niczego tu nie brak w tej małej morskiej stacyi, pod którą niedawno jeszcze kołysał się na dole w porcie piękny yacht hrabiego, wyglądający raczej na wzorowy okręt wojenny, niż na prywatny yacht. W pawilonie znajduje się kompletna serya sygnałów, często wznoszących się i spuszczaających po maszcie, dla zasięgania wiadomości od znajomych okrętów; jest tu również i teleskop rzadkiej doskonałości, latarnia z reflektorami i mapy, nawet armatka sygnałowa. Słowem jestto prywatna kompletna stacya morska, we wzorowym utrzymywana porządku.

Rano zaraz spostrzegli nasz okręt, a widząc na głównym maszcie flagę Warszawy, wiedziano, że to „Lucya-Małgorzata,” oddawna zresztą oczekiwana. Przedstawienie się hrabinie było więc nietrudnem i wyszliśmy razem na taras, z którego był już zauważył nas gospodarz, siedzący przy kawie ze starym swym przyjacielem polakiem. Szlachetny przyjaciel ekspedycyi przywitał mnie serdecznie na Maderze.

Przeprosiłem towarzystwo za rozstrojony mój kostium, którego słońce jeszcze nie było wysuszyło w zupełności, lecz znajdowałem się w rzeczywistem kółku podróżników; tak hrabia bowiem, jak i jego małżonka, niejednen raz przepłynęli wzdłuż i wszerz ocean, a w bagnach Florydy i indyjskich dżunglach przebywali całe miesiące dla ekskursyi i polowania. Siedliśmy więc na tarasie, przed którym rysowały się piękne grupy cyprysów, agaw, bananów, palm i innych przedstawicieli południowego roślinnego świata—i musiałem opowiadać walki ekspedycyi, odbyte od czasu widzenia się naszego w Paryżu, oraz długą naszą odyseję po oceanie.

Czas mijał szybko w miłym tem gronie osób żyjących cicho i spokojnie, w otoczeniu kwiecistego bukietu pięknej przyrody południa, odbijającego na wszystkim co ich otaczało, wewnętrzny spokój i jasny horyzont. Jako wielki przyjaciel przyrody i piękna, zajmował się hrabia ze szczególnem zamiłowaniem fotografią. Całe godziny poświęcał temu zajęciu i w rezultatach doszedł rzeczywiście do doskonałości. Widziałem fotografie zdjęte przez niego, nieustępujące wyrobom pierwszych zakładów — widoki gór, portrety, lecz zawsze przedmiot musiał odpowiadać estetycznemu gustowi miłośnika.

Po kilku dniach naszego pobytu, który prawie ciągle koncentrował się naokoło gościnnego i serdecznego rodaka, hrabia pragnąc nas zapoznać z wyspą, zaprosił ekspedycyą na wycieczkę w góry. Kawalkada ta na długo pozostanie w pamięci tych, którzy razem spędzili ów dzień ohocho. W wigilią wycieczki byliśmy wszyscy w willi na obiedzie, umawiając się co do dnia jutrzejszego. Jednakże już przedtem zajmowano się widocznie u hrabiego planem ekskursyi, gdyż z parkowego masztu sygnalizował na okręt, dowiadując się o ilości potrzebnych koni. Przy obiedzie poznaliśmy też trzech nowych towarzyszków wycieczki; byli nimi: ksiązę Karageorgiewicz i dwóch polaków, chwilowo bawiących na Maderze: inżynier Rutkowski i pan Weidlich z Wołynia. Towarzystwo więc stawało się coraz liczniejsze, co obiecywało jeszcze więcej przyjemnić zabawę.

Po ożywionej rozmowie na tarasie, zawierającej wiele ciekawych wspomnień z podróży i polowań, hrabia pokazał nam przy wyjściu plan jutrzejszej drogi. Wybrał ją wzdłuż pięknego Grand Curralu; na którym chciał dać z dwóch różnych pików, widoki na malowniczą kotłownicę, by inną drogą — z zachodu znów wrócić do Funchalu.

Tymczasem jednakże zapadła noc i naznaczywszy sobie schadzke rano na 7¹/₂ w willi następnego dnia, pożegnaliśmy się, by powrócić na okręt. To jednakże stało się niemożli-

wem. Gdyśmy wyszli z parkowej bramy, zauważyłem śpiącego lazarona, który kilka razy służył mi już jako przewodnik po mieście. Hałas wychodzących osób zbudził śpiącego; widocznie czekał na nas w nadziei otrzymania kilkudziesięciu rejsów ¹⁾ za doniesienie, że powstał silny południowy wiatr i że wszelka komunikacya z morzem przerwana. Ponieważ poleciłem na okręcie, by wieczorem czekała na nas szalupa przy odszukanych schodkach za Loo-Rockiem, skierowaliśmy się więc ku niemu, by przekonać się o stanie morza i albo powrócić na okręt, albo odesłać szalupę. Portugalczyk, który był świadkiem upartego pierwszego naszego lądowania i kąpieli, myśląc, że chcę mimo to puścić się na morze, prosił usilnie by tego nie czynić i szedł w ślad za nami. Przybywszy na miejsce, zauważyłem rzeczywiście, że nie można było myśleć o popłynięciu na okręt. Fale były o skały, rozpryskując białą pianę i zalewając co chwila schody. Szalupa nasza trzymała się jednak w pogotowiu o jakie 30 m. od brzegu. Krzyknąłem jej więc, by powróciła na okręt, lecz łoskot fal był tak silny, że kilkakrotnie trzeba było powtórzyć rozkaz, zanim go usłyszano i łódź nawróciła.

Portugalczyk tymczasem wyszukał nam hotel i otrzymałszy 100 rejsów na wino ($\frac{1}{2}$ fr.), dla których tak długo był wartował przed willą—oddalił się wreszcie, podczas gdy gospodyni hotelu dokładała wszelkich starań dla ulokowania tylu gości w przepelnionym swym domu. Miała tylko jeden wolny pokój, a oprócz mnie było czterech towarzyszków. Na szczęście zastaliśmy w gościnnym pokoju jakiegoś litościwego jegomościa, który odstąpił nam jeszcze swój własny; był to pan Joa de Nobrega Soares, redaktor jednego z miejskich dzienników „Diario popular.” Ów nadzwyczaj miły

¹⁾ W Portugalii i jej koloniach bardzo łatwo zostać milionerem, liczą bowiem na rejsy (reis), których 1,000 równa się 5 frankom. czyli 2 rublom. Milion rejsów więc przedstawia sumę 2,000 rs.

i serdeczny przyjaciel podróżnych był zajęty korektą jutrzejszego dziennika, zapewniał, iż to mu zajmie całą noc, że mu więc pokój będzie niepotrzebnym i prosił bym go przyjął. Uczyniłem to z wdzięcznością i wypiszy z uprzejmym literatem, który, jak się okazało, był autorem kilku dzieł portugalskich—butelkę malwazy, zajęliśmy zdobyte kwatery, zbierając siły do jutrzejszego dnia.

ROZDZIAŁ VI.

Wycieczka po wyspie. — Ludność Madery. — Szkice fizyograficzne. — Krajobrazy. — Śniadanie nad przepaścią. — Fotografie. — Hr. Tyszkiewicz jako strzelec. — Powrót do Funchalu. — Reparacje okrętowe. — Pożegnanie z hrabią. — Wyplięcie.

Gdyśmy nazajutrz wchodzili do parku willi, konie już czekały i zaopatrywano palankiny w żywność, aby mogły przed nami wyruszyć wraz ze służbą, która miała nas oczekiwać na szczycie, nad samym kraterem Grand Curralu.

Jak się okazało, stanęła ekspedycya pierwsza na placu; przyjął nas doktor Gąsowski i poprosił na kawę; wkrótce też nadszedł książę Karageorgiewicz, inżynier, p. Weidlich i wreszcie hrabia, który był zajęty wyeksperymentowaniem awangardy.

Czas był prześliczny, lekki wietrzyk zapowiadał dzień łagodny, niezbyt gorący. Pożegnawszy się więc z szanownym doktorem, skoczyliśmy na konie i wyruszyli naprzód. Wkrótce pozostałym w willi znikły z oka kaski i białe ubiory dziecięciu jeźdźców, z których składała się kawalkada. Droga prowadziła z początku przez wioskę i była otoczona z obu stron murami, z po za których wyglądały ciekawe głowy dzieci wieśniaków, to przyglądających się licznym jeźdźcom, to skrywających się za naszym przybliżeniem w rosnące za murkiem banany lub trzeinę cukrową. Wązkość drogi zmuszała nas do jazdy po dwóch, a potem pojedynczo. Otwierał rząd ks. Karageorgiewicz, zamykał go hrabia ze mną.

Niejednen z czytelników zastanowi się może nad tem, jakiej rasy są wieśniacy tutejsi. Otóż gdy w 1419 r. Joao

Gonsalves Sargo i Tristao Vaz Teixeira odkryli wyspę (uwagi godnym jest fakt, że blizka Porto-Santo, z której przy jasnym powietrzu widać Maderę, odkrytą została o rok wcześniej przez Bartłomieja Perestrello. Był to pierwsze odkrycie portugalczyków), znaleźli ją niezamieszkałą, pokrytą tylko gęstym lasem. Po dokonaniem odkryciu, otrzymało ją kilku portugalskich magnatów, z prawem przesiedlenia na nią części Maurów, Cyganów i Żydów z Portugalii. Nowo odkryty jednakże kraik przyciągnął swoją pięknnością także licznych portugalczyków i Hiszpanów; inkwizycya systematycznie wygładzała różnicę wyznań i powstała z wiekami śniada, niby portugalska ludność, nadzwyczaj leniwa, żebracza, lecz spokojna i potulna. Z dawnych czasów pozostały w niej zwyczaje, a nawet część kostyumu. Równie jak nasz wieśniak, krajowiec tutejszy kłania się przejeżdżającemu cudzoziemcowi, chwytając za czubek swej czapki, o której pozwolę sobie powiedzieć słów kilka. Jest to może jedno z najoryginalniejszych pokryć głowy, rodzaj małej jarmułki, zszytej z czterech klinowych płatków czarnego sukna i mającej 3—4 cali długi, w górę sterczący ogonek. Które z pierwotnych plemion przesiedlonych na wyspę, dało wieśniaczemu ogółowi to oryginalne nakrycie głowy w spuściznie i jakie kombinacye przekształciły jego pierwotną, prawdopodobnie inną formę — trudno dziś powiedzieć. Owo nakrycie głowy nazywa się „carapuzą.”

Reszta kostyumu nie zawiera nic, coby można przedstawić jako charakterystyczne dla wieśniaka Madery. Noszą zwyczajne spodnie z grubego płótna i takąż koszulę; kobiety — płócienne suknie, kupowane w Funchalu lub wyrobu domowego.

Maderscy portugalczyki nie różnią się w ogóle niczem prawie od swych europejskich ziomków. Są to zwykle typy dość chude, o ostrych rysach, śniadej twarzy i czarnych włosach i oczach; pomiędzy mężczyznami zauważa się rzadko twarz piękną, postać imponującą; płeć piękna zaś ma

swe bardzo ponętne reprezentantki, lecz starzeją się one niezwykle prędko, mając wtedy skłonność wielką do jeszcze większego zaostrzania się rysów, głównie podbródka, oraz do brodawek.

Ludność, jak na przesiedloną, jest dość gęstą na wyspie. Na 1,550 kilometrów kwadratowych powierzchni, liczy ona 134,000 mieszkańców, czyli 86 m. na kilometr kwadratowy; ilość zaś dymów wynosi 28,000 (ludności tej na Funchal przypada 29,000).

Wkrótce wioska się skończyła i zaczęliśmy się podnosić w górę. Krajobraz zmieniał się co chwila, to okazując przed nami grzbiety gór, to zielone piękne doliny, to znów głębokie kotliny i kamieniste koryta rzeczek. Chociaż rzeczki te, jak wspominałem wyżej, przedstawiają smutny widok wyschłych łożysk, podobnych raczej do przepaści i porośniętych krzewami, wyspa jednak posiada wodę w obfitości. Mnóstwo strumyków tryska z zielonych kobierców wśród skał, a sztuczne dukty sprowadzają je na dół wzdłuż wiosek, gdzie wino, trzcina cukrowa i banany, główne plantacje ludności, wzbogacają dzięki wododajnym górcom, rynek Funchalu i stanowią, szczególnie pierwsze, dobrze znany artykuł wywozowy do Europy. ¹⁾

Po dwóch stacyach w małych wiejskich wentach (wiejski sklepik, rodzaj małej karczmy), gdzie poczęstowano nas bananami, daleko dojrzalszemi i słodsze niż napotykalśmy w Funchalu — rzuciliśmy ostatni raz okiem na morze. U stóp zielonych skłonów gór, które z naszego posterunku wyglądały jak kolorowa szachownica, rozciągało się ono niby jasne, sine zwierciadło, w którym niebo odbijało swój spokój.

¹⁾ Napróżno jednakże szukałby podróżnik dziś na Maderyze owych licznych winnic, jakie spodziewa się napotkać. Uprawa takowych upadła znacznie i upada z dniem każdym więcej; to też pochodzenie wszystkiej „maderoj,” eksportowanej na całą kulę ziemską niby stąd, musi być w każdym razie co najmniej wątpliwem.

Funchal już dawno znikł za górami, a wkrótce zniknie i morze, droga bowiem stromo prowadzi nas w góry. Nagle stajemy na wysokim górnym łańcuchu, wzrok sięga daleko dokoła, serce bije raźniej i swobodniej na wyżynie. Odkrywa się przed nami cudna, rozległa kotłowina, dążymy na dół ku mostowi, który ją przerzyna, by z drugiej strony podnieść się na nowe pasmo. Wązka, naturalna galerya prowadzi ku dołowi; uroczy widok na bazaltowe skały głębokiego wąwozu nie dozwala oderwać oka od tej żywej panoramy. Niebezpieczna jednak droga wymaga ciągłej baczności i uwagi: jedno fałszywe stąpienie konia zrzuci nas w przepaść, roztrzaska o ostre kolumny bazaltowej świątyni przyrody, pogrzebie w niej jeźdźca i wierzchowca. Lecz przyzwyczajone do swych wąwozów zwierzę, niesie nas bezpiecznie naprzód. Stajemy na murowanym dukuie, który na wysokich arkadach łączy dwie strome ściany przepaści; puszczaemy wodze koniom i ruszamy galopem, korzystając z równości gruntu, na przeciwległe pasmo, dokąd książe już dawno nas wyprzedził. Oddycha on pełną piersią; może marzy, że koń niesie go nad brzegami Driny, że to jego serbskie wąwozy, albo kryjówki Czarnogóry.

Wesołe hop! hop! rozlega się nad rozciągniętą u stóp naszych doliną, echo kilkakrotnie odbiło je o skały i droga prowadzi nas znów przez góry, to przecinając pasma obrosnięte lasem, to prowadząc nad krawędzią nowej przepaści. Nareszcie przybyliśmy do Grand Curralu. Las, przez który ciągnęła się ostatnia część jazdy, nagle się kończy i przed nami podnosi się między dwoma wyniosłymi pikami zielony taras, u stóp którego zsiadamy z koni by wejść na górę i odpocząwszy, zasiąść do przyniesionego w palankinach śniadania.

Biedne zwierzęta pokryte pianą, droga bowiem była daleka, a słońce, które stało na południku, piekło odbite o skały. Zatrzymawszy się chwilę przy koniach, naokoło których zgromadzili się także ludzie z góralskimi kijami,

oraz pewna liczba kobiet i dzieci, powiększających po drodze nasz orszak podróźny — weszliśmy na krawędź tarasu. Co za widok! Napróżno szukałem w pamięci czegoś podobnego. Przed nami roztwierała się olbrzymia, tysiące stóp głęboka kotlina. Pod krawędzią na której staliśmy, zionęła bezdenna przepaść, a z prawej i lewej strony ostrokanciaste skały tworzyły jakby olbrzymie kulisy dzikiej sceneryi, która sterczała przed nami. Oto stary krater sławnego Grand Curralu na Maderze. Tworząc ten obraz, przyroda chciała chyba przedstawić światy Plutona, kryjóWKi Hadesu, jak je tylko zarysować zdołała wyobraźnia starożytnych. W dali, przebijając się przez niebieskawą parę, sterczał Pico Grande, a przed nami za kraterem—wysoki Ruivo i bazaltowe kolumny Torrinhás, które możnaby wziąć za olbrzymie stare ruiny. Widok był jeszcze wspanialszy z lewego piku, tak nazwanego Cidrao, na który wszedłem z członkami ekspedycyi. Panoramy stąd widzianej nie śmiem znieważać bladym mym opisem.

Zszedłszy z Pico Cidrao, znaleźliśmy rozłożone obrusy i dywany zastawione śniadaniem, a opodal niezmcężony hrabia ustawiał aparat fotograficzny, który rzadko nie towarzyszy mu w wycieczkach. Rzeczywiście każdy żywił pragnienie uwiecznienia cudownego krajobrazu. Żądanie to często zdarza się w podróźach; niejednokrotnie czuje wędrowiec żal do siebie samego, że nie może zabrać z sobą szkicu napotkanego przypadkiem pięknego widoku, dla późniejszych wspomnień i podzielenia się nimi z ziomkami. Podróżny aparat, szczególnie udoskonalony, jakim jest teraz, daje w takim razie ową możliwość każdemu, nawet nierysującemu i powinien być niezbędnym towarzyszem podróźnika w dalekich wycieczkach.

Hrabia pomyślał o wszystkim; był aparat fotograficzny i skrzynka z kliszami, winchesterski karabin do strzelania do celu, kule do rzucania jako cel do wystrzału, słowem nie brakło niczego, co może się przyczynić do wesolości w gó-

rach, na świeżem powietrzu. Hrabia pragnął zachować biesiadującą naszą grupę i gdyśmy zasiedli do śniadania, oddał nam jego aparat żadaną przysługę.

Śniadanie było nader ożywione i wesołe; tylko osy i moskity nakazywały co chwila mieć się na baczności. Co do owadów, Madera w ogóle posiada wielką ilość rodzajów, głównie pajaków i różnego rodzaju moskitów. Wyspa liczy ich do 1,200 gatunków. Po owadach największą rozmaitość przedstawia fauna Madery co do ryb, konch morskich i lądowych; tych ostatnich posiada 155, morskich 156, ryb zaś około 186 gatunków.

Mając fotografią grupy przedśniadaniowej, poprosiliśmy hrabiego o pośniadaniową; ta ostatnia, której tło tworzyła gromada górali i dzieci, udała się wyśmienicie.

Tymczasem wydobyto karabin i ochoczy nasz gospodarz dał nam żywą ilustracją do swych polowań w Indyach i Florydzie odbytych. Byłem zdumiony, jak i wszyscy obecni, jego zręcznością. Z wolnej ręki trafiał odwróciwszy się, podrzucony przez chłopca krąg i to z ciężkiego karabinu Winchester. Było to rzeczywiście zastanawiającem; na 10 strzałów, 8—często 9 przebijało drewniane kółko. Nie życzyłbym nikomu spotkać się z kulą hrabiego.

Wreszcie wyruszyliśmy dalej. Ponieważ nieco na południe od miejsca na którym znajdowaliśmy się, leżał inny punkt; dający piękny widok na Curral i odsłaniający nową jego odnogę, punkt, do którego konno dojechać było trudno; odesłano więc konie na umówione miejsce, sami zaś udaliśmy się pieszo do owego celu, który nosił ponętą nazwę: „Boca dos amorados.” Ścieżka pro wadziła przez stary las słodkich kasztanów, który jednakże, sądząc po regularnych odstępach drzew, zdawał się być sadzonym. Opadłe żółte liście, bo znajdowaliśmy się w styczniu, pokrywały kamienisty grunt, szeleszcząc pod naszymi krokami. Jeden z wieśniaków niósł aparat, palankiny zaś z resztą bagażu odesłano do domu.

Po godzinie marszu okazała się rzeczywiście czarująca

„Boca dos amados”. Słońce, które już od kilku godzin przeszło było południe, ozłacało amfiteatralną, skalistą, uroczą piękną sceneryę, która leżała pod nami. Na dnie jej, ku przeciwniejszej ścianie stał jakiś biały domek w parowie, lecz w niezmiernej głębokości położony, wydawał się jak biały kamyk.

Znowu musiał służyć aparat i tu zjął hrabia grupę członków ekspedycyi. Potem jeszcze jedno długie *adio* uroczej dolinie, *adio* na długie lata i schodzimy z wyżyny, by powrócić do koni. Ogólne jednak zmęczenie już dawało się uczuwać; ścieżka prowadząca do koni była tak spadzistą i przytem tak śliską, że z trudem tylko można było przejść po niej.

Siedliśmy więc na grupie kamieni w lesie i posłali po konie; wkrótce też dało się słyszeć parskanie wierzchowców, rozmowa ludzi; konie nadeszły i nareszcie znów było się na siodle.

Droga na dół do brzegów przedstawiała inne widoki; hrabia wybrał śliczną linię, schodzącą najpierw ku malej zatoczce Camara de Lobos; potem droga zawijała się raz jeszcze naokoło skał tuż nad morzem, by nam pozwolić pożegnać się z niemi; następnie wjechaliśmy na most, wiodący nad nowem korytem wyschłej rzeczki, po za którą rozciągała się piękna szeroka aleja aż do miasta. Tu grunt był tak równy, tak starannie uszosowany, że mimowoli zachęcał do wyścigów i niebawem też część kawalkady puściła się galopem, podczas gdy reszta, śledząc za ścigającymi się, powoli zbliżała się do miasta, aż nareszcie wszyscy znów stanęli przed willą.

Odbyliśmy mniej więcej pięćdziesiąt kilometrów drogi. Słońce zaszło, gdyśmy powracali, przytem byliśmy zakurzeni i zmęczeni; pożegnaliśmy się więc z gościnnym gospodarzem i rozjechaliśmy się po domach.

Lecz dość zabawy; poznaliśmy wyspę, wracajmy znów na okręt. Poczciwy hrabia przysłał nam robotników, napra-

wy okrętowe poszły szybko i wkrótce „Łucya” była gotową do drogi. Silny nowy bugszpryt zajął miejsce strzaskanego, nowy gig wysunęliśmy nad sterem i nowe wanty (grube liny smolone, związane w formie drabin, trzymające maszt z prawego i lewego burtu) wzmocniły przedni maszt. Przy pierwszym pomyslnym wietrze mogliśmy rozwinąć żagle.

Trzeci to już raz hr. Benedykt Tyszkiewicz przychodził w pomoc ekspedycyi. Przy pożegnalnem śniadaniu w jego gościnnym domu, pragnąłem mu wyrazić głęboką swą wdzięczność. Niestety, niepodobna było wyrazić jej słowami. Szczerego, głębokiego uczucia, które żywię w sercu dla niego i jego domu, pragnąłbym żywo, pragnąłbym inaczej kiedyś mu dowieść. Jeżeli dojdą Cię kiedykolwiek, zacny protektorze sztandaru „Łucyi-Małgorzaty” te słowa, zechciej je przyjąć i wierzyć, że po za szczytami Mongo-ma-Lobah i kamernńskimi skałami, będą często powracał myślą na wybrzeże Madery, ku gościnniej twej willi, w cień cichych, szczęśliwych twych progów.

27-go stycznia przybył pakbot dążący do Europy, wysłaliśmy więc korespondencje i następnego dnia w niedzielę postanowiłem wyruszyć w dalszą drogę do wysp Kanaryjskich. Krótko przed podniesieniem kotwicy zauważyłem odbijającą od brzegu łódź, ku nam płynącą, pod flagą yachtklubu. Był to raz jeszcze hrabia, wiozący nam koszyki konserw i litewskiej starki na drogę; przybywał ostatecznie się pożegnać. Wypiliśmy kieliszek strzemiennego i pożegnaliśmy się serdecznem „do widzenia.”

Czy wrócę na Maderę—czy zastanę wszystko na niej tak jak dziś? Bóg wie! Lecz czemże byłoby życie bez nadziei?

Hrabia siadł do szalupy. Długo jeszcze powiewały kapelusze—potem zakomenderowałem „pod flagę” i jak starego naszego profesora w Hawrze żegnała trzy razy syrena Warszawy zacnego tego przyjaciela wyprawy. Hrabia odpowiedział swoją flagą i znikł wkrótce w obrębie portu. Za godzinę zaszło słońce i podniesiono kotwicę, a gdy „Łucya”

rozwinęła żagle, wybrzeża Madery pokryły znów nocne cienie. Ruivo otulił się w mglistej oponie do snu, a w pawilonie na skale błysnęło światło migotające po zatoce: z willi świecono nam na drogę—i „Łucya-Małgorzata” zaczęła powoli pruć ciemne fale, podążając na południe.

ROZDZIAŁ VII.

Na Kanaryjskie wyspy.—Yacht angielski.—Pierwsza wiadomość o Kanaryjskich wyspach.—Kartagińczycy.—Ekspedycya króla Juby.—Pliniusz.—Bracia Magroini.—Juan de Bethencourt i zdobycie wysp dla Hiszpanii.—Guanchy.—Pierwsza arystokracja wysp.—Mumie Guanchów i ich kryjówki.

Noc była nadzwyczaj spokojna, mogłem nawet narzekać na brak wiatru. To też powoli tylko posuwaliśmy się naprzód. Wypływając z portu, mijaliśmy yacht angielski, który już od kilku dni tu się znajdował; zauważyłem przedtem, że ciekawie śledził za ruchami „Lucyi-Małgorzaty,” widział że płynie na południe, flaga świadczyła o przybyciu z dalekiej północy i nie chciało się widocznie wierzyć właścicielowi yachtu, że mały nasz lugier w tak daleką puścił się drogę. Na przednim maszcie błyszczała podniesiona regulaminowa latarnia, oświetlając nam jego pokład; ujrzelismy brodatego majtka wychodzącego naprzód i opierającego się na galionie w chwili, gdyśmy mijali bugszpryt yachtu.

— Where are you going to?—zapytał się brodaty.

— To Fernando-Poo—kazałem mu odpowiedzieć.

Majtek znikł, donosząc zapewne otrzymaną wiadomość, następnie powrócił za chwilę. „Farewell!” — rozległo się za nami; posłałem im serdeczne „Thank you” i minęliśmy yacht.

Następnego rana jaśniała Madera na horyzoncie jako biały mglisty pas, blednący z każdą chwilą; wkrótce zaś zawiał świeży NE, sylwetka wyspy zatoneła w falach i z szybkością 7--8 węzłów oddaliliśmy się od niej.

Z początku przed przybyciem do Funchalu zamierzałem zawinąć do Lanzarote, najbliższej ku Afryce posuniętej wyspie z Kanaryjskiego archipelagu. Zamierzałem stamtąd zabrać pewną ilość mulów i osłów dla przyszłej stacyi kameruńskiej i ekspedycyi.

Jednakże po bliższem rozpatrzeniu się poznałem, że umieszczenie ich na okręcie byłoby nadzwyczaj trudnem i że w razie potrzeby będzie odpowiedniejszem sprowadzić je potem parowcem do Fernando-Poo. Ponieważ więc nie mieliśmy celu zatrzymywać się na Lanzarote, wzięliśmy kurs wprost na Teneryfę, która miała być naszą ostatnią „białą stacyą.” Chciałem zwiedzić botaniczny ogród Orotawy, jeżeli będzie możliwem Pic de Teyde, a głównie uskutecznić w Santa Cruz ostatnie zakupy dla Afryki.

Zdecydowałem się więc zawinąć najprzód do Orotawy, leżącej na północnym brzegu, a z której prowadzi droga najbliższa do sławnego wierzeholka i ogrodu, stamtąd zaś dopiero udać się do Santa Cruz.

Zanim jednakże wylądujemy na Teneryfie, musimy się zapoznać z owemi wyspami, znanemi już starożytnym pod nazwą Hesperyd. Pliniusz przeważa je potem Kanaryjskiemi, od wielkiej ilości psów, które tam napotkano. Następnie hiszpanie nadali im znów miano „szczęśliwych,” podług starożytnych, zwąc je „Las Afortunadas” — nowsze wieki jednak zachowały słowo Pliniusza i wyspy są nam znane jako Kanaryjskie „Las Canarias.”

Kto chce poznać ściślej uroczyska te wyspy, niechaj przeczyta ważne dzieło Berthelot’a „Ethnographie et annales de la conquête des îles Canaries par Sabin Berthelot.” Ścisły znawca archipelagu, który należy do najciekawszych w świecie, był przez 46 lat konsulem francuskim na wyspach Kanaryjskich. Czas ten oddał ścisłym studjom wysp i ważnej ich archeologii, wydając o nich dzieło po dziele. Jeżeli zaś zadowolnię czytającego moim pobieżnym opisem, traktującym głównie o Teneryfie, uprzedzam, że oparty na Berthe-

locie—skreślę tylko wstępne notatki. Do obszerniejszej pracy o wyspach Kanaryjskich zamierzam się kiedyś oddzielić, gdyż powinny one stać się przedmiotem poważnych studiów, których śmierć nie dozwoliła dokończyć nieodżałowanemu pracowitemu francuzowi.

Kto pierwszy odkrył Hesperydę, Afortunadę czyli Kanaryjskie wyspy i jakiego pochodzenia byli ich pierwotni mieszkańcy zwani Guanchami, a których zastali hiszpańscy zdobywcy w XV w. jestto zagadką jeszcze nierozstrzygniętą, której zasłona jednakże choć w części spadnie, gdyż skały i kryjówki Teneryfy są pełne czaszek i mumii starych Guanchów, którzy balsamowali swe trupy i składali takowe w najnieodostępniejszych kryjówkach i grotach.

Przedsiębiorcze okręty kartagińczyków, a mianowicie Tyru, zakładały tu już swe osady w odległej starożytności, ale ich wielkość zbladła pod mieczem Rzymu i jego legiony objęły posterunki przedsiębiorczego narodu. Nie puściły się jednakże rzymskie floty ku dalekim Hesperydą, o istnieniu których zwyciężeni milezeli może umyślnie i odległe Kanaryjskie wyspy znów zasnęły w zapomnieniu.

Następnie za panowania Augusta, maurytański król Juba, zapewne wskutek wiadomości i wskazówek otrzymanych z wnętrza swego państwa, z nad brzegów dzisiejszego południowego Maroko, wysłał ekspedycyą do odszukania owych wysp. Jako syn Juby starszego, króla Numidy, zwyciężonego przez niezwalczone zastępy z nad Tybru, był on wychowany w Rzymie, gdzie nabrał gustu do podróży i geografii i nasłuchiwał się wiele o starożytnych Hesperydach. Otrzymawszy więc od Augusta królestwo Maurytańskie, w zamian za utracone ziemie swego ojca—wysłał on na wyspy Kanaryjskie ową ekspedycyą, o której Pliniusz podaje nam relacyą. (Pliniusza komentarz o Libii—lib. 7, cap. 37).

Gran-Canarią, środkową z archipelagu, nazywa starożytny geograf, jak wspominaliśmy już, „Canaria” (Canariam vocari a multitudine canum ingentis magnitudinis, ex quibus

perducti sunt Jubae duo). Wyspę Ferro nazywa „wyspą kóz” (Capraria) od stad kóz w niej napotkanych przez posłańców maurytańskich. Palmę nazywa „cienistą” od bujnej jej roślinności. Fuertaventurę i Lanzarote — wyspami maurytańskimi (Nec Mauritaniae insularum certior fama est. Paucas modo constat esse ex adverso Antalolum, a Juba reptas, in quibus Getulicam purpuram tingere instituerat, lib. 6, cap. 36). Pliniusz nie wspomina o mieszkańcach, podaje tylko, że napotkano ruiny starożytnych budowli (apparent que ibi vestigia aedificiorum). Bynajmniej jednakże nie wynika z tego wniosek, że wyspy były niezamieszkałe; jeżeli bowiem ekspedycya króla Juby napotkała psy, to już obecność takowych świadczy o bytności człowieka. Prawdopodobnie więc mieszkańcy ukryli się w górach, widząc nadpływającą maurytańską flotę.

Przez długie wieki nie słyszemy następnie nic o archipelagu, o którym na nowo zapomniano. Wreszcie na początku XII wieku wypływa, podług arabskiego geografą, Edrisi z Lizbony, którą nazywa Aszboną (wtedy jeszcze znajdującą się pod panowaniem arabskiem), ciekawa i uwagi godna ekspedycya — ośmiu braci Maghruinów.

Bracia Maghruini widzą wyspy Azorskie, Maderę i przybywają wreszcie na Kanaryjskie. Napotyka ją tu ludność i zasiane pola, mężczyzn wysokiego wzrostu z włosami niekędzierzawymi, koloru śniadego, lecz rasy białej, kobiety nadzwyczajnej piękności. Ziemię widzą obrobioną i nadzwyczaj żyzną. Mieszkańcy biorą ich do niewoli i prowadzą przed swego króla, który zapytuje się przez tłumacza mówiącego po arabsku, jaki był cel ich podróży. Otrzymawszy odpowiedź, że ekspedycya wypłynęła dla odkrycia granic oceanu, król śmieje się z nich i objaśnia przez tegoż tłumacza, że ojciec jego próbował uczynić toż samo, lecz że okręty jego zaginęły. Następnie odsyła ich z zawiązanymi oczyma na okręt, na którym odwożą ich od wyspy.

„Płynęliśmy — opowiadają — 3 dni i 3 noce i przyby-

liśmy do nieznannej ziemi, na której wysadzili nas na ląd, z rękami związanymi na plecach; następnie pozostawiliśmy nas na jakiejś równinie — odpłynęli. Tam pozostaliśmy do wschodu słońca, w smutnym stanie z przyczyny więzów, które trzymały nas w niemocy i męczyły nadzwyczajnie. Słyszając wreszcie wołanie i głosy ludzkie, zaczęliśmy krzyżeć; wtedy przybyło kilku mieszkańców z okolicy, którzy znalazłszy nas w tak przykrem położeniu, rozwiązali ręce, stawiając różne zapytania. Zdaliśmy więc relacye z naszego zajścia. Byli to berberzy. Jeden z nich rzekł: Czy wiesz, jaką jest odległość, która was dzieli od kraju? A kiedyśmy odpowiedzieli przecząco, dodał: „Z miejsca w którym się znajdujemy, jest do waszej ojczyzny dwa miesiące drogi.” Jeden z tych ludzi, który wydawał się być naczelnikiem, powtarzał ciągle: „Wasafi!” (Oj! oj!) i to jest przyczyną, że nazwa tego miejsca pozostała do dziś dnia jeszcze: Asafi. Jestto port, o którym już mówiliśmy, że leży na końcu zachodu.⁷

Oto relacya odważnych arabskich nawigatorów. Edrisi podaje ją w zupełności. ¹⁾ Z relacyi tej widzimy, że już wtedy udało się owym arabom zwiedzić Madagę, Azory i Kanaryjskie wyspy. Widzimy te ostatnie wyspy zaludnione i to rasą nieafrykańską. Widzimy również, że miały stosunki z brzegiem Afryki, o czem świadczy tłumacz arabski, o którym wspomina relacya, oraz że mieszkańcy ściśle wystrzegali się przybyszów.

Kto byli atoli ci mieszkańcy, skąd się wzięli i z jakich składali się szczepów — to pozostało dotąd tajemnicą. Prawdopodobnie pozostali oni jeszcze z resztek osad kartagińskich. Floty owych starożytnych przemysłowców przywiozły ich

¹⁾ Dzieło Edrisi (Abn-abd-Allah Mohammed-el Edrisi), nazywanego się chętnie geografem Nubii, było wydanem w 1154 r. po n. Chr. pod tytułem: „Rekreacye człowieka pragnącego poznać do głębi przeróżne części świata.“

tu może z jednej z licznych swych posiadłości, a z czasem domieszała się do tych osadników część mieszkańców z brzegu, dalej z krain króla Juby, może i rzymian nawet. Każdego dnia odkopujemy nowe pomniki, uzupełniając powoli wiadomości o nich, a które prawdopodobnie rzucają wkrótce światło na pochodzenie zagadkowej rasy.

Znów minęło kilka wieków, ostatnich dla kanaryjskich wyspiarzy, przez które mogli cieszyć się swobodą i zapomnieniem ze strony Europy. Lecz nie na długo. Nadszedł wiek XV, a z nim zdobycie Kanaryjskich wysp dla Hiszpanii przez Juana de Bethencourt, normańskiego barona. Rozpoczęły się rzeznie i krucyaty od chwili gdy okręty normańczyka wspierane, a następnie wysyłane przez hiszpanów, ukazały się na wodach długo szczęśliwego archipelagu. Najpierw (1402) zdobył Bethencourt, Lanzarote, Fuertaventurę i Ferro, na których został przez Kastylię uznanym i upelnomocnionym władcą pod jej zwierzchnictwem. Po śmierci jego, która nastąpiła w r. 1406 w Normandyi, reszta wysp uległa losowi pierwszych. Padła Gomera-Gran Canaria, głównie pod Hermanem Peraza, — potem Palma i wreszcie Teneryfa z jej dzielnem królestwem Guanchów. Długo i rozpaczliwie broniła się nieszczęśliwa ta wyspa. Waleczni jej mieszkańcy mieli atoli także zginąć pod krwawym mieczem hiszpanów, choć drogo musieli opłacić zdobywcę swą zdobycz. Każda pięćdziesiątka pięknej Teneryfy okupioną była strumieniami krwi. Później zwiedzimy miejsce ostatnich zaciętych bitw, teraz zaznaczam tylko, że ludzie i przyroda były w przymierzu przeciw osaczonym Guanchom. Zaraza zdziętkowała ich szeregi, a jednak szeregi te nie poddawały się dotąd, dopóki z ostatnią grupą swych wojowników nie uległ i ostatni król Guanchów, Bencomo, cofając się od świata i zamykając w najniebezpieczniejszych wąwozach gór.

Nastąpiły teraz rządy hiszpanów. Liczne familie Kastylii, spokrewnione ze zdobywcami, uzyskały tu posiadłości i tytuły. Obciążone kajdanami barki pozostałych zwyciężo-

nych Guanchów znosić musiały kamienie, przeznaczone na pałace zwycięzców, które szybko się wznosiły, jako siedziby prędko wytworzonej kanaryjskiej arystokracji.

Odtąd wyspy żyły wprawdzie jako prowincya hiszpańska, lecz oddzielnem życiem. Pierwszą rezydencyą hiszpańskich magnatów i stolicą Teneryfy była wysoko położona Laguna, następnie zakwitła Orotawa i Santa-Cruz; z każdym rokiem przybywało ludności, a z Guanchów nie pozostało nic oprócz mumii, kości i licznych pamiątek cichego ich żywota.

Tylko na południowym brzegu, w najdzikszej i najmniej-przystępniejszej części Teneryfy, żyje oddzielnie do dzisiaj lud wieśniaczy, zawierający resztki krwi ostatnich Guanchów z przymieszką krwi hiszpanów. Czaszki tych górali mają wiele podobieństwa do starych odkopanych czaszek i przedstawiają ciekawe pole do badań dla tych, którzy zajmują się Teneryfą i starożytnymi jej mieszkańcami. Każdy, kogo losy zbliżą ze wskazówkami ich przeszłości, mimowoli zatrzymuje się nad grobami i zastanawia się nad zagadkami, jakie powoli odsłania Teneryfa. Co za dziwny naród przedstawiają ci pierwotni mieszkańcy jaskiń; nie znali oni metalu i wyrabiali wszystkie swe narzędzia i sprzęty z drzewa, kamienia, gliny, kości i rogu. Otaczali jednak głęboką czcią zmarłych i dokładali wszelkich starań dla utrzymania jak najdłużej ich ciał; balsamowali je i przechowywali w najmniej-dostępniejszych kryjówkach.

Mumii Guanchów nadzwyczaj trudno odszukać; jaskinie, które obierane bywały na grobowce, bywały ściśle zamknięte i pilnie zasypywane ziemią, by nie pozostawało nad nimi żadnego śladu. Dlatego przypadkowo tylko odkryć je można, najczęściej w miejscach dających przy stąpieniu głuchy odgłos podziemnego sklepienia. Jeden austriacki podróżnik, zauważywszy podobny odgłos, kazał prześwidrować grunt na którym stał i rzeczywiście natrafił na grobowisko Guanchów. Mumie zaszyte w kozie skóry, leżały albo na drewnianych noszach, albo były oparte o ścianę; niektóre

zaś, co jest zastanawiające, leżały na ziemi, mając tylko pod nogami podłożone deski. Męskie mumie mają ręce spuszczone na dół po bokach, żeńskie skrzyżowane nieco niżej piersi. Pomiędzy mumiami znalazł ten sam austriacki uczonec, jak nam mówiono, w owej jaskini także — co najbardziej go zdziwiło — mumię olbrzymiej jaszczurki.

Jak już wspomniałem, kiedyś pomówimy obszerniej o Guanchach i przeszłości wysp Kanaryjskich — teraz opuśćmy dawne wieki i wracajmy do teraźniejszości.

ROZDZIAŁ VIII.

Przybycie do Teneryfy. — Pilot — Port Orotawy. — Ogród botaniczny. — Pan Wildpret. — Plany wycieczki. — Fonda Española. — „Łucya-Malgorzata” odpływa naprzód do Santa-Cruz. — Powrót do pana Wildpreta. — Panna Luiza. — Droga do miasta. — Pik Teneryfy. — Las Canadas. — Formacja wyspy. — Przybycie do miasta. — Hotel de Teyde. — Piękne damy Orotawy. — Ogrody. — Stary smok. — Wyjazd.

Okręt nasz, który po wypłynięciu z Madery wstąpił w granice pasatów, posuwał się bystrze naprzód i już 31 stycznia przed południem ujrzeliśmy kształtny, 13,497 stóp wysoki wierzchołek Teneryfy — Pico de Teyde. Rzadko komu kanaryjski olbrzym ukazuje się w całej swej wspaniałości zdaleka; zwykle pokrywa go pas chmur, ponad któremi sterczy szczyt jego biały. Nam jednakże odsłonił się cały około 2-ej po południu.

Port Orotawy, do któregośmy dążyli, widocznie nie jest wiele uczęszczanym; mapa nie wskazywała nawet latarni morskiej, a natomiast liczne skały i rafy podwodne. Wieczorem więc dla okrętu nieznającego tych wód, zawinięcie do portu Orotawy jest niebezpiecznem. To też kazalem podnieść sygnał, żądający pilota i oczekiwaliśmy go z niecierpliwością, gdyż wieczór się zbliżał. Sygnał jednakże wisiał już dobrą godzinę, podczas której lunety nasze były skierowane ku portowi, a nie mogliśmy nie zauważyć, coby odpowiadało naszemu żądaniu. Port podnosił się na małym wzgórzku, przed którym na zupełnie otwartej zatoce sterczały rzeczywiście czarne rozsypane skały. Morze pienilo się naokoło

nich i biada łodzi, któraby odważyła się zmierzać ku wirującym tym falom. Nieco dalej, o jakie dwie mile morskie od portu, leżało nad niem, w rozległej pięknej dolinie, właściwe miasto Orotawa. Słońce zachodziło właśnie i ozlacało drobne okienka białych domów.

Uroczą, nadobną doliną Orotawy, jakże gościnnie przyjęłaś podróżników z północy!

Pilota jednak jak nie było, tak nie było. W porcie w ogóle nie stał ani jeden okręt, tylko wzdłuż brzegów pod samymi skałami płynęła lekka biała goeleta; musiała dobrze znać brzegi i wody orotawskie, gdyż prula fale śmiało, wymijając jak stary bywalec niebezpieczne miejsca. Tymczasem zapłonęły szczyty gór, krajobraz zajaśniał złotopurpurowym blaskiem i za chwil kilkaskryło się słońce.

Nagle goeleta zmieniła kurs, jak gdyby chciała się zbliżyć ku nam i postąpiwszy w nowym kierunku kilkadziesiąt metrów, spuściła łódź. Spostrzegliśmy na niej flagę pilota; wypłynęła więc na nasze spotkanie podług sygnału. Zatrzymano okręt i wkrótce przewodnicza szalupa znalazła się obok burtu.

— Saludo Senores

— Gracia! Buena tarde!

— Czy niema chorób na okręcie?

Jako odpowiedź, poleciłem mu spojrzeć na nas. Byliśmy wszyscy przy nadzwyczajnem zdrowiu i w dobrym humorze. Pilot się zaśmiał, podczas gdy szalupie podano linę, by mogła z okrętem podążać naprzód. Lecz nagle, po 20 metrach drogi, pilot zakomenderował: „zarzucić kotwicę!” Staliśmy jeszcze tak daleko od brzegu, że dla odbycia tych kilkudziesięciu metrów zaiste nie było potrzeba pilota.

— Jakto, senior piloto, więc to nazywacie portem? mamy stanąć na pełnem morzu? — zawołał kapitan Boutes zdziwiony. Nie możesz prowadzić nas dalej?

— O nie! — odparł flegmatycznie wyspiarz — teraz w nocy to trudna sprawa.

Musieliśmy więc stanąć na kotwicy, rzeczywiście prawie na otwartem morzu.

— A gdzież port, przystań jaka dla okrętu?

— Tu port — odparł lakonicznie, wskazując miejsce, w którym staliśmy. Niema innego.

To rzekłszy, zapytał czy nam jeszcze czego nie potrzeba, a otrzymawszy przeczącą odpowiedź, uklonił się i powrócił do portu. Doświadczeniem więc przekonaliśmy się, że Orotawa nie posiada właściwie portu; mapy nautyczne twierdzą jednakże swoje i oznaczają Orotawę jako port, ponieważ posiada stację pilocką, ową goeletę i portowego kapitana.

Rozstawszy się z pilotem i zapuściwszy jeszcze kilkanaście sążni łańcucha, staliśmy bowiem na 20 sążniach głębokości — widziałem iż tu z okrętem pozostać nie będzie można i postanowiłem albo odesłać go następnego dnia do Santa-Cruz, zwiedzić wyspę z Orotawy i przybyć do owego portu łądem na spotkanie okrętu, albo, zwiedziwszy rano wyłącznie ogród botaniczny, wprost popłynąć do Santa-Cruz.

Okrętowej szalupy nie chciałem już tym razem narażać na podobne zajście jak na Maderze, zajście, które z powodu skał nadbrzeżnych łatwo mogło przybrać dla nas obrót fatalniejszy. Gdy więc następnego rana odbyły się formalności co do stanu zdrowia osady okrętowej, umówiłem się z pilotem, przybyłym po honorarium za niewielkie swe wieczorne trudy, by przewiózł nas do portu. Po krótkim targu, pilot zgodził się za 2½ dolara na żadaną usługę; razem więc z członkami ekspedycyi, jakoteż z kapitanem Boutes pojechaliśmy do Orotawy, by korzystać z okazji i zwiedzić sławny jej ogród botaniczny.

Udaliśmy się tedy do portu. Podchodząc ku brzegom przekonałem się, że rzeczywiście byłoby niebezpiecznie narażać okrętowe łodzie na buruny, bijące jeszcze silniej niż na Maderze, bo chociaż port miał kamienną przystań dla szalup, jednak fale, odbijane od skał zakrywających wejście, pię-

trzyły się około nich i tylko przy pomocy podanych z brzegu ramion licznych widzów, wydostaliśmy się bez kąpieli na ląd.

Poleciłem szalupie, aby czekała na nas o 3-ej po południu i postąpiwszy kilka kroków naprzód, znajdowaliśmy się na małym, brudnym portowym wybrzeżu.

— *Donde es la capitania?*—zapytałem jednego z eskortujących nas licznych, ciekawych chłopców, zamierzając udać się naprzód do naczelnika portu.

— *Agni senior; esta casa*—wskazał zapytany i pobiegł naprzód ku drewnianemu domkowi, którego budowa i stan obecny pozostawiały nader wiele do życzenia. Krzywe schodki prowadziły na mały ganek z obu jego stron, a na nim stał otoczony kilkunastu ludźmi, średniego wieku mężczyzna, przyjemnej powierzchowności, z długą czarną brodą. Był to kapitan portu, który spostrzegłszy przybywającą od okrętu szalupę, wyszedł na ganek i przypatrywał się przybywającym. Widząc, że się z kapitanem Boutes kieruję ku niemu, uklonił się grzecznie i postąpił kilka kroków naprzód. Przedstawiliśmy się wzajemnie, zapytał nas o zdrowie, o cel dalekiej podróży i o przyczynę przybycia do rzadko odwiedzanego portu Orotawy. Objąsnilem go w krótkich słowach i poprosiwszy o przygotowanie papierów okrętowych na godzinę 2^{1/2}, pożegnaliśmy się i ruszyli przez portowe uliczki ku ogrodowi.

Port Orotawy, który dla odróżnienia od miasta Orotawy (*La Villa de Orotava*) nosi nazwę *Orotava el Puerto*, lub też wprost *el Puerto*, był widocznie niegdyś założonym na większą skalę. Blisko brzegu za kapitaneryą zauważyliśmy rozległy plac, w pośrodku którego znajduje się skwer z wielką kamienną fontanną. W wodzie jej basenu igrają drobne złote rybki, w towarzystwie mniejszych ryb morskich; woda jednakże mętna, a skwer i plac, niegdyś może okazałe, dziś zaniedbane i obrośnięte trawą. Nieco dalej, za krótką uliczką, piękny stary kościół, także na placu; wszystko jednakże uległo niszczącemu zębowi czasu. Założyciele portu lub na-

stępne pokolenia musiały się przekonać, że marynarze wolą bezpieczną zatokę Santa-Cruz, niż skaliste brzegi, przy których zarzuciliśmy kotwicę; na założonych placach nie zapanował ruch oczekiwany i port podupadł zupełnie.

Podeczas gdyśmy kroczyli naprzód w kierunku, w którym leżał ogród na mapie, gromada dzieci towarzysząca nam od brzegu, ani myślała nas opuścić. Kapitan Boutes znalazł jednakże na to radykalny sposób. Wybrawszy sobie w cień alei, przez którąśmy przechodzili, mocną gałąź eukaliptusową i sporządziwszy z niej odpowiedni instrument, wpadł nagle pomiędzy natrętne towarzystwo, które też w mgnieniu oka rozproszyło się po okolicy i nie pokazało więcej. Drogę stanowiła z początku górzysta, kręta ścieżka, prowadząca najpierw wzdłuż skał morskich przez piękną aleję, następnie oddalała się od brzegu, wreszcie rozpoczęła się na wyżynie szeroka, agawami wysadzana szosa, na której zauważyłem pierwszych wieśniaków i wieśniaczki. Trzeba podziwiać zręczność kobiet tutejszych, z jaką noszą ciężary na głowie. Używają do tego celu płaskich, twardych, słomianych kapeluszy. Na tej przygotowawczej podstawie umieszcza wieśniaczka swój kosz, wielkie krajowe gliniane naczynie, używane do wody, lub podługowatą kanaryjską beczulkę i śmiało wędruje z tym ciężarem do miasta, pnie się po górach i schodzi w doliny, bez obawy o chwiejający się na głowie przedmiot.

Po półgodzinnym marszu znaleźliśmy się na zielonej wyżynie, na której zarysowały się też wkrótce mury i drzewa ogrodu. Po za nami w dole widniał port i wybrzeże morskie.

Ciche, szczęśliwe wy mury, po za którymi nigdy nie zakłócało spokoju; jak przyjemnymi były krótkie chwile spędzone pomiędzy wami!

Przed furtką stał rząd kilkunastoletnich smoczyc drzew (drakonów), zatrzymujących na sobie ciekawy wzrok moich podróżników, widzieli je bowiem po raz pierwszy. Drzewa

owe, których zawsze zielone gałęzie podnoszą się jak ramiona świeczników w górę, od dawien dawna odgrywały ważną rolę na wyspach i są ściśle związane z ich historią. W Orotawie nabral szczególnego rozgłosu zgrzybiały ich patriarchy — sławne na całą kulę ziemską smocze drzewo Orotawy, którego wiek oznaczył Humboldt na 4,200 lat. „Czternaście osób, siedzących naokoło stołu, jadło w jego spróchniałym pniu” — pisał Clavijo, ¹⁾ zmarły botanik wysp, wspominając niezwykle ten pomnik roślinnego świata. Później zwiedzimy miejsce, na którym się znajdował; silny orkan bowiem strzaskał olbrzymiego staruszka w 1868 r.

Główną sławę zdobył drakonom (*Draco Canariensis* — *Dracaena Draco*. Lin.) właściwym wyspom Kanaryjskim, lecz napotykanym także na Maderze i Porto-Santo — czerwony purpurowy sok, który jakby krew wycieka z pnia podczas lata i zsycha się jako kolorowa żywica. Już rzymianie znali tę smoczą krew kanaryjskich drakonów, którą nazywali „*crinabaris*.” Pliniusz wspomina o niej w swej historii naturalnej. ¹⁾ Żywica ta nie rozpuszcza się w wodzie bez pomocy alkoholu. Posiadając własności wysuszające i ściągające, bywała używana przez starych Guanchów przy balsamowaniu ich mumii; lecz ma ona oprócz tego ważny użytek w medycynie, gdzie jako środek wewnętrzny służy przeciw dysenterji i utracie krwi; używany zaś zewnętrznie, jest wyśmienitym środkiem dla wzmacniania i ściągania dziąseł; to też zawierają ją wszystkie proszki przygotowywane w tym celu. Ponieważ oprócz tego sok *Dracaeny* jest pożądanym do farb, kolorowych atramentów, werniksów i laków,

¹⁾ Viera y Clavijo, *Diccionario de Historia Natural de las Islas Canarias*. Gran Canaria 1866.

¹⁾ *Ex iis quoque Insulis Crinabaris Romam advehébatur. Sane hodie etiam num frequens est in Insulis Fortunatis arbor illa, quae crinabarim gignit, vulgo sanguinem draconis appellant.* Plin. *Hist. nat. lib. VI. Cap. XXXVII.*

stanowi więc ważny artykuł handlu, dając dziesięciokrotne zyski. Szkoda tylko, że ważne i pożyteczne to drzewo staje się coraz rzadszem i że niestety prawdopodobnie z czasem wyginie, jeżeli mieszkańcy nie uczynią większych niż dotąd starań, celem jego rozmnożenia.

Zatrzymawszy się tedy około zewnętrznego rzędu drakonów, weszliśmy następnie do sławnego ogrodu. Zapytałem o dyrektora i czy można będzie z nim się zobaczyć. Otrzymaawszy odpowiedź, że jest przy śniadaniu, prosiłem by go nie trudzono i posłałem swój bilet, rozpatrując się tymczasem bez przewodnictwa.

Ogród założony w r. 1796 przez markiza de Villanueva del Prado i podarowany w testamencie rządowi, leży na wysokości 85 metrów po nad powierzchnią morza. Nadzwyczajna jednostajność temperatury (średnio 18° Réanmura) nastąpiła założycielowi myśl użycia pięknego tego punktu Orotawskiej doliny, do aklimatyzowania roślin stref tropikalnych i przesyłania aklimatyzowanych okazów do metropolii i innych stolic Europy. W tym celu też ogród został założonym.

Znajdowaliśmy się w rodzaju przed-ogrodu, w środku którego bila fontanna, ocieniona rozłożystemi drzewami i niższą roślinnością. Gęste korony utrzymywały przyjemne półświatło, poza fontanną zaś, o kilka stopni wyżej, otwierała się przecinając niski murek, perspektywa na długą, szeroką aleję, w całej długości ogród przeczynającą.

Nie zdołaliśmy się jeszcze rozpatrzeć wokół, gdy wszedł młody człowiek, syn dyrektora, przepraszając, że ojciec za chwilę dopiero będzie mógł nam towarzyszyć, lecz że z miłą chęcią sam nas tymczasem oprowadzi po ogrodzie. Podziękowałem serdecznie za propozycję i zaczęliśmy rozmowę o ogrodzie, jego założeniu i teraźniejszej dyrekcji.

Wkrótce nadszedł też sam pan Wildpret, serdeczny, gościnnie szwajcar, ogólny ulubieniec wyspy, a duch opiekuńczy ogrodu. Pan Wildpret oświadczył mi, iż jest tylko głów-

nym ogrodnikiem— w rzeczy samej zaś jest on wszystkim dla ogrodu. Sam dyrektor Don Nicolas Benitez de Lugo, rzadko kiedy znajduje się w ogrodzie, zawsze prawie jest w podróży, i o ile mi się zdaje, posiada tylko tytuł nominalny. Natomiast dla poczciwego pana Wildpreta niema nie droższego na świecie, nad powierzony mu ogród. Dwadzieścia sześć lat pracuje już nad nim przez rok cały, gdyż niema tu zimy, dozwalającej odpocząć ogrodnikowi. Panuje tu wieczna wiosna, a dla niego jest ciągła praca. To też tylko zamilowaniu, zaparciu się siebie samego i zupełnemu poświęceniu p. Wildpreta ogród zawdzięcza swój byt. Rząd płaci mu tak mało, że wątpię czy znalazłby się kto inny, któryby się zdecydował na „ćwierć wieku” opuścić Europę dla ciągłej pracy w odległej choć pięknej dolinie.

— A jednak— rzekł mi smutnie— rozstać się z Orotawą i z mym ogrodem nie mogę. Mówię: mój ogród, boć przecież ja sadziłem te drzewa, w których cieniu przechadzamy się. Delikatną roślinkę tej wysokiej palmy trzymałem w ręku, sadząc ją w tem miejscu, gdzie oddawna dom mój przerosła. Kiedym objął ogród, było w nim 600 roślinek; dziś posiada on przeszło 3,500 przedstawicieli egzotycznego świata. Wtedy— dodał z westchnieniem — byłem młodym i silnym; dziś choć siwy, nie zostawię ogrodu bez opieki, przeciwnie boję się nawet, by mnie z niego nie wyrzucili na starość.

Nigdy nie widziałem tak cichego, zupełnie oddanego swemu powołaniu pracownika. Nikt go prawie nie wspiera, rząd wyznacza na utrzymanie ogrodu sumkę nadzwyczaj szczupłą, bo rząd nie jest bogaty, Orotawa daleko od Madrytu, a pan Wildpret dokłada swego grosza, aby tylko nie brakło niczego roślinnym jego oblubieńcom.

Śliczne palmy przedewszystkiem zwracają na siebie uwagę zwiedzającego. Wysoka palma kanaryjska (*Phoenix Canariensis*), palma królewska (*Ocodoxa Regia*) i australijski kokos (*Cocos Australis*) królują blisko wejścia. W nie-

wielkiej odległości od nich, ciekawa zagadka przyrody, ma dagaskarskie „drzewo podróżnika” — wspaniała musacea, *Urania Speciosa*. Oryginalna ta roślina rozsyła ze swej korony olbrzymie zielone wachlarze, kierujące się zawsze podług słońca i dające pod sobą cień zmęczonemu podróżnikowi. Pożyteczne lodygi i pień tej rośliny są wewnątrz puste i podczas tropikalnych deszczów napełniają się obficie wodą, którą potem krajowcy Madagaskaru, przez uczynione nacięcia toczą z zielonego źródła, dostarczającego jej w znacznej ilości.

Olbrzymie eukalyptusy, wprowadzone przez p. Wildpreta, dają ogrodowi wiele cienia. Niezmęczony botanik zwrócił mą uwagę na ośmioletni *Eucalyptus Globulus*, który doszedł już do 32 metrów wysokości. W ogóle wyspa zawdzięcza swemu botanikowi dotychczas przeszło 5,000 tych pożytecznych drzew. Drzewo papierowe (*Azabia papyrifera*), dające sławny chiński papier, prosperuje tu również. Obok pięknej grupy bambusów, stoi wielki jawański *Pandanus*, lecz głównie zwraca uwagę naprzeciwko niego z drugiej strony alei stojący afrykański *Pandanus utilis*. Oryginalne to drzewo, z którego korony i paia wrastają w ziemię drewniane kolumny, rodzaj pustych powietrznych korzeni, niewstrzymywanych nawet najtwardszym gruntem, wygląda zdaleka jak olbrzymi żyrandol. Spód zaś, to jest pień, wydaje się jak gdyby był poobstawiany naokoło znaczną ilością palek. Ojczyznę tego drzewa, dającego niewielki jadalny owoc, jest dolina rzeki Kongo; odkrył je zaś wielkiej pamięci Livingstone. Główny ogród, t. j. część przecięta aleją, leży kilka stóp wyżej od powierzchni fontanny wspomnianego już przedtem ogrodu, w końcu zaś alei podnoszą się znów schodki do ostatniej, jeszcze wyżej leżącej części. Tu znajduje się granitowy basen, do którego woda, sprowadzana z gór przez dreny i sztuczne kanały, służy do potrzeb ogrodu podczas zbyt długiej suszy. Tu też zastaliśmy bujne, zielone grupy bananów, rosnących naokoło olbrzymiego abisyńskiego ba-

nau, niedającego owoców. Mierzyłem jeden z ich liści: miał $2\frac{1}{2}$ stopy szerokości na 7 długości. Piękne te liście są jednakże nader delikatne; lada świeży wietrzyk przerywa owalną, podługowatą powierzchnię aż do środka i czyni je podobnymi do wielkich piór powiewnych.

Środek głównego ogrodu zajmuje także obszerna fontanna, której kamienny obwód jest obrośnięty kanaryjskimi Euphorbiami i drobnym fioletowym kwiatem teneryjskich nieśmiertelników. Kiedym przystąpił do fontany, by bliżej obejrzieć tę drobną barwną roślinę, objaśnił mnie p. Wildpret, że posiada ona wielu amatorów, a właściwie amatek; nieśmiertelnik ten bowiem, mimo żywego swego koloru, nigdy go nie traci; to też dość znaczne transporty jego, wypływają corocznie do Francyi, by spocząć na główkach paryżanek. Zapytałem starego botanika, czyby mi nie udzielił pęczka tych faworytek, abym mógł kiedyś przywieźć je nad Wisłę, dla paryżanek północy. Serdeczny szwajcar nappełnił nam niemi kieszenie i butonierki. Czy je wam zdolam przewieźć w całości, nadobne mi rodaczki, po dalekich marszach, jakie mnie czekają, prawdziwie nie wiem, i nie śmiem obiecywać, lecz postaram się spełnić.

Po obejrzeniu ogrodu, p. Wildpret zaprosił nas, byśmy odwiedzili skromny jego domek; weszliśmy więc i wypoczęli przy kieliszku teneryfy, ciesząc się pięknym widokiem, jaki przez otwarte okna odsłaniał się na morze.

— Może chcecie panowie—zagadnął nagle niezmeńczony gospodarz — zwiedzić moje zbiory nasion?

— I owszem— odrzekłem— i poszliśmy do jego gabinetu.

Po pracowni poznajesz pracownika. Od posadzki do sufitu ciągnęły się tu półki, zawierające uporządkowane nasiona.

— Oto— rzekł p. Wildpret, dobywając kilka kawałków starego spróchniałego, czerwonego koloru drzewa— drogocenne relikwie Orotawy, ostatnie szczątki starego smoka; były one świadkiem czterech tysięcy lat i serce się ścisnęło

wszystkim, gdy kilkanaście lat temu straszny orkan rozbił w proch naszego patryarchę. Zechciejcie panowie przyjąć te jego szczątki od nowego, lecz serdecznego przyjaciela.

Ucieszyłem się drogocenną zdobyczą dla zbiorów ekspedycyi, a wkrótce p. Wildpret z bogacił nas nowym podarunkiem. Była to starożytna czaszka Guaneka, odkopana na południowym brzegu. Nie wiedziałem jak mu wyrazić swą wdzięczność; lecz radość moja powiększała tylko zadowolenie poczciwego starca, niechęającego nawet słyszeć o podziękowaniu.

— Czy pozostajecie panowie w Orotawie?—zapytał on gdyśmy wychodzili z gabinetu.

— Nie jestem jeszcze zdecydowanym—odparłem—port niezbyt bezpieczny, myślę więc wysłać okręt do Santa-Cruz z kapitanem Boutes, sam zaś z towarzyszami pragnę udać się tam łądem, by zwiedzić wnętrze wyspy.

— Wyborny plan — zawołał nasz gospodarz żywo — mam także interes w Santa-Cruz; jeżeli więc pan pozwolisz, pojedziemy razem, a po drodze będzie mi przyjemnie pokazać panu część wyspy.

Byłem uradowany z propozycyi.

— Czyż mogłem trafić szczęśliwiej? — odpowiedziałem. Zejdę więc do portu, by uporządkować papiery w kapitanii i wyszłą okręt.

— Wyśmienicie! a potem bądźcie panowie łaskawi znów wejść na górę do starego Wildpreta. Wypijemy jeszcze kieliszek teneryfy, dzieci moje zagrają nam „marsza szwajcarskich strzelców,” tymczasem zaś uprzedzę na górze w mieście, by przygotowano kolację w hotelu i ruszymy wieczorem do miasta—droga niedaleka.

Na tem też stanęło. Projekt był doskonały. Rzekłszy skromnemu domkowi „do widzenia”, powróciliśmy do portu.

Po drodze przypomniał nam żołądek, że pomimo pierwszej godziny po południu, nie mieliśmy dotąd nie w ustach od rana, oprócz teneryfy, która jeszcze zaostrzyła apetyt

weszliśmy więc do hiszpańskiej fondy, napotkanej przy wejściu do portu.

Wszystkie prawie prowincjonalne hotele (fondy), szczególnie na południu w koloniach, są mniej więcej jednakowe. Przeszedłszy bramę, wchodzisz na galerię, ciągnącą się dokoła wewnętrznego zamkniętego podwórka, mającego zwykle w pośrodku grupę południowych roślin, aczkolwiek prawie zawsze silnie zaniedbanych. Z przedniej części galerii, przy legającej do schodów, prowadzą drzwi do salonu, zawierającego wielki dywan, sofę, kilka staroświeckich foteli, parę stolików pod lustrami, zegar z przeszłego wieku i obraz jakiego patrona albo patronki. Zupełnie taką samą była i „Fonda Espanola” w porcie Orotawy. Gdyśmy weszli na schody, ukazała się we drzwiach salonu hoża dziewczyna o śniadej cerze i z bujnymi rozpuszczonymi włosami.

— Tiene algo que comer, Señorita? — zapytałem się, zdejmując kask, który ciężył mi na głowie.

— Si, Señor.

I obiecała nam przygotować w przeciągu pół godziny śniadanie, a tymczasem przysłać karafkę „teneryfy.” Zgodziliśmy się czekać, pod warunkiem że karafkę przyniesie sama.

Hiszpanka zadość uczyniła prośbie i wkrótce siedzieliśmy przy stole w „comaderze” (pokój jadalnym).

Kuchnia hiszpańska w koloniach jest nieco odmienną od europejskiej. Potrawy, których zwykle podają od siedmiu do ośmiu, ale każdej nie wiele, przygotowane są na oliwie. Nie każdemu trafia to do gustu, lecz oliwa jest świeżą; hiszpanie do niej przyzwyczajeni, a obcy podróżnik zwykle zmęczony, nie bywa wybrednym, gdy ma apetyt. Na szczególnie wzmiankę z kuchni hiszpańskiej zasługuje „tortilla.” Jest to omlet z jaj, batatów ¹⁾, kartofli i cebuli, ulubiona

¹⁾ Batat (po angielsku sweet potatoes), rodzaj słodkiego kartofla, zbliżony do yamsu.

ogólnie potrawa, rzeczywiście wysmienita i przygotowywana z wielką umiejętnością. Ryby są prawie niezbędne przy każdym śniadaniu lub obiedzie, podają jednakże takowe, wbrew naszemu zwyczajowi na końcu.

Od Rafaeli naszej,—bo takie było imię usługującej nam gospodyni — dowiedziałem się, że niedawno bawił tu jakiś książę Kara-Georgiewicz, który na krótki czas przed odplynięciem z Funchalu także wyjechał parowcem do Teneryfy, prawdopodobnie więc spotkamy się znówu w Santa-Cruz.

Powróciwszy do przystani, zastaliśmy o umówionej godzinie pilota czekającego z łodzią. Odwiedziłem więc powtórnie portowego kapitana, wziąłem papiery i, powierzwszy otrzymaną czaszkę kapitanowi Boutes, pożegnałem się z nim, polecając mu, aby popłynął z okrętem do Santa-Cruz. Myśmy tymczasem wyruszyli napowrót na górę do ogrodu i wkrótce zarysował się nam domek p. Wildpreta, na którego progu przywitał nas sam serdecznie.

— A więc jedziemy! — zawołałem, wyciągając do niego rękę.

— Jakto, chcecie panowie zaraz dalej? — odparł p. Wildpret, wprowadzając nas do pokoju. Mamy wiele jeszcze czasu. Uprzedziłem w mieście w hotelu del Teyde, że będziemy około 7-ej. Do miasta zaledwie pół godziny drog a teraz dopiero czwarta; proszę więc, zróbcie mi panowie tę przyjemność i siądźcie; zagramy, zaśpiewamy, jak gdybyśmy byli u mnie w Szwajcaryi. Mój Boże! co też się tam dzieje w naszych górach! Teraz nie często miewam gości z Europy, patrzę więc na panów, jak na starych przyjaciół.

— Służymy Panu z całą ochotą — odpowiedziałem — bo z pewnością nikt na całej wyspie nie jest nam szczerzej życzliwy i nie rozporządzi lepiej krótkimi chwilami, które na Teneryfie pozostać możemy.

Siedliśmy przy oknie, rozmawiając o wykopaliskach z przeszłości Guaneów — pragnąłem skorzystać z każdej

rozmowy z p. Wildpretem, dla dowiedzenia się jak najwięcej na miejscu o przedmiocie żywo mnie zajmującym.

Wkrótce jednakże rozmowa nasza przyjemnie przerwana została wejściem panny Luizy, córki pana Wildpreta.

— Oto moja córka, poczciwe dziecko — rzekł do mnie wskazując wchodzącą.

Panienka, którąśmy powitali, przedstawiała uroczę zjawisko. Wytworny pędzel mistrzów szkoły flamandzkiej nie byłby w stanie stworzyć bardziej czarującego obrazu. Czarne, hebanowe spłoty otaczały białe lica, ożywione parą ślicznych szafirowych oczu, których długie, jedwabne rzęsy podniosły się powoli, witając licznych przybyszów z wyrazem zadziwienia.

— Jakąż piękną córką obdarzyły pana nieba! — nie mogłem się wstrzymać, by nie powiedzieć półgłosem do p. Wildpreta, spóładając z zachwytem na gwiazdę Orotawy.

— Och mój Boże — odparł uśmiechając się ojciec — każdy młody pączek jest świeżym, a skończyła niedawno 16 lat.

I przedstawił nas pannie Luizie, zmięszanej ostatniemi słowami ojca, wypowiedzianemi w tak liczny towarzystwie.

Wkrótce jednakże lody były przelamane i uroczę kwiatek pięknej doliny gwarzył swobodnie z przybyłymi. Za chwilę wszedł też i brat, którego poznaliśmy już rano w ogrodzie i usłyszeliśmy obiecany marsz szwajcarskich strzelców, artystycznie odegrany na cztery ręce.

— Czy nie prawda, że nasz marsz piękny? — zwrócił się do mnie poczciwy szwajcar.

— Podziwiałem go zawsze — odpowiedziałem — dziś zaś zachwyca mnie jeszcze więcej i każdy ton jego pozostawi echo w mej duszy, przytem... taka piękna wykonawczyni!

Pan Wildpret się uśmiechnął.

— A czy pan mówisz po hiszpańsku? bo córka moja, niestety, nie posiada żadnego z północnych języków. Czybym był kiedy przypuszczał, że się ożenię z hiszpanką, ja szwajcar? A jednak tak się stało — człowiek strzela, a Pan

Bóg kule nosi. Żonę moją poznałem tu, dzieci wszystkie tu się urodziły, a dziewczyna mówi tylko po hiszpańsku.

— Mówię i ja jako tako — odparłem — lecz — dodałem śmiejąc się — byłoby to nawet niepotrzebnem. Patrz pan, jak żywą rozmowę prowadzą z panną Luizą towarzysze moi, choć nie znają języka.

Rzeczywiście naokoło p. Luizy panowała ożywiona, choć łamanym językiem prowadzona rozmowa; bystrość jednak, jaką posiada prawie każda kobieta przychodzącej jej w pomoc.

Nadszedł wieczór i ściemniało zupełnie, gdyśmy się pożegnali, by stanąć na górze w Orotava la-Villa, gdzie mieliśmy poszukać koni, by następnego dnia rano wyruszyć w drogę. Do miasta było pół godziny. Podnosząc się ku niemu, ujrzeliśmy za sobą zatokę. „Lucyi” nie było w porcie; kapitan Boutes wraz z okrętem puścił się już widocznie w drogę do Santa-Cruz.

Wieczór był zachwycający. Księżyc rzucał swe blade światło na góry i pola, w których ukryty świerszczyk śpiewał wieczorną swą pieśń. Pico de Teyde pokrył się mgłą i parą. Eucalyptusy i platany, a gdzieś tam kształtny cyprys rzucały przed nami rzędy długich cieni, przerywanych bukietami agaw i euphorbii. Żwawo kroczyliśmy ku miastu w towarzystwie panów Wildpretów, ojca i syna.

— Czy nie zwiedzisz pan Piku? — przerwał pan Wildpret starszy milezenie, podczas którego podziwiałem zasypiający krajobraz.

— Pragnąłbym tego nadzwyczaj — rzekłem z westchnieniem — lecz wątpię, czy będziemy mieli dość czasu. Spieszę się do Santa-Cruz, bo muszę płynąć dalej; marzec bliski, z nim nadejdą tornady na południu, a wkrótce i pora deszczowa, która przeszkadzałaby planom naszym na kameruńskim brzegu.

— Wielka to szkoda — odparł towarzysz — bo widok jaki się przedstawia z wierzeholka, jest rzeczywiście wspania-

ły. Teraz, gdy niema tyle pary w powietrzu jak w lecie, przedstawia się z niego, jakby ułożony na falach, cały zielony archipelag. Byłem osiem razy na górze, a pragnąłbym wdrapać się raz jeszcze przynajmniej, lecz starość nie radość! Czuję to i nie wiem, czy mnie jeszcze nogi tam poniosą.

Nie mogłem jednakże zadość uczynić gorącemu pragnieniu wejścia na wysoki wierzchołek. Obowiązki pędziły dalej; trzeba więc było podziwiać go tylko zdaleka, pozostawiając bliższe zapoznanie się do powrotu z Afryki, jeżeli takowy nastąpi.

Pik Teneryfy jest dziwnie piękny i pociągający. Dawne wybuchy utworzyły naokoło niego olbrzymi wał amfiteatralny, jakby naturalny cyrk, „Las Canadas,” z którego rozległej, starą lawą pokrytej areny, wznosi się dumny szczyt.

Rozeszła się właśnie wieść, że krater przygotowuje się do wybuchu, którego nie było od przeszło stu lat. Zapowiedź ta ściągnęła na Teneryfę wielu ciekawych anglików, nie ziściła się jednakże, choć rzeczywiście wiele osób mówiło mi w Santa Cruz, że widziano nad wierzchołkiem czerwoną łunę.

Od wielkiego kotła, otaczającego pik, nieco rozwierającego się ku północy, dąży linia rozdziału wód wyspy: wysoki, ostry grzebień, ciągnący się stąd ku północno-wschodniemu przyładowi „Anaga” i na zachód do przyłodka „Teno.” Grzebień ten pochyla się łagodnie ku północnemu brzegowi, spada jednak prostopadle na całej swej linii z południowej strony, tworząc tam niezliczone mnóstwo skał, wąwozów i przepaści, rozrzuconych w dzikim nieporządku. Dlatego też głównie zamieszkanym jest północno-wschodni półwysep i północne wybrzeże. Na półwyspie położone są: Laguna, stara stolica, i Santa Cruz, nowa. Miasta te łączy piękna szosa, prowadząca do Orotawy i okrażająca całą wyspę.

Cała formacja Teneryfy jest naturalnie wulkaniczną i składa się po większej części z wywietrzałej lawy i bazal-

tu. Pokłady te należą do znacznie odległych epok i w jakimkolwiek kierunku przeprowadzonoby przecięcie wyspy, przedstawiłoby ono brunatną, gąbkowatą powierzchnię.

Lecz otóż przybyliśmy do miasta. Niestety już ciemno i ulice opuszczone; zmęczeni więc, kierujemy się wprost do hotelu „Fonda de Teyde,” gdzie p. Wildpret już był uprzedził gospodynię o naszym przybyciu. Gdyśmy weszli, powitało nas wiele ciekawych oczu; przybyło bowiem kilku notabłów miasta, jak się zdawało, by zobaczyć podróżników „tajemniczego okrętu,” który zauważyli w zatoce, a którego niewielkim rozmiarom, nieodpowiednim wcale do odbytej drogi, wydziwić się nie mogli.

Było tam kilku adwokatów z miasta, doktor, kilku urzędników i jakiś kupiec z Santa-Cruz, który mi się przedstawił, lecz którego nazwiska nie pamiętam. Wszyscy ci panowie byli nadzwyczaj uprzedzający, nienasyceni co do szczegółów o odbytej trzydziestopięciodniowej żegludze, i oddalili się dopiero, gdy p. Wildpret przyszedł nam powiedzieć, że obiad na stole. Ów zaś santakrucezyk przysłał nam jeszcze kilka butelek starej „teneryfy” oraz pudełko wyśmienitych kanaryjskich cygar, prosząc, byśmy przyjęły te przedmioty, pochodzące z jego własnych plantacyj. Kazałem mu podziękować i poprosić, czyby nie zechciał zasiąść z nami do stołu, przy którym rozpoczęła się ożywiona rozmowa, podsycana ognistą teneryfą. Pan X. jednakże przyszedł przeprosić, że nie może dotrzymywać nam towarzystwa, ponieważ wraca z podróży, jest nadzwyczaj zmęczony, a mimo to następnego dnia wcześniej wyjechać musi do Bucnavisty, małego miasteczka, leżącego w zachodniej części wyspy.

Obiad, jakim przyjęła nas gospodyni hotelu de Teyde, był wyśmienity, a jednak gdyśmy wstali od stołu, zatrzymała mnie na korytarzu właścicielka, przeprasząc i tłumacząc się, iż nie lepszego podać nie mogła.

— Poz Dios! — uspokoiłem troskliwą o nasze żołądki

hiszpankę—dwie godziny przecież siedzieliśmy przy stole, a patrz pani, jak weseli wstają moi towarzysze.

— O! ja wiem, ja wiem! — przerwała—los senores de Europa!..

— „Tia” (ciociu) — odezwał się nagle głos kobiecy i równocześnie ukazała się na korytarzu młoda kobieta — nowa piękność Orotawy.

Była to siostrzenica gospodyni, panna Franciszka, znana ogólnie jako „piękna Paca,” w tak albowiem dziwny sposób skracano jej imię.

Mamy szczęście—pomyślałem i skłoniłem się pięknej Pace, która przyszła do ciotki z jakimś interesem. Byłem jej za to niezmiernie wdzięczny, gdyż wybawiła mnie z trudnej roli pocieszyciela zakłopotanej ciotki, która po otrzymanym od siostrzenicy raporcie zaczęła spieszenie podążać do kuchni, przepraszając jeszcze po drodze i pozostawiając nas samych.

Skorzystałem z mimowoli oddanej mi przysługi, by wzręć znajomość z piękną hiszpanką.

— Jestem pani niezmiernie wdzięczny, seniorita—zwróciłem się do niej po odejściu opiekunki.

— Za co?—zapytała zdziwiona.

— Nie mogłem przekonać ciotki pani, iż się myli sądząc, że nie dogodziła nam w zupełności obiadem. Przybycie pani rozprószyło jak się zdaje urojone troski i dozwoliło mi powtórzyć podziękowanie pięknej jej siostrzenicy.

Paca uśmiechnęła się figlarnie.

— Zrobiłam to przez ciekawość, by zobaczyć panów.

— Tak?—odparłem zdziwiony—ale cóż tak ciekawego w naszych osobach?

— Przecież pan dowodzisz tym „kaikiem,” który przyplął z Europy?

— Tak jest, seniorita, choć to nie kaik, lecz lugier. Ale cóż z tego?

— Jakto cóż z tego; mówią źście panowie przez

kilka tygodni byli na oceanie na tej łupince i przetrwali na niej straszne burze.

— Rzeczywiście—odparłem—i to wszystko?

— Niktby nie chciał być z panem—rzekła potrząsając głową—a oprócz tego...

— Cóż takiego?

— Oprócz tego mówią, że chcesz się pan puścić z brzegów w głąb, pomiędzy murzynów.

— I to prawda, senora, płynę z naukową ekspedycją, z zamiarem zbadania części ekwatorialnej Afryki; okręt zaś jest taki mały, by mógł jak najgłębiej wpłynąć w głąb, po afrykańskich rzekach.

— I czy to długo trwać będzie?—zapytała Paca, wpatrując się we mnie coraz ciekawiej.

— Nie wiem jeszcze, może rok, może dwa, może jeszcze więcej; zależy to od murzynów i od odległości, w jakiej znajdują się przedmioty, których chcę szukać.

— Santa Maria! — zawołała dziewczyna z zadziwieniem. I po co pan to robisz? A jak pana zabiją?

— W takim razie—odparłem — prędzej tylko nastąpi to, co każdego czeka w życiu — koniec.

Paca wezwała jeszcze kilku świętych na pomoc, nie mogąc nic pojąć z powodów, które pchały nas do Afryki. Zaczęła żywiej się dowiadywać o różne szczegóły, stawiając mi cały szereg pytań, do których już w Warszawie i Paryżu byłem się przyzwyczaił.

Wkrótce nasze tête-à-tête przerwaniem zostało, gdyż towarzysze moi także nadeszli i rozpoczęła się ogólna rozmowa. Panna Francisca była zajęta pracą zupełnie nieznaną u nas, a mianowicie wypychaniem jajek, które grają ważną rolę w ostatnich dniach karnawału hiszpanów. Wtedy każdy dom przedstawia fortecę, z której okien padają niekiedy wystrzały tych karnawałowych bomb, napelnionych mąką, trocinami i różnokolorowymi papierkami — i biada przechodniowi, którego podczas ostatków los lub przypadek przy-

prowadzi przed okna znajomych dam. Nie wyłącznie jednak dla znajomych przeznaczone są te pociski przyjaźni; rzadko kto, tubylec czy obcy, zdoła ich uniknąć. Zresztą będziemy wkrótce w Santa-Cruz i to na same ostatki.

Wieczór minął szybko. Kazawszy się następnego dnia wcześniej obudzić, zabieraliśmy się ku spoczynkowi. Droga jednakże prowadziła przez pokój, w którym siedzieli wzmiankowani już panowie z Orotawy; gościnni hiszpanie czatowali widocznie na nasze życie. Spostrzegliśmy niespodziankę. Przed sypialnym pokojem, w którym miałem objąć kwatery z L. Janikowskim, stał stolik pełen znanego już wina teneryfy. A że w tym samym pokoju znajdował się fortepian, więc jeszcze kilka godzin poświęciliśmy zabawie. Teneryfa była przecież ostatnią stacją, łączącą nas z cywilizowanym światem; następne brzegi, które ujrzymy, ukażą nam już ów ląd, na którego przestrzeniach Bóg wie co nas czeka; używaliśmy więc czary, póki była pełną.

Nazajutrz rano usłużny Juan, sługa hotelowy, z trudnością zbudził mnie ze snu twardego. Janikowski już nie spał: spojrzalem na zegarek i przerażony zacząłem się spieszenie gotować do drogi; było już po 7-ej.

Zapytałem o resztę podróżników.

— Don German y dos caballeros eran al comedor — objaśnił Juan — i rzeczywiście zastałem w jadalnej sali p. Wildpreta z częścią towarzyszków, prawie wszystkich jednakże silnie zmęczonych. Wkrótce też nadeszli i pozostali. Wypijwszy filiżankę kanaryjskiej kawy, posłałem zobaczyć czy konie gotowe, a tymczasem przeszliśmy się po mieście, by się z niem zapoznać, wczoraj albowiem, gdyśmy wchodzili, było już za późno.

Czyste miasteczko, liczące razem z portem 7—8 tysięcy mieszkańców, znajdowało się w stroju świątecznym, gdyż było to święto: Nostra Senora Candelaria (Matki Boskiej Gromnicznej).

Dzięki świętu, mieliśmy szczęście ujrzeć pełny bukiet dam orotawskich w kościele. Piękne kreolki zawstydyły nas, bo wychodziły już ze mszy porannej, musiały więc wstać daleko wcześniej od nas.

Mimowoli stanąłem pomiędzy grupą drzew, podziwiając wieniec pięknych pielgrzymek, dążących do domu. Słysząca z pięknych kobiet Orotawa chciała widocznie dowieść nam tu słuszności swej reputacji, którą zresztą mieliśmy sposobność sprawdzić już wczoraj. Urodzone w blasku kwiecistej przyrody, mieszkanki uroczej doliny, z wielkimi swemi czarnymi oczami, hebanowym włosom i delikatną cerą, wydają się wcieleniem tego piękna, którem szafowała Opatrzność na szczęśliwej tej ziemi. Zaiste, gdybym nie był polakiem i nie znał „Syreniego grodu,” pragnąłbym przenieść Orotawę nad brzegi naszej Wisły.

Dumne mieszkanki powoli i poważnie oddalały się z kościelnego placu. Pospieszaliśmy także dalej, zatrzymując się jeszcze około murów okazałego budynku, przylegającego do kościoła, niegdyś klasztoru, dziś koszar miejscowego garnizonu. W rozległym wewnętrznym czworoboku, otoczonym arkadami—jak zwykle na południu — przechadzał się hiszpański żołnierz, straż trzymający, który wyglądał dzielnie i marsowo.

Ponieważ od miasta dolina pochyla się jako taras ku morzu, ukazywały się co chwila brzegi pod nami. Otaczające zatokę świeże zielone pagórki, błyszczały w porannych promieniach słońca milionami brylantowych perel rosy.

— Czy chcecie panowie zwiedzić prywatne ogrody miasta? — zapytał p. Wildpret. Są tu niektóre rzadkiej piękności, tylko—dodał z westchnieniem—zaniemiedbane. Bogu dzięki, natura pomaga tu ludziom, a że z zamilowania zaglądam czasem tu i owdzie i gdzie mogę dokładam trochę ręki, więc mam wszędzie wstęp wolny, chętnie mnie nawet witają, gdzie się tylko pokażę.

— Jeżeli czas pozwoli, to i owszem—odparłem, dziękuję.

jąc w duszy Opatrzności za tak dzielnego i doświadczonego towarzysza wycieczki po Teneryfie.

Bez niego nie byłbym mógł zwiedzić nawet trzeciej części tego, co widziałem na wyspie, a co razem wzięte ukazało mi to obszerne pole przyszłych studyów, które może po powrocie z Afryki poniosą mnie ku jej wybrzeżom na czas dłuższy. Rzeczywiście wskazał mi nowy mój przyjaciel niejedną pamiątkę przeszłości wyspy, niejeden okaz ważny dla jej fizyografii. Przy jego pomocy poznałem zabytki ukryte jako własność prywatna i nieprzystępne dla ogółu, a mimo które, niejeden badacz wysp Kanaryjskich przeszedł, może niewiedząc o nich nawet.

Za kilka chwil przewodnik nasz zapukał do bramy jednego z domów stojących na dość obszernym placu; otworzyła się brama i po przejściu sieni, z której prowadziły piękne mahoniowe schody na piętro, weszliśmy do wewnętrznego czworoboku, podobnego do starożytnego atrium.

Ogród, rozciągający się za nim, rzeczywiście godny jest zwiedzenia. Jest on powszechnie znany na wyspie i wspomina go nieraz w Santa-Cruz pod nazwą ogrodu Machado. Jestto ku morzu pochylona część doliny, pokryta cyprysami, eucalyptusami, palmami, olbrzymimi drzewami pomarańczowemi i kameliowemi. Pomiedzy pniami kołyszą się bujne zielone krzewy niskiej roślinności, a w ich cieniu wytryska ze szczeliny skalnej świeży, bystry strumyk, dążący przez sąsiednie plantacye na dół ku morzu.

Drzewa kameliowe były pokryte kwiatem. Piękne ponsowe, różowe i białe te kokardy, dobrze znane na północy, zakupywane u nas na wagę złota, bujały się tu w spokoju, niepożądane, na ciemnych atlasowych konarach drzew, lub leżały przekwitłe po ścieżkach, rozpraszane wiatrem.

Pan Wildpret ułożył nam z najpiękniejszych kwiatów śliczne bukiety, które w Europie miałyby wielką wartość. Przeszedłszy przez długą aleję drzew pomarańczowych, obciąż-

zonych owocem, tak, że literalnie zakrywał liście, opuściliśmy ogród Machado, by zwiedzić inne.

W jednym z blisko leżących spostrzegliśmy niezmiernej starości kasztan. Do jakiego stopnia rozwija rośliny siła południowej przyrody, nowym on jest dowodem. Czterysta lat wieku mający olbrzym, rozrósł się do więcej niż 20 stóp obwodu. W pusty, spruchniały pień i gałęzie, nowe drzewa wpily swe korzenie i strzelają w górę, niby na ramionanach starej swej matki. Tworzy to oryginalną, zastanawiającą całość. Ogród ten jednakże, który przez swe położenie, jak również i przez skarb tylko co opisany, mógłby być cackiem, znajduje się przeciwnie w tak oplakanyim stanie zaniedbania, że nie zatrzymując się w nim dłużej, idziemy dalej do markizy de Sanzal, do dawnego ogrodu Franchy, gdzie jest pamiątkowe miejsce sędziwego olbrzyma drakona, o którym wspominałem już, że spoglądał stąd przez 4,200 lat na fale oceanu, czczony jak bóstwo przez starych Guanchów.

Miejsce, które zajmował najstarszy żyjący pomnik roślinnego świata, ocembrowane zostało przez zmarłego markiza de Sanzal niskim murkiem z kamieni, mającym 18 metrów wewnętrznego obwodu; w pośrodku zaś ręka p. Wildpreta zasadziła nowe smocze drzewko.

— Ileż wieków postoi tu ono? — westchnął troskliwy botanik, wpatrując się w młodą roślinę. Pomiędzy Guanchami przetrwał stary 42 wieki; czy postoi tyle nowe drzewko, patrząc na zdarzenia przyszłych czasów?

— Nie chce pan przerywać zasłony Saftu — odparłem. Wiadomość przyszłości, pozbawiając nadziei, byłaby może nieszczęściem dla nas.

Przeszliśmy dalej po ogrodzie. O kilkanaście kroków od grobu starego drakona stała ogólne zdziwienie wzbudzająca palma. Zgrabny cienki jej pień wzrósł do 48 metrów wysokości, a na tej wysokiej lodydze bez liści, spoczywała w chmury sięgająca korona, niby bukiet zielonych piór.

Pan Wildpret wskazał nam odłamany róg dachu, w dość znacznej odległości stojącego domu.

— To ona odbiła raz podczas burzy—rzekl. Często widziałem ją kolysaną przez orkany jak olbrzymi kios; z dziesięć razy myślałem, że już już ją strzaskają; lecz nie-wzruszona stoi do dziś dnia i rośnie dalej.

Podczas gdy przypatrywaliśmy się zgrabnej palmie, miejscowy ogrodnik, po cichej rozmowie z p. Wildpretem, oddalił się szybko, lecz wkrótce powrócił, niosąc w rękach kilka kawałków czerwonego drzewa, szczątków starego drakona. Troskliwy nasz przewodnik namówił był ogrodnika do wydania nam ostatnich po staruszkę pamiątek. W Anglii danoby za nie znaczną sumkę, ogrodnik markizy jednak pożegnał nas z wdzięcznością, gdy otrzymał kilka peset (franków). Co do podarku zaś, uważał go jako naturalną przysługę, oddaną szanownemu szwajcarowi.

Słońce tymczasem podnosiło się ku południkowi, chłód poranny zaczął ustawać i czas było puścić się w drogę. Powróciliśmy więc do fondy, by zapłacić rachunek. Gdyśmy wehodzili, konie już czekały.

Byłem zdziwiony, jak umiarkowany podano nam rachunek—i jeżeli kiedykolwiek, czytelniku, losy zaprowadzą cię do Orotawy, mogą ci śmiało polecić Fondę del Teyde, gdyż trudnoby gdziekolwiek znaleźć większe wygody za stosunkowo tak niską cenę. Wpisawszy nasze nazwiska w podaną nam hotelową księgę i pożegnawszy się z piękną Pacą, która ciągle jeszcze nie chciała wierzyć, że wyjeżdżamy rzeczywiście, by się zapuścić w głąb Afryki, pozostawiłem jej otrzymany bukiet kamelii i za chwilę już nas unosiła landara, zaprzężona w trójkę dobrych koni, po za obręby Orotawy.

ROZDZIAŁ IX.

Wyjazd z Orotawy.—Smutne pomniki. — Widma z Barranco-Hondo.—Kilka kartek z historii wyspy.—Plantacye cochenilli.—Matanza.—Tacoronte.—Muzeum pana Lebrun.—Laguna.—Ruch piśmienniczy Kanaryjskich wysp.—Do Santa-Cruz.

Białe mury gościnnego miasta jaśniały jeszcze długo za nami, pokilkakrotnie żegnaliśmy się z orotawską doliną, wreszcie opuściliśmy ją i droga zaczęła za chwil kilka prowadzić nas pod górę, po krętych kątach i skalistych ścieżkach, zanim wstąpiliśmy na szeroką szosę.

Każde miejsce, tu napotykane, jest pomnikiem w historii wyspy. Tu odbywała się długa, rozpaczliwa o nią waika i wreszcie straszliwa rzeź — pierwsze dary cywilizacyi, przyniesione spokojnym Guanchom.

Boleśnie ścisła się scree, gdy się w tych skałach i przepaściach czyta historią. Tysiące cieni zdają się z nich występować i wołać, podnosząc krwawe ramiona: cośmy wam zawinili!

Jeszcze raz musimy obcować ze światem dawno zmarłych bohaterów, którzy „w barbarzyństwie swem” żyli i umierali wzniośle, kochali i nienawidzili potężniej, karali i przebaczali sprawiedliwiej, niż przybywający z mieczem w ręku wielcy rycerze chrześcijaństwa. Tu, w dolinie Orotawy, walczył ostatni bohater Teneryfy — Bencomo, król północnego wybrzeża wyspy, państwa Tehoro.

Zapomnijmy na chwilę o terażniejszości, spojrzjmy na dalekie wieki przeszłości, niech nam się zdaje, że prze-

jeżdżamy po tych górach w r. 1493 i że otaczają nas ogorzale postacie, które wtedy je ożywiały.

Niedaleko od Orotawy, na skrócie skalistego wąwozu zatrzymujemy się nad głęboką, dziką przepaścią. Kupa kamieni napelnia głębie, stopy kości zmięszwały się z niemi—to Barranco Hondo, miejsce ostatniego zwycięstwa nieszczęśliwego króla Bencomo.

Gdy hiszpanie pod dowództwem Alonso de Lugo wylądowali w roku 1493 z piętnastu okrętami w porcie Anazy (blisko dzisiejszego miasta Santa-Cruz), poznał jedyny Bencomo grożące wyspie niebezpieczeństwo, zawiadując więc wszystkich sąsiednich mencegów (królów) pod swe dowództwo do wspólnej walki przeciw wspólnemu wrogowi. Lecz tylko kilku sąsiadów, a mianowicie król Tacoronte, król Tegueste, król Anagi i archimeneg Zebensui poddali się jego rozkazom dla zbawienia kraju; południowi zaś królowie Guimar i Anatterve na czele kilkuset krajowców przystali do hiszpańskiego generała, obawiając się ambitnego króla Bencomo. Sędziwy bohater nie posiadał więc nawet zjednoczonych sił swej wyspy, przeciwnie, południowy brzeg powiększał zastępy na pastników. Nie zrażało to jednakże starego monarchy. Podczas gdy gotuje się u siebie do boju w Tahoro, wysyła brata swego Tinguaro na czele 300 Guanchów nad przepaść, przed którą właśnie stoimy.

Dzielni wojacy przybyli; za chwil kilka ukryli się wśród drzew i szczelin i głucho milczenie panuje dokoła, gdy nagle ukazują się hiszpańskie zbroje i 3,000 wojska Dona Alonso de Lugo zstępuje powoli w głębie, by z drugiej strony wdrapać się na górę i uderzyć na Tahoro. Ostatni żołnierz zstąpił do wąwozu—wtem rozlega się świst naokoło przepaści; Tinguaro ze swym hufcem góralsi ukazują się na szczycie i grad kamieni, odłamy skal i ścięte pnice walą się w otchłań, druzgocząc zastępy hiszpanów. Napróżno walczy Don Alonso; żołdacy króla Kastylii przybyli z rozkazu—wolni górale Teneryfy walczą z rozpaczą za drogą swobodę.

Opuściwszy krawędzie, rzucają się jak antylopy ze skały na skałę—z przepaści w przepaść i, przybywszy na dno otchłani, kończą krwawe dzieło rozpoczęte z góry.

Po dwóch godzinach traszliwego boju przepaść zapelniła się trupami i zaledwie 200 hiszpanów, a pomiędzy nimi generał Lugo, zdołało uciec do obozu. Pod koniec walki nadchodzi Bencomo z nowym hufcem, by dopomódz bratu; napotyka go na skale, opartego o dzidę i patrzącego w otchłań. „Jakto — wola nadchodzący menceg—ty odpoczywasz, podczas gdy twoi żołnierze waleczą!” „Zwyciężyłem—odparł spokojnie wojak — obowiązki wodza skończyłem — teraz żołnierze dokonywają swego... zabijają!..”

Zwycięstwo stanęło po stronie Guanchów, jednakże zwycięzca nie oddaje się radośnym orgiom, lecz przegląda pobojowisko, na którem nie wszędzie jeszcze zagasły płomienie walki. W górnej szczelinie broni się jeszcze 30 hiszpańskich żołnierzy przeciw 500 Guanchom; Bencomo widzi potyczkę i wzniosły duch króla Tahoro nie może znieść tak nierównego boju; okazując szacunek walecznym, odsyła hiszpanów do ich generała.

Była to ostatnia zwycięzka bitwa dzielnego narodu. Wkrótce Don Alonso nowe ściąga siły i pod Laguną, na wyżynie dzielącej dwa brzegi, spotykają się nanowo nierówne siły. Otwarta płaszczyzna, na której rozległ się łoskot hiszpańskich muszkietów, pokrywa się trupami wyspiarzy i coraz większe pustki zaczynają przerzedzać niezemnie zasłonięte szeregi króla Bencomo. Guanchowie jednak nie upadają na duchu, podtzymuje ich ostatnia nadzieja zachowania wolności; nie zważając na śmiertelne kule, rzucają się z odsłoniętą piersią na wrogów. Jednogłośny okrzyk szturmujących rozdziera powietrze i rozpoczyna się bój straszny, bój rozpaczliwy!

Przez dwie godziny chwije się szala zwycięztwa i już zabłysła nadzieja tryumfu dla Guanchów. Mimo ognistych pocisków, mimo strasznej broni cudzoziemców, widzi Benco-

mo promień zwycięstwa, króluje znów nad górami i przywraca im dawny spokój. Nagle zajaśniały nowe zbroje na widnokręgu—to świeże zapasy wojsk, przychodzące hiszpanom na pomoc. „Santjago y San Miguel!” — zagrzmiało w szeregach Don Alonsa, następnie rozległ się trzask karta-czy i z głuchym jękiem padają wojacy Guanchów. Rozpacz ogarnia nieszczęśliwych, z pośpicchem cofają się resztki ku górom, lecz nieublagany wróg pospiesza za nimi i rzuca się na bezbronnych, mordując dokola i dobijając rannych.

Nieszczęśliwy Tinguaro, sławny bohater z Barranco-Hondo, aczkolwiek ranny, broni się przeciwko siedmiu hiszpanom znaną obok siebie halabardą, lecz wreszcie pada i on, ciężko ugodzony dzidą hiszpańskiego żołnierza. Dzielny Guanch kona, a brutalny zwycięzca zsiada z konia, by dobić zemdloną swą ofiarę. Gasnące oko umierającego Tinguara pada ze smutkiem na swego zabójcę: „Chucz guayec atchimeucey reste Benchom sahec tender relae nazet zahanee.” (Nie zabijaj królowi Bencomo brata, którego masz w niewoli) — woła słabnącym głosem, ale zwierzęcy żołdak nie czei ostatnich chwil zwyciężonego, lecz jak kat zadaje mu uowy cios i dobija nieszczęśliwego. Powoli ustaje zgiełk, rycerze cywilizacyi są wreszcie zmęczeni zaszczytnem swem dziełem; Bencoma i króla Tacoroute ciężko rannych uniesiono z placu boju, resztę zgładziła rzeź straszliwa, która do dziś dnia nadała miejscu ponurą nazwę: „Matanza.”

Nadechodząca noc zakończyła walkę, rycerze chrześcijańscy wykąpali się we krwi, kanonik Samarina z bracijszkami zaśpiewali nad nią dziękczynne „Te Deum laudamus” i zadowolnieni z siebie legli pobożnie do snu, podczas gdy Don Alonso kazał odciąć głowę dobitego Tinguara, obnosząc ją cynicznie po obozie.

Czy mamy podziwiać szlachetnych posłów Europy? Wyruszyli oni narzucać „niewiernym” swą oświatę i wiarę! Dziwne dary! Zginęło przez nie plemię Guanchów, pozosta-

wilo nam tylko swe groby, kilka kartek historyi, kilka smutnych wspomnień i bolesnych porównań.

Czy syn przyrody, Bencomo, nie czuł słusznie dla oświeconych przybyszów nie innego nad głęboką pogardę? O ileż wyżej stał zwycięzca z Baranco-Hondo, barbarzyńca nad chrześcijańskim zwycięzcą z Matanzy?

Leez zapomnijmy o tych okropnościach. Wspomnienie nie jest w stanie odkupić winy — miejsca plamy nie zmyje. Wróćmy więc do teraźniejszości, otrząśnijmy się z widm Matanzy i Baranco-Hondo jak z przykrego snu.

.....
Powóz wiózł nas dalej powoli, słońce albowiem grzało coraz silniej, a droga prowadziła wciąż pod górę. Brunatne skały zasłoniły za nami starą, głęboką przepaść, otwierając widok na mniej górzyste miejscowości — równiny pokryte plantacyami. Opuszczamy więc na chwilę siedzenia naszej ciężkiej landary, polecamy powożącemu hiszpanowi podążać powoli za nami i idziemy pieszo, by skorzystać pełniej z ciągle zmieniającej się panoramy krajobrazów, następujących szybko po sobie.

Mińśliśmy kilka wiosek; były to: Santa Ursula, składająca się z kilku małych domków i Vitoria nieco większa, leżąca bliżej nieszczęsnej Matanzy. Wioski te łączy piękna szosa, po obu stronach której ciągną się pola pokryte cochenillą.

Ważne te plantacye zasługują na bliższą uwagę, południowe słońce ma albowiem dziwne kaprysy, nawet wstrętne nam w Europie owady, różnego rodzaju pasorzyty rozwija ono pod zwrotnikiem w najżywszych kolorach i czyni je poszukiwanymi do różnych użytków. Do takich należy cochenilla, mały robak, pasorzyt, żyjący na mięsistych liściach opuntii, roślin przypominających niektóre gatunki kaktusów. Hodowla cochenilli zajmowała niedawno jeszcze ważne miejsce na Kanaryjskich wyspach. Ze sprzedaży tego produktu żyła większa część ludności, która zaaklimatyzowała tu owad

w 1827 roku; dziś jednakże minął wiek cochenilli, sztuczne wyroby zadały jej cios śmiertelny i wszystkie plantacje znajdują się w stanie upadku. Mimo to zauważyć się daje jeszcze wiele pól opuntii, noszących farbodajny owad. Głównie poszukiwanym przez niego gatunkiem tej rośliny jest „Opuntia Ficus indica,” najczęściej też wyznaczana pod plantacje cochenilli.

Odciawszy liść tej rośliny, spostrzega się wielką ilość ciemnych robaczek, pokrytych jakby białą mączką. Robaczki te są różnej wielkości, od drobnego ziarnka piasku, do rozmiarów malej fasoli; wycisnąwszy zaś owad, wyglądający jak mały pęcherzyk, napelniony płynem, otrzymuje się obficie wypływającą ciemno-purpurową farbę. Samica rośnie nadzwyczaj prędko, staje się wkrótce daleko większą od samca i wgryza się w liść; tu rodzi niezmierną ilość młodych owadów, które rozchodzą się po roślinie, podczas gdy matka umiera. Po trzech miesiącach nowe matki dają nowy zastęp owadów, po dalszych zaś trzech następuje trzecie pokolenie. Jak tylko rozejdą się młode robaczki po liściach, zeskrobują takowe tępym nożem do naczyń, zabijają je we wrzącej wodzie i, rozłożywszy na sitach, suszą na słońcu. Suszone owady wyglądają wtedy jak małe purpurowe ziarna, pokryte szarawym odcieniem. Dla rozmnożenia zaś pozostawiają na niektórych liściach purpurowych ich mieszkańców, którzy wkrótce rozchodzą się po plantacyi.

Jak wspominaliśmy, zmniejsza się ilość cochenilli z każdym rokiem; jestto ogólny los tego przemysłu tak na Kanaryjskich wyspach, jak w jego ojezyźnie Meksyku, spowodowany tańszą od niej aniliną; w miarę jednakże jak zmniejsza się produkcyja cochenilli, powiększa się ilość zbieranego wina i tytoniu tak na Teneryfie, jak na wyspach przyległych. Palilem kanaryjskie cygara po nadzwyczaj niskiej cenie (2¹/₂ franka setka), a które odznaczały się łagodnością i czystym bukietem. W krótkim czasie zakwitną również plantacje trzciny cukrowej.

Przeszedłszy dwa kilometry pieszo, zajęliśmy znów nasze miejsca w powozie i około 11-ej stanęliśmy w Matauzie. Na sławnym i smutnym pobojuwisku wznosi się dziś kilka lichych lepianek, a między niemi niewielka, zaniedbana wiejska „fonda.” Zatrzymaliśmy się przed nią. Po wążkich schodkach weszliśmy na pierwsze piętro, gdzie przez otwarte okno rozwierał się zachwycający widok na Canady, Pik i łańcuch górzysty, zakrywający przed nami południowe brzegi. W fondzie było pusto; na małym stoliku leżało kilka dzienników, we drzwiach, prowadzących na ganek, ukazała się opalona główka pięcioletniego dziecka, patrzącego na nas ciekawie, a na ganku szeleściła monotonicznie woda, przeciekająca przez kamienny filtr. Urządzenie tych filtrów wiejskich na Tenerycie zasługuje na uwagę z przyczyny ich nadzwyczajnej prostoty. Wielki gąbkowaty kamień lawy, w którym wyrżnięto żłobek, spoczywa na drewnianej sztaludze, wlana do niego woda przesiąka szybko przez pory i ścieka do podstawianych glinianych naczyń, jakie widzieliśmy już po drodze do Orotawy na głowach wieśniaczek. Woda ta jest czysta i zdrowa, a przytem zawsze chłodna, dzięki glinianemu naczyńiu.

Spragnieni, uznojeni drogą, oceniliśmy ją należycie. Wkrótce przyniesiono nam śniadanie, które po odbytych marszu znalazło szczerých zwolenników. Siedliśmy do tego, co nam podano; przybywający goście albowiem, przyzwyczajeni do zwykłych potraw, nie dysponują tu swego śniadania lub obiadu, przyjmują, co im poda wiejska gospodyni; a kraj ten tak jest obdarowany przez przyrodę, że za 6 lub 7 z ogólnie znanych dań zapłacą mniej więcej dwie pesety, nie potrzebując się zajmować układaniem menu. Tak samo stało się i teraz; zdjęliśmy kapelusze, kazaliśmy przynieść wody do mycia i picia, podano potrawy, składające się z dziennych zapasów, wraz z karafką teneryfy i za godzinę byliśmy znowu w drodze, dążąc ku Tacoronte, gdzie znajduje się w prywatnym domu, należącym do jednego z kupców z Santa Cruz,

pana Lebrun, obszerny zbiór odkopanych starożytności Guanchów i najlepiej zachowane ich mumie.

Droga do Tacoronte prowadzi również pod górę, zbliżamy się albowiem do wyżyny, stanowiącej rozdział wód, na której leży Laguna. By nie męczyć niepotrzebnie koni pozostawiliśmy powóz na szosie, skręcając pieszo no lewo ku brzegowi, gdzie leży stara stolica głównego sprzymierzeńca króla Bencomo, wciśnięta w niskie skały. Dziś—to wioska której plac rozległy, ścielący się przed starym klasztornym budynkiem nadaje pozór drobnego miasteczka. Prowadząca do niej ścieżka jest otoczona dosyć wysokimi naturalnymi ścianami, które tworzą z niej rodzaj wąwozu obsadzonego licznymi krzewami agaw. Przeszedłszy po niej, a następnie po placu, gdzie kilku wiejskich dygnitarzy grało w krokieta, weszliśmy w wąską, nisko leżącą uliczkę, w której wkrótce p. Wildpret wskazał mi jednopiętrowy mały domek z zielonemi okiennicami. „Oto muzeum tacorońskie” — rzekł zatrzymując się przed nim. Powierzchność była nieokazałą — zawarte skarby tem większe.

Poruszyliśmy młotek domowy — lecz nikt nie odpowiadał. Było to święto i mieszkańcy widocznie rozeszli się po wiosce albo byli w Lagunie, i już mniemałem, że mała furtka, ukrywająca zbiory, nie otworzy się dla nas, gdy nadbiegł stróż domu, stary Manuel; widział nas przechodzących przez plac, poznał botanika i przybiegł by się z nim przywitać.

— Czy Don Diego w domu? — zapytał się nasz cicerone wieśniaka.

— No, Señor! — odpar zagadnięty — Don Diego jest w Santa Cruz, teraz podczas karnawału bywa on tu na wsi tylko w niedzielę.

— Co za szkoda! — zawołaliśmy wszyscy, lecz p. Wildpret nie traci nadziei i, ufając poszanowaniu i miłości, jaką się cieszył wszędzie między mieszkańcami wyspy, zapytał się Manuela, czy nie moglibyśmy mimo to zwiedzić muzeum

p. Lebruna, dodając, żeśmy obcy i że przybyliśmy umyślnie po to.

— Don German—zawołał usłużny stróż, krzątając się około furtki — ktoś śmiałyby nie otworzyć drzwi domu przed panem?—i wkrótce furtka była otwartą i staliśmy na małym podwórku, otoczonym pomarańczowemi i cytrynowemi drzewami, przepelnionemi owocem. Za podwórzem ciągnął się obszerny ogród, dający piękny widok na wybrzeże i morze; podczas gdyśmy się przechadzali po nim, otworzył nam Manuel drzwi prowadzące do zbiorów p. Lebruna. Przeszedłszy przez korytarz i „comedor” służby, znaleźliśmy się w muzeum.

Główną wagę ma dla badacza śladów i pamiątek, pozostałych po Guanchach, pierwszy pokój. Tu są poustawiane w szafach i szklanych trumnach mumie starożytnych mieszkańców Teneryfy, zachowane tak dobrze, że podziwiać należy ich sztukę balsamowania. Twarze nawet, szczególniej dwu, przy ścianie stojących okazów, zachowały główne swe rysy. Oschła skóra, mimo wieków, dozwala podziwiać kształtne ręce i nogi, a głowę okalają najczęściej blond włosy. Jedna z mumii—kobieca, zwraca na siebie uwagę przez zagiętą w tył nogą; według wszelkiego prawdopodobieństwa była to kaleka, gdyż trudno inaczej to wytłumaczyć. Z lewej strony wejścia, leży olbrzymia męzka mumia, wzrost jej jest jednakże wyjątkowy. Pierwsi przybyli na wyspę hiszpanie mówią o olbrzymie, o którym wspominali krajowcy — są to prawdopodobnie jego śmiertelne resztki. Niestety okaz ten uległ w znacznej części uszkodzeniu.

Wielkie ilości balsamu, przygotowanego — jak wspominaliśmy już w Orotawie — z czerwonego soku Smoczego Drzewa, a zgniecionego w wielkie bochenki, leżą złożone w czterech rogach pokoju. Balsam ten odkopują zwykle z mumiemi, muzeum zaś posiada piękne, zadziwiająco dobrze zachowane kawaly. Sposobów balsamowania zauważyć można cztery; widocznie odpowiadają one stopniowi zamożności

zmarłego; wszystkie zaś mumie zaszyte są w kozie skóry. Kilkadziesiąt czaszek poustawianych na ziemi daje już piękny zbiór, choć ilość posiadanych przez p. Lebruna nie może się równać z kranologicznym zbiorem, jaki widziałem później w Santa Cruz w muzeum miejskiem, o którym będzie jeszcze mowa. Co do mumii atoli, Tacoronte zawiera najpiękniejsze odkopaliska z całej wyspy.

Dzidy i w ogóle broń i narzędzia sieczne wyrabiane są z drzewa, rogu i kości — a wreszcie z kamienia. O zadziwiającej zręczności świadczą haki i haczyki do wędek, wystrugane z rogu tak gładko i misternie, że na pierwszy rzut oka zdają się wyrobami żelaznymi; Guanchy jednakże nie znali metalu.

Ozdoby, prawdopodobnie kobiet, tworzą paciorki wyrabiane z gliny. Są to niby kawałki pociętej drobnej rurki glinianej, sporządzonej tak równo i gładko, jak gdyby utworzyła je maszyna. Liczne rzędy tych kólek ¹⁾ rozwieszono po ścianach pomiędzy okazami broni, naczyńiami, kamieniami młyńskimi ze starej lawy, plecionkami i materyami wyrobionemi przez nich. Patrząc na te przedmioty, podziwiać trzeba zwiunych a dawno zgasłych robotników.

Wieków cofnąć niepodobna, ale wyschłe twarze spoczywających tu guanchów, ustawicznie wstecz kierowały myśli nasze. Wyobraźnia widziała na chwilę ich ogorzale postacie przy kamiennym kowadle, na owej starej Teneryfie, która zapomniana lub nieznana jeszcze przez Europę, spoczywała szczęśliwie pod cieniem królewskiej palmy, olbrzymich enphorbii i drakonów, pośród fal Atlantyku. Gdzieście dziś czasy niezamąconego pokoju i wy prości synowie czystej przyrody?

¹⁾ W Muzeum Techniczno-Przemysłowem w Krakowie znajduje się taki naszyjnik pomiędzy zbiorami przywiezionymi przez ekspedycyą.

W dalekiej krainie, od której dzieli nas zagadka naszego istnienia, spoglądacie z litością na tych, którzy zarozumiale badają wasze w proch rozsypujące się kości.

Reszta sal zawiera zbiory flory, fauny lądowej i morskiej, okazy fizyograficzne archipelagu i innych stron, przeważnie afrykańskich. Oprócz tego znajduje się tu zbiór broń, pochodzącej od zdobywców wysp—zabójcze żelazo obok ofiar. Pomiędzy fauną morską znajdują się dwa dobrze zachowane rekiny, pomiędzy płazami jaszczurki, iguany i krokodyle afrykańskie oraz długi, ciemny wąż ekwatorialnej Afryki, zwracający ogólną uwagę, o ile się zdaje *Atactaspis niger*.

Ostatnie części zbioru są zdobyczami przypadku, pierwsza zaś, przedstawiająca dział archeologiczny; jest owocem długoletnich poszukiwań zmarłego proboszcza, człowieka rzadkiej światłości, który przed śmiercią zapisał swe skarby panu Lebrun, obywatelowi z Santa Cruz, wiedząc, że oddaje je pod dobrą opiekę.

Długo nie chciałem opuścić tego ciekawego domku, nieocenionego dla studyów. Czas jednakże mijał, wieczne me hasło „dalej w drogę” kazało powracać do rzeczywistości — konie czekały na górze, podziękowaliśmy więc staremu Manuelowi za grzeczność i przebywszy wawóz z ogarami, siedliśmy znów do powozu, który nas zawiózł do Laguny. Wyżyna, na której leży stara stolica wyspy, stanowi niejako spichrz Teneryfy. *Enphorbie*, kaktusy, *plantacye cochenilli*, ustąpiły tu miejsca naszym gatunkom zboża, południowe palmy—wiatrakom.

W jednej z wiosek, nieopodal Tacoronte, stał właśnie przed młynem wielbłąd obładowany zbożem, które przywiózł z sąsiedztwa. Wytrwałych tych zwierząt jest tu jednak niewiele. Przywieziono za to znaczną ich ilość na wyspy Lanzarote i Fuertaventura, które co do swej powierzchni zbliżają się do Afryki i noszą jej cechę. Tam wielbłądy zaaklimatyzowały się dobrze; nie można jednakże powiedzieć

tego samego o Teneryfie i o reszcie zachodnich wysp; wątpię też w ogóle czy zwierzę to rozpowszechni się na nich.

Okolo 5-ój wyjeżdżaliśmy wreszcie do Laguny. Bagniste jezioro, znajdujące się niegdyś w tem miejscu, nadało miastu nazwę. Kiedyś ożywiały ulice ruch i nawet blask niejaki, dziś wszystko czyni wrażenie miasta martwego. Prawda, że to zimowa pora i przytem karnawał, czas, w którym większa część ludności znajduje się w Santa Cruz. Latem miasto bywa więcej ożywionem, poszukiwanem nawet przez mieszkańców stolicy, ponieważ posiada dzięki wysokiemu położeniu niższą temperaturę niż Santra Cruz i Orotawa, a więc więcej chłodu podczas skwarów: wieczór lutowy zaś, jakim był nasz, bywa w niej nawet dosyć chłodny i każdy z przechodniów ukrywa się w „capie” ¹⁾.

Mimo utraty swego znaczenia, Laguna posiadała niedawno jeszcze uniwersytet; jest to obszerny gmach o kilku wewnętrznych podwórzach, znajduje się dziś w nim rządowe gimnazjum, pensjonat uczniów internów i biblioteka, licząca przeszło 6,000 tomów. Niestety takowa była zamkniętą z przyczyny święta; nie mogliśmy jej przeto zwiedzić.

Słyszając, że miasteczko liczące 8,000 mieszkańców posiada dwa dzienniki, nie mogłem ukryć mego zadziwienia przed p. Wildpretem, lecz kanaryjskie wyspy, o których zaledwie wiemy cośkolwiek na półnoocy, mają swój własny ruch pracy i to nie mały. Sama wyspa Teneryfa posiada 14 dzienników, cały zaś archipelag liczy ich dwadzieścia kilka.

Życie przeszłości urąga w Lagunie na każdym kroku terazniejszym pustkom. Prawie każda z ulic wskazuje dumne frontony pałaców kanaryjskich magnatów. Większa część tych budynków jednakże, na których widnieją jeszcze stare herby, jest dziś sprzedaną; najpiękniejszy z nich zajmuje casino miejskie, inne znów stoją puste, na oknach wyrasta

¹⁾ Capa—szeroki fałdzisty płaszcz hiszpanów.

mech, podczas gdy przez walące się ściany księżyc rzuca swe półświatło w opuszczone i zapyłone komnaty.

W casmo, którego salę zwiedziliśmy, zaproszeni przez gospodarza, przygotowywano bal na wieczór. Mimo propozycyi byśmy zostali dla takowego w Lagunie, nie można było zadość uczynić życzeniu gospodarza; było albowiem i tak już ciemno, gdyśmy siedli do powozu i wjeżdżali na szosę, prowadzącą do Santa Cruz.

Pan Wildpret, zmęczony całodzienną rozmową, usiadł na koźle; my zaś, nie mając kanaryjskiego mentora pomiędzy sobą w powozie, oddaliśmy się uroczystemu milezeniu. Tymczasem konie zaczęły znosić nas z wyżywy; zarysowało się morze, zajaśniały światła teneryjskiej metropoli, tonącej w zabawach karnawału, i po godzinie jazdy stanęliśmy na „Placu konstytucyi” w Santa Cruz.

ROZDZIAŁ X.

Stolica Kanaryjskich wysp: Santa Cruz. — Jej znaczenie w przyszłości. — Plac Konstytucyi. — Wiadomości portowe. — Opóźnienie „Łucyi-Małgorzaty.” — Wizyty. — Komendant Boris i jego obietnica. — General Veyler. — Gubernator wojenny Kanaryjskich wysp i admirał Vigo-Nina. — Karnawał w Santa Cruz. — Zbiory profesora Maffiota i muzeum miejskie. — Francuzka korweta „Cher.” — Don Pablo Pebrer i jego biblioteczka. — Pożegnanie. — Serdeczność komendanta Lafond. — Wyjazd.

Stolica kanaryjskich wysp, zawsze ożywiona i wesola, jest niejako królową afrykańskich wód Atlantyku. Miasto, liczące mniej więcej 20,000 mieszkańców, jest budowane rozlegle i okazale, posiada piękne place i skwery, głównie zaś obszerny i bezpieczny port, w ścisłym utrzymywany porządku; port, który stanie się jeszcze dogodniejszym, gdy długie granitowe molo będzie wykończono i przeprowadzone dalej, podług istniejącego już projektu. Wtedy Santa Cruz zaliczyć się da do najlepszych przystani morskich, jakie istnieją. Jeżeli dotychczas port ten nie miał odpowiedniego sobie ruchu handlowego, to należy szukać przyczyny tego w braku komunikacyi telegraficznej; okręty wołały mieć jako stacyę Maderę lub wyspy Zielonego Przylądka, mimo braku roślinności na tych ostatnich. Wkrótce jednakże zmieni się to wszystko; ważny ten czynnik korespondencyi zadrga lada dzień w Santa Cruz i skoncentruje tu może handlowe znaczenie Madery i wysp Cap-Verde; rząd hiszpański przeprowadza albowiem kabel telegraficzny z Kadyksu na wyspy kanaryjskie, franco-hiszpańska kompania przedłuży go zaś

prawdopodobnie dalej do Senegalu, tak, iż Santa Cruz będzie wkrótce połączona z Europą i z lądem afrykańskim ¹⁾.

Główny ruch miasta panuje na „Placu konstytucyi,” na którym wysiedliśmy przybywając. Tu znajduje się pałac cywilnego gubernatora, Casino miejskie, rezydencya naczelnika dywizyi morskiej, oraz kilka większych hotelów. Plac przedstawia się jako podługowaty czworobok, wyniesiony po nad ulicami i wyłożony wielkimi płytami granitu; w obu końcach t. j. w pośrodku stron mniejszych stoją dwa pomniki, jeden z nich wyobraża krzyż—herb miasta, drugi tworzy grupę przedstawiającą przyjęcie chrześcijaństwa przez pierwotnych krajowców; tu wreszcie znajduje się również główne café-restaurant miasta: „Café del comercio.”

Kiedy powóz nasz stanął na placu, było już późno i ciemno; odesłałem więc konie i poszliśmy do portu, by się przekonąć czy „Łucya-Małgorzata przybyła do Orotawy. Obszerne granitowe moło, po którym wiodła nas droga, było już opuszczone; na morzu zauważyłem wprawdzie kilka okrętów, panowała jednak taka ciemność, że nie rozpoznać nie byłem w staniu. Wtem spostrzegłem majtkę floty wojennej, oparte go o słup łańcuchowy. Mniemając, że należy do zarządu portowego, zapytałem go się językiem dumnej Kastylji, jakie okręta stoją na kotwicy i czy nie zauważył „Łucyi-Małgorzaty?”

„N'comprends par M'sieur” — odparł zagadnięty tak czysto bretońskim akcentem, jak gdybyśmy stali na plantach Brestu. Był to francuski majtek wojenny: teraz dopiero, przystępując bliżej, poznałem czerwony kutas czapek rządowych floty francuskiej, okręt tej narodowości, musiał więc znajdować się w porcie. Prostując omyłkę, zwróciłem się do francuza w jego ojczystym języku i dowiedziałem się, że

¹⁾ W chwili gdy niniejsze notatki przygotowują się do druku, owe linie telegraficzne już funkcjonują.

„Lucyi” jeszcze nie ma, a że okręty, które widziałem na rejdzie, są to dwie francuskie korwety: pierwsza „Cher,” pływająca od Nowej Kaledonii, druga „Du Petit-Thuars,” pod flagą komendanta eskadry kapitana Borris, główny okręt oddziału francuskiej floty na wodach afrykańskich, następnie „Sigera” wojenny okręt stacyi hiszpańskiej. Wiadomość o pierwszych szczerze mnie uradowała, gdyż przez długi pobyt we Francyi, a głównie w Paryżu, Breście, Cherbourgu i Hawrze, miałem wielu dobrych znajomych pomiędzy oficerami francuskiej marynarki. Nieobecność okrętu naszego jednakże żywo mnie zaniepokoiła, udałem się więc do biura portowego, gdzie otrzymałem uspakajającą wiadomość, że „Lucya” w porcie być nie może, ponieważ przez cały dzień nie było wiatru — panowała zupełna cisza na morzu. Zmęczeni drogą, powróciliśmy na Plac Konstytucyi i zasnęli wkrótce w jednym z hotelów.

Kiedym następnego dnia wcześniej rano wyszedł na molo, ujrzałem wreszcie zgrabne maszty i syrenę „Lucyi,” kołyszącej się lekko na falach zatoki. Wziąłem więc łódź portową i pojechaliśmy ku naszemu okrętowi, by jak najprędzej dowiedzieć się, jak odbył drogę z Orotawy.

Gdyśmy przybyli do portu, zastałem kapitana Boutes w piorunującym humorze.

— Jakąż była żegluga Mr. Boutes? — zapytałem się, wchodząc na pokład.

Mr. Boutes mógł zaledwie powstrzymać swe gromy na ciszę morską, która była zaskoczyła okręt w obec skał Orotawy i Anagi; uspokoił się jednakże na widok bezpiecznego portu Santa Cruz, tembardziej, że dla dalszej żeglugi mieliśmy w perspektywie stałe świeże passaty, które za dni kilka miały nas przenieść dalej na południe — do Liberyi.

Głównym celem, w którym przybyłem do Santa Cruz, było uzupełnienie listy przedmiotów potrzebnych jeszcze ostatecznie dla ekspedycyi, oraz wyjednanie jej jak największej protekeyi ze strony władz hiszpańskich. Przewidując

więc liczne wizyty, przeniosłem się na czas pobytu do hotelu „De Cuatro Naciones,” w którym stanął również p. Wildpret. Pierwszym i najlepszym hotelem w Santa Cruz jest wprawdzie inna, wygodnie po angielsku urządzona gospoda „Hotel Camacho,” lecz chciałem jak najdłużej pozostać z naszym przyjacielem z Orotawy, stanąłem więc w jego „fondzie.”

Kiedym powrócił z okrętu i uczynił pierwszych kilka kroków na ulicy portowej, spostrzegłem znaną twarz, która mi się również zdawała przypatrywać; zbliżywszy się, poznałem ze zdziwieniem już z Madery nam znajomego księcia Kara-Gieorgiewicza, który bawił jeszcze w Santa Cruz, czekając na parowiec, mający go przewieźć do Marsyli po zwiedzeniu kilku marokańskich portów. Przywitaliśmy się wzajemnem: „Comment! vous ici?”

Ponieważ jednakże spieszyłem do hotelu, a było i tak już późno, musieliśmy się więc tymczasowo pożegnać, pozostawiając plany, powstające z przyczyny spotkania, na dni następne. W hotelu zastałem p. Wildpreta; pospieszyłem zaprosić go na okręt na obiad w obawie, by nie przyjął innego zaproszenia; na szczęście wyraziłem mu nasze ogólne życzenie dość wczesnie, gdyż przyrzekł; tymczasem zaś siedliśmy do hotelowego śniadania, przy którym podziwiać musiałem gwarliwość hiszpanów przy stole. Poznałem tu kilku Santa Cruzkich przyjaciół mego towarzysza drogi i wkrótce, dzięki jemu, miałem już liczne znajomości. Pan Robinet, sekretarz francuskiego konsulatu, także jeden z przyjaciół p. Wildpreta, nadzwyczaj serdeczny i wykształcony jego-
mość, objaśnił mnie co do osób, którym pragnąłem złożyć me wizyty, dodając, iż konsul francuski, baron Chassoriot, i Don Abel Aguilar, zięć jego, konsul rosyjski, byli nadzwyczaj zdziwieni, widząc mały nasz północny okręt, aż na wodach Teneryfy. Długo rozmawiałem przy stole z przyjemnym francuzem, którego już po zamaszystej napoleonce można było zdaleka poznać jako takiego. Gawędziliśmy o wieściach, otrzymanych przez ostatni pakbot z Europy, o zająs-

ciach we Francyi, lecz najglówniejszą dla mnie była wiadomość, że rząd francuski wysyła eskadrę, składającą się z 14 okrętów, na wody Zachodnich brzegów Afryki, i że naczelnik jej, komendant Borris, przybyły na „Du-Petit-Thuars”, zabawi w Santa Cruz prawdopodobnie jeszcze ze dwa dni. Był to szczęśliwy traf, dający możność zbliżenia się z dowódcą eskadry, który jako taki był ważną osobistością dla każdego, kogo obchodzą sprawy zachodnio-afrykańskie. Oświadczyłem więc p. Robinet, iż oprócz wizyty, jaką zamierzam złożyć generalnemu gubernatorowi i admirałowi stacyi, postanowiłem również złożyć takową panu Aguilar, że więc będzie mi nadzwyczaj przyjemnem i pożądanem poznać przy sposobności barona Chassoriot, jego krewnego, i złożyć me uszanowanie komendantom francuskich okrętów. Tak się też stało.

U francuskiego konsula spotkałem się z komendantem Borris i stosownie do mego życzenia baron Chassoriot przedstawił mnie naczelnikowi francuskiej eskadry.

— Jakto—zawołał komodor — podczas ostatnich burz byleś pan z tym luggrem na oceanie?

— Tak jest komodorze — rzekłem — „Łucya-Małgorzata” posiada najlepsze zalety morskie.

— Parbleu! musi je posiadać, inaczej nie byłbyś pan dzisiaj na Teneryfie; ale małe rozmiary jej — sacristi! — to nie musiały być żarty. Korweta „Cher,” która stoi ze mną na rejdzie, jest parową korwetą wojenną, przytem nie najmniejszą, a krzyżując po oceanie w tym samym czasie, nie lekkie miała przejścia; była 17 dni w drodze.

Komodor Borris, stary, dzielny marynarz, poczuł za bohaterską żeglugę „Łucyi-Małgorzaty” niezmierną dla niej przyjaźń, a przyjaźń marynarza do jakiegokolwiek okrętu rozpościera się na wszystko, co do niego należy.

Mówiliśmy więc chwil kilka o mej ekspedycyi, i wreszcie pożegnałem się, widząc, że komodor ma interesy do załatwienia z konsulem.

— Gdziekolwiek bądź spotkasz pan jaki okręt mej eskadry — rzekł mi przy pożegnaniu — bądź pan pewnym, iż będzie zawsze gotów nieść wszelką pomoc ekspedycyi, jaką tylko będzie w stanie jej okazać. Nieomieszkam dać odpowiednich instrukcyi — a więc do widzenia na Fernando-Poo. Szczęśliwej drogi!

Dnia następnego poznałem pana Aguilara, konsula rosyjskiego, który przyszedł oddać mi wizytę, ofiarując się towarzyszyć mi do gubernatora i admirała. Poszliśmy więc razem.

W pałacu komendantury przyjął nas naczelnik sztabu, pułkownik Tolosa, i wkrótce wprowadził nas marcyalnie wyglądający adjutant do generała Veylera, głównego komendanta kanaryjskich wysp.

Wszędzie w obszernych salach, na schodach, w dyżurnych pokojach i biurach panował wzorowy porządek. Prosto i dzielnie trzymające się warty, z respektem wchodzący i wychodzący oficerowie, wszystko świadczyło, że tu władza silna ręka, żeśmy w bliskości dzielnego generała.

Wkrótce znajdowaliśmy się rzeczywiście w obec jednego z najdzielniejszych wodzów armii hiszpańskiej. Generał Veyler, czyli jak go tu nazywają podług tytułu, „el capitán general,” jest stosunkowo do stopnia i godności, jaką piastuje, jeszcze młodym człowiekiem; może mieć około lat 36; co mu zaś tak wczesnie przyniosło szlify generalskie i nadało ogólną powagę i poszanowanie pośród armii — to jego czynne, czysto wojskowe życie. Każdy jego stopień oficerski otrzymany jest na polu bitwy, obóz był mu najlepiej znaną kwaterą, a szabla — prawie nieustannym towarzyszem; walczył nią szczęśliwie przeciw karlistom i wyruszał pokilkakrotnie na wrzące w powstaniu to Kubę, to wyspy Filipińskie.

Po tem wszystkim, co słyszałem o generale, sądziłem, że ujrzę typ barczystego i pokiereszowanego „starego wojaka;” byłem więc zdziwiony, gdy wyszedł ku nam niskiego wzrostu jegomość, niezbyt silnej budowy i ubrany po cywil-

nemu — był to generał. Pan Aguilar przedstawił mnie gubernatorowi; mogłem zatem bliżej przypatrzeć się milej i inteligentnej jego twarzy; mimo niepozornej postaci, wzbudzał on poszanowanie; rysy nosiły piętno stanowczości i wielkiej siły woli, spojrzenie świadczyło o niezmiernej bystrości poglądu, wysokie czoło zaś — o niezwykłej inteligencji. Mimo to wszystko, można było odczuć w generale zaraz na wstępie prostotę i szlachetność — możnaby powiedzieć serdeczność nawet, choć znów z drugiej strony uderzała pewność w postępowaniu i ufność w siebie.

Po kilku słowach, dotyczących się podróży naszej, zauważyłem w nim szczere zajęcie się ekspedycją; określiłem mu więc cel jej i opisałem dotychczasową żeglugę; generał tymczasem wspomniął mi, że i on za kilka lub kilkanaście dni wyruszy z ekspedycją wojskowego charakteru na brzegi marokańskiej Sahary, by zająć w imieniu rządu hiszpańskiego jeden z punktów, do których Hiszpania ma prawo. Jestto marokańska miejscowość Agadir, czyli jak nazywają ją hiszpanie Santa-Cruz-de-Mar-Pequena, położona mniej więcej w 30° 20' płn. sz. Stary traktat, podpisany w Vadi-Ras, oddał prawnie ową przystań morską rządowi madryckiemu; sultan Sidi-Muley-Hassan atoli, obecny władca marokański, oparł się temu, podczas gdy dla Hiszpanii spełnienie traktatu miało swoją wagę, dla wschodnich zaś wysp Kanaryjskiego archipelagu była to kwestya żywotna. Wyspy te, Lanzarote i Fuertaventura, prowadzą dość znaczny handel rybami, bliskość marokańskich brzegów tymczasem narażała rybaków hiszpańskich na ciągle napaści i rabunki ze strony wojowniczych nadbrzeżnych mieszkańców, tak że zajęcie owego punktu Santa-Cruz-de-Mar-Pequena stało się niezbędnem dla obrony interesów kanaryjskich.

Rozpoczęto więc nowe traktowania z sultanem, uwięzione rezultatem korzystnym dla Hiszpanii i generał Veyler otrzymał rozkaz z Madrytu zająć oznaczony posterunek; oczekiwał tylko przybycia okrętu transportowego z wojskiem

i pancernika „Numancia.” Tymczasem nadszedł ordynans; zauważyłem że generał zajęty, pożegnałem się więc, musząc przyrzec sympatycznemu gubernatorowi, iż będę na balu, który dawał owego wieczora.

Naczelnik stacyi mcrskiej, admirał Vigo-Nina, któremu złożyłem następną wizytę, przyjął nas równie uprzejmie i okazał także jak największą przychylność dla ekspedycyi; obiecał mi list do gubernatora wyspy Fernando-Poo i zapewnił, że możemy rachować na wszystko, w czem tylko kolonia Fernando-Poo będzie w stanie pomagać pracom ekspedycyi.

Gdym powrócił do hotelu, zauważyłem dopiero, co się działo na ulicy. Karnawał rozgościł się na dobre w Santa-Cruz; śniadania, obiady i bale gonily się po kolei; na stole zastałem liczne zaproszenia, wszystkie były tak serdeczne, domy tak gościnne, że nie wszędzie odmowa była możliwą. Najweselej spędzała karnawał młodzież miejska, jak to zresztą wszędzie bywa; całe miasto przemieniło się w bal maskowy; liczne grupy poprzebierane przeciągają wtedy po ulicach, to pieszo, to konno, to na wozach, zatrzymując się przed pierwszym lepszym domem, gdzie podczas ostatnich zawsze zastawione są stoły dla znajomych i niezajomych masek. Przed wejściem jednakże, przybywająca grupa musi znieść atak z okien, z których jak ze strzelnic fortecy, wita ją grad jaj -- wypychaniu których przypatrywaliśmy się już w Orotawie w hotelu „Teyde.”

Podczas karnawału poważni i dumni hiszpanie przetwarzają się zupełnie; rzekłbyś, że nie znają granic wesołości; widziałem jeźdźców, wjeżdżających wraz z koniem do kawiarni i głoszących z siodła jak z kazalnicy mowy do zebranych; rzadko jednakże widać pijanych, a do nadużyć nie dochodzi prawie nigdy. Jak mi mówiono, cieszy się Santa-Cruz w ogóle reputacją wesołego miasta; mieszkańcy lubią się bawić, „casino” częste daje bale, bulwar zawsze zapelniony spacerującymi, nawet w gustownie urządzonej teatrze

również jest pełno mimo karnawału i tak miernej trupy, że, siadłszy w fotelu parterowym, zasnąłem snem twardym i przerywanym wyłącznie podczas pauz. Mylnie jednakże przypuszczano, że podróżnik nie znajdzie tu nic oprócz zabaw i miejsc weselości; stolica Teneryfy ma też swe przybytki pracy i nauki, chociaż są to po większej części prywatne pracownie. Takim jest gabinet zmarłego profesora Maffiota, którego uprzejmi synowie dozwolili nam zwiedzić i przejrzeć zbiory pracowitego przyrodnika; mają one głównie znaczenie dla mineralogii i geologii wysp Kanaryjskich i zajęły nadzwyczaj K. Tomczeka. Prócz okazów mineralogicznych, znajdują się tu zbiory fauny morskiej archipelagu i wykopaliska po Guanchach, a pomiędzy nimi pieczęć, którą opisuje i podaje w kolorowanym rysunku Berthelot w jednym z tomów o starożytnościach Guanchów.

Głównym skarbem dla badacza Guanchów jest w Santa-Cruz miejskie muzeum — właściwiej byłoby je nazwać: muzeum doktora Bethencourt (jednego z ostatnich potomków sławnego Juana de Bethencourt, pierwszego zdobywcy Kanaryjskich wysp). Muzeum to, znajdujące się w starym klasztornym budynku, należy wprowadzić do miasta, lecz zawdzięcza swe zbiory i byt prawie wyłącznie poszukiwaniom i staranności doktora. Poznawszy się z nim przez p. Wildpreta, miałem sposobność zwiedzić drogocenne te zabytki. Przeszedłszy po jednej z mniejszych uliczek, weszliśmy w furtkę starego klasztoru, w którym dziś mieszcza się różne biura i gimnazjum miasta; przebywszy kilka korytarzy i schody, na dół prowadzące, staliśmy wreszcie przed starymi drzwiami, ukrywającymi mozolnie zebrane pamiątki przeszłości. Doktor posłał po klucze i wkrótce znajdowałem się z p. Wildpretem i z jednym z oficerów hiszpańskiej marynarki, który nam towarzyszył, w podługowatej, wąskiej sali, czyniącej wrażenie trupiarni. Po obu stronach poustawiane były na półkach przez całą długość nawy, czaszki pierwotnych mieszkańców Kanaryjskich wysp (pomiędzy nimi wiele

Guanchów), na dole zaś mumie, kawały balsamu i mnóstwo zabytków miejscowych starożytności. Zbiór kranologiczny zawierał 746 czaszek i przedstawiał ciekawe pole dla antropologa i historyka. Z westchnieniem pomyślałem o dwu przyjaciółach ekspedycyi: o czcigodnym doktorze Baranieckim i o profesorze Kopernickim z akademii krakowskiej; otrzymałem jednakże w Santa-Cruz drugą czaszkę Guancha, był więc choć w cząstce plon dla tego ostatniego.

Tymczasem czas schodził, interesy w Santa-Cruz były ukończone, a jednak zatrzymywało nas gościnne miasto.

Komodora Borris już nie było na rejdzie, wypłynął był do Senegalu, lecz stała jeszcze korweta „Cher” i na długo pamiętnemi będą mi chwile spędzone u jej komendanta, porucznika Lofond i serdecznych jej oficerów z księciem Kara-Georgiewiczem, panem Aquilar i kousulem francuskim. Jednej jeszcze osoby nie mogę pominąć mileżeniem, ponieważ mimowoli często przychodzi mi na myśl jako serdeczny, rzadkiej dobroci przyjaciel ekspedycyi. Był nim Don Pablo Pebrer, naczelnik górnictwa i lasów prowincyi Kanaryjskich wysp. Wychowany w Europie, mówił wyśmienicie po francusku i w ogóle można go było wziąć prędzej za francuza, niż za hiszpana. Pan Pebrer był to jegomość dobrej tuszy, lubiący ciszę i spokój; zdziwiłem się więc niemało, gdy zastałem go pewnego dnia w „Café del comercio,” obładowanego książkami; spocił się aż pod ciężarem swej biblioteczki.

— Co to takiego, Don Pablo? — spytałem zdziwiony, podchodząc do niego i podając mu rękę.

— Oto dzieła o Kanaryjskich wyspach—rzekł pokazując książki—są one po większej części tu wydane, sądziłem, że będą pożądane dla biblioteki „Łucyi-Małgorzaty”; chciej je więc pan przyjąć od szczerego przyjaciela jej zadania, a w dalekich podróżach przypomni to panu czasem naszą Teneryfę

Nie wiedziałem jak dziękować poczciwemu panu Pebrezowi; piękne, pożyteczne dzieła były dla mnie cennym zbiorem, lecz stokroć cenniejszemi jeszcze — szczerza przyjaźń

i gorąca chęć popierania naszej pracy. Jeżeli te ćwiartki kiedykolwiek dojdą do niego na wyspy Kanaryjskie, niechaj odczyta w nich wspomnienie długich naszych gawędek i odczuje szczerą, zawsze zachowywaną przyjaźń.

Lecz czas nagli, musimy płynąć dalej, żegnajmy się więc z gościnnem miastem Santa-Cruz i przyjaciółmi.

Poczeiwy pan Wiidpret pierwszy nas opuszcza, musi albowiem wracać do Orotawy. Tak się przyzwyczaiłem do tego cichego towarzysza, że trudno mi było rozstać się tak prędko; lecz drogi nasze już się rozchodziły i to w chwili, gdyśmy się najlepiej poznali, jak to często bywa w życiu; uścisnęliśmy więc sobie dłonie, przyrzekli dawać wzajemnie wiadomości i rozstaliśmy się.

Generał Veyler pożegnał mnie krótko lecz serdecznie: „Gdziekolwiek bądź będziemy—rzekł mi—czy tu, czy w Europie, rachuj pan na przyjaciela.”

Stary admirał Vigo-Nina wręczył mi listy do gubernatora Fernando-Poo; odczytawszy je, musiałem przyznać, że najlepszego przyjaciela nie byłbym goręcej polecił; admirał jednakże zdawał się jeszcze nie być zadowolniony z siebie, chociaż podług jego listu, mieliśmy prawo żądać wszystkiego na Fernando-Poo. ¹⁾ Z twarzy admirała było widać, że pragnąłby sam być na owej wyspie, by uczynić tam dla nas, co było w jego mocy.

Ostatniego dnia pan Pebrez zaprosił mnie do siebie na pożegnanie. „Nie tańczyłeś pan na balach — rzekł mi—nie mogłem więc przedstawić pana mej żonie i córkom, zechciej pan zatem ostatnie to śniadanie spędzić razem z nami; córki moje grają na fortepianie, usłyszymy utwory pańskiego rodaka, Szopena, i kilka urywków z oper, zdaje się, że trafi to panu do gustu.”

¹⁾ Niestety, osoba, do której list ten się stosował, dzielny p. Montes de Occa został odwołanym do Europy, nim przybyliśmy do Fernando-Poo, a na miejsce jego przybył gubernator nowy, człowiek nie bardzo dobrej woli.

Przyjąłem gościnne zaproszenie i spędziłem w cichym domu pana Pobreza może najprzyjemniejsze chwile w Santa-Cruz. Mówiąc o fortepianie, Don Pablo wiedział dobrze, że trafił w słabą mą strunę; gdyby nie ostatnie chwile i czas nagłący, byłbym dłużej wsłuchiwał się w urywki naszego mistrza, w których piękne senority streszczały melodyjnym echem przyjemne dni pobytu w Santa-Cruz.

Kiedym wehodził w godzinę później mniej więcej do francuskiego konsulatu, by pożegnać się z p. Aguilarem i banonem Chassoriot, zastałem oficera z korwety „Cher,” której komendant pan Lafond ofiarował był mi holowanie „Łucyi-Małgorzaty” z portu, ponieważ nie było wiatru, a jednego dnia mieliśmy podnieść kotwicę; oficer był więc przysłany, by się zapytać czyśmy gotowi; „Cher” płynął również na południe, dążąc do Nowej Kaledonii; serdeczny komendant pragnął więc okazać nam swą życzliwość, użyczając sił swej maszyny naszej żaglowej „Łucyi” przez część drogi wspólnej. Niestety, czekałem jeszcze na różne przedmioty, zakupione dla ekspedycyi; miałem prócz tego korespondencyą do skończenia, nie mogłem zatem przyjąć zobowiązującej propozycyi i musiałem podziękować komendantowi, życząc mu z całego serca jak najszcześniejszej drogi. Oficer odpłynął na pokład swego okrętu, za chwilę dany był sygnał i statek powoli zaczął oddalać się z portu. „Łucya” zamieniła z nim salutę flagą i za godzinę „Cher” był na pełnym oceanie.

Przed wieczorem skończyliśmy interesy; nasza szalupa odbiła od portowej przystani i wkrótce staliśmy znów na pokładzie naszego lugra, gotowi do dalszej drogi. Wiatr jednakże się nie wzmagał; napróżno wyczekiwałem go przez kilka godzin, musieliśmy noc jeszcze postać na kotwicy i dopiero następnego dnia rano (9 lutego) „Łucya-Małgorzata” rozwinęła żagle.

Teneryfa znikła w mgłę porannej, na chwil kilka ukazały się z lewej burty wybrzeża Gran Kanaryi, wreszcie znikły i one na horyzoncie; byliśmy znów na oceanie.

ROZDZIAŁ XI.

Ocean podzwrotnikowy.

Spokój oceanu. — Fauna morska. — Passaty i ich powstawanie. — Pas ciszy i jego niebezpieczeństwa. — Huragany, tajfuny i tornady. — Kliper „Oprycznik.” — Deszcze tropikalne. — Ulewa w Brazylii. — Harmatan. — Rozrywki na morzu. — Połów rekina. — Noc oceanu podzwrotnikowego.

Ocean tropikalny, w którego obszary wstąpiła „Łucya” nareszcie, opanował wkrótce wszystkich swemi czarami. Najmniejsza chmurka nie mąciła czystego, błękitnego sklepienia nieba, lazurowe tonie wodne poruszała zlekka łagodny północno-wschodni wiatr, dmąc w białe żagle okrętu, podczas gdy podzwrotnikowe słońce ozlacało cuda fauny oceanu: zielonawe bonity, srebrne ryby latające, wesołe stada delfinów, bujające na falach żółwie morskie olbrzymich rozmiarów, jaskrawe meduzy, gwiazdy morskie i ową różnorodną a niezliczoną ilość różnych molusek, delikatnych barw których, lądowemu mieszkańcowi opisać jest niepodobieństwem.

Każda cząstka wodnych obszarów lśni się i błyszczy w tych stronach, gdzie słońce prostopadle zsyła swe promienie na daszek okrętu, bez którego mieszkańcy „Łucyi” już nie mogą przechadzać się swobodnie; duszne kajuty opuszczone, wszyscy wyszli na pokład i wpatrują się z wysokiej burty galjonu w ożywiony ten świat podwodny.

Okręt tymczasem jednostajnie posuwa się naprzód, łagodnie pochylony na prawą burzę północno-wschodnim pasatem, najdrogocenniejszym darem dla marynarza.

Podczas gdy na północy żaglowiec oddanym bywa na łaskę i kaprysy zmieniających się wiatrów, częstokroć całemi tygodniami mu nieprzychylnych—na wodach stref tropikalnych panuje stałe prawo atmosfery; na podzwrotnikowym zaś Atlantyku zupełnie stały wiatr, a mianowicie: w pasie gorącym północnej półkuli—północno-wschodni, w południowym — południowo-wschodni. Wiatry te nazywają się pasatami („Tradewinds” u anglików, „Vents alizés” u francuzów, „Passatwinde” u Niemców).

Przez silne działanie słońca na wody oceanu, pomiędzy zwrotnikami leżące, podnoszą się gorące prądy atmosfery, które, rozchodząc się jakby snopy w wyższych jej warstwach, ochładzają się, dążą ku biegunom i opadają, stamtąd ponad powierzchnią morza powracają ku równikowi, wykonując w ten sposób ciągłe obroty. Pierwotny ich kierunek byłby z północy na południe, gdyby nie istniał obrot sferoidu ziemskiego, który, wyprzedzając owe powietrzne prądy, nadaje im wyżej wspomniany kierunek. Oto przyczyna passatów. Na północy i południu dalszem, w szerokościach chłodniejszych, wpływ wielu innych ubocznych przyczyn burzy regularność prądu atmosferycznego, czyli wiatrów.

O ile jednak przychylni są dla żeglugi owe stałe wiatry, na które marynarz zawsze liczyć może, a w których pozwolonym mu jest odpocząć spokojnie, postawiwszy żagle we właściwym kierunku, po trudach i zmianach północy — o tyle strasznym bywa pas, otaczający bezpośrednio równik, a oddzielający północne passaty od południowych. Jest to „pas cisz morskich” („Les calmes” francuzów, „equatorial calms” anglików, „Kalmengürtel” Niemców). Tu panują naprzemian: kilkotygodniowa cisza bez wiatru, bez przewiewu—i najstraszniejsze orkany, jakie zrodzić zdoła przyroda. Pas cisz jest kolebką owych huraganów, cyklonów, tornadów i tajfunów (na oceanie Indyjskim i Spokojnym, głównie na morzu Chińskim), które pokryły już kośćmi i szczątkami okrętów niejedno miejsce dna oceanów. Te straszne walki

odbywają się bez świadków zwykle, nieszczęśliwy okręt ginie prawie nieomylnie w walce z huraganem, a admiralicya lub biuro kompanii notuje w swych księgach po próżnem wyczekiwaniu: „przepadł bez wieści.” Tak zginął między innymi ofiarami wśród oceanu Spokojnego rosyjski kliper wojennej marynarki „Oprycznik.” Admiralicya do dziś dnia, od pół wieku prawie, czeka na jego przybycie, nie mając najmniejszego śladu, lecz zdaje się, iż pochłonął go ocean podczas jednego z owych okropnych przesileń natury, gdyż okręt kupiecki angielski widział właśnie w czasie katastrofy na oceanie Spokojnym wojenny statek rosyjski, ku któremu zbliżał się huragan 24 grudnia, a więc w samą wilię Bożego Narodzenia. Musiała to być dla oficerów i załogi rozpaczliwa wilia.

Orkany te, straszne dla flot, portów i miast, postępują tu w pasie cisz, po linii parabolicznej, w wirowym biegu za północ, rzadko jednakże wykraczają po za zwrotniki, w ich szerokości nawet są już rzadkie. Za to pomiędzy nimi nadmiar działań słońca wysyła takie olbrzymie masy par z oceanu, prądy powietrzne tak gwałownie poruszane bywają, że przesilenia atmosfery następują z potęgą wszystko niszczącą, z okropnością, przed którą truchleje człowiek, kryją się zwierzęta. Deszcze są tu potopami—orkany śmiertelnymi dreszczami przyrody. Niedawno, w 1882 roku, zniszczył huragan całą prawie Manillę, przebiegając lotem pioruna przez wyspy Filipińskie, zaś o deszczach, a raczej ulewach tropikalnych mieszkańce północy wtedy może nabrać pojęcia słabego, gdy zważy, iż siła spadających strumieni wody dziurawi żagle okrętowe, przekształca przez kilka godzin rzeczki małe w rwące potoki.

Czudi znany badacz podróżnik, opisuje jeden z takich deszczów w liście, pisanym z brazylijskiej prowincyi Minas Geraes.

„W przeciągu popołudniowych kilku godzin — pisze podróżnik — spotężniał deszcz do straszliwej ulewy, która trwa-

ła z niesłychaną siłą przez siedm godzin. W licznych mych podróżach widziałem często nadzwyczajne deszcze, lecz trwało to zwykle przez kilka chwil tylko. Nigdy jednakże nie miałem do czynienia z podobnem jak tu zjawiskiem. Po kilku godzinach stało się ono rzeczywiście przerażającym. Przestraszeni mieszkańcy obawiali się o byt swej wioski; z każdej skały laly się potoki wody, potoki, których wielkość i siła rosły z każdą godziną, przesycona ziemia nie była już w stanie wciągać w siebie tyle wody. W mieszkaniu mem— był to najlepszy dom w Capellinie — nie było już suchego miejsca; woda, która wdarła się przez dach, wypływała jako potok drzwiami. Od czasu do czasu oświecała błyskawica ciemne pokoje, podczas gdy piorun zagłuszał na chwilę szumiące strumienie deszczu. Niespokojni oczekiwaliśmy z każdą godziną końca strasznej tej gry przyrody, lecz dopiero około północy przesiliła się burza. Dziś jeszcze myślę z niejakim przerażeniem o niej. Wszystkie nadzwyczajne zjawiska przyrody, przeciw którym człowiek walczyć nie jest w stanie, którym poddać się musi, skazany na bezczynność, wywierają nań nadzwyczaj głębokie, stałe wrażenie. Następnego dnia trudno było poznać wioskę. Jestem przekonany, że obserwacye pluwiometryczne byłyby dały dnia tego takie rezultaty w Capellinie, jakie pozostałyby jedynymi w archiwach meteorologii."

"Łucya" jednakże, Bogu dzięki, nie miała do czynienia z owymi strasznymi burzycielami spokoju żeglugi i oceanów; raz tylko zawiął gorący i ostry harmatan od brzegów afrykańskich. Są to wiatry właściwe tutejszym wodom przybrzeżnym. Około 11-ej przed południem 19 lutego stało się nagle duszno, i niezwykle, oddech tamujące gorąco razilo wszystkich pasażerów okrętu. Niebawem zakolysało się morze siłnie, gładką przed kilku chwilami powierzchnię poruszała nagle niby niewidzialna ręka; z pieniających się fal dwie wpadły na pokład. Lecz nagle jak się stawił, tak też ustał harmatan; przez chwilę szarpał złowrogo za liny, któ-

re szumiały i warczały jak gdyby chciały się porwać, — potem morze wygładzać się poczęło, gorąco ustalo, i okręt, powróciwszy na swoją prawą burzę, dążył w dal jak przedtem. Monotonność żeglugi przerywało zawsze drobne jakie zdarzenie, urozmaicając okrętowy tryb życia. Najczęściej powodem było zjawienie się kolo okrętu mieszkańców morskich lub czatowanie na nich. Znaczną część ranka zajmowała kąpiel a raczej zlewanie się morską wodą, przyczem podróżnicy moi wzajemnie sobie służyli, wołąc ten sposób, niż kauczukową mą wannę. Następnie czytano zwykle lub porządkowano notatki, bawiono się sporządzeniem hamaków, które niestety przy próbie wieczorem zawodziły nadzieje fabrykanta, nie mającego wprawnej ręki majtka, i rwąc się zrzucały go z owocu całodziennnej pracy; to znów zakładano wędki, czatując na bonity i tony. Często łowiący długo czekał na próżno, zawiedziony rzucał wreszcie wędkę i siadał do stołu, nagle ukazuje się zamiast tona drobna srebrzysta rybka. „Pilot, pilot” krzyczy któryś z majtków, wszystko co żyje opuszcza stół, talerze i dąży w oznaczonym kierunku za ster; rzeczywiście płynie tu drobne, zwinne stworzenie, to zóliżając się do wyrzuconych na rekiny przynęt, to oddalając się od nich — w tem znikła! Lecz na jej miejscu ukazuje się w głębi bezkształtna szara masa, poruszająca się to w prawo to w lewo. Podnosi się zwolna, odróżnić można nieforemną głowę, olbrzymią paszczę, niby na gardle umieszczoną; wtem paszcza ta podskakuje po nad powierzchnię i łakomie chwytta jeden z kawałów mięsa, które włoką po wodzie za okrętem ukryte haki.

„Rekin! Harpuna!” — wrywa się naraz ze wszystkich piersi. Stary majtek chwytta za ostre żelazo przyczepione do długiej mocnej liny i staje na burcie za sterem, otoczony widzami. Potwór poczuł już polknięty hak; zdziwiony, czuje się podciągniętym ku burcie, a w chwili, gdy zupełnie jest zbliżony do niej, brodaczn nasz po krzyku „bacznosc!” rzuca z nigdy niechybiającą zręcznością harpunę i wbija ją głębo-

ko w kark znieawidzonego morskiego zbója. Struga krwi farbuje wodę naokoło, zwierzę rzuca się z siłą wścieklej rozpacz, lecz już drugi majtek zarzucił mu pętlę z liny naokoło ciała i razem z brodatym ciągnął go na pokład. Jeżeli harpuna dobrze była rzuconą, wtedy od głównego ostrza odskakuje we wnętrzu zwierzęcia drugie, tworząc z pierwszym krzyż; można więc śmiało ciągnąć za linę białej mocno w kark rekina harpuna bez obawy, iż ta ostatnia wyskoczy. Gdy zwierzę podciągnęli już do burty, dwu majtków niezwłocznie i szybko odrąbuje ogon, bez tego albowiem rekin, którego siła w ogonie jest zdumiewająca, potrzaskałby burt i wszystko, co tyłkoby pod straszny młot ten wpadło. Nawet po odrąbaniu ogona należy się mieć na baczności, widziałem raz, jak jednym uderzeniem złamał resztą swego ogona nogę odważnego majtka, niewierzącego należycie w jego siłę i zbliżającego się do rozbestwionego potworu. To też rekin tak jest nienawidzony przez załogi okrętowe, iż z nieopisaną radością witają jego przybycie na pokład, by zająć się męczeńiem. Zwierzę albowiem posiada nadzwyczajną siłę żywotną, rozcięty i rozplątany — porusza się czasem jeszcze po dwu godzinach.

Na „Łucyi” powitano wciągnięcie rekina również z wielką radością, majtkowie — dla zemsty za starych kolegów, pasażerowie — dla preparownia różnych jego części, jako to: szczęki, skóry ostrej jak pilnik, kości pacierzowej i skrzeli. Zapomniano o obiedzie i wszystkim innem, nawet o zapachu tranowym, który panuje na okręcie długi czas po zabicu rekina.

Takie i tym podobne zajęcia skracają zwykle czas morskich podróży pasażerom i załodze „Łucyi”; najprzyjemniejszemi chwilami jednakże były cudne południowe wieczory pokładowe, gdy gorące, palące promienie słońca ustąpiły miejsca nocnemu chładowi, a ciasne ramy płóciennej markizy — szerokiemu firmamentowi, na którym miryady gwiazd zabłysły spokojnie, unosząc myśli przez daleką at-

mosferę ku prawom tajemniczym, co miejsca i ruchy dyktują.

Noc tropikalnego oceanu—to sen czarodziejski — to wieniec cudów przyrody, na którego wspomnienie wyobraźnia opuszcza najbogatsze palace naszego lądu, dążąc ku owym srebrzystym obszarom bez granic i skazy — świętym, wielkim i wolnym jak wieszczą natchnienie!

ROZDZIAŁ XII.

Łąd! — Charakter zachodnich brzegów Afryki. — Przylądek Monte. — Pierwsza noc przy Afrykańskim brzegu. — Osady i pirogi krajowców.—O krumanach i ich angażowaniu, cechy charakterystyczne, zalety i wady. — Dziwaczne przezwiska. — Rzeczpospolita Liberya—jej początek i historia. — Przybycie do Monrowii. — Przylądek Mesurado. — Krootown.—Natrętni goście.

Dnia 24 lutego ujrzeliśmy wreszcie zachodnie brzegi afrykańskiego łądu. Gdy się obudził, około 5-ej rano, usłyszałem zaraz ów charakterystyczny głuchy szmer fal, bijących o ziemię i zwiastujących bliskość wybrzeża. Równocześnie wszedł do kajuty dyżurny majtek, przynosząc wiadomość od kapitana Boutes, że widać brzegi z lewej burty.

Wyszedłszy na pokład, mogiem rzeczywiście powitać tę Afrykę, do której płynęliśmy; znajdowaliśmy się o kilka staj zaledwie od wybrzeża na wodach Rzeczypospolitej Liberyjskiej.

Widok, jaki przedstawiają te brzegi, jest po większej części bardzo jednostajny: linia żółtawa—to piasek nadbrzeżny, druga, nieco w tył posunięta, ciemno-zielona—to gąszcze lasu dziewiczego; a pod i nad niemi ciemniejsze i jaśniejsze pasy sine—to morze i niebo, tworzące ramy dziwnie prostego pejzażu. Takie mniej więcej wrażenie uderza podróżnika, który się zbliża do brzegów zachodniej Afryki. Tu i owdzie palma, wznosząca swą piękną koronę wyżej nieco po nad ogólną linię gąszczów, lub faktorya samotna wraz z nielicznymi grupami krajowców, snujących się po piasku, ożywiają

jedynie tę monotoność. Tu jednakże ukazał się nam krajobraz w żywszych nieco barwach. Z fal oceanu wznosił się świeży i górzysty przylądek Monte (Cape Mount) pokryty bujną, ku morzu spływającą roślinnością. Ten, następnie przylądek Mesurado, u stóp którego leży stolica tej afrykańskiej rzeczypospolitej, Monrowja, wreszcie przylądek Palmowy (Cape Palmas), stanowią jedyne prawie punkty wyższe, przerywające te wybrzeża aż do kolonii Złotego Brzegu, którą później poznamy.

Sądziłem, że będziemy po południu dnia tego w Monrowii. u pierwszego celu dwutygodniowej żeglugi naszej z Santa-Cruz; około 10-ej z rana jednakże wiatr ustał zupełnie, a „Łucya” stanęła nieruchoma naprzeciwko malowniczego przylądka Monte. Zjawilo się kilku krajowców, przybywających w długim z obu stron ostro zakończonym pirogu (czółnie krajowem), ofiarując usługi pilota do Monrowii, których nie potrzebowaliśmy, mając ścisłe mapy żeglarskie i wiedząc z instrukcyi nawigacyjnych¹⁾ francuskiej admiralicyi, że wpłynięcie do portu Monrowii nie przedstawia żadnej trudności.

Gdy nawet z nadejściem nocy wiatr się nie wzmagał, zarzuciliśmy dla bezpieczeństwa kotwicę. Noc była niezmiernie jasna i pogodna, długo siedzieliśmy na pokładzie, wpatrując się zadumani w brzegi owego lądu, na których kto wie jaki los nam był przeznaczony?

Na wybrzeżu migotały ogniska, poruszające się to w prawo, to w lewo, a od czasu do czasu dolatywały do nas dźwięki bębenków i pieśni, tańczących z luczywami krajowców.

¹⁾ Nadmienić tu wypada, że wszelkie instrukcyje nawigacyjne, tyżące się zachodniego brzegu Afryki, a drukowane przez różne rządy, wymagają ścisłej rewizyi, dając informacje przedawnione niekiedy o kilkadziesiąt nawet lat, t. j. w obecnym czasie wprost fałszywe.

Następnego dnia, 25 lutego — była to niedziela — podniesiono przed wschodem słońca kotwicę; wiatr był znów przychylny i posuwaliśmy się szybko naprzód. Od czasu do czasu zauważyć można było na brzegu wioski krajowców, składające się z chat „bambusowych” — tak przynajmniej zwykle je nazywają, choć drzewo, z którego chaty te są zbudowane, nie jest bynajmniej bambusem. Przed każdą prawie z nich spostrzegliśmy wysoki słup, przedstawiający prawdopodobnie fetysz. Z wiosek tych przyływały ku nam niejednokrotnie pirogi z krajowcami, przywożąc kury lub ryby na sprzedaż, t. j. żądając za nie wódki, tytoniu lub innych przedmiotów; nieraz litość brała, gdy się patrzyło na nadzwyczajne ich wysiłki dopędzenia okrętu, płynącego dość szybko; jeżeli się to udawało, wtedy podawano im linę z pokładu, do której przywiązywali wątle swe czółna, płynąc tak wraz z okrętem dopóty, dopóki nie dobili targu lub — jeżeli żądali za wiele — dopóki ich nie odczepiono.

Przyjrzyjmy się teraz nieco bliżej krajowcom, zamieszkującym w ogóle te brzegi. Ktokolwiek poznał tryb życia w zachodniej Afryce, ten wie jak ważną odgrywają w nim rolę „krumani” czyli właściwie ci krajowcy. Dzielią się oni na liczne szczepy i osady, mające odzielne swe nazwy, jak: Kru, Vhey, Bassa, Grebo i t. p. — dla obcych zaś istnieje dla nich wspólna nazwa krumanów, czyli ludzi z brzegów Kru.

Po zniesieniu niewolnictwa wszystkie faktorye i plantacje europejskie byłyby musiały zwinąć na afrykańskim brzegu swą czynność dla braku robotników, gdyż miejscowi krajowcy nigdzie prawie nie godzą się do pracy. Jedyni krumani ¹⁾ nie stronią od takowej, i od Sierry Leony do Kon-

¹⁾ Dalej na południu, niedaleko od Kongo znajduje się drugie podobne pod tym względem plemię nazwane Kumbinda. Europejczycy tam zamieszkali — głównie portugalczyki — najmują ich również do pracy; nie są oni jednakże tak dobrymi robotnikami jak krumani.

go wszystkie prawie faktorye i plantacye z pomiędzy nich rekrutują robotników.

Werbują ich dla różnych aspirantów i miejsce parowce, obsługujące te brzegi; niech tylko jeden z takich statków stanie przed jakimkolwiek punktem Liberyi, w tej chwili zostaje otoczony przez liczne pirożki nadpływających krumanów. szukających służby, czy to na samym parowcu — gdzie kapitanowie zwykle ich angażują do cięższych robót. by nie narażać białej swej załogi w tym klimacie — czy w faktoryach, w Lagosie, Bonny, Kalabarze, Kamerunie, Cabonie lub w innych punktach. Kapitan przegląda swe notatki, patrząc gdzie przez niego obstalowano krumanów i angażuje takowych. Dawniej krumani godzili się na 3 lub 2 lata, teraz jednakże żaden z nich nie zgadza się na dłuższy termin, jak na rok jeden, po upływie którego najmujący plantator lub agent faktoryi zobowiązany jest odesłać go napowrót do kraju; ułatwiają to te same parowce, biorąc za przewóz każdego krumana w jedną stronę 1½ funta szterlinga. Miesięcznie robotnik taki pobiera od 3 do 5-u dolarów — zależy to od jego wzrostu i siły; niegdyś płacono towarami, przyczem faktorye naturalnie nie małe robiły interesy; w niektórych punktach praktykuje się to jeszcze obecnie; krumani jednakże już są znacznie mędrsi i coraz częściej żądają połowy zapłaty gotówką, czyli jak brzmi kontrakt: „half Cash-half goods.” Godząc się, pobiera każdy kruman zaliczkę w ilości jednomiesięcznej płacy; co do żywności zaś przyjęto raz na zawsze dawać im funt ryżu dziennie w dwóch racyach, dodając do tego w niedzielę mięsa lub ryb. Europejczyk, któryby względem swych krumanów nie dotrzymał któregoś z punktów kontraktu, miałby następnie wielkie trudności przy rekrutowaniu nowych, gdyż, powróciwszy po odbytej służbie do siebie, krumani informują się wzajemnie o „złych panach.”

Ubiór ich jest bardzo różnorodnym; stanowi go bądź kawał płótna, zawieszonogo na około bioder, lub stara ko-

szuła, znoszona przez jakiegoś bylego chlebobawcę, czasem również — stary kapelusz, oprócz licznych obrączek i amuletów.

W służbie i przy robocie kruman jest niezmqczony, ale tylko wtedy, gdy go krótko trzymają; wtedy można z nim po prostu cudów dokonać, przedewszystkiem jednak trzeba mu dawać wszystko, co mu się należy; za wyjątkowo dobrą pracą czasem obdarowywać kieliszkiem rumu lub liściami tytoniu, a gdy cō przeszkobie, bez ceremonii chwytac̄ za bambus. Są oni niezmiernie przywiązani do kraju swego i do takiego stopnia solidarni między sobą, że za nie w świecie kruman nie wyda krumana. Przy tych wszystkich zaletach mają oni też, jak wszystko na świecie, i swoje wady. Jedną z głównych jest niepoohamowany popęd do kradzieży; jeżeli takowa się udała, jeżeli zdolali okraść swego pana umiejętnie i w znacznych rozmiarach, — widzą w tem po prostu czyn bohaterski, choć nie gardzą równie żadną drobnostką. Rzemiosło to wydaje im się tak wygodnem, że przyezazają do niego swe dzieci za młodu i karzą je surowo za nieudane ćwiczenia.

Postać tych murzynów zwraca na siebie uwagę, siłą niejednokrotnie piękną budową ciała; jestto prawdopodobnie najsilniejszy szczep na zachodnim brzegu Afryki. Charakterystycznym znakiem, po którym łatwo poznać każdego krumana, jest skośna kresa na czole ciemno-niebieskiego a czasem czarnego koloru. Kiedy kruman dojdzie do kilku lat wieku, cechują go już tym znakiem: odbywa się to w następujący sposób: Rodzice nacinają mu skórę na czole, po czynając od góry czola do dolka między oczami, częstokroć nawet przedłużają tę linię do końca nosa: następnie każą dziecku palić fajkę napelnioną rośliną kone, która przy paleniu wydziela plyn burego koloru czasem zielonawego; malec przykrywa fajkę ręką, na której zbierze się ów sok, w którym znowu ojciec macza koniec palca i wprowadza go w ranę dziecka. Po zagojeniu pozostaje owa linia ciemno-niebie-

skiego koloru, która „zdobi” czoło każdego krumana. Niektóre z ich plemion wypilowują oprócz tego trójkąty pomiędzy dwoma przednimi zębami górnej szczęki. Tatuowanie to nie razi jednakże tak bardzo, jakby się zdawać mogło, z przyczyny ciemnej cery; przeciwnie, pomiędzy młodymi krumanami napotyka się częstokroć przyjemne bardzo twarze, co się głównie zauważyć daje, gdy się nieco wypaśli w jakiej faktoryi podczas roku kontraktowej służby; u siebie w domu są zwykle chudzi i zgłodniali. Okrągłość form trzyma się ich zwykle bardzo niedługo po ukończeniu służby, wtedy albowiem pakują swe zarobione skrzynki dżynu, paczki tytoniu, kapelusze, koszule kolorowe i pieniądze (jeżeli nie zakupili i za nie podobnych przedmiotów) i powracają na brzegi krumańskie do swych rodzin. Kupują sobie żony, rozdają część swej ehudoby krewnym i spijają się z nimi dopóki nie dochodzą na nowo do biedy i nie są przez to zmuszeni zgodzić się znów do faktoryi. Nazwiska ich własne zdają się Europejczykom zwykle zbyt trudne do spamiętania, każdy więc kruman ma swe angielskie przezwisko, wybierane bądź przez niego samego, bądź też nadane mu przez białego chlebowawcę, który w tym wypadku nie odznacza się najczęściej dowcipem, gdyż trudno znaleźć coś więcej niedorzecznego, nad te przezwiska krumanów; napotyka się prawie zawsze następujące: Blackwill, Scabreeze, Yellowwill, Spidez, Upside Down, Teaspoon-Spyglass i t. p. czyli spolszczone: Czarna Wola, Wiatr Morski, Żółta Wola, Pająk, Do-Góry-Nogami, Łyżka do Herbaty, Spluwaczka etc. Daleko byłoby rozsądniej zachować ich nazwy krajowe, które bynajmniej nie są takie trudne np. Gimdu, Nuba, Ble, Pide, Tung i t. d. Mają rację francuzi mówiąc: „Des goüts et des couleurs il ne faut pas disputer.” Krumani są jednym z bardzo nielicznych szczepów w Afryce, nieholdujących zwyczajowi obrzezania.

Tyle o niecywilizowanych mieszkańcach tych stron.

Rzućmy teraz okiem na kraj, w którym krumani są tubylecami — na Rzeczpospolitą Liberyjską. Co to za Rzeczpospolita, tu w Afryce leżąca, jak ona powstała i jakie są jej historia i położenie obecne.

Czytałem w Europie, przed wyjazdem do Afryki, wiele różnorodnych zdań o ciekawem tem państwie czarnych, starających się żyć na stopie europejskiej lub amerykańskiej raczej, — słowem na stopie świata cywilizowanego. Misyjne raporty wychwalały rezultaty, osiągnięte przez czarne to społeczeństwo, podnosząc je pod niebiosa. R. Oberländer znowu w dziele swem „West Afrika” oraz uczeni inni przedstawili je jako „karykaturę cywilizowanego państwa.” Postanowiłem więc dla wyrobienia sobie własnej opinii o niem, poświęcić o ile możności najwięcej czasu na obcowanie z liberyjczykami, dla poznania wewnętrznych stosunków ich społeczeństwa.

Historja Liberyi jest następująca:

Z początkiem tego wieku rozpoczął się w Ameryce, której dzisiejsza Liberya zawdzięcza swe istnienie, ruch niezwykły pomiędzy licznymi tam znajdującymi się murzynomami. Ruch ten stał się następnie przyczyną ciągłych i długich zaburzeń, aż wreszcie wybuchnął pod postacią krwawych rewolucyj.

Po kilkokrotnych powstaniach ogłosili murzyni niepodległą Rzeczpospolitą na wyspie Haiti. Gdy zaś czarni, przebywający w Stanach Zjednoczonych północnej Ameryki, stawali się przez ciągle rozruchy coraz większym ciężarem dla rządu, zaczęto obradować nad rozstrzygnięciem kwestyi murzyńskiej w Ameryce. Było to rzeczywiście zadanie nielatwe. Po uwolnieniu niewolników, znalazło się w Stanach Zjednoczonych blisko ćwierć miliona czarnego ¹⁾ proletaryatu, niewiedzącego co począć z sobą. Wielu z nich wpadło z cięż-

¹⁾ Należeli do niego murzyni czystej krwi oraz liczni mieszańcy — mulaci najróżnorodniejszych odcieni.

kiego niewolnictwa w drugą krańcowość — w zupełne lenistwo, do którego każdy w ogóle murzyn ma nadzwyczajny pociąg; inni wprost pracy znaleźć sobie nie mogli i izaczęli wkrótce zaludniać więzienia. Sprawilo to, jak zresztą i ich przeszłość niewolnicza, że biali zawsze prawie pomiatali nimi, z drugiej strony znów sami murzyni zaostrozali te stosunki przez pewnego rodzaju arogancyą, do której po polepszeniu swego losu mają wielkie skłonności. Położenie czarnych stało się z tych przyczyn poprostu nieznośnem; po nieudanych więc i nieszczęśliwych powstaniach, wywołanych przez ex-niewolników Denmarka, Veseya i Nat Turnera, powstała wreszcie tak między białymi jak i czarnymi w Stanach Zjednoczonych myśl przesiedlenia tych ostatnich tam, skąd niegdys wywieziono ich praojców, jako niewolników, t. j. do Afryki.

Nie będziemy tu rozbierali kwestyi, czy był to pomysł szczęśliwy, czy nie, gdyż zdaje się, że byłoby to przedwezsnec. Rozpatrzmy tylko przebieg urzeczywistnienia planu, a następnie dotychczasowe rezultaty.

W 1816 r. utworzyło się w Stanach Zjednoczonych towarzystwo pod nazwą „North-American Colonisation Society,” które postanowilo działać łącznie z afrykańskim Instytutem w celu nabycia na zachodnim brzegu Afryki obszaru ziemi i przesiedlenia na takowy czarnych kolonistów z Ameryki. W marcu 1818 r. przybyło też do angielskiej kolonii Sierra-Leone dwu delegatów towarzystwa: Samuel Mills i Ebenezer Burges, duchowni, w celu wyszukania tam, stosownie do zleceń otrzymanych w Ameryce, potrzebnej im ziemi. Gubernator angielski oświadczył jednakże, „że rząd jej królewskiej mości nie może ani uważać za odpowiednie, ani ścierpieć u siebie kolonistów amerykańskich o zupełnie różnych zasadach politycznych.” Wtedy delegaci udali się na wysepkę Sherboro, leżącą nieco na południu od Sierra-Leone, i nabyli tam od krajowców požądany dla nich kawałek ziemi. Wybór ten jednakże okazał się wkrótce bardzo nie-

fortunnym, z emigrujących albowiem już w 1820 r. 88 czarnych kolonistów umarła zaraz czwarta część na febrę tamtejszą; wraz z nimi umarli wszyscy prawie biali, których im dodano na przewodników. W następnym roku 1821 przybył nowy transport pod dowództwem duchownego p. Andrews, lecz i z nich umarła znaczna część wraz z samym p. Andrews. Poznano wtedy w Ameryce, że trzeba się będzie postarać o inny zdrowszy punkt dla przedsięwzięcia. W tym celu wysłany został pod koniec tego samego 1821 r. dr. Ayres, który też przeniósł pozostałych kolonistów z wyspy Sherboro na przylądek Mesurado, gdzie nabył kawał ziemi już 15 grudnia 1821 roku; przesiedlenie zaś nastąpiło w czerwcu 1822 r. Nabyty kraik nazwano Liberyą, a wybudowana u stóp górzystego przylądka osada otrzymała nazwę Monrowia (Monrovia) na cześć rządzącego wtedy prezydenta Stanów Zjednoczonych — Monroe. W tej początkowej swej fazie kolonia miała nie wiele więcej nad 400 kilom. kw. obszaru, na którym każdy kolonista otrzymywał 5 morgów gruntu, żonatym zaś dodawano 2 morgi dla żony i 3 dla dzieci. W roku 1823, po krótkiej bytności w Ameryce, przywiózł Ayres znów przeszło 100 czarnych kolonistów, nieco później zaś w tym roku przybył nowy transport i ludność kolonii zaczęła stopniowo wzrastać. Teraz jednakże rozpoczęły się trudności innego rodzaju: plemiona tubylców, od których Ayres był zakupił początkowe terytorjum Liberyi, zaczęły żalować, że takowe odstąpiły — rozpoczęły się niesnaski między nimi a kolonistami. 11 listopada 1823 r. krajowcy napadli na miasto w liczbie kilkuset i byłoby może kres położyli dalszemu rozwojowi osady, gdyby nie dzielna obrona takowej, prowadzona przez niejakiego Jehudi Ashmun, który był pierwszym prawodawcą Liberyi i pierwszym jej obrońcą. Drugi napad krajowców, którzy w grudniu tego samego roku zjawili się w dwa razy większej liczbie, rozpedził na szczęście amerykański okręt wojenny. Załoga tego ostatniego osłoniła nawet Monrowią rodzajem twierdzy, która też ostatecznie od-

straszyła krajowców. Liberya stanęła teraz pod protektora-tem Stanów Zjednoczonych Ameryki i w następnych latach przybyło znów kilkuset nowych kolonistów z zachodu. W r. 1826 otworzono w Liberyi pierwszą drukarnię, która przy-chodziła w pomoc kościołom i założonym szkołom.

Dnia 26 lipca 1847 r. rząd Stanów Zjednoczonych zwi-nął wreszcie swój protektorat i Liberya ogłosiła się niepodle-łą rzecząpospolitą. Jakkolwiek ta zmiana wbiła liberyjczy-ków w dumę, jestto jednak rzeczą bardzo wątpliwą, czy przyniosła im korzyść, czy nie lepiej byłiby zrobili, pozosta-jąc pod flagą amerykańską; dobrobyt kraju byłby w takim razie o wiele większy, a na zewnątrz zasłaniałaby ich flaga potężnego państwa, zamiast flagi niepodległej Liberyi, której bezsilność dobrze już im się dała we znaki. Pierwszym prezy-dentem rzeczypospolitej Liberyjskiej był mulat p. J. J. Ro-berts, który cieszył się ogólnem poszanowaniem i był wybie-rany kilkakrotnie; po nim nastąpił Stefan Allan Benson, któ-rego przyjmowano w r. 1862 podczas podróży po Europie na różnych dworach.

Powoli terytoryum rzeczypospolitej zaczęło się powięk-szać — bądź przez traktaty, zawarte z krajowcami, bądź dro-gą zdobyczy, tak że w danej chwili należy do niej linia brze-gowa od rzeki Mannah (na północno-zachodzie) do rzeki San-Pedro (liberyjczycy utrzymują nawet, że do rzeki Fresco) na wschodzie. Podzielono kraj cały na 5 prowincyi czyli hrabstw, a mianowicie: Cape Mount, Mesurado, Grand Bassa, Sinoe i Maryland ze stolicą Cape Palmas, drugim miastem kraju po stolicy rzeczypospolitej. Wewnętrzna granicę Liberyi przedstawia mapa rządowa, jako leżącą mniej więcej o sto mil morskich od brzegu.

W r. 1862 Liberya zajęła się badaniem swego kraju; wysłano wtedy Beniamina Andersona w głąb do plemienia Mandingów. Opis tej podróży następnie wydany został pod tytułem: „Narrative of a journey to Musardu, the capital of the Western Mandingoes. By Benjamin Anderson.” Później

poznamy też mapę rządową, zestawioną przez tego czarnego geografa, B. Andersona, a przedstawiającą między innymi linie jego podróży. Ta ostatnia miała dla Liberyi również znaczenie polityczne, gdyż stworzyła pewne stosunki między rzecząpospolitą a Mandingami, których część nawet przyłączyła się wskutek tego do Liberyi, choć władza rzeczypospolitej nad ową częścią kraju Mandingów jest w istocie nominalną.

Drugim mniejszem przedsięwzięciem tego rodzaju (t. j. w celu zbadania nieznanego wnętrza kraju) było wysłanie przez rząd liberyjski mniejszej partii eksploracyjnej pod dowództwem liberyjskiego majora p. Powella (w marcu 1873 r.), jak świadczą akta rządowe, udzielone mi uprzejmie przez pp. Travisa i Grimesa, których poznamy w Monrowii. ¹⁾

Partya ta wysłaną została do wnętrza Grand Bassy dla zbadania skutków wybuchu wulkanicznego, jaki podług doniesienia krajowców miał tam miejsce w 1872 r. w odległości 60 mil na wschód od Ediny, punktu, z którego wyruszyła ekspedycja. Droga jej prowadziła najprzód po rzece św. Jana (St. John's River), następnie przez dwa dni lądem do celu wyprawy. Skonstatowano, że wybuch miał miejsce pomiędzy dwoma łańcuchami pagórków, rozdzielonych strumieniem, a mianowicie z zachodniej strony wschodniego łańcucha, u stóp jednego z jego pagórków, gdzie znaleziono przepaść, spadającą na 400 stóp. Poruszona ziemia zajmowała obszar 16 akrów, krater zaś był o średnicy 150 jardów. Nieopodal od tego miejsca znaleziono, jak twierdzi dokument, wielką ilość magnezyi, a na jednym z pagórków obfite zapasy białego marmuru; jeden z pagórków, stojący w bliskości rzeki St. John, miał przeszło 1,000 stóp wysokości, nieco

¹⁾ P. Message of this Excellency President J. J. Roberts to the legislature. December, 15-th 1873. Monrovia.

dalej zaś na zachodzie, mniej więcej w odległości 15 mil od owego pagórka znaleziono pokłady rudy żelaznej.

W ogóle jednak rząd liberyjski uczynił bardzo niewiele nietylko dla poznania bogatych krain, leżących przy jego wewnętrznych granicach, ale nawet dla zbadania własnego terytorium; można śmiało powiedzieć, że oprócz linii brzegów morskich i wąskiego pasa, wzdłuż niej się ciągnącego, oraz wybrzeży większych rzek, cały kraj jest nieznanym.

W ostatnich latach rozwój rzeczypospolitej liberyjskiej zaczął ciągnąć się bardzo wolnym krokiem. kredyt jej tak moralny jak i materialny upadł znacznie, szczególnie od roku 1872, w którym jeden z prezydentów rzeczypospolitej, Roye, zaciągnął państwową pożyczkę w Anglii, przyczem dopuścił się malwersacyi na 200,000 dolarów, sumy ogromnej w obec szczupłych funduszów kasy liberyjskiej. Złożono go wprawdzie z urzędu i uwięziono w Monrowii, gdzie utonął niedaleko przylądka Mesurado, chcąc się ratować ucieczką i przepłynąć na znajdujący się tam właśnie parowiec z Europy, — lecz kraj miał długie i ciężkie kłopoty z wypłatą tego długu, do którego zresztą wkrótce przyłączyły się i inne. Tak mniej więcej przedstawia się w streszczeniu dotychczasowa historia Liberyi.

Wkrótce zresztą wylądujemy na jej ziemi i poznamy zbliska położenie obecne.

Okolo 10 ej z rana ujrzelismy przeszło 100 stóp wysoki przyladek Mesurado, pokryty również jak i przyladek Monte bujną, ciemną roślinnością, przyciągającą ku sobie żywymi barwami oko podróżnika. Miasta Monrowii nie widać z morza, leży ono ukryte w zieleni z drugiej strony pagórka nad ujściem jednego z ramion rzeki św. Pawła, zwanem Stocton-Creek, naprzeciw ślicznej wysepki, położonej w tem ujściu: Perseverance Island. Na niej to wylądowali koloniści przybywając tu po raz pierwszy. Przed przylądkiem zaś spostrzegamy krajobraz czysto afrykański, a mianowicie szerokie wybrzeże piaszczyste z wielką ilością bambusowych chat,

kilka palm i wyciągniętych na ląd pirogów krajowych, naokoło których przechodzą po piasku ciemne postacie krajowców. Jestto osada tubylców, krumanów—zwana Krootown; a więc podróżnikowi wprzód rzucają się w oczy strzechy pierwszych, dawniejszych mieszkańców kraju, niż domy obecnie rządzących przybyszów, liberyjczyków.

O 11-ej z rana byliśmy na miejscu. Zaledwie spadła kotwica, gdy zostaliśmy otoczeni mnóstwem pirogów krumańskich, z których zręczni wiosłarze niezwłocznie też zjawili się na pokładzie. Z początku nie chciałem ich puścić, oczekując na jakiegoś urzędnika portowego lub szalupę sanitarną, przed przybyciem której nie wolno się właściwie komunikować z kimkolwiek przybywającym z portu; tak przynajmniej bywa w każdym cywilizowanem państwie i tak też opiewały nasze instrukcye nawigacyjne; musiałem jednak przyjść do przekonania, że tu nie dbają o to, co sprawiło na nas pewnego rodzaju niekorzystne wrażenie. Krumanów tymczasem przybywało coraz więcej i wkrótce zalegli cały pokład; jeden miał na sobie starą jakąś flanelową koszulę, inny tylko olbrzymi kapelusz, ten znów kawał płótna związanego naokoło bioder, a starsi i poważniejsi — podszarżane europejskie cylindry lub wypłowiałe resztki jakiego angielskiego mundurku; każdy zaś miał na szyi zawieszoną blaszankę, z której na wyścigi podawał różnego rodzaju świadectwa, ofiarując hałaśliwie i natarczywie swe usługi. Krajowcy ci są niezmiernie bystrzy; instynktem, możnaby powiedzieć — wynajdują w jednej chwili kto dowodzi; to też gdziekolwiek się ruszyłem, miałem za sobą całą bandę. Zgodziłem jednakże tymczasowo tylko jednego, Toma herkulesowej budowy, na czas pobytu naszego w Monrowii, za 2 szylingi dziennie, a na pierwsze zajęcie poleciłem mu wyekspedycować ziomeków swoich z pokładu, gdyż kapitan Boutes, który był już stracił cierpliwość, czuł, jak widziałem, chętkę do wzięcia na pomoc linki okrętowej, co w wolnem i republikańskiem państwie—i to zaraz na wstępie—jakoś nie uchodziło.

Wreszcie byliśmy wolni, spuszczone szalupy i po śniadaniu posłałem nowo najętego Toma do miasta, by odszukał owego p. Travisa i wręczył mu list, otrzymany dla niego w Orotawie od p. Wildpreta wraz z mym biletem, zapytującym, czy może mnie przyjąć, gdy słońce nieco mniej będzie się dawało uczuwać. Szanowny p. Tom nie spieszył się z powrotem i odpowiedzią, sie-dzieliśmy więc na pokładzie pod markizą, delectując się wybornemi teneryfskiemi cygarami i kawą, blisko do 5-ej po południu. Wreszcie murzyn wrócił, przywożąc uprzejme zaproszenie p. Travisa, z którego też zaraz skorzystałem i popłynęliśmy do przystani Monrowii.

ROZDZIAŁ XIII.

W przystani Monrowii.—Faktorye afrykańskie—ich urządzenie i handel zamienny.—P. Travis.—Charakter miasta Monrowii.—Osada Krootown.—Wizyta u prezydenta.—Stan rzeczy w Liberyi.—Europejczycy względem liberyjczyków.

Zwykle przedstawiają się miasta portowe korzystniej z morza, niż w rzeczywistości wyglądają; pewne oddalenie, pewna perspektywa, są najlepszymi dekoratorami; śliczną jest sylwetka Konstantynopola, gdy się patrzy na miasto z wód Bosforu, mniej piękną przedstawia się rzeczywistość dla kroczącego po ulicach, jakiegokolwiek jego dzielnicy. Nawet mała Monrowia czyni na przybywającym od strony rzeki korzystne i malownicze wrażenie, po wylądowaniu jednakże znika takowe zupełnie. Miasto ma około 4,000 mieszkańców przedstawia się jednakże raczej jakby długa rozrzucona wieś. Mimo kilkudziesięciu lat istnienia i zawijających licznych corocznie parowców, niepomyślała nawet municypalność dotychczas o wybudowaniu porządnej przystani; powiedzmy nawet więcej: jakiegokolwiek w ogóle. Wylądowaliśmy więc przed jedną z faktoryi europejskich, mającą swą kamienną przystań prywatną.

Ponieważ to pierwsza faktorya, jaką napotykaemy, musimy objaśnić to słowo, gdyż będziemy często takowe nazywali.

Na wszystkich tych wybrzeżach zauważamy domy, bądź kamienne, bądź drewniane, otoczone magazynami i składami, w których większe firmy portowych miast Europy ma-

ją swych agentów, dla prowadzenia handlu zamiennego z krajowcami. Zarząd takiej faktoryi składa się z głównego agenta, zwykle białego, kilku pomocników, również białych kilku czarnych „clerków” (uczniów kupieckich), oraz pewne ilości krumanów, bednarzy z Accra (Złoty Brzeg) lub Sierra Leony. Biali urzędnicy faktoryi zamieszkują zwykle górny część domu, t. j. piętro faktoryi, parter zaś takowej zawierają najczęściej składy. Ku niemu ciśnie się zwykle garść mularzy, przynoszących swe produkty krajowe, w zamian za importowane artykuły rynków europejskich. Zapas takich obejmuje w sobie najróżniejsze przedmioty: na pierwszym planie stoją wszędzie rum i dżyn, tytoń, sól, tkaniny, proch, fuzye, (najczęściej skałkówki lub stare kapiszonówki), sztaby żelaza, pręty miedziane i mosiężne — po nich następują naczynia fajansowe, kociołki i garnki, długie noże („kotlasy”) wyrabiane specjalnie dla afrykańskiego brzegu paciorki, a w miejscach więcej cywilizowanych jak np. tu — przedmioty galanteryjne, garderoby i prowizye.

Przedmiotami wywozu są na afrykańskim brzegu przede wszystkim: olej palmowy, orzechy palmowe, słoniowa kość, kaur, czuk, kopal, kawa, kakao, pistacje, (arachides francuzów), drzewa farbiarskie, heban, „coprali” (potłuczone kawałki orzecha kokosowego, wysyłane w workach do Europy dla wyrabiania oleju kokosowego) — a w niektórych punktach złoto i srebro.

Na tym handlu zamiennym zarabiają faktorye często kroć kilkaset procentów, europejski artykuł albowiem ocenia się przez takowe podwójnie już po włączeniu kosztów transportu, przytem zapominać nie należy, że krajowcy nie płacą za kupiony przedmiot pieniędzmi, lecz — jak wspominaliśmy — produktami krajowymi, na których znów faktorye zarabia 100 — 200% przyjmując np. wielką beczkę oleju palmowego za 10 funtów szterlingów, podczas gdy wartość takowej na liverpoolskim rynku dochodzi do 25 — 30 funtów szterlingów.

Faktory europejskich posiada Monrowia 3, holenderską, belgijską i niemiecką, które przedstawiają główne tętno handlu Liberyi, mając liczne filie w innych jej punktach, jak np. w Buchanan (stolicy prowincyi Grand-Bassa), Sinoe, Cape Palmes i innych.

Zwiedziwszy faktoryę, przy której wylądowaliśmy i zapoznawszy się z jej agentem, podążyliśmy ku domowi p. Trava, który już był wyszedł naprzeciw nas i przywitał nas po drodze. Był on męszanej krwi i urodzony w Liberyi, studia zaś swe ukończył w Anglii, poczem przez pewien czas był członkiem senatu Liberyi; był to jeden z dość rzadkich wyjątków pod względem charakteru i wewnętrznej wartości cywilizowanego czarnego społeczeństwa, o którym będziemy zresztą później mówili.

Zaszedłszy do jego mieszkania, t. j. do domu jego ciotki, wdowy po zmarłym prezydencie Robertsie, na białej twarzy której nie łatwo było odgadnąć przymieszki krwi murzyńskiej, odpoczęliśmy w nim na chwilę, podziwiając jego wykwintne urządzenie; jest to jeden z najlepszych domów Monrowii i to samo możemy powiedzieć o jego mieszkańcach, reszta bowiem miasta przedstawia się dość smutno. Trzy jego główne ulice wytknięto wprawdzie z początku równoległe również jak i przekątnie, lecz nie myślano bynajmniej o splanowaniu terenu, pozostawiając nawet na nich kawały skał, głazów i pni, bruku zaś nie ma wcale — wszystko porosło wysokim chwastem, przerywając od czasu do czasu koryta wypłukane wodą deszczową—lub—gdy skończyła się pora sucha—przez liczne kałuże. Zdawałoby się mogło, że tych ulic nie używa żadne społeczeństwo ludzkie, a jednak są one w codziennem użyciu 4,000 mieszkańców miasta — niestety zbyt niedbałych i apatycznych. Główne budynki stawiane po części z kamienia i cegły lub drewniane, znajdują się na równoległych głównych „ulicach.” Są to domy konsulów, pani Roberts, dom prezydenta i kilku zamożniejszych liberyczyków, kilka kościołów, należących do najrozmaitszych

sekt, wreszcie „hotel” p. Fullera, liberyjczyka, leżący, na jednej z mniejszych uliczek. Zwracają na siebie uwagę jeszcze dwa budynki rządowe, w których zbierają się corocznie Izby, i w których znajdują się główne biura. Starano się takowym nadać pewien nastrój parlamentarny.

W chwili jednakże, którą opisujemy, miasto nosiło na sobie jakby wyraźne cechy upadku; pomiędzy domami świecily tu i owdzie pustki, w których powstały dzikie gąszcze, a z samych domów niejeden się zapadał lub był opuszczonym. Całość robi przykre wrażenie. W końcu środkowej ulicy prowadzi ścieżka przez głazy i kamienie na szczyt przyładka Mesurado, z którego otwiera się widok na całe miasto; tu znajduje się też latarnia morska Monrowii; światło jej jest jednakże tak słabem, że nie można jej dostrzedz z większej odległości—pałą w niej podobno olej palmowy, lecz co gorsza, nie świeci ona regularnie. W wielkiem zaniedbaniu znajduje się również cmentarz, leżący nieopodal wieży morskiej oraz szubienicy; nie ma on nawet ogrodzenia i niejednokrotnie można się spotkać na nim z krowami, kozami lub nierogacizną, również jak i na ulicach miasta. Spostrzeżenie, że czem bardziej podążamy na południe, tem większą znajdujemy niedbałość w usposobieniu mieszkańców, a które już w Europie wyraźnie zauważamy, stanie się tu najpełniejszym. Trudno sobie zaiste wyobrazić, jak mogą liberyjczycy nie czuć wstrętu do takiego zaniedbania i nieporządku.

Po zwiedzeniu miasta powróciliśmy wraz z oprowadzającym nas p. Travisem do domu p. Roberts, gdzieśmy poznali jej syna, doktora medycyny; o ile się zdaje, jest on jedynym na cały kraj, powracał zaś właśnie z okolic przyładka Monte, w których odbył kilka ekskursyi, i które opisuje jako kraj bogactw mineralnych.

Na cóż się przydadzą te bogactwa, jeżeli panują nad nimi ludzie nie umiejący pracować, nie mogący się wyrwać z tej letargicznej apatyi!

Ponieważ zapowiedzieliśmy na okręcie, że szalupa ma wrócić po nas wieczorem ku wybrzeżom osady Krootown, udaliśmy się więc teraz w tym kierunku i stanęliśmy wkrótce wśród bambusowych chat „niecywilizowanych” mieszkańców kraju—krumanów. Chaty te, były misternie zbudowane z tak zwanego bambusu tutejszego i mat palmowych — każda miała kilka przedziałów, w których zastaliśmy liczne kobiety i dzieci. Przełożony osady nosi oryginalną nazwę: „Two Glasses” (Dwie szklanki) i był przystrojony w dwie koszule, olbrzymi kapelusz i liczne pierścienie; reszta krajowców również jak i kobiety nosiła to koszule flanelowe, to wprost kawałki płótna, zawsze zaś wielką ilość bransoletek i obrączek; dzieci były zupełnie nagie.

Szalupę naszą zauważyliśmy już z daleka; majtkowie wyciągnęli ją na brzeg, czekając naszego przybycia. Zepchnięcie byłoby sprawiło nie małe trudności, z przyczyny znajdujących się w niej 6-ciu pasażerów, lecz wiemy już, że krumani nie stronią od pracy, tem bardziej, gdy jest nadzieja otrzymania podarku za wyświadczoną usługę; na wezwanie więc barczystego naszego Toma przybiegła cała chmara chłopców i przy głośnych okrzykach: „hip, hip, hurra!” zepchnęli łódź wraz z nami na morze.

Następnego dnia czekała mnie czynność bardzo uciążliwa, a mianowicie złożenie wizyt u prezydenta rzeczypospolitej i innych dygnitarzy kraju, u których p. Travis ze zwykłą swą uprzejmością już mnie był zameldował. Jest to ciężkiem zadaniem odbywać oficjalne wizyty, w kostiumie oficjalnym, około południa, pod słońcem prawie równikowem.

Prezydentem rzeczypospolitej był p. Russel, mula!, wysoki starzec o długiej siwej brodzie i tak jasnej cerze, że można go było wziąć za europejczyka. Przyjął mnie w obszernym salonie, przedstawiając członków gabinetu, ministrów, czyli jak ich tu nazywają sekretarzy rzeczypospolitej; było ich 5 ciu, a mianowicie: sekretarz stanu czyli kanclerz — zawiadujący sprawami zagranicznymi, p. Gibson,—sekretarz

skarbu, sekretarz spraw wewnętrznych, zawiadujący również oświatą, sekretarz sprawiedliwości czyli attorney general—bardzo inteligentny i przyjemny p. Grimes — wreszcie sekretarz poczty p. Wiles — wszyscy czarni; oprócz nich zaś był komendant milicyi w okazałym mundurze. Całe zebranie było oprócz tego ostatniego we frakach i białych kamizelkach.

Rozpocząłem rozmowę z prezydentem Russel, objaśniając mu cel naszego przybycia, to jest chęć poznania rzeczywistego stanu Liberyi i wyrażając nadzieję, że znajdę u niego poparcie na terytoryum liberyjskiem. P. Russel zapewnił, że ułatwi nam wszystko, co tylko będzie w jego mocy i chętnie udzieli nam żądanych informacji; następnie skierowałem rozmowę na kwestye bieżące Liberyi. Wrażenie, jakie wyniosłem z takowej było mniej więcej takim samem, z jakim powróciłem dnia poprzedniego na okręt: w rzeczywistej brak inicjatywy i energii do życia czynnego, istnieje ona z dnia na dzień i jak się zdaje, straciła wielką część jej obywateli ufność w jej siłę żywotną i siebie samych obawiając się zawikłania własnych stosunków i spraw, gdyż nikt nie prowadzi ich podług pewnego określonego programu. Tak prezydent Russel jak pan Gibson narzekali na szczupłe fundusze kraju, t. j. na dochody tak małe, że trudno opędzić czasem rzeczywistej swe wydatki. Finanse Liberyi jak zresztą wszystkie jej instytucje są rzeczywiście w stanie oplakanym — przejrzymy to później. Przed pożegnaniem p. Gibson powiedział mi, że główną nadzieją kraju jest rozwijający się przemysł na plantacyach i farmach rzeki św. Pawła (St. Paul's Birez) i że ma nadzieję, iż zwiedzę taką. Postanowiłem też, zaraz następnego dnia to uczynić, by poznać dodatnie strony kraju, ponieważ podług mego przekonania stan jego stolicy i tryb życia w niej panujący przedstawiają tylko strony ujemne.

Po wizycie u prezydenta zwiedziłem biura rządowe, archiwum, dwie szkoły, sąd, pocztę i kilka innych instytucji,

a poznawszy się następnie bliżej z niektórymi z widzianych u prezydenta członków gabinetu, mogłem wejrzeć nieco głębiej i detaliczniej w położenie rzeczy tego kraju.

Wracając wieczorem ku przystani zdarzyło mi się widzieć „wojsko” rzeczypospolitej, którego część ubrano dnia tego w mundury; nie chcę powtarzać wyrazu „karykatura,” którego już tak często używano przy opisach Liberyi, lecz otwarcie mówiąc, wojsko to, było rzeczywiście takową, a co najmniej robiło wrażenie dzieci bawiących się w żołnierzy; część ich była w mundurach, boso, mając karabiny nieczyszczone i różnorodne, inna znów część nie miała wcale munduru ani broni palnej, oficerowie za to, (z których zdaje się żaden nie otrzymał wojskowego wykształcenia) przybrani byli w świecące uniformy, brzęcząc usilnie uderzającymi o kamień pałaszami, z wyrazem twarzy tak wielkiego zadowolenia z siebie, że również jak i ich oryginalne szeregi, pobudzali do uśmiechu.

Pobudza do niego także niejednokrotnie, wystrojona publiczność Monrowii; ostatni dolar musi być wydanym, wszelki sposób robienia długów próbowanym, aby móżdż tyłko paradować jak dandy londyński, co oprócz funduszków nie jest odpowiedniem, ani ze względu na klimat, chwasty i gąszenie monrowijskich „bulwarów.”

Przejrzyjmy teraz w ogóle maszynę rządową Liberyi i istniejące w niej instytucye.

Rząd składa się z dwóch izb, t. j. senatu i izby niższej zbierających się corocznie na obrady; każda prowincya czyli hrabstwo przysyła wtedy wybranych swych posłów. W senacie zasiada pewna ograniczona część liberyjskich nababów, mających wpływy przez swe kapitały; posłowie do izby niższej mają być wybierani większością głosów, w rzeczywistości jednakże wybiera wielką część takowych, również jak się zdaje nacisk, wywierany na korzyść takiej lub innej osoby przez tych samych kapitalistów, gdyż biedniejsi mają prawie zawsze długi u bogatszych i stają się przez to, niejedno-

krotnie zupełnie od nich zależnymi. Wpływ taki zresztą, nie jest tu wywieranym jedynie na jednostki tylko, lecz nawet na całe postanowienia rządu, który nieraz już był winien pewne sumy prywatnym osobom i faktoryom nie mogąc ich spłacić.

Do pewnego czasu zasiadali w izbach tylko liberyjczycy, reprezentanci zaś krajowych plemion czyli „dzikich” nie byli powoływani do głosowania. Od r. 1881 jednakże, wysyła każde plemię krajowców jednego reprezentanta z tytułem delegata plemienia i z prawem głosu we wszystkich kwestiach dotyczących się krajowców wyłącznie¹⁾.

Siła wykonawcza spoczywa w rękach prezydenta wybieranego na dwa lata, a którego gabinet składa się, jak już wspominaliśmy, z 5-ciu tek, t. j. spraw zagranicznych, sprawiedliwości, spraw wewnętrznych, skarbu i poczty. Honorarya tych pierwszych urzędników kraju są bardzo szczupłe; prezydent rzeczypospolitej pobiera 600 dolarów rocznej pensyi, sekretarz stanu 300, również jak i sekretarz skarbu, reszta zaś liberyjskich ministrów pobiera po 200 dolarów, gdy zaś skarb jest pustym, objaśnił mnie jeden z dygnitarzy, w takim razie trzeba na pewien czas stać się wierzycielem takowego, najwyżsi więc urzędnicy, jak np. minister poczty i inni, zajmują się równocześnie handlem i nie jeden podróżnik będzie zdziwiony, gdy po rannej oficjalnej wizycie np. jako ministra, zobaczy takowego po południu, jako gospodarza małego sklepiku, i sprzedającego pudełko zapalek, chustkę do nosa, lub paczkę tytoniu.

Roczne dochody rzeczypospolitej wynoszą zaledwie 60,000 dolarów, oprócz tego posiada Liberya dług stały w Anglii, i niejednokrotnie czasowy w faktoryach. Jakże też ma być inaczej? Rzadko kto chce pracować, choć kraj

¹⁾ Patrz: Acts passed by the Legislature of the Republic of Liberia during the session 1880 — 1881. Printed by Authority. Monrowia. T. W. Howard Printer 1881.

jest tak niezmiernie przez przyrodę udarowany, jedną zaś z ustaw konstytucyjnych jest prawo zabraniające białym posiadać jakąkolwiek własność ziemską na gruncie rzeczypo-
spolitej. Otóż jedna z głównych przeszkód do rozwoju kra-
ju — czarni obywatele po największej części nie mają ani
energii, ani kapitału, nie chcą zaś przypuścić tych do własno-
ści gruntu, pomiędzy którymi znalazłoby się i jedno i drugie,
czując, iż wtedy staliby się proletaryatem Liberyi a nie rzą-
dzącymi.

Pod względem oświaty, będącej pod zarządem sekreta-
rza spraw wewnętrznych, posiadała Liberya w r. 1880 ¹⁾ 43
szkoly rządowe, obsługiwane przez 44 nauczycieli a ucze-
szczane przez 1430 uczniów i uczennic. Podług sprawozda-
nia złożonego przez prezydenta Gardnera ze swej czynności
w grudniu 1880 r., do szkół tych uczęszczała dość znaczna
ilość dzieci krajowych plemion: Golah, Vbey, Dey, Bassa
i Grebo.

Wykształcenie, jakie dają te szkoly, jest naturalnie
elementarnem, lecz można napotkać wielu liberyjczyków pi-
szących dość dobrym stylem i szkoly te byłyby zadawalnia-
jące, gdyby ich uczniowie wychodząc z nich brali się do pra-
cy i stawali się rzemieślnikami bez zarozumiałości i niesto-
sownych pretensyi; jeżeli jednakże pobyt w tych szkołach ma
powodować wytworzenie „kolorowego dżentelmana,” w ta-
kim razie nie odpowiadają one bynajmniej celowi. Oprócz
tych szkół posiada Liberya jeden instytut naukowy wyższy,
nazywający się Liberia College a stojący pod dyrekcją dra
E. Wilmot Blyden, człowieka który jest na swoim miejscu,
który otrzymał staranne wychowanie w Ameryce i tam odbył
swe studia uniwersyteckie. Szkoła ta, którą rząd liberyjski

¹⁾ Patrz: Message of the President of the Republic of
Liberia to the second session of the 17-th legislature, De-
cember 1880. Published by. Authority, Monrowia T. W. Ho-
ward. Printer. 1880.

zajmuje się jako tako; wytworzyła rzeczywiście kilku dość wszechstronnie wykształconych młodych liberyjczyków i jest, zdaje się, na dobrej drodze; obecnie p. Blyden zamierza wyklądać w niej również język arabski ¹⁾, co jest myślą rzeczywiście praktyczną, biorąc pod uwagę, że cała Liberya jest niejako wybrzeżem wielkiej części zachodniego Sudanu, w którym wszędzie panuje język arabski i z którym liberyjczycy — gdyby mieli nieco szersze poglądy i mniej wygórowane aspiracje — powinni zespolić się jak najbliżej. Byłoby to dla nich wielką korzyścią — wyrobiliby sobie wtedy może cywilizację swoją wspólnymi siłami i swymi środkami, a stanęliby zapewne na silniejszych podstawach niż dziś, gdy wszystko u nich jest pożyczane.

Na czele ministeryum sprawiedliwości stał podczas naszego pobytu najbardziej może wykształcony liberyjczyk p. Grimes, który skończył uniwersytet w Anglii; nie wystarczają jednakże jednostki, jeżeli całość jest niedojrzałą i najlepsze dążenia owych, pozostaną niewykonalnymi w społeczeństwie nie dbającym o siebie. Jurysdykcyka więc liberyjska nie była dotąd w stanie wzbudzić wielkiego zaufania, również jak i posiedzenia izb, których sprawozdania ²⁾ zajmują się przeważnie tworzeniem nowych sekt religijnych i dawaniem rozwodów, doprowadzających do koniecznych w tym kraju następstw, t. j. prostytucyi kobiet.

Siłę zbrojną Liberyi mieliśmy już sposobność widzieć przedtem, dodać tylko należy, że armii stałej Liberia nie posiada wcale, lecz każdy mężczyzna od 15—50 lat powinien

¹⁾ Patrz: Theimsa and methods of a liberal education for Africans. Inaugural address delivered by E. Wilmot Blyden L. L. D., President of Liberia College. January 5, 1881. Cambridge, U. S. A. John Wilson et Son 1882.

²⁾ Sprawozdania te wychodzą corocznie jako niewielkie broszurki i zawierają nowe prawa uchwalone przez izby a kompletujące kodeks liberyjski jako: „Acts passed by the legislature of the Republic of Liberia.”

w razie potrzeby stanąć pod bronią; istnieje jednak tak nazywana milicya i częśćka wolontaryuszów, których mundury zauważyliśmy wyżej.

Marynarki nie posiada Liberya obecnie wcale; dawniej miała ona jeden okręt, darowany jej przez Stany Zjednoczone Ameryki, gdy takowy jednakże się rozbił, skasowali marynarkę w zupełności i dziś nie ma nawet okrętów kupieckich liberyjskich, choćby dla obsługi własnych punktów brzegowych.

Flaga liberyjska, którą czasem zauważyć można powiewającą nad latarnią morską na przylądku Mesurado, jest kopią flagi Stanów Zjednoczonych Ameryki, tylko, że zamieniono gwiazdy znajdujące się na polu niebieskiem — księżycem. Co do monety wybija rzeczpospolita liberyjska tylko miedziaki i banknoty papierowe, przyjmąwszy za jednostkę monetarną amerykański dolar, dzielący się na centy; banknoty te jednakże nie mają kursu po za granicami rzeczypospolitej, a w jej obrębie nawet upadła ich wartość do minimum. Natomiast posiada Liberya już order wspinały wraz z gwiazdą i wstęgą, nazywający się „Redemption-Cross”, a noszący napis: „Love of liberty brought us here.”

Oto mniej więcej treść uwag nad Liberyą, jakie skreśliłem podczas pobytu na tych brzegach, a zauważyć mogłem, że zgadzały się one w zupełności z opinią, jaką wyniósł również stąd dzielny mój towarzysz K. Tomczek, obdarzony jasnym i bystrym poglądem na stosunki, które obserwował.

Pod jednym względem jednakże muszę stanąć w obronie liberyjczyków (w których obronie zresztą będziemy mieli sposobność stanąć jeszcze raz na rzece św. Pawła, ukazującej liberyjczyka jako fermera w daleko lepszym świetle, niż jako mieszkańca miasta w Monrowii), a mianowicie pod względem arbitralności, jakich dopuszczają się zwykle europejczycy na tych brzegach. Czując brak sił społecznych czyli bezbronność państwową Liberyi dopuszczają się tak pakboty europejskie, jak i faktorye różnych nadużyć, jak np.

przy odbieraniu i wydawaniu poczty, opłacaniu cła i samowolnem zawijaniu do portów nie otwartych dla handlu.

Przyczyną tego postępowania, a raczej pobudkami do niego jest pewnego rodzaju lekceważenie ze strony europejczyków dla wszystkiego co podchodzi pod rubrykę „coloured gentlemen.” Z daleko większem poważaniem patrzy zwykle europejczyk na przeciętnego mieszkańca centralnego Sudanu, niż na te jednostki, o których nie można powiedzieć, że są dziecy, ani też — najczęściej — że są cywilizowani, które wstydzą się, że są czarnymi, a nie mogą być białymi.

Wróćmy teraz na okręt, by przygotować się do drogi na rzekę św. Pawła, gdzie poznamy lepsze strony Liberyi, t. j. życie jej ferm — jedyną nadzieję na przyszłość.

Było dość późno, gdyśmy stanęli na pokładzie „Łucyi-Małgorzaty;” poleciłem więc zaraz Tomowi przyprowadzić jutro przed wschodem słońca kilku krumanów, by nie narażać naszych majtków na całodzienne wiosłowanie pod gorącymi słonecznymi promieniami tych stron. Wycieczkę obliczyłem na dwa dni, spakowano więc namiot, prowiant i inne części bagażu i byliśmy gotowi do drogi.

ROZDZIAŁ XIV.

Wycieczka na rzekę Św. Pawła — W kriku; brzegi mangrowiowe. — Las dziewiczy; termity i ich budowy. — Ławy aligatorów; znów zmiana sceneryi: farmy i plantacje; przyszłość Liberyi. — Nawracamy. — Plantacya p. Ducoursy. — Kawa. — Plantacya p. Sharpa, trzcina cukrowa. — Wioska Wejów. — Powrót.

Następnego rana, 27 marca, odbiły szalupy nasze przed wschodem słońca od burtu „Łucyi,” by zawinąć do przystani miasta po p. Travisa; i zaledwie pierwsze promienie słońca ozłociły wzgórze Monrowii, gdy staliśmy na umówionem miejscu, czekając na liberyjskiego towarzysza ekskursyi.

Pierwsza szalupa płynęła podemną i miała przyjąć p. Travisa, druga pod K. Tomczekiem zawierała namiot, prowiant, kuchnię i inne potrzebne przedmioty; w nadziei zaś licznej zdobyczy myśliwskiej zabrał każdy z nas dubeltówkę. Lecz oto i on — oczekiwany towarzysz! Szerokim swym słomianym kapeluszem przesłał nam właśnie „dzień dobry” i z zawieszonym przez ramię karabinem kroczy tak żwawo ku szalupie, iż mimowoli nagli nas do pośpiechu. Otóż wsiadł, przywitaliśmy się i naprzód płynie ochoczą załoga „Warszawianki,” wyprzedzającej swą towarzyszkę. Minawszy brzeg morski, wpływamy na szeroki Stocton-Creek, wiodący do rzeki Św. Pawła. Brzegi jego, wynurzające się z blizkiej mgły porannej, tworzą mangrowiowe bagna, napotykanę

zwykle w tych stronach Afryki przy ujściach rzek i w kri-
kach. ¹⁾

Kto nie zna Afryki zachodniej, ten nie może sobie przed-
stawić krajobrazu, jaki przedstawia przestrzeń pokryta mo-
krym tym fantastycznym gąszczem. Są to lawy mułu, two-
rzące dopiero brzegi, na których szare pnie mangrowiów
i blada ich zielen sterczą dziwnie pokręcone we wszystkich
kierunkach. Pnie te jednakże nie wznoszą się wprost z zie-
mi, lecz noszą je powietrzne wysokie korzenie, pomiędzy któ-
re spadają inne, wyrastające z pnia i gałęzi. Wszystko to
razem jako całość przedstawia dla oka dziki, fantastyczny
labirynt, wśród którego — podczas odpływu (zwykle w kri-
kach jeszcze panującego), przewijają się w szlamie i mule,
przez owe pień noszące korzenie—węże, jaszczurki i aligato-
ry, a rozbudzonej imaginacyi zdumionego przybysza zdaje
się, iż widzi jeden z owych odległych peryodów potopowych
i że lada chwila fantastyczna postać isiotaura ukaże się ró-
wnież pomiędzy ohydnyimi mieszkańcami tego dziwnego świa-
ta amfibii.

Wkrótce jednakże zmieniła się panorama, monotonne
mangrowie pozostały za nami i powitały nas lasy dziewicze,
morza świeżej uroczej zieleni: bombaxy, bambusy afrykań-
skie, palmy najróżnorodniejszych rodzajów, powiewne bana-
ny, manguzy, olbrzymie paprocie i złociste ananasy— wszy-
stko poprzeplatane lianami i ożywione barwną, różnokoloro-
wą orkiestrą śpiewaków koron leśnych, witających piękny,
ochoczy poranek.

Od czasu do czasu wystrzał, pochodzący to z jednej, to
z drugiej łodzi, zagłuszał świergot ptactwa i kilkunastu śpie-
waków stoczyło się z wysokiej siedziby. Były to śliczne oka-

¹⁾ Krikiem (creek anglików) nazywa się w Afryce na-
turalny kanał wodny, łączący dwie rzeki lub ramiona rzecznej
deltę. Zachodnie brzegi obfitują głównie w te kriki, często
łączące też rzeki z morzem, jak właśnie tu Stocton-Creek.

zy o niezmiernie żywych barwach. Papugi afrykańskie o popielatych skrzydłach i grzbiecie, białym spodzie i czerwonym ogonie, drobne różnokolorowe „karły,” niby kolibry, świecące wszystkimi barwami tęczy; „król rybaków” wielkości szpaka naszego, a tak zwany przez liberyjczyków (King Fisher) dla swej pełnej lazurowej barwy — wszystko to tworzyło żywy kalejdoskop, zmieniający się nieustannie, a zapraszający co chwila do chwytania za dubeltówkę: nigdy albowiem przedtem ani w Afryce, ani w Europie nie widziałem naraz tyle najrozmaitszego ptactwa.

Słońce tymczasem wzbilo się wyżej i zaczęło przypiekać gorącymi promieniami; na twarzach wioślarzy, jak i w ruchach ich spostrzedz można było zmęczenie, kazałem więc pod płynąć ku brzegowi, w cień, by wypoczęli przez chwil kilka. Olbrzymie drzewo, które rosło niby wywrócone lub wygięte przez kaprys przyrody — tuż nad wodą, służyło za przystań; przywiązaliśmy przy niem łódzie i wdrapawszy się na ląd, wstąpiliśmy do dziewiczego lasu.

Niewstrzymywana tu przez żadne wpływy roślinność, wytryskująca wszędzie z każdego atomu przyrody, rozrastająca się w jeden węzeł, nie przepuszcza nawet promieni słonecznych i pogrążając olbrzymie te przestrzenie w wiecznym zmroku, obejmuje podróżnika z początku niepokojem i tajemniczością. Tajemnicze też światy dokoła! Każdy krzak, każdy pień spruchniały obrośnięty lianami, każde drzewo — zdaje się ukrywać wrogów czyhających w ukryciu; człowiek przejęty majestatem przyrody, czuje się jak dziecko niepełnym swych kroków i obawia się nawet dotknąć się liścia, który mu drogę zasłania. To chrzest lasu dziewiczego! Wkrótce krok staje się pewniejszym, oko łatwiej się orientuje, a wyobraźnia mniej staje się rozgorączkowaną. Syczący wąż nie czyha na podróżnika, jak się to zdaje w Europie, lecz grzejąc się na słońcu, pospiesznie się kryje, skoro tylko usłyszy nadchodzące kroki; to samo i z resztą większych mieszkańców gąszczy, których liczne zastępy ukryte w swych

jarach i łożyskach, śpią leniwie, oczekując nocy dla swych drapieżnych pochodów. Coraz pewniej kroczy podróżnik swą leśną dróżką, aż w końcu czuje się prawie również swobodnym, jak w lasach europejskiej ojczyzny.

To samo wrażenie rysowało się i teraz na twarzach po raz pierwszy wstępujących w lasy egzotyczne, podczas pierwszych kroków naprzód, pośród lianów, gałęzi i paproci. Liczne ananasy czepiały się liśćmi swemi przechodnia—dzicy jednakże byli powydrażali słodkie wnętrza owoców, których skórki tylko leżały dokoła. Krajowcy albowiem mają inny sposób jedzenia ananasu niż my w Europie i — muszę im to przyznać — może racjonalniejszy. Zamiast obierania ananasu i krajania go na kawałki, przyczem zwykle traci się cały sok, wypijają oni takowy, wydrażając mięso we wnętrzu owocu. Mnóstwo mrówek i robactwa rozpoczynało się zagnieźdzać w rozrzuconych lupinach, wskazując przechodniom, jakie ilości owadów ukrywa tu każdy zakątek. Przed krokiem nadchodzącego uciekały tysiące drobnych i większych żyjatek do swych kryjówek, a pomiędzy niemi rysowały się tu i owdzie nieforemne kameleony, najróżniejszych rodzajów jaszczurki, drobne wężyki i olbrzymie pająki, których wstrętne ciała były czasem wielkości kurzego jaja. Wszędzie kipiało życie w pełni i sile.

Postąpiwszy kilkaset kroków w gąszczu, napotkaliśmy stare szczytki opuszczonej chaty murzyńskiej; wśród bambusowych belek porosły były liczne pasożyty, liany oplatały całość, a zwinne jaszczurki kryły się w nich przy naszym zbliżeniu. Jak łatwo wytryska tu zieleń! Lada przedmiot opuszczony przez człowieka i oddany w opiekę przyrodzie, zostaje wkrótce odzianym jej szatami. Czasem przed początkiem pory deszczowej, zwali tornado jednego z zielonych olbrzymów leśnych—pozostał strzaskany pień i zwalone drzewo, które wkrótce zaczyna gnić w wilgoci leśnej, lecz zanim zdola się rozłożyć nieboszczyk, objęły go zielone ramiona nadziei, zawsze młodej bogini afrykańskiej flory. Jakby-

dotknięty jej nieśmiertelnością, pokrywa się on nową zielenią, a po niedługim czasie znajdujemy na miejscu tem samym — wdzięczną zieloną kolumnę i fragment jej, również żyjący u stóp, jakby bukiet rzucony przez tropikalne driady.

Wszystko oplotły liany swemi wiecznymi wieściami. Tak też przedstawiała się opuszczona chata; nie była to ruina — przeciwnie. była to kolebka zieleni.

Wkrótce odkryliśmy przyczynę jej opuszczenia. Niedaleko od chaty, nieco ukryty w zaroślach stał wysoki pagórek termitów, dochodzący do wzrostu człowieka; drobny ten biały wróg ludzkich mieszkań spłoszył widocznie murzyna, który tu był obral sobie siedzibę.

Podziwienia godne te mrówki biało-żółtego koloru, są plagą mieszkańca Afryki ekwatorialnej. Europejczyk, który u siebie zapakował swe rzeczy w drewniane skrzynie lub kufty, i przybywszy tu, postawił je nieszczęsnym trafem w miejscu, w którym żarłoczny owad obral swą siedzibę (choćby to było w magazynie faktoryi), odkryje zapewne z żalem już po dwóch dniach ciężką stratę. Skrzynie będą pokryte długimi liniami, przedstawiającemi się jakby wstęgi z gliny; są to tunele, które legiony tych białych mrówek, niecierpiących światła, zbudowały na swej zdobyczy — może w przeciągu jednej nocy — by pod tem mieszkaniem wkrótce przedrażyć skrzynie i zniszczyć przedmioty (głównie płótna, książki, przedmioty drewniane) w nich zawarte. Częstość stół wstawiony kilka tygodni temu do mieszkania, rozpada się nagle — to termyty; wydrażyły drzewo wewnętrzne, pozostawiając coś, jakby cieniutki futerał formy stołu.

Mrówki te głównie przyciąga miejscowość gliniasta; to też w domkach glinianych ściany pokryte są ich tunelami, a ktoby tylko powiesił tużurek lub parasol na noc na takiej, zauważyłby może już następnego rana, że podobny tunel ciągnie się również i po tużurku, zniszczonym, przedziurawionym do szczytu.

Lecz stokroć ciekawszemi i oryginalniejszemi są budo-

wle innego rodzaju termitów — w lesie. Są to wysokie, nieraz wyższe od człowieka budowle z gliny, przedstawiające się jakby piramidy, ozdobione z różnych stron niby wieżycami gotyckimi. Wnętrze tej misternej budowy przeryniają liczne korytarze i celki, a w pośrodku znajduje się królowa. Otwór i wejście do jej celi jest daleko mniejsze, jakby się zdawać mogło — dla wielkiego jej korpusu; otworem tym jednak królowa weszła do celi — tylko że wtedy był to mały, wąty owadek; następnie się rozrósł, nabral tuszy i jest już więźniem, któremu liczne drobne karawany poddanych obficie dostarczają pokarmu.

Tymczasem wiosłarze wypoczęli — nawróciliśmy więc z krótkiej wędrówki i siedli nazad do łodzi, które też wkrótce wypłynęły na wspaniałe wody rzeki Św. Pawła. Miejsce, w którym krik łączy się z rzeką, przedstawia rozległą powierzchnię wodną, czyniącą wrażenie jeziora. Kilka ław odkrytych przy niskim stanie wody zwykle obierają tu aligatory na miejsce leniwej drzemki pod palącymi promieniami słońca. Podpłynęliśmy ku nim ostrożnie, trzymając karabiny w pogotowiu, lecz niestety, żaden z potworów nie chciał, byśmy go przywitani — nie się nie wynurzało z wody. Podpłynęliśmy więc dalej i znów zmieniła się scenerya brzegowa. Podczas gdy Stocton - Creek przedstawiał po większej części brzegi dziewicze i dzikie, wstąpiliśmy z wpływieniem na rzeczywistą rzekę, w strony noszące więcej śladów cywilizacji. Brzegi rzeki Św. Pawła albowiem okazały się rzeczywiście najważniejszą arterią życia, zaczątkiem siły społecznej i ważnym czynnikiem w skromnych dochodach rzeczypospolitej; lata przyszłe pokażą może, że stąd rozprysnie się widmo niekorzystnych obrazów, jakie przedstawia Monrowia — lepszy rozwój i mocniejsza postawa kraju. Są to albowiem brzegi niezmiernie urodzajne i już pokryte licznymi, okazałymi ponieważ fermami i plautacyami zamożniejszych liberyjczyków; plantują oni przeważnie kawę (a kawa monrowijska już sobie zdobyła pewne stanowisko na targach europejskich),

trzcinę cukrową, z której zaraz na miejscu wyrabiają rafina-
dę cukru i rum. Tu i owdzie pracują parowe prasy cukro-
we na tych brzegach rzeki. Krajobrazy te wynagradzają
podróżnika nieco za nieład, jaki zauważył w samej Monrowii.
Powiedzieliśmy bez ogródki nasze zdanie o tej ostatniej —
bądźmy z drugiej strony sprawiedliwymi dla fermerów z nad
rzeki Św. Pawła! Oby energia amerykańskiej Unii silniej
działała na młodą Liberyę i oby rzeka Św. Pawła kiedyś
współzawodniczyć mogła z dobrobytem na Missisipi. Takie
przebudzenie się Afryki byłoby najwyższą nagrodą i radością
dla tych, którzy poświęcili jej zdrowie swe, przyjaciół, do-
brobyt i życie nawet.

Po wesołym śniadaniu, do którego rozłożyliśmy się obo-
zem na jednym z miejsc wyciętych na lewym brzegu rzeki,
poczęliśmy zwiedzać główne fermy, plantacje i faktorye, na-
leżące do liberyjczyków; p. Travis był nam przytem drogo-
cennym przewodnikiem, gdyż wszędzie go znano, lubiano
i przyjmowano z wielkim szacunkiem.

W trakcie popołudniowych godzin zwiedziliśmy jedną
z faktoryi, należącą do liberyjczyka-mulata. Czyniła ona
dość dobre wrażenie. Nagromadzone towary pochodziły
z rynków Europy lub Ameryki (Liberya wiele importuje z tej
ostatniej), a zaspakajają one potrzeby tak sąsiadów, ferme-
rów, jako też krajowców nieplacących za nie pieniędzmi, jak
już wspominaliśmy, lecz produktami krajowemi, t. j. olejem
palmowym, orzechami olejnymi, skórami małp lub lampartów,
woskiem, miodem, gumą etc. Wchodząc do faktoryi zauwa-
żyłem tytoń, ubrania europejskie, buty, płótna, zapasy żyw-
ności, przedmioty galanteryjne, piśmienne, słowem niemal
wszystko, co główne potrzeby życia zanotować każą kupeco-
wi. Na ścianie zaś jednej wisiała owa mapa Liberyi, o któ-
rej mówiłem, wydana w Monrowii przez rząd, a zestawiona
przez B. Andersona, ¹⁾ czarnego podróżnika, który w r. 1868

¹⁾ Anderson żyje obecnie i mieszka w Monrowii, nie-
stety w biedzie i w smutnym stanie zdrowia.

odbył znaną wyprawę do kraju Mandingów, Musardo i Buley. Mapa, której linia brzegowa i topografia nie odznaczają się wprawdzie ścisłością i pozostawiają wiele do życzenia, jest atoli ważnym dokumentem jako pierwszy okaz kartograficzny, wydany w Rzeczypospolitej Liberyjskiej; daje przytem pogląd chronologiczny co do aneksyi i kupna od krajowców różnych części terenu, tworzącego dziś ziemię Rzeczypospolitej. ¹⁾

Młody albinos, który zastępował właściciela przyjął nas bardzo uprzejmie i oprowadzał po magazynach faktoryi, po zwiedzeniu której puściliśmy się dalej po rzece.

Południowe słońce tymczasem powoli pochylać się zaczęło ku brzegowym lasom i plantacyom i znów zastąpił przyjemny chłód rażący upał dzienny. Jakby żywa panorama przesuwaly się brzegi z prawej i lewej strony, a na nich zawsze te same obiecujące fermy, faktorye i plantacye.

Chętnie byłbym się posunął dalej po rzece, która jakby wstęga szeroka, otwiera wygodną drogę w głąb, czas jednak drogi; nie tu leży nasze pole działania, lecz dalej na południu, więc trzeba się było ograniczyć na 20-milowej wycieczce i nawrócić zanim słońce zajdzie, do poblizkiej plantacyi, należącej do jednego z przyjaciół p. Travisa — plantatora i farmera p. Ducoursey, by tam spędzić noc i jutro z brzaskiem rozpocząć drogę nazad do Monrowii.

Słońce zachodziło. Zmroku tu prawie niema na południu, noc następuje niezwłocznie, a więc spieszyć się trzeba. Silniej też uderzyły wiosła; majtkowie nasi i najęci krumani na wyścigi pracować zaczęli i za chwil kilka stanęliśmy w jednej z największych plantacyi Liberyi.

Z piętrowego przyjemnie i czysto wyglądającego domu o obszernej werendzie wyszedł ku nam gospodarz p. Ducoursey, czarny plantator, zapraszając uprzejmie do siebie na noc.

¹⁾ Mapa ta znajduje się w zbiorach ekspedycyi.

Z wdzięcznością przyjąłem propozycję, lecz zanim wejdziemy do jego wygodnie urządzonego mieszkania, skorzystajmy z ostatnich chwil dnia dla zwiedzenia plantacyi.

Po prawej stronie domu stały zabudowania przeznaczone dla robotników krumanów, oraz wielka murowana platforma, jaką się tu zwykle zauważa; służy ona do suszenia ziarn. Naokoło zaś zabudowań ciągnęły się z jednej strony plantacye kawy, z drugiej rozległe pola trzciny cukrowej, a pomiędzy nimi stały domy zawierające: parową maszynę (lokomobilę), prasę cukrową z kotłami, oraz dystylarnię rumu.

Wszędzie, gdzie pomiędzy zwrotnikami podróżnik napotka plantacye trzciny cukrowej, tam znajdzie on połączone owe dwie gałęzie użytkowania jej: alembik dystylacyjny oraz prasę cukrową. Podczas gdy sok wyciśnięty po wygotowaniu krystalizuje się wprost, dając nieoczyszczony cukier — biorą resztki melasy i wyciśnięte kawały trzciny do alembiku do przedestyłowania. Resztki te dają „rum” anglików, gorszego gatunku, służący do handlu z krajowcami przeważnie.

Głównym artykułem dochodów p. Ducoury jednakże była kawa, której rocznie wysyłał bardzo znaczną ilość.

Poświęćmy kilka chwil temu artykułowi handlu, który dostarcza wszędzie tak powszechnie znanego napoju — stanowczo dziś zaaklimatyzowanego na zachodnim brzegu Afryki, gdzie ożywia on znacznie rynek eksportacyjny Liberyi.

Roślina sadi się najpierw do urządzonego ogrodzenia lub otrzymuje się w niem z ziarna, a gdy podrośnie na tyle, że może bez zbytniego narażenia być rozsadzona na plantacye — wtedy, przed porą deszczową przenoszą młode drzewka, sadząc je w prostych liniach, zwykle o 10 stóp jedną od drugiej. Dopóki drzewka są młode, sadzą częstokroć banana pomiędzy takowe dla ochrony słabych jeszcze roślin; następnie gdy drzewka podrosły, oddalają opiekuńcze krzewy i plantacya przedstawia regularne rzędy zielonych drzew o owalnych, zaostzonych nieco liściach. Właściwej wyłącz-

nej pory, w którejby owoce dojrzewały, niema wcale; na drzewku kawowem zauważa się zwykle równocześnie: kwiaty, owoce zielone i dojrzałe gałki pomarańczowego koloru. Po trzech latach drzewka dają tyle, że oplacają koszta urządzenia, rzeczywiste zaś i wielkie ich zyski rozpoczynają się po pięciu latach.

Owoc przedstawia gałkę wielkości wiśni podługowatej i jakby zrosniętej z dwóch połówek. Rozłupawszy te połówki, zauważa się w każdej jedno ziarno kawowe, które otrzymuje się atoli dopiero po rozbiciu dość twardej skorupki, otaczającej każde ziarno z osobna, a następnie trzeba jeszcze zdjąć trzecią ciekłą powłokę. U p. Ducoursy łupinki te obierali murzyni ręczną pracą, choć istnieją dla zdjecia każdej oddzielne maszyny. Roślina ta, której pierwotną ojczyzną była Arabia, rozplodziła się dziś po całej strefie gorącej. Napotyamy ją tu w Afryce, w Ameryce—przeważnie na wyspach Ameryki środkowej, w Azji—na Ceylonie, Jawie, Sumatrze i na wyspach Filipińskich. Już jednak w proporeyi rozszerzenia się kawy zagraża jej i niejeden wróg, a mianowicie brak rąk hodowli. Azja, posiadająca pracowitego *kuli*, najmniej uczuwa ten brak; lecz tu na afrykańskim wybrzeżu, po zniesieniu niewolnictwa; to samo zaś w Ameryce—wprost niema rąk do pracy. Krajowiec afrykański jest oprócz wspomnianych już kilku plemion i niezliczonych innych, za leniwym—i bez owoców pozostały wszelkie próby, przedsięwzięte w celu użytkowania go do pracy. Liberya, ojczyzna krumanów, najpierwsze zająć może miejsce na wybrzeżu afrykańskim pod względem hodowli kawy; wyspy zaś St. Thomé i Principe w Białofryjskiej zatoce, które posiadały bogate plantacye za czasów niewolnictwa, obecnie chylą się ku upadkowi. Być może, że i tu na zachodnich brzegach Afryki wkrótce zawita *kuli*, jako robotnik — wtedy odżyją te brzegi bogate, dla których nie trzeba nic więcej nad ręce zdolne do pracy.

A teraz zwiedziwszy plantacye i pogawędziwszy o kawie, wejdźmy do domku p. Ducoursy, by poznać mieszkanie plantatora brzegów Św. Pawła. Zauważamy w nim pewien komfort angielski: w pośrodku mieszkalnego pokoju stoi wielki stół okrągły z lampą oraz rozłożonemi na zielonej serwecie książkami i albumami, a rozpatrzywszy się pomiędzy pierwszemi, zauważamy biblię Dorého, Milтона — „Stracony raj,” pięknie ilustrowany; Szekspira, kilka romansów Walter-Scotta itp. Szafka zaś z książkami zawierała dzieła gospodarskie, encyklopedyą, zoologią i kilka tomów dzieł botanicznych. Książki te może spełniały tylko rolę dekoracyi, potrzebnej dla gości, w każdym razie zdziwiły niemało wchodzących do fermy afrykańskiego plantatera.

Przespawszy tu noc spokojnie, ruszyliśmy nazajutrz w drogę powrotną po rzece. Słońce piekło jeszcze goręcej niż dnia zeszłego i z prawdziwą przyjemnością przyjęliśmy nieco przed południem nową propozycyę p. Travisa — zatrzymanie się przy innej jeszcze plantacyi p. Sharpa i zwiedzenia jego pół trzciny cukrowej. Gdyśmy weszli do domu, zauważyłem dwóch malców-mulatów z książeczkami w rękach; uczyli się oni swej lekcyi, a nauczycielem był sam ojciec, p. Sharp. Trudno zapomnieć poczciwego tego kolonistę, skromnego, cichego, lecz dzielnego człowieka. Zacząłem z nim rozmawiać o stosunkach Liberyi i przyszedłem do przekonania, że liberyjczycy-fermerzy z nad Św. Pawła stoją nieskończenie wyżej od swych współobywateli, stanowiących „towarzystwo” stolicy Monrowii.

Zaczęliśmy zwiedzać fermę: przed domem stała zwykła dystylarnia, opodal zaś parowa prasa i kotły cukrowe, a za nią rozległa plantacya trzciny.

Przypatrywaliśmy się wczoraj kawie — zatrzymajmy się dziś przy trzcinie cukrowej.

Jestto może najwdzięczniejszy artykuł dla plantatora — albowiem bardzo niewiele wymagający pracy i zachodów — oprócz kakao, o którym pomówimy później w swoim miejscu.

Przed porą deszczową sadzą kawały trzciny wprost ucięte z jakiej innej plantacyi, poruszywszy nieco przedtem ziemię i sadząc szczepy ukośnie. Po 6 miesiącach już trzcina wyrosła i dziesiątki murzynów z długimi nożami (kotłamsami) ścinają ją i wnoszą pomiędzy walce, wyciskające sok cukrowy. Pozostałe pieńki opalają wraz z pociętymi liśćmi, porozrzucanemi po żniwach na plantacyi, następnie zaś pieńki puszczejają nanowo, które po 6 miesiącach nowe dają żniwo. Tak daje ta sama roślina co 6 miesięcy — przez cztery lata ciągle żniwa bez siewu i dopiero wtedy pole nanowo obsadzić potrzeba. P. Sharp opowiedział nam, iż był rozpoczął z 5 dolarami w kieszeni, z któremi przybył z Ameryki — dziś zaś jestto jeden z najbogatszych i najbardziej poważnych plantatorów i obywateli kraju. Gdyby się więcej znalazło takich Sharpów w Liberyi, chcących pracować — kraj i jego obywatele poważniejsze by sobie już wyrobili stanowisko.

Po gościnnem przyjęciu ze strony pracowitego gospodarza, pożegnaliśmy go i ruszyli w dalszą drogę; jeszcze do szalup posłał za nami dowody swej gościunności, zarzucając je poprostu świeżą trzcina i bananami. Trzcina ta jest niezmiernie soczystą, gasi pragnienie i jest nadzwyczaj pożywną. Często robotnicy przychodzą chudzi i chorowici na plantacye, a przez żucie trzciny cukrowej tak polepszają swą kompleksę, że opuszczają plantacye kompletnie wypasłszy się.

Powrót po rzece Św. Pawła był naturalnie o połowę krótszy niż droga pod prąd i szybko zbliżaliśmy się nazad ku Monrowii. Zanim jednak powróciliśmy do stolicy rzeczypospolitej, wylądowaliśmy raz jeszcze, a to dla zwiedzenia wioski krajowców plemienia Vhey.

Znajdowała się ona tuż przy brzegu w lesie. Kilka glinianych i bambusowych chat, stojących naokoło wyciętego placu, tworzyło całą osadę. W pośrodku stało małe ogrodzenie, jakby klomb, w którym zauważyłem kilka drewnianych fetyszów i postawione im ofiary — platany, trochę jamsu i oleju palmowego. Typ krajowców był zbliżonym do zwy-

kłego typu krumanów, ubiór zaś stanowiła przepaska ze starego kawałka materyi, a na szyi wisiały liczne amulety. Widziałem młodą 12-letnią murzynkę z nowonarodzonym dzieckiem na ręku. Dziecko to miało zaledwie dwa dni, lecz już od 24 godzin matka zwykłem trudniła się zajęciem; trudne to do uwierzenia, jak również i okoliczność, że matki karmią nowonarodzone dzieci zaraz pierwszego dnia nie pierśią wyłącznie, lecz dają im ryżu gotowanego z wodą i to w znacznej ilości. Mimo to, że krajowe dzikie plemiona w ciągłej żyją nieprzyjaźni z liberyjczykami i często napa-
dając na osady kolonistów, przyjęto nas w wiosce Vheyów bardzo przyjaźnie i bez najmniejszych zatargów, a nawet bez zebrany ruszyliśmy dalej.

Księżyc osrebrał już w pełni dachy Monrowii i zręczną sylwetkę „Łucyi,” kołyszącej się spokojnie na falach, gdy wysadziwszy przedtem przyjemnego naszego towarzysza pana Travisa w przystani — stanęliśmy u burtu naszego okrętu. Zmęczeni weszliśmy na pokład — owiało nas miło owem powietrzem domowego progu, jakic owiewa zwykle powracającego do domu z podróży.

Łądowiec przywiązuje się tak do domowego swego ogniska — i marynarz pojmuje go zupełnie, lecz ręczę, że ten nie jest przez niego zrozumianym, gdy powie, że również drogą, droższą jest mu daleko deska ta skrzypiąca, co go niesie przez wody.

— Witaj „Łucyo” kochana! — zawołaliśmy też z Tomczekiem wchodząc na pokład — i za chwil kilka siedzieliśmy znów naokoło stołu kajut-kompanii, przechodząc przy samowarze wrażenia z podróży.

Prezydent Russel i p. Gibson mieli rację: rzeka Św. Pawła przedstawiała rzeczywiście strony dodatnie Liberyi — życzyć w takim razie tej ostatniej wypada, by jak najwięcej jej obywateli garnęło się do rolnictwa, czyli mówiąc stylem tutejszym — do ferm i plantacyi. Wyszliby na tem dobrze moralnie i materyalnie.

ROZDZIAŁ XV.

Obiad u kanclerza rzeczypospolitej.— P. Smith, reprezentant amerykański. — Wyścigi. — Wizyta wieczorna na pokładzie „Łucyi.”—Belgijczycy na łądzie afrykańskim. — Sekty.—Oryginalny napis.—Gimdu i Luis. — Wypłynięcie z Monrowii.—Południowe prowincye Liberyi.—Prowincya Bassa.—Pilot. — Przybycie do Cap Palmas.—Burza. — Miasto, faktorye i monety. — Znajomości zawarte na plantacyi p. Verdier. — Deszcz. — Cywilizowany kacyk Grebo. — Gościnność miasta Cap Palmas.

Po dniu wypoczynku, jaki nastąpił po tej dwudniowej wycieczce, przysłano na okręt bilety p. Gibsona, kanclerza, zapraszające nas na obiad do jego rezydencyi. Zebranie było liczne: prezydent rzeczypospolitej ze swym gabinetem, poseł Stanów Zjednoczonych Ameryki, oraz konsulowie zagraniczni byli obecni i muszę wyrazić w tem miejscu podziękowanie p. Gibsonowi za gościnne przyjęcie, jakiego doznała ekspedycya w Liberyi. Czem jednak grzeszy każde zebranie tutejsze — choć to grzeszki niewinne — jestto nadmierna ilość mów, mówek i toastów, których ostatnie słowo powtarza całe zgromadzenie, jakby uznając je za przykładne orzeczenie; nuży to nieczmiernie, lecz liberyjezycy kontenci, bo mogą popisywać się wyniową.

Po obiedzie p. Gibsona odwiedziliśmy p. Smitha, ministra-rezydenta amerykańskiego, ponieważ zaprosił nas na wyścigi jego szalupy z szalupą niemieckiego konsula. Muszę się zatrzymać na chwil kilka przy osobie tego niebiałego reprezentanta. P. Smith albowiem był czarnym jak heban, lecz dzielny jego charakter i wykształcenie głębokie, jakie

posiadał, wzbudzały już po krótkim poznaniu w każdym głęboki szacunek dla jego osoby; trudno nawet sobie wyobrazić, że p. Smith mógł mieć nieprzyjaciół. Wysoka, baryczysta jego postać i twarz o bystrem, rozumnym, lecz równocześnie i serdecznem spojrzeniu, ujmowała każdego, a przy słowie: „jaki pan, taki kram” sprawdziło się na nim także. Pierwszy rzut oka na gabinet jego, mówi dobrze o właścicielu. Biurko świadczące o pracy, oraz obszerna biblioteka, stoją tu na pierwszym planie, a obok najbliżej go obchodzących licznych tomów „Codexa praw Stanów Zjednoczonych,” zajęli miejsce: Draper, Buckl, Smiles itp. Być może, że ztąd ukaże się kiedyś „Historya Liberyi,” do której p. Smith zbiera materiały, a przy znajomości społeczeństwa, w jakim mieszka obecnie już dość długo, obdarzy on świat naukowy zapewne dziełem poważnem. Chwile zaś wolne od zajęć poświęca p. Smith wycieczkom w łodzi, lub czytaniu nowych wydań księgarskich Europy i Ameryki: Tak był otrzymał właśnie piękne dzieło Ebersa. „Egipt” w przekładzie angielskim. Twierdzeniu więc, że słońce równikowe zabija chęć do zajęć umysłowych, zadaje czarny nasz amerykańsin najzupełniejszy kłam. Do najprzyjemniejszych gawędek z czasu pobytu w Liberyi zaliczę wieczorne rozmowy prowadzone z nim — pięknym przedstawicielem prawdy, iż pod berłem światła rzeczywistego giną w dalekim zmroku przesady i zatrą się duchowe różnice ras. „Jestem czarnym — rzekł raz pewnego p. Smith bez najmniejszej ogródki lub fałszywego wstydu, jaki się tu często z przyczyny koloru napotyka — i wszystko co jest przyjaznem dla praojczyzny mej, Afryki, jest dla mnie naturalnym, droгим przedmiotem przyjaźni. Chciałbym widzieć społeczeństwo to posuwające się naprzód duchowo, do wysokości innych społeczeństw, a za nim podążający cały ten ład dziś ciemny i drzemiący.” Kiedyś będzie Afryka posiadała wielu takich Smithów, których alma mater stałaby na tej ziemi! Czasy to bardzo jeszcze odległe; dziś nawet myśleć o nich nie można.

Lecz siądźmy do szalupy! Amerykańska flaga z niemiecką zrównały się, każda obsadzona 8 silnymi krumanami. Siadłem pod flagą amerykańską i strzeliły łodzie po morzu naokoło przylądka Mesurado; szum fal zagłuszał nawoływania krumanów, napędzające ich do wiosel; lecz napróżno potęgowano wołania w niemieckiej szalupie! Ameryka wygrała! — i jakby w nagrodę rozwiał wiatr wieczorny flagę Stanów Zjednoczonych, a oświetlone fale odbiły gwiazdziste jej pole osrebrzone światłem księżyca. Gdy szalupy znów się zrównały, zaprosiłem obie załogi na pokład „Łucyi-Małgorzaty,” by zmęczonych krumanów posilić szklanką rumu, my zaś z gośćmi zasiadliśmy na pokładzie naokoło stołu, przy kieliszku starej litewskiej starki, podarku hr. Benedykta Tyszkiewicza.

Tak mijał czas w Liberyi, pouczająco i przyjemnie zarazem; wyczekiwaliśmy teraz tylko na parowiec do Europy, by wysłać korespondencye do kraju, a potem w dalszą ruszyć drogę. Wreszeie nadszedł takowy — udałem się na pokład pakbotu, oddałem listy, których spora nazbierała się ilość i już chciałem odpływać, gdy niespodziewanie spostrzegłem znajomego pasażera, przybywającego do Monrowii. Był to generalny konsul belgijski z Santa-Cruz, p. Desguin, wysłany przez rząd swój dla zwiedzenia tych brzegów. Belgijczycy albowiem pod wpływem wielkodusznego króla Leopolda, protegującego tak wzniośle rozwój i badanie afrykańskiego ładu — energicznie biorą się do pracy i właśnie w chwili, którą opisujemy, stał okręt belgijski na kotwicy przed Monrowią, zakładając tu, jako też w innych miejscach brzegowych faktorye. Chciałem zaprosić p. Desguin by zamieszkał na „Łucyi” przez czas jej pobytu przed Monrowią, lecz już był zabrał nam gościa p. Smith, którego dom zawsze jest otwarty dla cudzoziemców.

Czas jednak w dalszą ruszyć drogę! Ostatni dzień pobytu był niedzielnym; a kto zna uciążliwą angielską bigoteryę niedzielną, ten łatwo uformuje sobie pojęcie o liberyjskiej,

gdy powiem, iż jest ona taką samą. W ogóle strona religijna w Liberyi stanowi jedną z ujemnych stron kraju; ja zauważyłem już w rozdziale XIII, że każdy niemal sejm nadaje nowej jakiej sekcji prawa państwowego kościoła. Sekty te częstokroć różnią się drobiazgową, śmieszną jaką bagatelą jedna od drugiej; by zaś zyskać adeptów, nadają prozelitom swym różne ułatwienia i doprowadziły liczbę rozwodów i nieprawych dzieci do przerażających zaiste liczb. To też „biskupi” tych sekt i „meeting-housy” (domy nabożeństw) ich wyrastają jak grzyby na liberyjskiej ziemi. Kaplice te czynią jednak niejednokrotnie wrażenie, przypominające przysłowie „Du sublime au ridicule il n’y a qu’un pas!” Tak zauważyliśmy w jednej z nich następujący charakterystyczny drukowany napis: „No spitting on the floor nor chewing of obacco allowed in the church” (Spluwanie na podłogę, lub żucie tytoniu w kościele jest niedozwolone). Było to w domu nabożeństw „episkopalnych metodystów.” Hymny zaś, panujące w tych przybytkach przesadzonej świątobliwości, nie są bynajmniej budującymi! Kilkanaście czarnych dam, pamiętających założenie Liberyi, oraz tyłuż małych napelnia sale te wtedy przeraźliwym piskiem, mającym się podobać Panu Bogu.

Tymczasem jednakże poskładaliśmy wizyty pożegnalne i kierujemy się do miasta krajowców Krootown, gdzie wola mnie interes. Co rano albowiem zauważyliśmy na okręcie podpływającą małą pirogę, a w niej dwóch zwinnych małych krumanków, przywożących ananasy i orzechy kokosowe na sprzedaż za suchary. Chłopcy ci oświadczyli, że chcą koniecznie wstąpić do służby u mnie — udałem się więc do osady Krootown, gdzie mieszkał ich ojciec i przeszedłszy maństwo bambusowych chatek, odszukałem takowego, by pozyskać jego zezwolenie dla małych i umówić się o ich zapłatę.

— A długo mają tam pozostać synowie moji — zapytał olbrzymi murzyn, gdym mu rzekł po co przyszedłem.

— 12 miesięcy—odparłem, dodając, że dam mu to na piśmie, jeżeli zechce. Tymczasem jednakże nadeszła matka, nieszpeta jeszcze murzynka i stanowczo niedozwoliła na wyjazd chłopców.

— Ha! wtedy ucieknę z białym—dodał jeden z maleców.

Na te słowa barczysty ojciec schwyił непослушnego za ramię, powalił go na ziemię i podnosząc kawał drzewa, byłby uderzył chłopaka, gdybym go nie był powstrzymał.

— A cóż im będziesz płacił? — zawołał stary murzyn, rzucając kłodę i zwracając się do mnie. Dasz im razem dolara na miesiąc?

— Zgoda—odparłem — tę płacę mogą pobierać, a zadatku czyli awansu mogę ci zostawić 4 dolary (8 rs.).

Ta ostatnia propozycya zaraz usunęła trudności i za pół godziny Gimdu i Nuba czyli Luis byli zainstalowani na pokładzie „Łucyi Małgorzaty” do usług przy stole.

Następnego dnia, 5 marca, ze wschodem słońca zaszeleściły łańcuchy kotwic okrętowych, za chwil kilka „Łucya” rozwinęła żagle i powoli malownicze zarysy przylądka Mesurado i dachy Monrowii znikły nam z oczu.

Płynęliśmy wzdłuż liberyjskich brzegów przed prowincjami Bassa i Sinoc do przylądka Palmas, gdzie spodziewałem się zastać listy z Europy. Przy tych właśnie brzegach zatrzymują się zwykle parowce i okręty rekrutujące krumaków; w Bassa, Sinoc, Setra Kroo, Nana-Kroo, Grand Sess, Beribe i w licznych innych. Niezmiernie żyzną i urodzajną jest prowincya Bassa. ¹⁾ Krajowcy hodują tu tytoń, ryż, kawę i trzcinę cukrową, obok zwykłych plantacyi yamsu, koki i bananów; lasy zaś dostarczają znaczną ilość kauczuku, który powoli zaczyna być ważną gałęzią handlu afrykańskiego.

¹⁾ Nazywana też Grand-Bassa. Nie trzeba jednakże kraju tego brać za francuską posiadłość Grand-Bassam, leżącą w pobliżu Assini.

8-go około południa powstał ruch na okręcie — zabito i złowiono rekina. Majtkowie wzięli się niezwłocznie do rozpiatania potwora, członkowie ekspedycyi do preparowania różnych jego części; lecz poznaliśmy już scenę połowu rekina, nie zatrzymujmy się więc, lecz płynemy dalej. Bryza (wiatr panujący około brzegów lądowych) tak jest słabą — że posuwamy się z wolna naprzód, gdyż wypłynęliśmy od dawna po za obręb passatów; wreszcie 9-go wieczorem zbliżamy się do Palmowego Przylądka. Pilot - murzyn, którego wzięliśmy po drodze, gdyż sam podpłynął ku nam na swej wątlej pirodze około osady Sestres, zgodził się za dwie nitki (6 łokci) materyi, 4 główki tytoniu i butelkę wódki, wskazuje nam miejsce do zarzucenia kotwicy, lecz przybycie nasze do Cap-Palmas nie było tak spokojnem, jak przybycie do Monrowii.

Niebo, które już przed wieczorem pokryło się gęstemi chmurami, przeszył nagle piorun, morze się zakolysało, rzucając okrętem na wszystkie strony i wkrótce rozpoczął się dziki koncert w przyrodzie — ryczenie wichru, huki grzmotów i łoskot fal, przerywane rzucaniem się „Lucyi,” której załoga przez całą tę kilkugodzinną walkę żywiołów musiała być na pokładzie, mimo zmęczenia z żeglugi, grunt albowiem w Cap Palmas nie jest zbyt dogodnym dla okrętów i nieraz jedna kotwica nie wytrzyma. Z tego też powodu liczne statki rozbiły się już na wodach Palmowego Przylądka.

Gdy następnego rana słońce oświeciło pogodne znów niebo, zauważyliśmy, iż staliśmy zbyt daleko od miasta; podniesiono więc kotwicę i przybliżyliśmy się do lądu, ponieważ trzeba było tu nabrać świeżych zapasów wody. Następnie spuszczone szalupy i udaliśmy się do miasta.

Cape Palmas, stolica południowa republiki Liberyjskiej, do gubernatora której miałem listy od kanclerza Gibsona — przyjęła nas z równą gościnnością jak Monrowia.

Jestto miasto niewielkie, przeważnie z domów drewnianych budowane, leżące niedaleko od rzeki Cavalla, wrzyna-

iącej się głęboko w ląd. Trzy europejskie faktorye: hollenderska, niemiecka i francuska razem z jedną liberyjską pp. Gill et Comp., dostarczają mieszkańcom potrzebnych towarów europejskich rynków.

Poznawszy się z konsulem francuskim p. Verdier, posiadającym plantacyą kawy o kilka mil od miasta, zostaliśmy przez niego zaproszeni spędzić tam zbliżającą się niedzielę. Droga z miasta do wiejskiej rezydencji p. Verdier była bardzo przyjemną; nad ranem przysłano nam dwukolowe bryczki, zaprzągnięta każda wolem i ruszyliśmy przez wycięte już lasy, na których miejscu dziś ciągną się plantacye. Pod tym względem Cape Palmas stoi wyżej od Monrowii, gdyż tam lasy i gęszcze podchodzą jeszcze pod samo miasto, a dla braku dróg niema tam dotychczas komunikacyi kołowej.

Plantacye p. Verdier okazały się jako rozległe i dobrze pielęgnowane pola kawowe i dzień upłynął szybko—przyjemną też zawarliśmy tu znajomość z młodym, wykształconym francuzem, p. Bretignére, powracającym z Europy, gdzie odpoczywał po małej handlowej eksploracyi krajów Assini i Grand-Bassam; obecnie zaś czekał na odpowiedni parowiec, by znów udać się do Assini, gdzie brat naszego p. Verdier posiada faktoryę, a nieco dalej, w głębi kraju, zakłada olbrzymią nową plantacyę kawy. Po całodzienniej rozmowie z młodym francuzem, poznałem w nim przyjemnego towarzysza podróży, a zaproszony przez niego zwiedzić Assini, zaproponowałem mu nie czekać na parowiec, lecz wyruszyć z nami na „Łucyi.” Plany powzięte bez długich przygotowań—zwykle udają się najlepiej. Prosiłem więc gościa, by stawił się jutro w Cape Palmas i doniósł mi o swej decyzyi.

Tymczasem niebo się zachmurzyło — zbierało się na niepogodę i pożegnawszy gościnnie dom francuza, by jeszcze przed deszczem powrócić do miasta, ruszyliśmy ku brzegowi, napędzając nasze woły jak tylko było można przez plantacye. Deszcz jednakże nie czekał aż będziemy pod dachem

i w połowie drogi zmoczyła nas nagła tropikalna ulewa. Na szczęście znajdował się blisko dom gubernatora—a że znaną nam była uprzejmość jego, podążyliśmy więc ku niemu, szukając schronienia.

Zauważywszy nas, uprzejmy gospodarz niezwłocznie ukazał się we drzwiach i zaprosił do domu. Siedliśmy na przewiewnej werendzie, bez której żaden dom w tych stronach budowanym nie bywa. Często otacza ona kilka stron domu, co najmniej zaś ciągnie się takowa wzdłuż przedniego i tylnego frontonu. Tu, na werendzie przepędza mieszkańiec stron tropikalnych część dnia wolną od zajęć—i postawiwszy na niej kilka wygodnych fotelów maderskich, przywożonych przez parowce z Funchalu na cały brzeg afrykański, oddycha on tu swobodniej niż w dusznych pokojach podczas skwarnych miesięcy pory suchej.

Wkrótce zresztą deszcz ustał i ruszyliśmy dalej do miasta.

Po drodze spotkaliśmy grupę krajowców zajętych tańcami i rozsadzających uszy nasze nadmiernem „tam-tam.” Sądząc, iż uczynią nam przyjemność, uderzyli afrykańscy artyści za naszym zbliżeniem się ze szczególną siłą w swe drewniane instrumenty — wątpię wprawdzie, czy ktokolwiek z nas gustował w tych utworach. Ież co kraj to obyczaj — trzeba było wyrazić swe zadowolenie, rzucić im kilka miedziaków i pójść dalej, gdyż odesłaliśmy nasze powoziki z wółami przybywszy do gubernatora i korzystając z odświeżonego po deszczu powietrza, szliśmy pieszo.

Krajowcy tej prowincyi rzeczypospolitej Liberyjskiej składają się głównie ze szczepu Grebo. Są oni surowych obyczajów i nieco rubaszni w obejściu; co zaś do sposobu życia, obrządków i mowy nie różnią się od ogólnych cech kumanów.

Zauważyliśmy kilku z nich, których cywilizacya wyparła z dziewiczych lasów i posunęła na „kolorowych dżentelmenów,” najczęściej jednak nie na ludzi pracy—lecz na

„misyonarzy” jakiegokolwiek sekty, gdyż to wygodne i łatwe zajęcie. Tak np. siedzieliśmy na obiedzie danym przez byłego mera miasta Cape Palmas, na cześć ekspedycyi—razem przy stole z pewnym naczelnikiem plemienia Grebo, który już nie przedstawiał się bynajmniej jako nagi syn lasów i chat bambusowych. Był on po europejsku ubrany i miał pewne wykształcenie, był nawet „abonentem pisma angielskiego,” jak mi zauważył z pewnem zadowoleniem, choć jeszcze nosił przez czoło wypaloną kresę, znak plemienny, którym go napiętnowali po urodzeniu jego rodzice z gąszczu.

Cape Palmas dawało nam zresztą liczne dowody swej gościnności, ciągle zaś obcowanie z liberyjczykami dozwoliło wytworzyć sobie pewne pojęcie o rzeczywistym stanie tego kraju, który skreśliliśmy w rozdziałach XII i XIII. Gdy już mieliśmy odpływać, czarne damy zapragnęły nawet pobalować z gośćmi. Lecz musieliśmy podziękować za dobre chęci; czas schodzi, trzeba płynąć dalej—podążajmy więc znów na pokład „Łueyi.”

Zanim jednakże ruszymy w drogę i opuścimy ostatecznie brzegi czarnej rzeczypospolitej, musimy jeszcze uczynić kilka uwag tu, jako w miejscu najlepiej ku temu się nadającym.

Zastanawiając się nad tem, jak ostatecznie zapatrywać się na dotychczasowe postępy cywilizacyi między czarną ludnością tego lądu—zapytanie, które nasuwa się niejako samo przez się jako streszczenie obserwacyi czynionych wśród społeczeństwa Liberyi—przychodzi podróżnik do rezultatów niekorzystnych dotychczas dla rasy czarnej, lecz znajduje zarazem część przyczyn takowych w nas białych.

Dotychczasowo przeciętny przedstawiciel rasy czarnej (będący nawet już dość dawno pod wpływem europejskiej lub amerykańskiej cywilizacyi) nie czuje rzeczywistej potrzeby i znaczenia komfortu, jaki wymaga tryb życia naszego, nie ma on albowiem po za sobą takiej przeszłości, która mogłaby być wytworzyć w nim stopniowe o niem pojęcie i odczuwanie potrzeb i wyników takowego.

Ta okoliczność rozwija dwa najwybitniejsze rysy „czarnego obywatela” — lenistwo i niedbałość, z przeciwdziałających zaś czynników znajdujemy rzadko kiedy inne nad próżność, chęć błyszenia i przenoszenia się nad innych. Pierwsze z tych czynników trzymają go uporcezywie w szeregach umysłowego i społecznego proletaryatu, pozbawiają go siły i energii, siły charakteru i szerszych poglądów, w końcu możliwości wyrobienia sobie programu dla swej działalności — ostatnie popychają go wprawdzie czasem do jakiegokolwiek zajęcia (częściej zaś wprost do różnych nadużyć przedsięwziętych w celach zysku) skierowanego do możliwości posiadania środków do błyszczenia — środków przeznaczonych nie tylko dla własnego dobrobytu, ile dla pokazania go innym; rodzą one jednakże w nim nieprzeparty pociąg do naśladowania form Europy i czynią z niego nie cywilizowanego w rzeczywistości obywatela — lecz najczęściej tylko karykaturę.

Ten kto poznaje po raz pierwszy „cywilizowanych czarnych” znanych na brzegach Zachodniej Afryki pod nazwą „coloured gentleman” daje się zwykle łatwo wprowadzać w błąd i nabiera wyobrażenia zbyt wysokiego o wartości rzeczywistej tych „kolorowych dżentelmenów;” po dłuższej obserwacji i bliższem ich poznaniu sympatya ta stygnie znacznie i pa-trzy się na każdego z nich z uzasadnionym sceptycyzmem.

Naturalnie napotkaliśmy i napotka podróżnik zawsze przyjemne wyjątki — postaramy się też w następnych rozdziałach zawsze takowe przedstawiać; w tem miejscu jednakże zastanawiamy się nad przeciętnym „cywilizowanym czarnym obywatelem” i nie mogą inaczej powiedzieć, poznawszy następnie bardzo wielu z nich i obcowawszy z niektórymi przez całe miesiące (mieszkając niejednokrotnie i żyjąc z nimi) — że napotykając „kolorowego dżentelmana” można spodziewać się w nim wszelkich niedobrych skłonności, które mogą go lada chwila posunąć do nadużyć i występków, gdy zdarzy się ku temu sposobność — rzadko zaś coś rzeczywiście i stale dobrego.

Każda prawie z tych jednostek jest materyalna do najwyższego stopnia, dla służby swej jest bezwzględna i często-kroć niezmiernie okrutną — żywiąc ją zawsze w sposób jak najlichszy, prawie niemożliwy do zachowania zdrowia, by na wszystkim zyskać dla siebie najtańszym kosztem. Dla pieniędzy albowiem poświęca się tu prawie wszelkie inne uczucia, które w ogóle leniwo i rzadko kielkują w tych naturach.

Poznałem później u Fernando-Poo „kolorową lady,” która kijem zabiła młodą dziewczynę, będącą potajemnie jej niewolnicą i nie mogącą lub niechęcą tyle pracować, ile jej pani wymagała, ta sama „obywatelka” wyludziwszy korzystny bardzo testament na bogatym jej mężu, który wkrótce zachorował, nie dozwoliła, by sprowadzono lekarza mimo jego prośb i nalegań — dopóki nie przeniósł się na tamten świat. Do jakiego stopnia zaś dochodzi demoralizacya kobiet, o tem trudno byłoby pisać. Pod względem okrucieństwa i demoralizacyi — można tu spostrzedz niekiedy dziwne, potworne zaiste przykłady! Niedawno wyszły w Anglii drukiem akta sądowe przedstawiające proces kryminalny wytoczony, czarnym misyonarzom jednej z przeróżnych sekt angielskich o oburzające nadużycia i pastwienie się nad młodemi murzynkami w miejscowości Quinteha nad Nigrem. Akta te odsłaniają po prostu horrenda!

Mimowoli nasuwa się teraz pytanie: dlaczego dały dotychczasowe próby cywilizacyjne w zachodniej Afryce tak smutne rezultaty?

Zdaje się, że Europejczycy są w wielkiej części sami temu winni — a mianowicie pewne poglądy fałszywej filantropii, pochodzącej z Exeta Hall w Londynie, która wyrządziła więcej szkody postępowi afrykańskiej rasy niż ktokolwiek nieznający tych stosunków przypuści — włączając samych owych filantropów.

Zamiast zapatrywać się na czarnych mieszkańców afrykańskiego lądu jak na wielkie dzieci, rozwojem których z tego stanowiska jedynie kierować wypada, głoszono im u-

stawicznie, że mają równe z europejczykami prawo i że na równi z nimi traktowani być powinni, toby powiedział dziecku, że ma równe z dorosłymi prawa i że na równi z niem jest uważanem — ten zapewne usłyszałby od malca przedewszystkiem uwagę, że w takim razie do szkoły chodzić nie potrzebuje — i że powinien to i owo posiadać — obowiązków wypadających mu jednakże z tej roli nie znałby wcale. Otrzymałimalibyśmy natura lnie karykaturę, w której wkrótce rozwinęłyby się wszystkie złe jej skłonności. Zupełnie tak postępowano zwykle dotychczas z dziecięcą czarną rasą! Nie czekając dopóki wieki *wyrobiją ją* stopniowo i podniosą — zepsuta przesadzona filantropia tysiące tych jednostek zaraz na wstępie zepsuła przez nagłe wysuwanie ich do śmiesznych częstokroć ról i aspiracyi.

Wykonawcami tych idei byli misyonarze licznych sekt angielskich, którzy — nawiasem mówiąc — są jedną z najnieznośniejszych plag Afryki. Gdyby ci czcigodni panowie o twarzy wiecznie uśmiechniętej byli pozostali w Anglii, którą prawdopodobnie opuścili dlatego, że nie umieli zająć się tam pożytecznie, byłiby zapewne oddali ważną przysługę Afryce, w której gdzie tylko się pojawili tam rozwinęli lenistwo i stworzyli owe jednostki spaczne, o których mówiliśmy wyżej ¹⁾.

Liberyjczycy — cokolwiek o nich mówią — należą jednak do lepszych przedstawicieli takowych — są oni leniwi, niedbali, mają naturalnie zwykłą chęć błyszczenia, lecz nie mają

¹⁾ Ktokolwiek poznał tych „misionarzy” jest mniej więcej tego zdania. Oto co pisze A. Lanchier, który był ze mną przez kilka miesięcy w Kamerunie: „Ces missionnaires fanatiques, qui sous prétexte de tempérance et d’humanité, mettent des entraves à la liberté qu’ils osent invoquer dans leurs fastiveux sermons, sont, avec juste raison laissés de côté par les gens sensés, et les négociants s’établissent à quelques milles de distance.” p. M. A. Lanchier, les riches africaines, Paris, 5 Rue Jacob, Challamel aîné 1886.

owego otwartego pociągu do nadużyć, jaki stał się główną cechą innych reprezentantów tej kategorii czarnych.

Dopiero w angielskiej kolonii Sierra Leone i w Lagos rażą typy podobne szczególnie przybysza. Nadano albowiem tamtejszym obywatelom takie prawa i swobody, że dziś dla białego pobyt pomiędzy Sierraleończykami, (którzy wyrobili sobie zresztą na całym brzegu najgorszą reputację pod każdym względem), staje się po prostu niezdolnym. Między innymi np, zdarzają się tam jednostki zarabiające sobie w następujący sposób od czasu do czasu pieniądze; czarny dżentelman w tużurku i krawacie naumyślnie zaczepia europejczyka, i niecierpliwie godopóty swą arogancją, dopóki ten ostatni nie chwyci za laskę lub parasol. Tego zaś tylko czekał czarny elegant — niezwłocznie udaje się na skargę za uderzenie jedno lub kilka, i otrzymuje za każde pewną sumę, na zapłacenie której europejczyk zostaje skazanym. Co do sposobów wyzyskiwania ludzi, cywilizacja dała Sierraleończykom i licznym innym „kolorowym dżentelmenom” rzeczywiście najróżniejsze pomysły ¹⁾.

W końcu jako rezultat tych spostrzeżeń, muszę twierdzić z niejednym innym znającym te stosunki i — wbrew wszystkim pięknym frazesom, jakimi przepelnione są zwykle raporta angielskich misjonarzy, że daleko więcej jest warta i bezwarunkowo więcej nadziei wzbudza własna cywilizacja państw centralnego Sudanu, jak np. Sokoto, Bornu, Bagirmi i inne, niż ta, którą dano owym społeczeństwom czarnym paradyującym w europejskich tużurkach i krawatach.

¹⁾ Wygłównione i przesadzone popędy filantropów angielskich zagrażały nawet przez pewien czas w kolonii Sierra Leone bezpieczeństwu białych. Nadano albowiem Sierraleończykom prawa sędziów przysięgli, przyczem zdarzało się, że czarni sędziowie przysięgli uniewinniali czarnych rozmyślnych morderców, którzy sami się przyznali do winy. Dopiero gdy fakta takie przekroczyły granice zdrowego rozsądku i powtarzały się zbyt często pozbawiono czarnych owego urzędu.

Tamte podnoszą stopniowo to co swoje, dążąc do rozwoju — te naśladowają tylko formy cudzych instytucji i zwyczajów; tamte zadziwiają przybysza do pewnego stopnia swym samoistnym postępem cywilizacji — mającym prawo żądać pobłażliwości — te mimowoli niejako pobudzają go do śmiechu i pewnego lekceważenia.

Oto mniej więcej wrażenie, jakiego doznaje podróżnik, patrząc na dotychczasowe rezultaty rozwoju osiągnięte wśród czarnych mieszkańców tych brzegów.

ROZDZIAŁ XVI.

Wypłynięcie z Cap Palmas.—Pożegnania.—Południowa granica Liberyi.—Noce pod niebem tropikalnem.—O mały włos w barze.—Bary afrykańskie. — Hegemonia wpływów angielskich. — Próbka anglo-afrykańskiego żargonu. — Królestwo Assini.—Na kotwicy w Assini.—Trudna przeprawa na ląd. — Przywitanie w francuskiej faktoryi. — Kąpiel upragniona i przymusowa. — Ulewa. — Wyjazd po rzece Assinijskiej do króla Amatifu.

Pan Bretignère zdecydował się jechać z nami, — dobyto więc mapy brzegów Assini, by w oznaczony dzień wypłynąć.

Z francuskim gościem przybył w przeddzień odjazdu na pokład jego towarzysz podróży pan Sion jadący do Assini, jako pomocnik agenta faktoryi domu Verdier z La Rochelle. Niestety od pierwszego kroku uczynionego na pokładzie opanował ich Neptun z bezwzględna surowością i trzymał ich ciągle, głównie zaś pierwszego, w kajdanach choroby morskiej. Z miasta przybył, odprowadzając nas, też jeden z agentów faktoryi p. Rine, który nas był przyjmował ze szczerą gościnnością u siebie podczas pobytu w Cap Palmas. Serdeczny cudzoziemiec przynosił nam 2 młodziutkie aligatory w alkoholu oraz kilka skór małpich i aligatorów; chcieliśmy się pożegnać przy szklance groku na okręcie — ale i on — zaledwie stanął na pokładzie — poddać się musiał tyranii bożka morskiego i spieszył się opuścić obcy mu żywioł. Tak to często bywa! Marynarz pragnąłby niejednokrotnie ze szczerego serca przyjąć jak najlepiej u siebie przybywającego gościa z lądu, lecz ten mimowoli zaledwie przybył — już zaczyna przeklinać ruchome progi gospodarza!

Następnego dnia, 14-go rano podnieśliśmy kotwicę i rzekli do widzenia lub może adio Liberyi. Wkrótce mi- nięto ujście rzeki Fresco; granicę południową Rzeczypospoli- tej i płynęliśmy wzdłuż opuszczonych, choć do Francyi zali- czanych brzegów Grand Basam i Assini, z których ostatnie— pod względem etnograficznym—już są częścią kraju Aszanti. Dynastia też krajowa panująca w Assini—Amatifilu — jest spokrewnioną z dynastją Aszantyjską, choć ta poddała się wpływowi angielskim—tamta zaś francuskim.

Dnie były niezmiernie gorące, życie więc okrętowe, po- szło owym powolnym flegmatycznym trybem, który chara- kteryzuje strony podzwrotnikowe. Kajutkompania stała na- turalnie pusta—całodzienne pożycie odbywało się na pokła- dzie; tu zastawiono stół, czytano, gawędzono lub odbywano siestę. Byliśmy w 4-ch stopniach północnej szerokości—pas passatów się skończył a przeto i „Lucya” przyjęła powolność południową i tylko bryzy (wiatry z lądu) odświeżając cały pokład, posuwały ją zwolna naprzód na wschód.

Za to noce były czarujące i jak we dnie tak i wtedy był pokład zaludnionym, gdyż oprócz jednego wszyscy pasa- żerowie i załoga przenieśli tu swe materace i spali na świe- żem powietrzu z tą ufnością w czuwanie Opatrzności, która podróżnikowi w pewnym stopniu jest niezbędną, a bez której staje się on wprost nieszczęśliwym, wiecznie zatrwożonym człowiekiem.

Pewnej nocy śpiąc na pokładzie obok Brelignéra —ka- pitan Boutes trzymał wartę — usłyszałem nagle, budząc się, szum podczas tych cichych pięknych nocy. Zerwałem się i—Bogu dzięki, że było dość wcześnie — kazałem ster prze-łożyć na drugi bort. Sterujący Guedeau, podczas gdy Bou- tes zeszedł na dół na chwilę dla konsultacyi mapy, bądź z nieuwagi, bądź ze złej woli -- gdyż został za przewinienie zdegradowanym w Santa Cruz—sterował tuż w brzeg, które- go uczynialiśmy się tak blisko, jak tylko bezpieczeństwo do- zwalało, by poznać jego charakter i już—już znajdowaliśmy y

się w barze Grand Bassamu, najgorszej niemal na całym brzegu, a która by była zapewne nie wypuściła nas cało kilka minut później. Już przy Monrowii zapoznaliśmy się z tą plagą afrykańskiego brzegu, którą nazwano „the bar,” „la barre,” „die Barre”—a więc powiedzmy „bara” po polsku. Jest to wysoki wał wodny, z daleka nadpływająca fala oceanu, która nagle znajdując się w obec płaskiego brzegu łąmie się, podczas gdy już nadchodzi druga, trzecia i t. d. Taki pas nadchodzących grzebieni wodnych, częstokroć wysokich jak ściana piętrowa, ciągnie się po całym wybrzeżu a najgorsze bary znajdują się: w Grand-Bassam, Assini, Accrah, oraz w Lagos. Gdyby więc sternik przez chwilę choć jeszcze był pozostawiony sobie samemu bylibyśmy prawdopodobnie ponieśli nieszczęście fatalne dla ekspedycji.

Dzięki Bogu przełożono ster dość wcześnie, zmieniono sternika i znów uspokoiło się na pokładzie, osoby wolne od czuwania powróciły w objęcia snu. Odtąd jednakże miałem czujniejsze oko na olbrzymiego Guedau.

Przez dnię następne nawiedzały nas często pirogi murzyńskie przybywające do burt; zwykle podawano im linę z pokładu, której się czepiali, płynąc przez jaki kwadrans w taki sposób razem z okrętem, a przez ten czas jeden z czarnych przybywał na pokład z kurą, rybami lub pękiem plantanów ¹⁾ lub bananów, by je zamienić na suchary, wódkę lub tytoń. Każdy z nich umiał choć kilka słów po angielsku, jakkolwiek byliśmy u wybrzeży, które francuzi uważają za swoje. W ogóle językami cywilizowanej Afryki t. j. językami pośredniczącymi między europejczykami a krajowcami są przeważnie angielski lub portugalski, częstokroć nawet w koloniach należących do innych narodowości, jak np. tu. Sprawiają to liczne angielskie okręty i parowce, które wyłącznie

¹⁾ Plantan — rodzaj banana niesłodkiego; zwykła jarzyna krajowców do mięsa lub ryby, gotowana najczęściej w oleju palmowym i silnie zaprawione pieprzem.

prawie (w ostatnim czasie konkuruje z nimi kilka niemieckich) zaopatrują punkta brzegowe w potrzeby i łączą je ze światem cywilizowanym. Portugalczycy zaś w pewnych częściach—dalej na południe zbyt dawno kraj w ręku swem mieli by nie nadać mu swego języka.

Mają oni też swą linię parowców, która nawet jest najszybszą komunikacją między Lizboną, Maderą, Wyspami Zielonego Przylądka, Sao Thomé i Loandą. Francuskie pakboty kursują tylko do Senegalu, cała zaś przestrzeń północna zatoki Gwinejskiej przyjmuje i wysyła przez dwa towarzystwa angielskie: „British and African Steam Navigation Company” i „African Steam Shipp-Company” kursujące z Liverpoolu. W nowszych czasach kursują z Hamburga niemieckie parowce—dla pasażerów zresztą bardzo niewygodne — lecz wpływ angielskich zadawny i stosunek liczbowy za nierówny, by ostatnie mogły aklimatyzować swój język. Najczęściej więc faktorye angielskie czy nieangielskie na wolnym lub państwa jakiego brzegu używają języka angielskiego lub portugalskiego do porozumienia się z czarnym, prawda że to rodzaj angielszczyzny, której i Anglicy dopiero przybywając na brzeg afrykański — uczyć się muszą. Dla znających język angielski, podam tu kilka próbek tak np.: „Jou sàve” (czyt. podług wymowy polskiej sawe) „dem palàver?” zamiast: you know that question? Dalej: „Jou be man for dem town?” zamiast: „you are from this town;” albo: „he go chop'em”, zamiast: „he will eat it.”

Oto główny charakter żargonu brzegowego, który Anglicy nazwali Nigger-English; każda miejscowość z osobna zaś dodaje do tego swe indywidualne dodatki, co sprawia, że przybywający świeżo Anglik nawet nie rozumie z początku mówiącego doń „po angielsku murzyna.”

Francuzi starają się konkurować co do wpływu swego języka, lecz dotychczas osiągli to tylko częściowo w Senegalu i Gabonie, nie może też być inaczej, jeżeli zważymy, że nawet kolonia Gabon oddawna francuska posiadłość, do dzisiaj

nie jest połączona linią własną z metropolą; pomiędzy Europą a Gabonem pośredniczą parowce angielskie, portugalskie i niemieckie.

Lecz otóż zbliżamy się do Assini. O kilka mil na wschód od ujścia rzeki tegoż imienia zauważamy trzy drewniane domki—są to wszystko, co posiada brzeg ten ze śladów życia Europy — 3 faktorye: 2 angielskie i 1 francuska. Ale gdzież forte Joville i Nemours, o których głosi mapa? Nie ma żadnych fortów, nawet ślady porosły lasem, a dziś oprócz jednego francuza, kupca, pana Roy, agenta francuskiej faktoryi nie ma tu żadnej białej francuskiej narodowości. Dziś Assini przedstawia brzeg zarośnięty lasem dziewiczym, a wśród którego 3 faktorye zamieniają europejskie towary na pepity lub piasek złota rodzimego i olej palmowy.

Kiedyś jednak było tu inaczej! Po zajęciu kraju w 1842 r. przez Bouet-Villaumera urządzono tu koszary i forte, utrzymywano komendanta kraju z dość licznym sztabem i garnizonem, lecz kraj to niski, brzeg piaszczysty, tu i owdzie rozpościerają się bagna, bara także przedstawia trudności przy wylądowywaniu—więc kolonia się nie podnosiła, przeciwnie upadała. Po nieszczęśliwej więc dla Francyi wojnie 1870—71 zwinęła rzeczpospolita forte i koszary, odwołała komendanta i garnizon—a miejsce pozostało na opatrności krajowców—Francya zaś tylko zagwarantowała sobie prawo zwierzchnictwa nad Assini i Grand-Bassamem. Nie więc dziwnego, że po 12 latach tropikalna przyroda nie pozostawiła i śladu fortów, koszar lub w ogóle mieszkań europejskich.

Słońce już zbliżało się do horyzontu, gdyśmy stanęli na kotwicy. Na morzu stał tu niewielki żaglowiec domu Verdier „Pandora” pod flagą francuską—a na pokładzie jej powstał huczny okrzyk hurra! gdy spostrzegli znajomego im pana Brétignera.

Jak większa część okrętów w tych stronach miała „Pandora” czarną załogę oprócz kapitana i botsmana.

Podnieśliśmy sygnał stosujący się do francuskiej faktory: „Avez vous embarcation disponible?” i wkrótce widzieliśmy odbijającą od burtu „Pandory” szalupę, która przybyła po nas porozumiawszy się z faktoryą. Powierzyłem więc „Łucyę” pieczy kapitana Boutes i przyjmując teraz zaproszenie naszych gości przybywających w swoje progi — siedliśmy do silnej balenjery i podążyli ku lądowi. Lecz kto w Assini chce wstąpić na ląd, ten musi wziąć los na loteryą, jaką tam trzyma od wieków Neptun, to jest zgodzić się na 50% prawdopodobieństwa, że szczęśliwie nie przepłynie przez barę i że zostanie wyłowionym na ląd przez murzyna po przymusowej kąpieli.

— Jakże dziś barra? — zapytał się p. Bretignére, wsiadając do łodzi przybyłego kapitana „Pandory.”

— Spokojna nadzwyczaj; szczęśliwego przepłynięcia, panowie! — odparł francuz i ruszyliśmy od burtu „Łucyi,” dążąc ku lądowi.

Zwolna choć silnie uderzali z początku czarni wiosłarze swemi ostro zakończonemi wiosłami, możnaby raczej powiedzieć, że wbijali je w wodę, gdyż murzyn trzyma swą „pagaję” prostopadle i z góry wpuszcza ją silnie w fale, odgarniając je nazad. Przyjrzałem się temu szczepowi. Nie bez słuszności nazwali go apollińskim; rzeczywiście są to postacie piękne o regularnych rysach twarzy, nieco zmysłowych, o silnej budowie ciała i ze spojrzeniem zdradzającym inteligencję.

Tymczasem oddaliliśmy się dość znacznie od okrętu; faktorya coraz wyraźniej rysowała się przed nami — wtem na rysach murzynów zaigrało pewne gorączkowe zajęcie — zaczęli śledzić zbliżające się fale, aż nagle zawołali z niepokojem i febrycznym pośpiechem: „bara idzie!” i równocześnie rzucili się do wiosła. W takt, sycząc do uderzeń pagaj, ¹⁾

¹⁾ Pagaya, francuzi nazywają ją „la pagaye” — jestto ostro zakończona łopatka, przedstawiająca na tych brzegach wiosło krajowe.

wiosłowali co tebu; każdy muskuł drgał—cała ich myśl, siła, chęć, przelala się w wiosło, które nagle, jakby ożywione, popychało szalupę szybko naprzód; a w ślad za nami widok zaiste przerażający dla nowego przybysza — pędzi piętrząc się, wysoki, prostopadły wał wodny, niby ściana rozstępującego się morza. Wszyscy wyteżaliśmy wzrok gorączkowo; każdy chciałby wzrokiem, oddechem przyspieszonym jeszcze napędzać murzynów i przelać w nich swą żądzę wygranania w tem niebezpiecznem ciągnięciu losów! Nagle—już — już dopędza nas masa wodna i ma nas pochłonąć w sobie i pochować, gdy głośny okrzyk radości wydiera się ze spocynych czarnych piersi, a łódź równocześnie chwyta niewidzialna siła, wznosi ją wysoko w górę, a następnie jak strzałę spuszcza na dół, naprzód, jakby ześlizgując ją z góry jakiej. To grzebień nadchodzący runął, lecz nie doścignawszy nas, a łamiące się wody dążąc naprzód ku brzegowi, uniosły łódź swym prądem. Z duszy życzysz murzynowi odpoczynku po zwycięstwie — pot kroplami spada im po brunatnych, muszkulistych piersiach; niestety, niema czasu! Już drugi wał rysuje się od strony morza, nadchodzi, pędzi — „żwawo, żwawo chłopcy!” — piorunuje olbrzymi murzyn u steru, pochylając się naprzód jak tytan, mierząc rozognionem okiem nadchodzącego wroga i pracujących wiosłami, nad siły prawie, towarzyszków. Takich wałów wodnych i zwycięstw wiosłarzy trzeba przejść 4—6, zanim można się przedostać na ląd; obraz zaś ten na długo zapewne utkwi każdemu w pamięci.

Wreszcie ugrzęzła łódź szczęśliwie w gruncie niskiego piaszczystego brzegu, przed nami jednakże na odległości jeszcze jakich 20 stóp igrały przypływowe fale, to podlatując ku niemu, to odlatując odeń, jak zacheianki kapryśnej kokietki.

Murzyni wyskoczyli i wkrótce na ich barkach, jak się to wszędzie praktykuje na tych brzegach, stanęliśmy na lądzie, gdzie p. Roy, agent faktoryi francuskiej, otoczony ma-

lowniczym, różnokolorowym tłumem, przyjął nas bardzo uprzejmie i poprosił do stojącego w pobliżu domu faktoryi, otoczonego wraz z magazynami palisadą. Przed zabudowaniami zaś wznosił się od strony morza maszt sygnałowy z flagą francuską.

Tłum krajowców, jaki była zgromadziła przed palisadami szybko rozchodząca się wieść o przybyciu licznych białych, podążył za nami na dziedziniec faktoryi i ugrupował się tu nader malowniczo. Byłem zdziwiony bogactwem assinijskich czyli apollińskich magnatów, błyszczących w bogatych jedwabnych szalach i złotych naszyjnikach, bransoletach i obrączkach. Czysto wymyści i wyperfumowani, zadawali kłam znaczeniu słowa „bouquet d’Afrique.” Być może, że francuzi zepsuli tu nieco krajowców, których wymagania dziś już są wyższe, niż przypuszcza przeciętny europejczyk. Assinijczyk za złoto, które przynosi, bierze dla siebie oprócz zwykłych przedmiotów potrzebnych dla handlu ze szczepami głębi (tytoniu, skałków, krzemieni, fuzy i wódki) — materje jedwabne i inne droższych gatunków; aksamity nawet widziałem w faktoryi, a oprócz tego perfumy, błyskotki — ba, damy assinijskie żądają nawet pudru i używają go w znacznej ilości, co im naturalnie nie przeszkadza pozostawać przy krajowej modzie kostyumu, t. j. przy zarzuconym kawale materji, w którym zresztą dzieciom Afryki lepiej do twarzy niż w stroju europejskim, robiącym z nich zawsze karykaturę. Znaczną ilość prochu potrzebują też dla obchodów uroczystych, na których, jak zobaczymy niżej, głównie przy śmierci osób „znakomitych” wyprawiają istną kanonadę, nabijając lufy wypróbowanych fuzyi ilością prochu, która niejednokrotnie mimo wypróbowania je rozsadza.

Gdyśmy weszli na dziedziniec, powitali wszyscy znajomego im Brétignéra głośnemi okrzykami radości i do późnego wieczora, nawet po wesolej i gościnnej kolacji, mieliśmy krajowców w faktoryi. Z jednym zaś z nich musimy się przedewszystkiem poznać; jestto średniego wzrostu i średnich

lat murzyn, o brunatnej cerze, z małą bródką i rozumnymi oczami — Kastor, faktotum faktoryi; mówi on płynnie po francusku i po angielsku, czyta i pisze, posiada piękną dubeltówkę Lefoucheux i dzielnie nią mierzy, wypycha ptaki, gotuje znakomicie, a nieocenionym jest jako tłumacz. Z głową spuszczoną i oczami wlepionymi w ziemię słucha on wtedy mowy, którą ma powtórzyć w krajowym języku, chwytając każdą myśl i powtarza następnie całość ściśle w tym samym porządku temu, do którego była ona skierowaną. Kastor będzie tu ciągle przy nas i z nim to odbędziemy już jutro podróż do Krindzabo, stolicy kraju i rezydencji króla Amatifu, do którego zaraz po przybyciu do faktoryi, wysłaliśmy, dzięki grzeczności p. Brétignére, kuryera, by zapowiedział przybycie 8 białych gości do stolicy, a pomiędzy nimi naszego gospodarza. Szczęśliwy traf zrzędził, że właśnie krótko przed naszym przybyciem do Assini przywiózł tu pancernik francuski skrzynkę 5-frankówek srebrnych, których król Amatifu rocznie od Francyi pobierać musi tysiąc, podług traktatu z 1842 r., mocą którego Amatifu odstąpił kraj swój admirałowi Bouet Villauméz, występującemu w imieniu Francyi, za odpowiednią sumę, za wybudowanie pałacu królewskiego w Krindzabo, mundur generała-feldmarszałka Francyi i „1,000 największych monet srebrnych, jakie Francya posiada” rocznie. Pancernik był powierzył odesłanie skrzynki z monetami francuskiej faktoryi, zabierał ją więc teraz p. Brétignére do Krindzabo, co nam zapewniało tem lepsze przyjęcie u króla Amatifu.

Następnego dnia, 22 marca, zbudził nas rano dzwon faktoryi, zwołujący robotników do pracy dziennej. Taki zwyczaj panuje w wielu afrykańskich faktoryach i na odgłos dzwonu schodzą się zwykle krumani najęci na rok jeden. Tu jednakże, jako też w sąsiednim Grand-Bassamie, właściciel faktoryi jest w tem rzadkiem położeniu, że krajowcy sami pracują, to też robotnicy p. Roy składali się z assinijskich. Widzimy więc, że choć lubią zbytki i błyskot-

ki, mają jednakże swą cenę apollińscy murzyni, gdyż rzadko krajowiec na zachodnim brzegu pracuje dla białego, wspomnę tylko zatokę Benin i Biafryjską pod tym względem, gdzie niktby nie pracował, gdyby nie było sprowadzonych krumanów.

Gorąco było niezmierne. Zwiedziwszy z gospodarzem naszym budynki faktoryi, doszliśmy do rzeki Assini, by się wykapać w świeżych jej wodach. Pan Brétignére wprowadzie odradzał, utrzymując, iż rzekę zaludniają liczne aligatory, częstokroć nawet wypełzające i grzejące się w brzegowej trzcinie; lecz upał był szalony, a woda tak zapraszała parne ciało, że dawszy kilka wystrzałów w nią dla odpędzenia nieprzyjemnych sąsiadów, użyliśmy pożądaney odświeżającej kąpieli, bez wszelkiego niebezpieczeństwa, a nawet bez ukazania się potworów.

Wyruszenie do Krindzabo miało nastąpić po południu, musiałem się więc udać na pokład, by przygotować podarki dla króla Amatifu. Wziąwszy takowe z „Łucyi-Małgorzaty,ⁿ a mianowicie: dwa dywany, nieco materyi kolorowych i 10 galonów anyżówki, wsiadłem do łodzi i udałem się nazad do faktoryi. Łódź wiozła też kilka beczek i bal z Pandory, była więc naładowaną i już minęliśmy połowę barry szczęśliwie, w nadziei dalszej dobrej przeprawy przez nią, gdy nagle jeden z wałów wodnych runął tuż przy łodzi i zalał takową — a za chwilę cała jej zawartość pływała w spienionych falach; murzyni jednakże są obeznani z takimi wypadkami, zanim albowiem cośkolwiek stać mi się mogło, uczulem się schwyconym przez silne czarne ramiona i na barkach krajowego wioślarza odstawiono mnie na brzeg przemoczonego wprowadzie do szczętu, lecz bez szwanku. Całe towarzystwo z faktoryi było tu zebranem, gdyż zauważyli zajście z okien domu; weszliśmy więc zaraz do takowego, by zmienić przemoczone rzeczy. Dywany i inne przedmioty wyłowiono także; były wprowadzie też zmoczone, lecz miałem nadzieję, że

Jego Królewska Mość Assinijska nie pozna się na tem Zaczęliśmy je też zaraz suszyć na słońcu.

Tymczasem niebo pokryło się gęstemi chmurami i po przedpołudniowym upale nastąpiła ulewa, jaką tylko w stronach podzwrotnikowych napotkać można. Spragniona ziemia miała zadośćuczynienie — nie mogła nawet zrazu przyjąć w całości spadających mas wody, które jako małe potoki szumiały naokoło faktoryi. Spotkać się z takimi strumieniami z chmur spadającymi w drodze byłoby niezbyt pożądanem, lecz siedząc na werendzie pod palmowym dachem, przypatrywaliśmy się z zajęciem i południową flegmą nagłemu zjawisku tropikalnej przyrody, owego syfona olbrzymiego, w którym tu atmosfera z majestatyczną siłą odbywa swe przesilenia. Lecz nagle jak nastąpiła — minęła też ulewa; niebo nanowu zabłysło światłem pogody, ozłacając zielone korony palm i bananów, strumyki i potoki, które tylko co szumiały po drogach, znikły, wsiąkły w piasek — i znów zapanaował skwar południowy, choć już mniej nużący; świeższą nieco stała się przyroda.

Tak tu wszystko pod niebem tropikalnem. Nagle przechodzą nocne cienia w światło dnia co dobę i nagle znów odbiera noc światłu panowanie. Nagle nastaje tornado i w okamgnieniu potężnieje do straszego, wszystko niszczącego zjawiska, by za chwilę ukazać nanowu niebo o pogodnem i jasnem obliczu; tylko noc moralną, noc umysłów zbyt opieszale rozjaśnia światło północy i tylko w małych, szczupłych promieniach przedziera się słońce w gąszcz dziewiczy afrykańskiego lądu.

Czas nam jednakże w drogę, bo musimy dziś jeszcze przepłynąć część dalszą rzeki Assini i część jeziora Ahy, by stanąć na nocleg w Elimie, plantacyi pp. Verdier.

Kastor ze zwykłą swą przezornością wyekwipował łódź we wszystkie potrzeby, skrzynki z prowizją i podarki dla Assinijskiego monarchy już ułożył — urządził siedzenia i wreszcie schodzi od strony faktoryi ku rzece ze skrzynką ciężką,

a noszącą napis: „A sa Majesté le Roi Amatifou d'Assinie,“ przysłane od Rzeczypospolitej francuskiej.

Wszystko było gotowe do drogi, zajęliśmy więc miejsce pod szeroką markizą łodzi obsadzonej ośmiu wiosłarzami i uderzyły wiosła o powolne fale rzeki. Ruszyliśmy po niej, pełni oczekiwania tego, co nam miały przedstawić dnie przyszłe u dworu daleko dokoła znanego afrykańskiego monarchy.

ROZDZIAŁ XVII.

Po Assinijskiej rzece. — Jezioro Aby. — Elima. — Nieudane polowanie nocne. — Plantacya kawy. — Boa Constrictor. — Po rzece Krindzabo. — Jej panorama. — Przybijamy do przystani.

Aczkolwiek łódź nie była małą, było w niej jednakże nieco ciasno—okoliczność zresztą, do której we wszystkich krajach przyzwyczaić się trzeba, jeżeli towarzystwo jest licznem, a było nas razem wszystkich 20-stu: pp. Brétignére i Sion, z „Łucyi” nas 6-ciu, inteligentny Kastor, Anema—syn króla Amatifu, będący na wychowaniu w faktoryi francuskiej, by się nauczył europejskiego „savoir vivre,” Anema, mały murzynek do usług, wreszcie sternik i 8 wiosłarzy assinów, którzy siłą swych 16 ramion zmuszali szalupę szybko pruć fale Assinijskiej rzeki. Minęliśmy wioskę krajowców, noszącą złowrogo brzmiącą nazwę Mafía, a tuż za nią rozchodzą się różne kriki, ciągnące się pomiędzy trzema wyspami, z których największa Wyspa Noey (Isle de la nuit), ma około 50 mil nautycznych długości, przy 15—20 milach szerokości.

Ze zdziwieniem przypatrywałem się murzynom, pracującym nieustannie swemi pagajami. Muskuly, piersi i ramiona występowały przy każdym uderzeniu wiosła o wodę, świadcząc o herkulesowej sile. Kolor ich cery jest czekoladowym, a naturalnym czarnym barankiem pokryta głowa zakończyła przyjemnie całość postaci. Nazywamy afrykanów „czarnymi,” choć nigdy prawie nie widziałem zupełnie czarnego

murzyna — w ogóle żaden kolor nie jest zbyt wybitnie panującym w plemienu; w grupie 10 murzynów zauważy się prawdopodobnie zwykle kilka odcieni brązowych, a kolory te bynajmniej nie razią oka — przeciwnie mają, jak dla mnie, coś przyciągającego — lecz: de gustibus non est disputandum!

Po kilku godzinach wypłynęliśmy na obszerne jezioro Aby, noszące w południowej części nazwę Ei czyli Tando. Oddzielone 20-milowym pasem lądu od oceanu, ciągnie się ono od NW ku SE, mając około 60 mil szerokości, a około 200 długości. Co za widok wspaniały tej olbrzymiej powierzchni wodnej! Woda jeziora jest słodką; niestety jest ono płytkiem i nie dozwala okrętom posuwać się po niem. Brzegi otaczają lasy dziewicze, tylko rzadko ukazują się pomiędzy nimi bledsze tony preryi. Cała ta scenerya brzegowa ukazuje się jednakże z przyczyny rozległej przestrzeni gładkiego jak lustro jeziora w dalekiej tylko, niewyraźnej perspektywie, oprócz dwóch wysp w środku niego leżących, Assongo i Ansom, które odbijają się jaśniej, gdyż są bliższe. Równe wody laguny przerywają przegrody rybackie, ciągnące się wszędzie. Są to płociki z gałęzi, zbudowane w wodzie, a służące do zastawiania przy nich sieci. Gdziegdzie stały nawet całe donki rybaków na słupach, a nad wszystkim krążyły roje ptactwa wodnego — czajki afrykańskie i inne ich współzawodniczki, łakome zdobyczy.

Chociaż łódź bystro posuwała się naprzód — zaczęła się nam droga wkrótce długą wydawać pod palącymi promieniami słońca, widocznie uradowanemi, że na szerokiej toni miały łódź naszą, by odbić na niej swe gorąco. Chociaż nad nami rozciągniętą była markiza, miał się mimo to wkrótce pokazać pierwszy wpływ równikowego słońca na podróżnikach naszych. Nie uprzedzajmy jednakże zdarzeń.

Wreszcie, wkrótce przed zachodem słońca, zarysowała się plantacya Elima, należąca również do pp. Verdier z La Rochelle, a około 6-ej stanęła łódź przy jej brzegu.

P. Bernard, położony plantacyi, oczekiwał nas na

brzegu, otoczony grupą kilkudziesięciu murzynów, którzy niezwłocznie wskoczyli do wody, by nas przenieść na ląd. Słońce zaszło; wśród cieni wieczoru ujrzeliśmy zarysy budującego się domu murowanego, przyszłego mieszkania dyrektora plantacyi, który tymczasem mieszka w chacie bambusowej na zdrowym wzgórzu, na którym leży Elima. Zapoznawszy się z p. Bernard i jego pomocnikiem, amerykańskim plantatorem Jansenem (mulatem), ruszyliśmy na wzgórze do domu plantacyi. Okrzyki i śpiewy murzynów przerywały ciszę wieczoru, aż wreszcie karawana nasza, do której przybywały coraz to nowe postacie, zaciękawione przybyciem cudzoziemców — urosła do niemałej liczby głów.

Po krętej, stromej ścieżce, pięła się ta karawana pod górę; księżyc przyświecał pochodowi, rzucając blade światło na malownicze grupy czarnych postaci. Po półgodzinnym marszu stanęliśmy na niewielkiej polanie, zabudowanej bambusowemi chatami. Była to siedziba p. Bernard. Przez szczeliny jednego z tych domków przebijały się płomienie ogniska kuchennego, a że po długiej drodze czuliśmy niezły apetyt, powitaliśmy je więc, jeżeli mam być szczerym — z niekłamaną radością.

Oczekując wieczerzy, usiedliśmy, zaproszeni przez naszego gospodarza, w altanie bambusowej przy szklance absyntu. Pan B. człowiek jeszcze dość młody, narzekał na nadzwyczajną swą samotność; „jak się zdaje — zanotował jeden z mych towarzyszków podróży — rozpił się biedak w tem zaciszu i dzisiaj uważa absynt za jedyne lekarstwo na nudy i febrę.”

Podczas wieczerzy zgadało się o polowaniu. P. Brétingnére twierdził, iż łatwoby nam było upolować antylopę lub może lamparta, gdybyśmy chcieli pójść z nim w nocy na stanowisko. Cóż mogliśmy chętniej przyjąć nad taką propozycję, za godzinę też dążyliśmy z fuzyami na plecach na skraj gąszczu. Droga wiodła po południowych skłonach wzgórza, gdzie schodzą się rzeczywiście, jak przekonały nas

ślady, liczne antylopy, dzikie koty i lamparty, dążące o północy do jeziora.

Po długim dniu nastala noc jasna, piękna, jaką tylko przedstawić jest w stanie przyroda ekwatoryalna. Rozdzieliliśmy się na partye i podczas gdy reszta towarzyszków objęła stanowisko na prawo — zająłem z Brétignérem posterunek na skaju. Anema rozesał nam dywan w gąszezcu na zroszonej ziemi i obserwując pole, położyliśmy się, czatując z przygotowanemi fuzyami.

Teraz jako *simplex servus Dei* powiem otwarcie, jak się ta nočna wyprawa skończyła; niejeden oczekuje, że powróciliśmy z lampartem ubitym, antylopą, a przynajmniej z dzikim kotem — otóż nie! Dzień był nas zmęczył; leżąc, zacząłem się wpatrywać we wspaniały nocny krajobraz — zadumałem się przytem, aż, czekając i dumając, sam niewiedząc jak, zasnąłem snem twardym, błogosławionym. Parę godzin później, budząc się z mym sąsiadem, spojrzeliśmy po sobie; przespaliśmy się na dobre i parsknąwszy śmiechem, rzekliśmy „dobra noc” niezgłaszającej się zwierzynicy; lamparty byłyby mogły nas poszarpać zanimbyśmy byli ich spostrzegli — lecz coś ich trzymało zdaleka — prawdopodobnie ucztą i halas panujący w poblizkiej wiosce murzyńskiej Embue, z przyczyny przybycia tylu białych.

Następnego rana wyszliśmy na zwiedzenie plantacyi kawowej, która dwa lata temu tu założoną została. Dlatego że 100 hektarów terenu jest dopiero 20 zaplantowanych; reszta przedstawia nader pouczająco wszystkie fazy, przez jakie przechodzą roboty przy zakładaniu plantacyi, od wyciania drzew leśnych do pielęgnowania już podrastających drzew kawowych. Topór tu jednak ma ciężką pracę; twarde olbrzymy afrykańskich lasów nie łatwo mu się poddają i musi dopomagać ogień; lecz jeszcze cięższą pracą jest rugowanie korzeni z ziemi i ostateczne oczyszczenie jej; dopiero wtedy można z przygotowanej szkółki rozsadzać młode rośliny. Drzewo kawowe w stanie dzikim dochodzi do 20 stóp

wysokości; chodując jednakże takowe, nie pozwala mu się tak wyrastać, obejmując górne gałęzie, by wzmocnić soki i powiększyć ilość owoców. Naprzeciw siebie stojące liście kawowe zbliżają się co do formy i koloru do liści laurowych i są zawsze zielone; jak powiedziałem już wyżej, drzewo kwitnie i owoc dojrzewa równocześnie, tak że na jednym i tym samym egzemplarzu znajduje się biały kwiat pachnący obok owoców zielonych i dojrzałych. Tak przedstawiają się drzewa przez cały rok i zbiera się owoc ustawicznie, najobfitsze żniwa jednakże odbywają się tu w styczniu.

Pierwszy owoc dają drzewka również i tu po dwóch lub trzech latach, lecz żniwa dające oczekiwane dochody następują także w Assini dopiero po pięciu latach.

Plantacye kawy mają jednakże w Assini już swego nieprzyjaciela, który niszczy je w kolebec. Przechodząc około szkółki, zauważyłem tego strasznego wroga plantatora — jestto robak, właściwiej larwa, około cała długa, której ostre szczęki przecinają łodygi młodych roślin. Co rano murzyni pracujący w szkółce zabijają znaczną ich ilość. Ponieważ pomocnik Jansen, znający plantacye kawy w Liberyi, nigdy, jak twierdził, nie widział przedtem owej larwy w innych punktach brzegu, zebrałem więc kilka okazów dla gabinetu warszawskiego. Tymczasem zesłiliśmy ze wzgórza i przybyli na miejsce, na którym budują nowy dom murowany, zauważony już wczoraj. Materiałem budowlanym jest piaskowiec sprowadzany z okolicy, wapno zaś wypalają z muszli brzegowych. Niedaleko od tego miejsca zasłaliśmy do krajowej wioski Embue. Chaty budowane z gliny, były bardzo czyste, większą ich część zdobiły rodzaje małych tarasów murowanych i malowanych na czerwono — wszędzie zaś zauważyliśmy znaczną ilość tetyków — figury z gliny lub drzewa, czaszki, wypchane wielkie jaszczurki, żółwie itp.

Krajowcy jednakże obawiali się nas; widocznie byliśmy za liczni, gdyż było nas dziesięciu białych. By nie powracać do domu tą samą drogą, zapuściliśmy się w dziewięzy

las, przez który ścieżka wązka jak tunel przecięty, przez zieleni zaprowadziła nas na najwyższy punkt plantacyi. Przy ściętej palmie zatrzymaliśmy się, by przekonać się, czy nie wycieka z niej wino palmowe, gdyż dlatego zapewne ścięli ją nieogłędni krajowcy. Rzeczywiście odkryliśmy wkrótce wycięty w niej otwór, a przy nim podstawioną kalabasę, w którą wyciekał ów sok fermentujący, noszący nazwę wina palmowego. Dzieci afrykańskich lasów, gdy nie znali jeszcze takich darów Europy, jak wódka, odurzali się wśród życia znoju tym napojem jedynie, który zresztą i dziś jeszcze lubią nadzwyczaj. Jest on słodkawym i kwaskowatym zarazem; jak wszystkie płody Afryki, z początku nie bardzo zadawała Europejczyka, później jednak gusta nasze tu się zwykle zmieniają.

Wreszcie słońce podniosło się znacznie, powróciliśmy więc na dziedziniec domu mieszkalnego; zaledwie jednakże weszliśmy nań, gdy rzuciła się na podwórze gromadka murzynów, donoszących z żywą gestykulacją, że „ów wielki wąż, co w nocy tak często przychodzi po kury i kozy,” ukazał się tuż obok domu na skłonie w krzakach. „Le boa! le boa!” dało się słyszeć ze wszech stron i schwycający za fuzye, cała chmara czarnych, a pomiędzy nimi nasze białe kaski — rzuciła się ku oznaczonemu miejscu. Nagle stanął przewodniczący murzyn i milcząc wskazał ręką na wielki zawilży korpus olbrzymiego węża (Boa Constrictor), lecz też w tej samej chwili gorąca krew jednego ze strzelców nie mogła dłużej wytrzymać i wymierzył do zwierza, który nietrafiony, lecz przestraszony, znikł. Już sądziłem, że jak wczoraj lamparty, tak dziś boa nam się wymknie, lecz nagle zauważyliśmy przewrócone, wewnątrz wzdłuż przeprućniałe drzewo, mające być gniazdem węża. Jeden z murzynów tak twierdził, a gdy mu inni przeczyć chcieli — zaiskrzyły mu się oczy z gniewu; z dumnym spojrzeniem, śmiało i wyzywająco sięgnął w otwór drzewa, a wyciągając z niego dwa jaja węzowe, rzekł z pogardą i pewny siebie: „jest, jak powiedziałem.”

Trzeba było wypędzić potwora z kryjówki i daliśmy kilka strzałów rewolwerowych 12-go kalibru w jeden z otworów, podczas gdy druga partya czekała przy drugim. Po trzecim strzale boa zaczął wypelzać i wkrótce ukazała się rozwarta szeroko jego paszcza w przeciwnym do strzelających otworze — lecz tu go przywitał pełny ładunek z dubeltówki kapitana Boutes'a, strzał celnie wymierzony — głowa opadła, boa był naszym.

Ogólny okrzyk radości, pochodzący z piersi murzyńskich, rozległ się w powietrzu i oznajmił pozostałym na plantacyi, że boa zdobyty; niezwłocznie schwyciło kilka silnych czarnych ramion za szyję zwierzęcia i jakby długi kabel okrętowy wyciągnięto go ze spruchniałego drzewa. Sześciu murzynów wzięło go na barki i nazad pod górę przed dom mieszkalny posypała się w solennym pochodzie pstra masa, rozogniona zwycięstwem. Przystąpiłem do zdobyczy, by zanotować rozmiary; był to śliczny, rzadkiej wielkości okaz, mający 3 m. 62 cm. długości, przy 36 cm. obwodu.

Ochocho upłynęło po porannym spacerze i improwizowanym polowaniu śniadanie, a po takowem w dalszą trzeba było ruszyć drogę, by wieczorem stanąć w stolicy kraju — w Krindzabo.

P. Bernard, grzeczny i usłużny nasz gospodarz w Elmie, odprowadził nas do brzegu jeziora i znów zajęliśmy miejsca w szalupie, odpływającej pod prostopadłemi promieniami słońca. Szczyściem dość silny wietrzyk, wiejący od morza, pozwolił nam rozwinąć żagiel i znów posuwaliśmy się szybko po wodach dziś lekko falujących. Uradowani wioślarze zsunęli się po za daszek, pozostawiając łódź opiece Eola, wdzięczni że się zlitował nad czarnemi ich głowami, na które zlewał się żar słońca południowego, zanucili, zapewne na cześć jego, jedną z owych monottonnych swych pieśni murzyńskich, dziwne na słuchającym wywierających wrażenie.

Wkrótce znajdowaliśmy się na środku olbrzymiego jeziora, a brzegowe ramy leśne zarysowały się znów w dali

we wszystkich odcieniach zielono-sinych kolorów, począwszy od szarawych stóp wybrzeża do jego błękitnych szczytów, ginących na lazurowym tle nieba. Lecz otóż zwiększa się wiatr i z szybkością pięciu, następnie sześciu, a wreszcie siedmiu węzłów, pędzimy ku północnym brzegom, gdzie wpada rzeka Krindzabo. Minąwszy nieznaczne bary, będące u jej ujścia, bary, którym krajowcy, przyzwyczajeni do niebezpiecznych buruuów morskich, nawet przyznać nie chcą tej nazwy, wpłynęliśmy na uroczą rekę, nad którą leży stolica króla Amatifu. Po obu stronach ujścia rzeki stoją tu, malowniczo rozrzucone, gliniane chatki dwóch wiosek, jakby na straży przy jedynej bramie do serca kraju, głównego jego tętna. Niby srebrna wstęga wiję się rzeka przez dziewicze lasy, odkrywając olśnionym oczom podróżnika krajobrazy, które przyroda tylko z wypogodzonym czołem stworzyć mogła. Jednostajne mangrowiowe brzegi ustąpiły tu miejscem ściśnionym rzędom rozłożystych olbrzymów — śmiałym zarysom giętkich lian, piętrzącym się ciemno zielonym krzewom, których gałęzie i liście kąpiąc się w toni, tworzą orzeźwiająca, chłodne grotty — siedziby węzów i aligatorów. Ciekawa małpa, przywabiona śpiewem murzynów, porzuciła swą kryjówkę i z po za szerokich liści spoziera na przepływające podróżne nasze grono; orzeł biały siedzi nieruchomo na pierzastej koronie palmy królewskiej, nie troszcząc się o huk wystrzału, jak gdyby wiedział, że na wysokiej jego siedzibie nie dosięgnie go ani kula, ani strzała. Wąż wodny, pyszniąc się z jaskrawych farb i regularnością form zdumiewającego rysunku łusek, wysunął lśniący grzbiet po nad powierzchnią wody i goniąc za szarą kaczka, znikł razem z nią w nadbrzeżnej gęstwinie.

Wreszcie skręcamy na prawo; rzędy palm kokosowych wskazują już zdaleka wieś, wioski, których kilka leży nad samym brzegiem. Znowu skręcamy na prawo — aż wreszcie, po kilku godzinach tej przesuwającej się panoramy, przybijamy do brzegu — do przystani królewskiej stolicy.

ROZDZIAŁ XVIII.

Przybycie do Krindzabo. — Delegacye króla Amatifu. — Pałac królewski. — Sędziwy Amatifu i mowy powitalne. — Akasamadu. — Spacer wieczorny. — Domek fetyszów. — Cmentarzysko. — Uprzejmość i piecza nad nami starego króla.

Przy brzegu, obok palmowego szałas, zawierającego dwie olbrzymie królewskie pirogi, stała grupa bogato udrapowanych murzynów — to posłańcy króla, którzy witają nas z wielkiem poszanowaniem. Posłaniec nasz był przybył w swoim czasie, donosząc o naszym przybyciu (i 5,000 franków francuskich, przywiezionych przez pana Brétignére), a król Amatifu oczekiwał nas z wielkiem zadowoleniem i z niecierpliwością. Tej ostatniej okoliczności jednakże nie rzekli posłańcy, jak łatwo się domyśleć.

„Jego królewska mość — zaczęli solennie — z zadowoleniem spogląda na dzień przybycia gości swoich i by stopa ich przyjemniej mogła odbyć drogę do stolicy, kazał przeciąć nową drogę dla nich od przystani do miasta.”

Rzeczywiście Amatifu kazał był utworzyć w przeciagu niespełna dwóch dni 2 — 3 metrów szeroką drogę na całej 2-kilometrowej przestrzeni, dzielącej stolicę Krindzabo od rzeki i przystani. Byłem zdumiony tym dowodem przyjaźni, dla dokonania którego musiał chyba spędzić całą ludność swej metropolii. Rzekłszy nam co jej kazano, królewska deputacya podążyła szybkim krokiem do miasta, pozostawwszy nam część murzynów do przeniesienia naszego bagażu i utworzenia naszej eskorty, gdyż bez licznej świty w Afryce nie może odbyć się żaden fakt doniosły.

Podczas gdy wynoszono podarki i bagaż z łodzi, przyjrzałem się olbrzymim pirogom: królewska miała 27 kroków długości, druga, należąca do następcy tronu Akasamadu, była nieco mniejszą. Obydwie były ozdobione rzeźbami i malowane w czerwone, białe i czarne desenie.

Wreszcie pochód nasz był gotów, toalety nieco uporządkowane i ruszyliśmy ku bramom miasta. Po 20 minutach czy półgodziny drogi, przebitej, jak już zauważyłem, dopiero co przez lasy dziewicze, otaczające stolicę assinijską, wkroczyliśmy do olbrzymiego miasta. I tu czekała na nas solenna deputacya, donosząca, iż Amatifu wita nas w swej rezydencyi i prosi, byśmy uważali pałac jego za swoje mieszkanie; równocześnie nowa grupa przyłączyła się do nas i wstąpiliśmy na długą ulicę, prowadzącą na plac pałacu królewskiego. Tu widać było również przygotowania: ulica była czysto zamiecioną, a po bokach stali w jaskrawych togach mieszkańcy i dwór afrykańskiego władcy. Na placu rozległym, którego jeden fronton stanowi pałac Amatifu (zajmujący czwartą część miasta) zauważyliśmy rozłożyste drzewo kauczukowe—jestto główna świętość, fetysz kraju. Jak ulica, przez którą przechodziliśmy, tak i plac zaludnił się świątecznie ubraną ludnością, której grupy stały spokojnie i poważnie przed werendą, a raczej balkonem królewskim, panującym nad placem. Pokoje przylegające do tego balkonu, z którego Amatifu oznajmiać zwykł rozkazy swym poddanym, lub przypatrywać się uroczystościom ludowym, były wyznaczone dla nas. Jeden z ministrów stał przy wejściu do pałacu, którego parter jest murowanym, piętro zaś drewniane; budował to francuski architekt. Reszta zaś rozległej rezydencyi króla Amatifu składa się z mnóstwa skrzydeł, stawianych jako wewnętrzne czworoboki i z niezliczonych zamkniętych kwadratowych dziedzińców małych. Mieszkają tam żony królewskie, których afrykański monarcha posiada 66 oraz synowie z żonami i córki.

Wprowadzeni przez niewielki korytarz, ozdobiony rzeź-

bami, a przedstawiającemi aligatory, postacie ludzkie i inne przedmioty (prawdopodobnie fetysze), weszliśmy na dziedzińce królewski i po schodach wewnętrznych na piętro. Tu przygotowano nasze apartamenta, przedstawiające péle-méle — urządzenie nawpół europejskie, nawpół afrykańskie. Ściany były zastawione kanapami z bambusu, pokrytymi matami i drogocennymi materjami w czerwone, czarne i żółte pasy przeplatane złotem. Materje te są wyrobu aszantyjskich i assinijskich warsztatów ręcznych, które ich dostarczają po niezmiernie wysokiej cenie dla dworów w Kumassi lub Krindzabo i dla bogatych dygnitarzy bratnich tych krajów. W pośrodku tych dywanów wschodnich (które w nocey służą za łóżko) stał stół okrągły, europejski, podarek francuzów, nakryty pąsową serwetą. Wyżej zaś po ścianach wisiały lustra w złożonych (niegdys) ramach i liczne porcelanowe ozdoby, przeslane swego czasu przez królów francuskich i Napoleona III.

Posłano Kastora do Jego Królewskiej Mości z pozdrowieniem i objawiając, żeśmy przybyli, żeśmy głęboko poruszeni jego serdecznem przyjęciem i prosząc, by nam oznajmił, czy zdrowie jego jest — jak się spodziewamy — dobrem jak zawsze i czy możemy się z nim przywitać.

Kastor powrócił za chwilę z poselstwem, że Amatifu prosi, byśmy odpoczęli po długiej drodze, a że za chwil kilka sam przyjdzie nas przywitać i dowiedzieć się o naszym zdrowiu. Przygotowano więc podarki i oczekiwałem przybycia jego.

Po godzinie „odpoczynku” zaczął się zapelniać wewnętrzny czworobok dworem J. K. Mości i wkrótce ujrzelśmy króla wchodzącego z liczną świtą do „salonu naszego”. Amatifu — jest on bezwarunkowo wspaniałą postacią. Sędziwy, przeszło stuletni starzec, wysokiego wzrostu z długą białą brodą, uczynił na wszystkich wielkie wrażenie — choć nie w Afryce i nie na Wschodzie pilniej ukrywać się powinno, jak wrażenie doznane. Z wielką powagą podał mi rękę i spo-

czął na krzesle — drogą po schodach zmęczony. Nastąpiła etykietalna pauza, podczas której tak p. Brétignere jak i ja przygotowaliśmy w duchu kilka słów introdukcji i powitania. Ubiór jaki miał Amatifu dnia tego był bardzo skromny — składała go wielka toga z niebieskiego jedwabiu, w której jednak poważniej wyglądał niż gdyby był włożył swój mundur generał - feldmarszałka.

P. Brétignere przerwał wreszcie poważne milczenie nader zręczną i piękną przemową, w której przedstawił mię i mych towarzyszków, jako już znajomy. „Przybyłem” rzekł „znów z Francji i w ostatniej części drogi na okręcie tych eudzoziemców, którzy też teraz towarzyszą mi do Krindzabo, by poznać naszego przyjaciela Amatifu. Cieszę się widząc Cię tak czerstwym i jakby odmłodzonym; od czasu jak Cię widziałem lata spłynęły po Twej głowie, jak cienie słoneczne nie wyrządzając jej żadnej szkody. Francja przysłała Ci roczny zwykły podarek 5,000 franków — a ci biali pragną również złożyć Ci kilka skromnych upominków!” Z pilną uwagą słuchał tłumacz Kastor słów francuza i nieruchomy ze spuszczonej oczami, przejęty wielkością swego monarchy, powtórzył słowo w słowo, co powiedział biały — stojącemu przy fotelu starego Amatifu — ministrowi, który dopiero z wielkiem poszanowaniem powtórzył mowę swemu panu.

Następnie przywitałem ja w imieniu ekspedycji assinijskiego monarchy, mniej więcej w tych słowach: „Z daleka, z najdalszego prawie kraju północy, przybywam z towarzyszami mymi do Ciebie, królu Amatifu, by poznać piękne Twe ziemie, o których mówiono mi często w mojej ojczyźnie i które już tam pokochałem i zapragnąłem je widzieć. Słyszałem, że w tych ziemiach Ty, Amatifu, szczęśliwie panujesz i że cię kochają przyjaciele biali i czarni, a boją się wrogowie. Gdy wreszcie przybyłem, serce me poruszyło Twe gościnne przyjęcie — byłem zdumiony, jak prędko kazałeś piękną tę drogę przebić od rzeki do Twej stolicy, po której

przeszliśmy przyjemnie, jak na ziemi białych. Przyjmij podziękowanie odemnie i od mych towarzyszy, którzyśmy wszyscy serdecznie Twój przyjaciele, a w dowód tej przyjaźni przyjmij również kilka drobnych podarków; miałem ich więcej, lecz fale bary wzięły mi ich część.”

Tu nastąpiło wynoszenie podarków, które rozkładano przed nim. Gdy przyszła kolej na spirytualie, napiłem się pierwszy na znak, że nie zawierają one nic szkodliwego — następnie Amatifu wychylił szklanekę i podarek był przychylnie przyjęty; kazał sobie nalać drugą.

W końcu minister królewski oświadczył, że Amatifu dziękuje nowym swym przyjaciołom za ich przybycie i pamięć o nim, że wszystko, czego pragniemy, jest gotowem na nasze żądanie i że jutro zwoła naród stolicy na ceremonię i uczęść na cześć swoich gości. Następnie wstaliśmy wszyscy, stary władca podał każdemu rękę na pożegnanie i z tą samą powagą opuścił wraz ze świtą nasze pokoje, udając się do swych żon. Audyencya była skończoną na dziś.

Teraz udaliśmy się złożyć wizytę następcy tronu, Akasamadu, mającemu swą rezydencję w innej części miasta. Jestto konglomerat równie licznych czworoboków murowanych, aczkolwiek bez pawilonu drewnianego w głównej części. Następcą tronu nie bywa tu syn panującego monarchy, lecz — jak na wschodzie — najstarszy siostrzeniec, który jednakże ze swym królewskim wujem żyje w najgorszych stosunkach.

Przeszedłszy kilka wewnętrznych dziedzińców, przed którymi zwykle przy wejściu stoi fetysz drewniany lub kamienny, zastaliśmy w małej komnacie, niby kolumnadzie — litość wzbudzającego następcę. Leżał on na macie, na której przy naszym wejściu podniósł się nieco, by podać rękę — cierpi bowiem na niewyleczoną chorobę, nader silną rupturę, która nie pozwala mu prawie opuszczać swego łóża. Wraz z licznymi żonami czeka w smutku na koronę, nie mogąc darować sędziwemu Amatifu, że tak długo cieszy się nią przy

dobrem zdrowiu. Zastaliśmy go przy wieczerzy, którą jedna z żon mu podawała; a gdyśmy go zaprosili do nas na obiad na jutro do pałacu Amatifu, odparł, nie tając swej miłości siostrzeńczej: „że do tego człowieka on nigdy nie pójdzie.”

Akasamadu jest, jak łatwo się spodziewać, bezdzielnym, a i choroba jego przeniesie go może do krain przodków zanim się doczeka tak upragnionego przezeń tronu. Drżą na tę myśl żony jego nieszczęśliwe — gdyż w razie śmierci „ważnego magnata,” tak w Aszanti jak i w Assini, a przy zgonie króla lub następcy tronu w szczególności — odbywają się przeliczne ofiary ludzkie, a najnieszczęśliwszymi są żony po zmarłym. Zanim doniosą ministrowie o śmierci narodowi i białym w Assini, biedne kobiety te wyprowadzają do lasu i ścinają, by towarzyszyły małżonkowi na tamten świat. W jakiejże obawie żyć muszą żony króla Amatifu, stuletniego starca, który lada dzień skończyć może! To też najlżejsze niedomaganie królewskiego małżonka bywa głośnym przedmiotem skarg i rozpaczy jego 66 zatrwożonych towarzyszek i ciągłej ich nad nim pieczołowitości. Położenie tych kobiet jest bez nadziei rzeczywiście, mimo że kraj znajduje się pod protektoratem Francyi. Lecz w domowe życie i zwyczaje krajowców europejszczy wchodzić niemogą — a o śmierci króla Amatifu dowiedzą się dopiero wtedy, gdy krwawy dramat się skończył. Na zapytanie białych: „a gdzie żony?” — odpowiedź krajowców łatwa będzie do przewidzenia: „Uciekły ze strachu przed ceremoniami i zwyczajami pogrzebowymi” — będzie brzmiała takowa. Tak to wszędzie w koloniach europejskich w Afryce!

Przeciwny europejszyk sądzi, iż kraj, w którym wieje sztandar białych, jest administrowanym w zupełności podług przykłady Europy! Tak — dla białych tam mieszkających, lecz w cieniach lasów i miastach krajowców panuje tu fetysz i oprawca i niema może nocy, żeby światło księżycy nie rzucało swych bladych cieni na świeżą krew ludzką. W obec tych smutnych zwyczajów długo wiekowej nocy afrykańskiej —

prawa białych są bezsilne. Jedno prawo zwycięży kiedyś tych ciemnych synów puszczy i gąszczów—a tem prawem jest światło, prawda, gdy i w owe umysły zawita.

Wielkimi są tu zadania europejczyka! — chwytajmy więc pochodnię tego światła i wyjdźmy z nią na te pola; niechaj śmiechy materialnego otoczenia nie zbijają nas z drogi, bo tu, dokąd dążymy, rozpacz mamy skrócić — nie śmiechy tych, co osądzić nas nie są w stanie.

Lecz wróćmy do melancholijnego Akasamadu, choć tylko na chwilę, by się z nim pożegnać i korzystając z wieczoru niezajętego żadnym programem, zwiedzić kilka ulic miasta. Piękna księżycowa noc otuliła wszystko nawpół tajemniczym blaskiem — mimo zmęczenia czuliśmy się orzeźwieni wieczornym chłodem i spokojem, w jakim zatoneła okolica; tylko z domostw krajołubów dolatywał cichy szmer życia domowego.

Charakterystycznymi są domy krajołubów w Krindzabo. Każde gospodarstwo składa się co najmniej z czterech domków, które poustawiane w czworobok i niemające okien na zewnątrz, na ulicę, zamykają tętno życia familijnego w ramach wewnętrznego podwórza. Pierwszy domek, zaopatrzony na wewnątrz rodzajem małego tarasu, czy raczej stopni szerokich, jest przeznaczonym dla głowy rodziny, drugi zajmują żony, trzeci dzieci, czwarty wreszcie zawiera służbę i niewolników, a równocześnie kuchnię. Jak już zauważyłem, składają się pałace Amatifu i Akasamadu z kilkunastu do kilkudziesięciu takich czworoboków, obejmujących nawet i ogrody, i części lasów—co wszystko razem stworzyło labirynt, z którego wyostać się bez przewodnika zaprawdę nie jest łatwym.

Powoli ucichły głosy przy domowych tych ogniskach, przypominających klasyczne atrium Rzymian i ich życie. Cisza, przerywana dźwiękami drobnej fauny afrykańskiej, zajęła dokoła, ulice miasta były już puste, tylko tu i owdzie dał się słyszeć głos posłańca króla Amatifu, zapowiadający

mieszkańcom jutrzejszą ceremonię. Wkrótce znajdowaliśmy się na krańcu miasta, prawie już w obrębie lasów, gdzie domek fetyszów strzeże wejścia do stolicy. Bęben „tam-tam,” kilka czaszek ludzkich, beczka z kośćmi, zaschła i zezerniała krew po ostatniej ofierze, wyszczerbiony nóż, który do niej służył — oto co przy bladym świetle księżyca mogliśmy w nim dostrzedz. Kastor, wierny nasz tłumacz, szedł z nami — a dalej, w pewnej odległości, posuwała się grupa dworzaków króla, dodanych do naszej świty.

Wązką ścieżką udaliśmy się stąd w innym kierunku, prowadzeni przez młodego Anemę, który z powagą nad wiek, pokazywał nam uwagi godne miejsca stolicy swego ojca.

Nagle zatrzymał się w miejscu, które zwróciło szczególną uwagę naszą na siebie, wszyscy albowiem postąpiliśmy równocześnie naprzód, spoglądając w jeden punkt.

Był to „cmentarz przodków.” Słowo „cmentarz” jest tu właściwie niestosownem, gdyż nikt tu nie jest pochowanym. Gdy umiera jaki mieszkaniec miasta, wtedy kapłani wynoszą trupa w gąszcz i im tylko wiadomo, w jakim rzucili go miejscu; natomiast potem pozostali po nieboszczyku krewni wyrabiają bądź z drzewa, bądź z gliny posążek, mający być jak najbardziej podobnym do zmarłego. Te oto posążki, w liczbie kilkuset, stały tu na wielkim kurhanie, a o kilka kroków dalej rysowała się w cieniach nocy druga podobna masa statuetek. Niektóre z nich były stare, mehem obrosłe, inne wyglądały świeżej. Przedstawiały one postacie ludzkie, bądź siedzące, bądź stojące, z rękami założonemi lub w innej pozycji. Każda twarz miała inny wyraz i widocznie starano się wywołać podobiznę z rysami zmarłej osoby, którą posążek przedstawia. Cmentarzyska te, oglądane szczególnie o tej nocej godzinie, czyniły na nas dziwne wrażenie. Mimowoli zadrgały różne przypuszczenia i myśli — zarysował się Egipt stary, którego wpływu na północne plemiona Afryki, nie należące do południowych Bantu nawet tysiące lat zatrzeć we wszystkim nie zdołały. Skąd ten

zwyczaj, skąd jasna cera arystokratów i członków królewskiej rodziny aszantyjskiej, przypominająca żywo cerę złotobronzowaną starożytnych egipcyan — i skąd jedność form z owymi starożytnymi afrykanami z nad Nilu w mnóstwie sprzętów domowych? Wiecznie piętury się tu przed umysłem mnóstwo zagadek i prawd pogrzebanych, których rydlem odkrywczym może stać się tylko długoletnia, cicha, niezależna praca.

Pragnąłem zjednać Kastora, dla otrzymania choć jednego takiego posążka; lecz chociaż tłumacz nasz był mniej zabobonny od innych assinijezyków, dzięki długoletniemu i ciągłemu obcowaniu z białymi na brzegu, poznałem po przestraszonym jego wejrzaniu i spuszczonej głowie, że nawet pytanie me wprawia go w strach i obawę. „Amatifu — dodał z cicha — kazałby odciąć głowę Kastora, gdyby choć usłyszał samo to zapytanie białego do Kastora powiedziane.”

Zadumany wróciłem z towarzyszami ku miastu. Leśna drożyna, którą kroczyliśmy, była oświetlona milionem świecących owadów, których światła, jak iskry czy brylanty, igrały na ciemno-zielonem tle nocnej sceneryi. Coraz silniejsza rosa zmuszała nas do powrotu, inaczej mimo zmęczenia, wołałbym tu przedumać cudowną tę noc.

Gdym powrócił do pałacu i wszedł do pokoju z królewską werendą, który tworzył mój apartament, by spocząć wreszcie na matach — zauważyłem dwie wysokie, ciemne postacie, stojące prawie nieruchomo przy drzwiach sypialni. Byli to dwaj olbrzymiego wzrostu murzyni, których Amatifu przysłał tu jako straż przyboczną, ze zleceniem dostarczania mi wszystkiego, czego bym zapragnął. Toż samo opowiedzieli mi towarzysze podróży dnia następnego o swych pokojach.

ROZDZIAŁ XIX.

Podarki króla Amatifu.—Heroldowie królewscy.—Dary przysłane od Akasamadu.—Stary tron króla Amatifu i sala tronowa.—Fufu. — Przybycie króla na obiad.—Dziwny obowiązek assinijskiego ministra.—Etykieta assinijska.—Żona tygodniowa króla.—Siesta. — Obraz z tysiąca i jednej nocy. — Uroczystość na cześć gości. — Oprawadzanie fetyszów.—Taniec miłości. — Podarki. — Pierścienie Amatifu. — Chorzy nasi zmuszają do odwrotu.

Następnego rana, gdym wyszedł na wewnętrzną dziedziniec przylegający do naszych pokojów, zauważyłem ruch niezwykły. Czarni słudzy króla Amatifu znosili całe masy bananów, kur, kóz, baranów, jamsu, jaj — a wreszcie sprowadzili wołu. Był to podarek Jego Królewskiej Mości, którym zwyczaj krajowy kazał się wywzajemnić za ofiarowane przez nas dary. Ten sam zwyczaj jednakże wymagał również, by ofiarowana żywność posłużyła do wspólnej z ofiarodawcą uczty. Zaprosiliśmy więc na obiad starego króla, który też przyjął zaproszenie — przysłał służbę na pomoc naszemu kucharzowi i oświadczył, że prosi nas, użyć na ten cel „salę tronową.” Osobny zaś posłaniec doniósł, że Amatifu napędził wszystkich swych złotników do wykończenia dla nas pierścieni na pamiątkę od assinijskiego władcy, lecz że takowe nie mogą być wykończone prędzej, jak na wieczór. Podziękowałem królowi za ten nowy dowód przyjaźni i korzystając z kilku wolnych chwil, zdobytych podczas przygotowań kulinarnych naszych ludzi — udaliśmy się do miasta, by zwiedzić resztę jego dzielnic.

W jednej z ulic napotkaliśmy znów wysłańców króla, którzy na nowo zwoływali poddanych na popołudniowe uroczystości i polecali ich szczególnej uwadze i poszanowaniu białych gości — przyjaciół Amatifu. Posłańców było 4-ch. Pierwszy niósł dzwon i grzechotki, zwracając ich dźwiękami uwagę mieszkańców na siebie; za nim szedł główny herold z fetyszem Amatifu, ogłaszając zlecenia otrzymane od króla, w końcu wreszcie szło dwóch innych heroldów z dzidami, oznakami godności. Wszyscy byli pomalowani białymi kreśkami na twarzy i ciele — co oznaczało, że byli posłańcami króla. Dążyli od domu do domu spełniając swą powinność z wielkim hałasem. Wszędzie też, dokąd dojsz mogło niedyskretne nasze oko, zauważyliśmy przygotowania do zapowiedzianej ceremonii; tak kobiety jak i mężczyźni wynosili z ukryć domowych najbogatsze swe materye i klejnoty, które za godzin kilka zdobić miały ich brązowe postacie, by stworzyć scenę wziętą zaiste jakby z tysiąca i jednej noey.

Gdyśmy powrócili do pałacu, zastaliśmy nowych posłów z darami: byli to ludzie od Akasamadu, następcy tronu, przychodzący z kozami, baranami, platanami — jako rewanżem za dane mu wczoraj podarki. Posłano i tego część do kuchni, a tymczasem udaliśmy się do owej „sali tronowej,” gdzie pod dozorem Kastora, Anema i inni przygotowywali stół. Była to obszerna komnata oddzielona od korytarza wchodowego ścianą zrobioną *a jour*. W jednym jej rogu zaś stał na wywyższeniu tron Amatifu — wielki fotel o prostej wysokości poręczy, wybity żółtym ałtusem. Był to jednak „tron zgrzybiały,” prawdopodobnie jeszcze z czasów Bouet-Villamera, a białe mrówki i inne toczące owady, jako też mól, pozostawiły na nim liczne swe ślady. Jego Królewska Mość jednakże nie raczyła się jeszcze ukazać — stanąłem więc w oknie, przypatrując się kobietom pomagającym kucheikom naszym przy biciu sławnego „fufu.” Jest to masa ubita z gotowanych platanów; długie ubijanie w drewnianym młódcie czyni ją tak gęstą i wisną, że dla oddzielenia cząstki łyż-

ką trzeba tę ostatnią najprzód umaczać w szklance wody. Do fufu podaje kuchnia afrykańska sos pieprzowy ze świeżego afrykańskiego pieprzu i oleju palmowego, co skosztowawszy nieprzyzwyczajony jeszcze cudzoziemiec czuje jakby ogień w ustach. Łatwo jednak przywyka się do tej potrawy, a podczas febr nawiedzających podróżnika często w Afryce — jest ona jedynem prawie jadłem, którego zupełnie przytępiony apetyt, nie odrzuca.

Nieszczęsna ta plaga życia afrykańskiego już się zjawiała w gronie mych towarzyszków; od rana 4-cich z nich czuło się niedobrze, gorączka się wzmagala tak, że przy zapowiedzianym solennym obiedzie nie wszyscy mogli być obecni. Wreszcie zapelniał się korytarz; przez kraciastą ścianę zauważyłem mnóstwo tłoczących się członków dworu królewskiego, a w końcu w fioletowej jedwabnej todze przeszywanej złotem, i w kapeluszu generała-feldmarszałka z czerwonym pióropuszem, ukazał się Amatifu wraz z żoną (faworytką tygodnia) i 2-ma najmłodszymi synami oprócz ministrów i świty. Król po ceremonialnem przywitaniu zajął swój tron, u nóg siedli dwaj jego mali synowie, z tyłu żona i ministrowie a z boków — Kastor tłumacz z prawej, z lewej zaś główny minister z chustką, którą ścierał ślad, ile razy Jego Królewska Mość splunęła.

Bogate bransoletki na rękach i nogach, pierścienie i kolczyki, a oprócz tego ciężkie pepity złota w brodzie zawieszone, musiały nie mało ciężać starcowi. Obecna jego żona miała również we włosach znaczną ilość złotych ciężkich ozdób, oprócz licznych bransoletek i naszyjników wyrobionych z tego kruszcu. Amatifu jednakże nie wyglądał dnia tego tak czerstwo, jak zeszłego wieczoru. Oczy jakoś były zapadłe, wyraz twarzy nieco kwaśny — cała postać jakby sztywna i wyschła — głos znacznie ochrypły. Później dopiero dowiedziałem się od Kastora, że ja byłem mimowolną przyczyną metamorfozy. Damżany z anyżówką albowiem znalazły takie upodobanie Jego Królewskiej Mości, że otrzymawszy je

dowiół swego upodobania „en gros” i pokrzepił całą ich zawartością swą i swych małżonek spragnione natury, podczas ciszy nocnej. Był dlatego nieco roztargnionym, o czem świadczył piróg z pióropuszem wsadzony tyłem do czoła, co jednakże spostrzegł minister z chustką i poprawił przy wejściu.

Obiad się rozpoczął. Amatifu był jedynym, który jadł z nami przy stole — jadł z początku widelcem, lecz wkrótce poprosił etykietalnic o pozwolenie swych gości — jeść palcami, ponieważ to mu wygodniej. Naturalnie nie zachmurzyło to bynajmniej naszego usposobienia. Ze swego talerza dawał rękami kawałki potraw dzieciom i żonie obecnej — tej jednakże, jak w ogóle tu kobietom nie przystawało jeść w obec męża — wkładała więc otrzymane porcje do drewnianej miseczki, którą trzymał przy niej niewolnik. Była to twarz jasna, koloru brunatno-żółtawego o regularnych rysach, które szpeciło atoli tatuowanie na skroniach i czole. Dowiedzieliśmy się, że to podobno córka króla Aszantyjskiego, krewnego Amatifu.

Rozmowa, podczas której starałem się rozweselić starca, stała się wkrótce ożywioną — o ile pozwalała na to etykieta krajowa — Amatifu ma, zdaje się, słabą stronę do napojów — popijał wino czerwone, lecz wołał absynt i anyżówkę. Oświadczając wreszcie, iż wkrótce rozpocznie się uroczystość dana na cześć naszą, poprosił o pozwolenie powrócenia do swych pokojów dla odpoczynku.

Odprowadziwszy kilka kroków odchodzącego, poszedłem za jego przykładem i odbyłem małą siestę, gdyż trzeba było przygotować się na kilka godzin palącego słońca i piekielnej murzyńskiej muzyki.

Okolo 3-ej też przybył posłaniec od Amatifu oznajmiając, że król wychodzi na uroczystość i oczekuje tylko naszego przybycia, by dać znak do rozpoczęcia. Dałem więc znać o tem mym towarzyszą, a gdy się zebrali, ruszyłem prowadzony przez jednego z „dworaków” ku miejscu, w którem odbyć się miały uroczystości tego dnia.

Było to wewnętrzne podwórze przylegające do owej sali tronowej, w której obiadowaliśmy 2 godziny temu.

Widok, jaki się przedstawił oczom naszym, jest trudnym do opisanía! Na murowanych stopniach otaczających wewnętrzne frontony dziedzińca a ozdobionych daszkiem wystającym — rysowała się — niby na tarasach otaczających kwadratową arenę — dziwna, fantastycznie malownicza masa czarnych postaci, ubranych w białe lub innych kolorów togi i bogato ozdobionych złotem, srebrnymi klejnotami. Zdawało się rozgorączkowanemu umysłowi, że za pomocą lampy A. adyna przeniesieni zostaliśmy w dawne stolice Numidyjskich monarchów, przyjmujących rzymian świetne stroje i bogactwa — albo że na afrykańskiej ziemi ujrzelśmy mi-
raż — że to fata morgana!

Pod głównym frontonem w cieniu siedział na europejskim fotelu wysłanym, podarowanym wczoraj przez nas dywanem, i otoczony swą świtą — sędziwy Amatifu w białej jedwabnej todze przesywanej złotem. U nóg jego siedziało dwóch małych jego synów — za nimi kilku synów starszych i ministrowie — z prawej i lewej zaś, z wyjątkiem 8-miu siedzeń dla nas przygotowanych a przerywających malownicze tło — poruszała się zlekka, jak południowych wód fala, barwna masa bronzowych postaci — w końcu wreszcie, naprzeciwko króla ciągnął się fronton otwarty, gdyż tu stały fetysze królewskie. Przed niemi siedziała muzyka — bębny, grzechotki i dzwony z żółwich skorup — nad wszystkim zaś jaśniała toń ciemno-lazurowego oceanu, wśród którego złota tarcza słoneczna rozsyłała swe płomienne blaski, jak gdyby cała atmosfera zgorzeć miała dnia tego w wszystko pochłaniającym upale.

Wpatrując się w tę żywą rycinę i podczas gdy wszystkich spojrzenia były skoncentrowane na grupę naszą, przeszliśmy kwadratową arenę i zajęli również nasze siedzenia. Przechodząc około starego monarchy przywitaliśmy się po-

wtórnie podaniem ręki, a gdyśmy siedli, Amatifu dał znak rozpoczęcia zabawy.

Niezwłocznie uderzono w bębny drewniane, cymbaly i grzechotki. Aczkolwiek piekielna ta muzyka odbywa się podług taktu; biją jednakże w bębny i resztę instrumentów tak szybko, że całość wystawia się jako nieopisany chaos. Nastąpiło oprowadzanie przed nami kolejno każdego z fetyszów. Procesya ta trwająca około dwóch godzin była nadzwyczaj oryginalną. Z przodu szedł murzyn z toporem, którym wywijał w powietrzu niby odpędzając siły wrogie, wstrzymujące przejście fetysza.

Za nim dwóch ludzi przybranych w skóry jaszczurek i aligatorów niosło same fetysze, których kształty były najrozmaitsze. To wypchana jaszczurka, to czaszka, to figura wystrugana z siwą brodą, to żółwia skorupa, to znów plecione grzechotki, napelnione szeleszczącymi nasionami, żaby i jaszczurki z gliny ulepione i okopcone, to znów kamienie z białymi znakami w formie T lub V. Z tyłu zaś szedł błazen, umalowany na twarzy wapnem, a noszący okrągły kapelusz. Cała ta grupa obnosiła fetysze w ciągłych dzikich skokach, to się cofając, to dzwoniąc kolanami jakby ze strachu, a ciągle kiwając głowami na wszystkie strony. Patrząc na nich zdawało się, że to garstka waryatów drżących silnie od zimna, tak konwulsyjnymi były ich ruchy. Ile razy grupa ta (która rozpoczynała swój bieg od domku fetyszów) mijala dworaków i zbliżała się do króla, Amatifu przywoływał ją drewnianym instrumentem, formy bumerangu australczyków, w który uderzał drewnianym młoteczką. Dwaj przebrani murzyni, którzy nieśli fetysz, kierowali swe skoki wtedy ku królowi, niby posłuszni pociągowi, jaki czuł tajemniczy przedmiot do głównego fetyszera kraju. Amatifu albowiem jest za przebiegły, by powierzyć niebezpieczną tę godność komu innemu; jest więc głową polityczną i religijną zarazem w swem państwie, mogąc stracić lada chwila niepodobające mu się jednostki z najwyższej posady w ręce swych katów.

Jest jednakże pod tym względem więcej umiarkowanym niż jego kuzyn, król Mensah aszantyjski, nb. jeżeli jest w dobrym humorze.

Ile razy jednak grupa fetyszerów miała minąć nasze miejsca, wyprawiała ona najdziksze skoki, zbaczała z drogi, wracała o kilka kroków, znów podskakiwała naprzód—podczas gdy murzyn z toporem coraz silniej wywijał w powietrzu. Niby przy obcych fetyszowi trudno było przejść i dopiero po dźwięku młoteczka starego króla grupa mijiała, jak stado brykających żubrów, których coś straszy na drodze. To samo powtarzało się z każdym fetyszem, a gdy widzowie byli znużeni, pokrzepiali się winem palmowem z czar struganych z orzechów kokosowych, podczas gdy fetyszerzy i inni sprzeciwiali się błaznowi, rzucając mu na plecy różne przedmioty, a między innemi rozbijali o nie jaja kurze.

Wreszcie obniesiono wszystkie fetysze dokola. Bębny na chwilę ustały i zaczęła się zmieniać dekoracya, a raczej aktorowie. Po niewielkiej pauzie, podczas której obnoszono w kalabasach i dzbanach wino palmowe oraz rodzaj sorbetu z pomarańcz, wyszły dwie grupy: jedna kobiet, druga mężczyzn. Były to niby najpiękniejsze kwiaty z seraju Amatifu, które prowadziła rano poznana królowa tygodnia, świecąca od złotych ozdób i olejków, któremi wysmarowane było ciało i włosy. Również bogaty widok przedstawiała i reszta żonznaczonych do tańca. Rozpoczął się taniec miłości, który ściśle opisać byłoby niemożliwem; szalonym, namiętnym ruchom wtórowała również szalona muzyka—chwilami zdawało się, że rozbijają się te bębny lub klepki rozebranej baryłki, związane w pęk lianami, a w które grono niewolników klęcząc uderzało ze wszystkich sił pałkami. Wreszcie królowe assinijskie padając prawie ze znużenia, skończyły swój taniec, a raczej pantominę, przedstawiającą wszystkie odcienia namiętności gorącego syna Afryki w tak drastycznej formie i nagości, że ten, kto widział te sceny, zapewne ich

nie zapomni, pragnącemu zaś bliższego opisu powiedzieć tylko można: „Idź i zobacz, a zrozumiesz że milczę.”

Kto nie widział sposobu tańca murzyńskiego w ogóle, ten nie może mieć wyobrażenia o oryginalności tego widoku. Jestto poprostu konwulsyjne, jakby spazmatyczne potrząsanie ciała na miejscu: łydki, kolana, biodra, plecy, ramiona, głowa — wszystko trzęsie się z coraz wzrastającą siłą, pot kroplisty występuje na całym ciele tancerza lub tancerki, dopóki znużeni nie padną prawie, a rozognieni muzykanci powiększają wrzawę swych instrumentów głośnym, nieprzerwanym śpiewem.

Gorąco było wciąż niezmiernie. Atmosfera zdawała się być rozpaloną, lecz niestrudzone nasze bajadery nie zrażały się tem bynajmniej. Gdy zmęczenie kazalo im na chwilę wypocząć, widocznie niecierpliwiły się i z nowym zapalem wypadaly na arenę.

Od czasu do czasu Amatifu wysyłał swych małych synów, by się popisywali pomiędzy poruszającym się kolorowym kalejdoskopem tancerek i tancerzy. Wtedy malecy chwytali długie kawały jedwabnej materji i jak strzały puszczali się wzdłuż wolnego w pośrodku placu, podczas gdy powiewały za nimi trzymane nad głową materje, aż drobni tancerze nawrócili i imitując ruchy starszych, powracali w podskokach do ojea. Wtedy stara twarz Amatifa uśmiechała się zadowolona, gdyż lubi on swych synów nadzwyczaj, dopóki są mali — potem zapomina o nich i oddala ich od siebie.

Podczas piasów malców, królewskie tancerki podchodziły kolejno do Amatifu i do nas, podając nam ręce na znak przyjaźni małżonka ich dla nas. Potem znów odbiegały i znów rozpoczynały swe dziwne piasy.

Tymczasem wzmogła się febra mych towarzyszków do takiego stopnia, że stan ich zaczął mnie niepokoić. Były to skutki palącego w łodzi na jeziorze słońca, na które europejczyk w Afryce w ogóle zbyt narażać się nie powinien. Udzie-

liłem spostrzeżenia me panu Brétignère i podziękowaliśmy Amatifu za uroczystą jego zabawę, daną na cześć naszą, wiedząc, że przez to podziękowanie skończy się hulaśliwa ta scena. Wypadało jeszcze dać podarki tancerkom, o czem był już pomyślał gościnny francuz, i za chwil kilka wniesiono kilkanaście sztuk materyi i skrzynki z butelkami dżynu, na pokrzepienie znużonych aktorów tego baletu w swoim rodzaju. Żony Amatifu widząc to, obiegły raz jeszcze plac, pokazując wszystkie swe wdzięki, poczem podeszły znów kolejno do podziękowania — i opuściliśmy miejsca nasze, pożegnawszy się z królem, by odetchnąć po tym zgiełku i tej wrzawie.

Po odpoczynku poprosił mnie Amatifu, bym go odwiedził w jego komnacie. Zabrawszy więc Kastora, udałem się do pokoju starego króla. Była to wązka, podługowata aula, o glinianych, na czerwono pomalowanych ścianach. W pośrodku swych domowników, siedzących na ziemi, spoczywał Amatifu w pół leżącej postawie, na krześle sorentyńskim, postawionem na wzniesieniu. Gdym wszedł, wstał, i pytając się o zdrowie mych towarzyszków, oświadczył nadzieję, że nam się uroczystość dzisiejsza podobała — a na znak przyjaźni swej — rzekł — stary król Amatifu kazał swym złotnikom sporządzić pamiątkowy pierścień dla swego gościa i dla każdego z jego towarzyszków.

Podziękowałem starcowi — wymieniliśmy jeszcze kilka grzeczności i udałem się do naszych pokojów, gdzie już czekano z obiadem, a raczej kolacją. Pierścienie Amatifa były przyjemną niespodzianką, nad którą spędeni złotnicy widocznie spieszyć się musieli; przyjęto je też z radością, raz jako okaz krajowej roboty, powtóre jako pamiątkę od króla Amatifu.

Rozmowa przy wieczornym stole, przy którym byliśmy bez świadków, toczyła się naturalnie o popołudniowej uroczystości i królewskich tancerkach; pacjentom naszym jednakże stawało się coraz gorzej i mimo ogólnego żalu zdro-

wych, musiałem się zdecydować zmienić program. Na dzień jutrzejszy albowiem zamierzaliśmy udać się wyżej po rzece Krindzabo, by zwiedzić jej katarakty w Aboasso — lecz wkradające się pomiędzy mych podróżnych febry nie pozwoliły na to; postanowiliśmy więc pożegnać się dziś i odpłynąć jutro nazad nad brzeg do Assini.

ROZDZIAŁ XX.

Pożegnanie u Akasamadu —Projektowana przez niego jeszcze większa uroczystość. — Wymiany grzeczności. — Dziwne żądanie. — Ostatnia wizyta u Amatifu. — Żywy obraz z Rzymu starożytnego. — Śpiew kobiet. — Młody satelita.—Powrót do Assini. — Anema. — Nowa droga do Timbaktu. — Rzetelny obyczaj.—Wyptywamy.

Pierwsze powiewy przedwieczornego chłodu zastały nas znów w mieście—w drodze do schorzałego Akasamadu, by się z nim pożegnać. Zastaliśmy go przy wieczerzy przyslanej mu przez nas, ponieważ nie chciał był przyjąć zaproszenia na obiad. Jedna z żon była przy nim, podając mu potrawy. Gdyśmy mu objawili, że przybyliśmy się z nim pożegnać z przyczyny choroby części mych towarzyszków, Akasamadu bardzo się zmartwił. Chciał był albowiem skorzystać z obecności naszej i uroczystością wyprawioną dla nas u niego zaćmić to, co uczynił Amatifu. To też rzekł nam, że niektórzy z jego ludzi byli obecni na ceremoniach popołudniowych u Amatifu i widzieli, co było urządzeniem u króla i rywala jego; ale że on (Akasamadu) jutro chciał nas przyjąć w swym pałacu w dwójnasób świetnie i uroczyście i że dlatego nagły nasz odjazd niezwykle go zasmuca. Zauważyłem mu, że zniewala mnie do tego febra, która opanowała niektórych z nas, a która w krajach tych jest niebezpieczną dla białych, gdyż bez tej przeszkody wszyscy pragnęliby pozostać w gościnnej tej stolicy jak najdłużej; zresztą Akasamadu jest znanym ze swej wspaniałości, potęgi, siły i bo-

gactw—dodałem, dziękując za jego gościnne zamiary, i choć nie widząc niestety ich urzeczywistnienia, jestem przekonany o przepychu uroczystości danej u niego. To uspokoiło zmar-twionego; uśmiechnął się, gdy mu Kastor powtórzył wiernie te słowa, podczas których jego towarzysza poruszeniem głowy objawiała pokilkakrotnie, iż aprobejuje ich treść. Następnie oświadczył Akasamadu, że on wie dobrze, iż Amatifu dał nam pierścienie złote, mające nam przypominać w dalekich krajach białych jego przyjaźń; „Akasamadu—rzekł — rozkazał swoim złotnikom sporządzić daleko większe i piękniejsze dla białych swych przyjaciół, lecz nie wiedział, że chcą już jutro rano opuścić Krindzabo — pierścienie te więc niestety, gotowemi nie będą na jutro, jednakże osobny posłaniec pospieszy z nimi do Assini za wami.”

Podziękowałem mu za obiecaną pamiątkę i zapytaliśmy się, czy i on sobie czego nie życzy. Otóż, któż opisze nasze zdziwienie, gdy po tych pompatycznych grzeczościach Akasamadu zażądał... czosnku! (sic!) dodając, iż bardzo lubi „ten owoc z krajów białych.” Wstrzymując uśmiech, cisnący się gwałtem na wszystkie twarze, przyrzeczono zadość uczynić żądaniu, jeżeli tylko kucharz będzie jeszcze posiadał żądany „owoc” w swej spiżarni podróźnej. Następnie po wymianie jeszcze raz grzeczości, opuściliśmy chorego następcę tronu, udając się na pożegnalną wizytę do Amatifu.

Ostatnie widzenie się z sędziwym afrykańskim władcą na długo pozostanie mi przed oczami. Zastaliśmy go w wewnętrznem podwórzu pokojów, w pośrodku dwóch najmłodszych synów, znów nawpół leżącego na swem sorentyńskim krześle wyłożonem matami, a przy nim na ziemi siedziała, oparta o poręcz krzesła, ta sama żona, którąśmy już poznali rano. Księżyc przyświecał tej cichej, jakby z dawnych czasów wyjętej rycinie, osrebrzając białą to-gę starca i igrając ze złotą przepaską brązowej głowy jego małżonki. Zdawało się patrzącym na to oczom, żeśmy w atrium starego rzymianina, że odżyły postacie dumnej Ro-

my lub złotej Pompei. Gdzieżbym cię dziś szukał, urocza ry-
cino, w bladej Europie? Chyba na scenie teatru, pod ludzącą
dekoracją aktorów.

Amatifu słuchał z zalem wiadomości o naszym odjeź-
dzie — i on chciał jeszcze po jutrzejszej projektowanej uro-
czystości, drugą u siebie urządzić, a przytem był szczerze
rad gościom z dalekich stron, pośród monotonnego życia,
gdyż stare członki już rzadko dozwalały mu ruszyć się po za
obręb palacu. Zapewniwszy go, że nigdy nie zapomnę jego
gościnności, pożegnałem go i poszliśmy. Zapewnienie to dać
mu mogłem z czystym sumieniem — nikt chyba z nas nie za-
pomni tego majestatycznego starca, któremu ostatnia chwila
widzenia jeszcze dodała szczególnego uroku.

Gdyśmy po krótkim jeszcze wieczornym spacerze po-
wrócili przed werendę naszych pokojów — zauważyłem przed
nią wielką liczbę młodych kobiet, przeważnie dziewcząt,
śpiewających i intonujących swemu śpiewowi klaskaniem
w dłonie, a naokoło nich wylała się na plac niemal cała lud-
ność stolicy, poruszając się jak ciemna fala przyływu. Wieść
o naszym odjeździe rozeszła się była lotem błyskawicy i mie-
szkańcy Krindzabo przyszli się pożegnać z nami i przypa-
trzeć się jeszcze raz ciekawie białym gościom.

Przed drzwiami stał jeden z młodych synków Amatifu —
śliczna figurka, niby posążek z florenckiego bronzu. Przy-
bliżył się do mnie i zaczął nieśmiało coś mówić. Więcej z ge-
stykulacyi, jak z mowy mi niezrozumiałej, poznałem, że ma-
lec żądał, bym poszedł do Amatifu i poprosił o pozwolenie
zabrania go z sobą — „a więc chcesz pójść ze mną?” — zawo-
łałem, objaśniając zapytanie ruchami. Murzynek pokazał
ręką w stronę brzegu i potakując kiwał głową, lecz Amatifu
spoczywał już na swych matach w głębokim śnie.

Poszedłem na piętro do sypialni; zanim jednak udałem
się na spoczynek, stanąłem we drzwiach balkonu, wiodąc
okiem po placu. Ten śpiew murzynek czynił dziwne wraże-
nie na rozkołysanym umyśle. Monotonne jego dźwięki i ru-

chy przyklaskiwania — cała ta grupa — wydawały się jak sen południowej fantazyi.

Gdym wreszcie powrócił do swego pokoju, ujrzałem, oprócz dwóch ciemnych postaci, postawionych i tej nocy na straży — mego małego czarnego podróżnika z dołu. Uroił on sobie, że pojedzie ze mną i już nie chciał mnie opuścić — całą noc spędził w mym pokoju.

Śpiew kobiet i chaotyczny zgiełk z placu nie ustawał, — natura jednak żądała swych praw i wkrótce sen skleił powieki, kończąc wrażenia ostatniego wieczoru pamiętnych dni u dworu króla Amatifu.

Zegnaj wyniosły starcze! — biali cię posadzają, mówiąc o licznej krwi, płynącej w twojej stolicy przy twoich uroczystościach. Choć krew aszantyjskiego Mensy płynie i w twoich żyłach, oczerniają cię jednak ci, którzy twierdzą, żeś do niego podobnym. Dwór twój jaśniał dla nas niewinniejszemi zabawami — i jeżeli biali czytać będą te słowa, znajdziesz sprawiedliwość, Amatifu!

Następnego rana ruszyła karawana nasza po znanej nam już drodze ku rzece. Przy wyjściu znów stała delegacya króla, odprowadzająca nas w jego imieniu. Mały mój czarny satelita znów przybiegł do mnie. Śliczny chłopczyzna oczekiwiał z rękami skrzyżowanemi na piersiach mej odpowiedzi i zwiesił ze smutkiem głowę, gdym mu wytłumaczył, że to jest niemożliwem; a gdyśmy ruszyli ku łodzi, Anema z zawiątkiem pod pachą i chwytając jeden z mych pakułków, by go ponieść przez drogę, postępował tuż za mną. „Nie można, Anema — rzekłem mu — my nie wracamy teraz do kraju białych, droga moja prowadzi jeszcze daleko, do innych waszych plemion, głęboko w gąszcze; najczęściej nie będziemy mieli ni domu, ni dachu i Duch Wielki tylko wie, co nas czeka.”

Ale Anema nie dał się uspokoić i już byliśmy daleko na rzece, gdy stał jeszcze nad brzegiem, patrząc łzawem okiem ze zwieszoną główką za odpływającymi.

Nie wiem dlaczego, lecz sam byłem posępnym tego rana; z żalem opuszczałem stolicę króla Amatifu i mimowoli zakrążyła myśl powrócić tu kiedy na dłużej; tymczasem zaś wołały nas obowiązki dalej na południe.

25 marca byliśmy znów w Assini, w faktoryi, z okien której ujrzeliśmy znów „Łucyę-Małgorzatę,” kołyszącą się spokojnie na wodach. Łódź faktoryi odwiozła chorych szczęśliwie na okręt, podczas gdym został jeszcze przez dzień jeden w faktoryi, by zakupić nieco świeżej prowizyi na drogę do Elminy, która miała być następną naszą stacją.

Drugiego rana zauważyłem bogato ubranego murzyna. Przynosił on złoty proszek do faktoryi w wartości 6,200 franków, nazywał się Azemia. Gospodarz nasz zapewniał, że to nie rzadkiego i że za wzięte z faktoryi za przyniesione złoto towary, kupiec ten czarny wyrusza w dwumiesięczną drogę w głąb i znów powróci z nową zdobyczą. Szczęśliwiec ten podróżował aż po za tajemniczemi dla nas górami Kong. Wdałem się z nim z tego powodu w rozmowę i bogaty Azemia oświadczył gotowość swą wzięcia mnie z sobą, jeżeli tego pragnę. Jak rzadką propozycyę musi człowiek czasem odrzucić! Rzekłem mu jednak, by pamiętał o swej obietnicy—że wrócę kiedyś po jej spełnienie. Doszedłem albowiem do przekonania, że stąd prowadzi droga do Timbuktu—łatwiejsza może, niż droga przez Saharę z północy.

Powracając ze spaceru do faktoryi, zauważyłem następnie murzyna zajętego wiązaniem sobie nóg sznurem, tak jednakże, by mógł chodzić. Spytawszy się o przyczynę, dowiedziałem się o obyczaju rzucającym dobre światło na rzetelność assińczyków. Jeżeli tutejszy krajowiec winien drugiemu jaką sumę, a nie jest w stanie jej oddać, wtedy umawia się z wierzycielem, iż odsłuży mu dług. Na znak zaś owego układu, wiąże sobie nogi i chodzi tak przez dwa dni po swej wsi. Jestto niby kontrakt zawarty, którego wypierać się potem nie może, gdyż wszyscy widzieli go z umówionym znakiem, przez który on czasowo traci swobodę. Przy

zwyczajach godnym jest uwagi sposób zawierania i rozwiązywania małżeństw. Konkurent płaci ojcu swej wybranej pewną sumę. Jeżeli zaś żona mu się sprzeniewierzy, lub oszukała go już wychodząc za mąż — teść zwraca ową sumę i małżeństwo jest rozwiedzionem.

Czas nam jednakże opuścić gościnne te brzegi. Staliśmy więc znów gotowi do drogi; zabrano świeże zapasy wody i prowiantu na pokład i 28 z rana podniesiono kotwicę. W chwili wypłynięcia grzeczny p. Brétignère zapytywał się jeszcze sygnałem: „Comment vont les malades” —o zdrowie naszych pacjentów. Bogu dzięki, było im lepiej i mogłem podnieść sygnał: „Merci, amélioration” — poczem wymieniliśmy saluty flagą i ruszyli dalej w drogę.

ROZDZIAŁ XXI.

Projekta.—Różne punkta Złotego Brzegu.—Historya Elminy — Kilka słów o kolonii, jej klimat.—Handel Złotego Brzegu i innych punktów angielskich w zatoce Gwinejskiej. — Do portu.— Charakter miasta. — Konsul Brun.—Zawiedzione nadzieje. — Rewolucya aszantyjska. — Królewska żona naszego nowego znajomego.—Po mieście. — Gość na „Łucyi” do dalszej drogi.—Wyżywamy.—Cape Coast.

Umysły nasze zajęte jeszcze scenami dni ostatnich, wkrótce w nowem były oczekiwaniu; zamierzałem albowiem, jeżeli będzie możliwem, udać się z Elminy łądem do Kumassi, stolicy króla aszantyjskiego, by poznać ten kraj, którego mieszkańcy łączą w sobie w dziwny sposób tyle talentów i zdolności z dobrze znanem, smutnie osławionem okrucieństwem. Listy otrzymane w Santa Cruz na Teneryfie miały mi w tem dopomóc i zapoznać mnie z p. Brun, konsulem francuskim w Elminie, człowiekiem znającym Aszanti i będącym — niejednego to zdziwi — zięciem króla aszantyjskiego. To też budowałem wielkie nadzieje na pobyt w Elminie.

Po południu około 2-iej, dnia 28 marca, gdyśmy wpływali na wody angielskiej kolonii Złotego Brzegu, zerwała się burza, gdyż była to tutaj pora tornadów. Burze tu jednak nie trwają długo — chmurzy się niebo, staje się jakby ołowiem pokryte, za chwilę napada orkan potrząsający wszystkim, fale rwią się i szumią; lecz też i ta krótka chwila częstość jest dostateczną zniweczyć wszystkie nadzieje marynarza. Wkrótce znów się wypogodziło, chmury spadły potokami na wodne obszary nasze i spragnioną rysującą się

w dali ziemię, znów dozwoliły słońcu rozsyłać swe promienie w pełni—i dalej posuwała się „Lucya,” choć nader wolno, gdyż po chwilowym gniewie żywiołów ułożyły się wiatry, jakby zmęczone, do snu.

Dnia 29 pod wieczór minęliśmy przylądek Trzech Punktów (Cape of Three Points), w nocy na dzień następny Fort Brandenburg — wspomnienie dawnych niefortunnych przedsięwzięć zamorskich prusaków;—30-go wreszcie po południu zauważyliśmy miasteczko Chama (czytaj: Kama), posiadające niegdyś jedną z najlepszych plantacji i osad rolnych tego brzegu, a należącą do jakiegoś holendra. Przed przystaniem stał parowiec angielskiej kompanii (African Steam-Ship-Company) „Ambriz,” dążący z południa do Liverpoolu z produktami Zachodniego Brzegu; załoga składała się po większej części z murzynów krumanów, a wrzask licznych małp i papug świadczył, że wiozą—jak zawsze tu — transporty dla dostawców zwierząt do ogrodów zoologicznych Europy. Wymieniliśmy ukłon flagą i popłynęli dalej.

Przed wieczorem zarysowały się mury i białe forty Elminy; wkrótce też stanęliśmy na kotwicy. Pogoda była piękną, dzień słoneczny, z zajęciem spoglądaliśmy na te krwawe brzegi, na których tyle toczyło się walk i na których naprzemian gospodarowali po wojennych wyprawach: normandzycy, Portugalia, holendrzy i Anglicy, a pomiędzy nimi czasowo w niektórych punktach prusacy i Francuzi. Na lewo stał zamek św. Jerzego, dalej fort San Jago, pod nimi brudne mieszkania krajowców Fanti, zajmujące dolne miasto; następnie ciągnął się zielony pas lasów po brzegu, a w dali, na prawo, błyszczały białe mury stolicy kolonii: Cape-Coast-Castle, w odległości kilku mil.

Elmina czyli San Jorge de la Mina jest najstarszą osadą białych na Złotym Brzegu. Według kronik marynarskich, założyli ją normańscy masoni, którzy tu w r. 1383 wybudowali lożę masonską pod nazwą Mina (La Mine), z przyczyny wielkiej ilości złota tu napotykanego. W r. 1410 miejsce

zostało opuszczenem aż do roku 1471, w którym zajęli Elminę portugalczycy, po raz pierwszy się zjawiający w tej epoce na Złotym Brzegu. Wybudowawszy w r. 1481 fort San Jorge (dziś rezydencya angielskiego komendanta miejsca), panowali w nim nad Elminą do roku 1637, w którym tak miejsce jak i twierdza zdobyte zostały przez holendrów; im też Portugalia ustąpiła swą posiadłość na mocy traktatu z r. 1641. Holendrzy wybudowali na wzgórzu oddzielonem przez rzeczkę Beyah od zamku San Jorge nową twierdzę San Jago, którą uczynili głównym punktem tutejszych swych posiadłości. Wreszcie w r. 1870 Holandia odstąpiła Elminę Anglii, obecnie wyłącznej pani Złotego Brzegu. Kolonia ta, nosząca oficjalnie nazwę „Gold-Coast Colony,” ciągnie się podług mapy Wylda przez 250 mil linii brzegowej; od $3^{\circ} 10' W.$, t. j. od rzeki Tando do $0^{\circ} 41' 2'' E.$ t. j. niedawno jeszcze do rzeki Volty. Obecnie jednak przekracza wschodnia jej granica rzekę Voltę, obejmując fort Quittah. Najbardziej południowy jej punkt Przylądek Trzech Punktów (Cape of Three Points) leży w szerok. $N. 4^{\circ} 15'$, północną zaś granicę tworzy rzeka Prah, dzieląca kolonię Złotego Brzegu od królestwa Aszanti. Ludność krajowa należy przeważnie do plemienia Fanti, spokrewnionego z aszantyjskiem.

Widok wybrzeży jest o wiele wyrazistszym i bardziej ożywionym niż otaczających je na wschodzie i zachodzie kolonii: wszędzie ciągną się tu pagórki, grunt wykarczowany, gdzieniegdzie fortece i stare zamki. Charakter ten brzegu zaczyna się zaraz przy granicy assinijskiej, tu albowiem ciągną się pagórki Apollińskie (Apollonian Hills); dochodzą one prawie do miasta Apollonii. Owe niskie brzegi, jakie przedstawia Liberya, Grand Bassam i Assini, są tu rzadszemi i wydają się rzeźwiejszemi przez liczniejsze zabudowania i wspomniane kastele. Jedną z najmonotonniejszych jeszcze jest część wybrzeża, ciągnącego się od Apollonii do rzeki Ankobrah; tu następują znów pagórki naokoło fortu Axim, dalej

zaś między Aximem a fortem Dixeove ciągną się obfite kau-
czukowe lasy.

Możnaby mniemać po pierwszym wrażeniu, że jest to
ziemia faworyzująca europejczyków. A przecież rzecz się
ma weale inaczej.

Sami anglicy zowią tę swą kolonię: „The whiteman's
grave” (grobem białych). I nazwa ta jest bardzo odpowie-
dnią. Dla życia europejczyka Złoty Brzeg nie jest weale
złotym. Lista gubernatorów rządzących tu od roku 1750,
wskazuje przerażającą ilość krzyżyków, tak że zwykłem było
twierdzenie, „iż dla Złotego Brzegu Anglia powinna zawsze
mieć dwóch gubernatorów na raz: jednego tam umierającego,
drugiego w drodze na zmianę, albo raczej dla zajęcia wakan-
su.” Wprawdzie w ostatnich czasach warunki sanitarne po-
lepszyły się nieco; około dwóch dni drogi od rezydencyi gu-
bernatora, t. j. od Accrah urządzono nawet sanitarium, poło-
żone w Aburi przeszło 1,000 stóp ponad morzem, lecz mimo
to pozostaje Złoty Brzeg zawsze „grobem białych.”

A jednak handel między Złotem Wybrzeżem a królest-
wem Aszanti ściąga tu zawsze europejczyków, gdyż handel
tych stron jest bardzo znacznym i będzie wzrastał z niezmier-
ną szybkością. Artykuły wwożone przedstawiają: sól, spi-
rytualia, tytoń, materye, proch, fuzye, wyroby fajansowe
i szkła weneckie pod postacią pereł, lusterek etc. Produkta
zaś wywożone stanowią: złoto, olej palmowy, kawa, orzechy
palmowe, kauczuk, oraz drób, w jaki niektóre punkta (jak
np. miejsce Yellow Coffee) zaopatrują europejczyków na ca-
łym zachodnim brzegu afrykańskim. W ogóle interesa, jakie
robią anglicy w swych punktach w zatoce Gwinejskiej (w Se-
negambii angielskiej, w Sierra Leone, na Złotym Brzegu,
w Lagosie i Bonny) przewyższają sumę 100 milionów fran-
ków rocznie. A suma ta wkrótce się podwoi, gdy otwartem
będzie dla handlu złotodajne królestwo aszautyjskie, zapo-
wiadające zyski trudne do obliczenia.

Lecz czas nam udać się na brzeg. Niewiedząc jaką jest

bara w Elminie, posłałem, skoro tylko skończyły się formalności portowe, listy me z Santa Cruz i bilet do p. Brun, konsula francuskiego, z zapytaniem, czy może mnie przyjąć dziś i czy bara jest spokojną.

Wkrótce przybyła odpowiedź, zapraszająca nader gościnnie na wieczór do konsulatu i dodająca, że bara jest w Elminie zawsze spokojną i małoważną. Pojechałem więc na ląd. Za fortem San Jorge, wybudowanym na półwyspie występującym w morze w kierunku SE, a utworzonym z jednej strony przez morze, z drugiej zaś przez rzeczkę Beyah, widać most, który łączy miasto, leżące na przeciwnym brzegu Beyi — z fortem. Ujście rzeki od mostu do morza jest ocembrowane kamiennymi molami, w dobrym utrzymaniu. W to ujście prowadzi droga do miasta; wpłynąłem więc w takowe, dalej pod most i wreszcie do schodów kamiennych za niemi się znajdujących, a stanowiących przystań miasta. Stała tu warta—czarny żołnierz z pułku Gold-Coast-Constabulary, w mundurze podobnym do tureckiego, który dano im naumyślnie, gdyż są to mahometanie z plemion Haussa z Sudanu. Angliecy rekrutują ich dla swych kolonii afrykańskich i otrzymują z nich dobrych żołnierzy.

Jeden z tych Haussów, wolny od służby, wskazał mi drogę do konsulatu francuskiego i wkrótce wstąpiłem w długą ulicę, obsadzoną dwoma rzędami cienistych drzew, ciągnących się równolegle z murowanymi domami obu stron. Ta właśnie ulica, skręcająca następnie na lewo, posiada główne gmachy europejczyków, misję katolicką OO. Propagandy liońskiej, faktorye, hotele (czyli raczej gospody skromne) i bazary. Od czasu do czasu snuły się po niej zapyłone grupy Haussów, przybywających z głębi; tu i owdzie siedział marabut odmawiający swe sury z koranu, tam znów z długimi kijami przeciągali jacyś posłowie z Aszanti. Pomiędzy ludem, na widok ostatnich, zapanowała jakaś agitacya—patrzano na nich, podchodzono ku nim i wskazywano ich palcami.

Za chwil kilka przybyłem przed dom konsula Brun; kamienne boczne schody prowadziły z ulicy na piętro przez tylną werendę, na której przyjął mnie gospodarz. Po kilku chwilach wzajemnych grzeczności, które jednakże skróciła okoliczność, że pan Brun od lat wielu jest w Afryce, gdzie etykieta staje się bardzo prostą, mowa ściślejszą i więcej węzłowatą, poznałem u niego trzech francuzów, przybyłych także do Elminy, by udać się do Kumassi. Od nich dopiero dowiedziałem się, co się święci dokoła: projekt aszantyjski był nie do wykonania w tych chwilach. Król Mensah, niedawno jeszcze potężny władca w Aszanti, tułał się obecnie po kniejach, by uratować własne swe życie. Wczoraj jeszcze okrutny despota ścinający dla uroczystości królewskich setki ofiar ludzkich — musiał się dziś obawiać o swą własną głowę. ¹⁾

Tak toczą się koła losów ludzkich!..

Krwawa rewolucya, która właśnie wybuchła w całym królestwie, zmęczonem krwawemi rządami Mensy, strąciła go z tronu — wszędzie panowała rzeź jego stronników, żon i dzieci, komunikacya i handel były zerwane, krew lała się po całej ziemi aszantyjskiej, która zresztą od dawna nią przesiąkała. Przy takich okolicznościach naturalnie nie było można nawet myśleć o podróży do Kumassi — i biedni trzej francuzi byli tak samo zawiedzeni jak i my, więcej nawet, gdyż ich celem było wyłącznie Aszanti, podczas gdy ono dla nas było tylko ekskursją, po drodze projektowaną. Postanowiłem więc, po zakupieniu świeżych zapasów żywności

¹⁾ Król Mensah został zrzuconym z tronu przez swych poddanych w lutym 1883 r.; główną przyczyną stała się chciwość jego. Wymyślił on sobie albowiem wygodny sposób zaludnienia swego haremu i zapelniania skarbcza na koszt wpływowych osobistości kraju, a mianowicie kazał takowe poprostu ścinać podczas wielkich uroczystości, konfiskując ich żony i skarby. Tak poświęcił on od 1881 do 1882 roku 400 ksiąząt i dostojników państwa swej fantazyi.

i wzięciu świeżej wody, popłynąć po kilku dniach dalej do Fernando-Poo, zbliżając się przez to do celu podróży — stron Kameruńskich.

Przed wieczorą miałem honor poznać królewską małżonkę oryginalnego mego gospodarza. Była to wysoka, majestatyczna postać, cery żółtej, jak cała królewska familia w Aszanti. Wyraz twarzy był (jakże dziwnie igrają czasem prawa przyrody) nader łagodnym, powolnym i przyjemnym. Mówiła płynnie po holendersku, angielsku i nieco po francusku; była to przytem osoba wychowana po europejsku — jednakże nieco za małomówna, prawie milcząca. Dzięki to jej, p. Brun ¹⁾ doznał w 1881 r. świetnego przyjęcia w Kumassi, na które zwołano wasalów króla Mensy z odległych nawet prowincyi, by powitali jego europejskiego krewnego.

Wieczór upłynął bardzo przyjemnie na tarasie wewnętrznym domu; p. Brun opowiadał szczegóły ze swej drogi do Kumassi i pobytu u dworu króla Mensy — ja wywzajemniałem się streszczeniem naszego pobytu u króla Amatifu; tak jedno zaś jak drugie opowiadanie spowodowało pewną wymianę myśli i przypuszczeń, której wynikiem było, że jesteśmy obaj prawie pewni, iż stąd i z Assini prowadzi nowa, nieznaną dotąd droga do Timbaktu, tem bardziej zajmująca, że przerywna ona grzbiet Kongski. ²⁾ Na każdym kroku ład afrykański nowe odkrywa problematy i nowe pola do pracy i poszukiwań.

Gdyśmy się rozczli, było dość późno; postanowilem więc przenocować na brzegu, w „hotelu,” w którym stali trzej poznani francuzi. Gospoda ta leżała w niższej, nadbrzeżnej części miasta, zajętej przez liche domki krajołowców.

¹⁾ W chwili, w której zestawiam te notatki, gościnnie Brun przeszło od roku spoczywa w ziemi Złotego Brzegu. Zmarł w Elminie w maju czy kwietniu 1883 r., a więc wkrótce po naszej znajomości.

²⁾ Poświęciłem temu słów kilka w nr. 35 „Wędrowca” 1883 r.

Przeszliśmy wszereż ulicy z drzewami i po schodkach zeszli do dolnego miasta. Przy świetle latarki, trzymanej przez murzyna pana Bruna, mogłem rozróżnić chaotyczne zarysy glinianych lepierek, około których tu i owdzie spał na ulicy jakiś zmęczony Fanti. Po kilku dalszych krokach stanęliśmy przed jednym z tych domków — był to ów „hotel,” mający służyć za nocleg. Suchy, wysoki murzyn, podstarzały i patrzyący z pod oka, przywitał nas przy wejściu, a poinformowany przez p. Lanchier, jednego z francuzów, że chcę przenocować, wskazał izdebkę, w której stało coś naksztalt łóżka europejskiego. Wyraziłem mu swe zadowolenie i przy pomocy serdecznych mych nowych znajomych z nad Sekwany urządziłem pokój i łóżko jako tako do spania; jednego tylko nie mogliśmy dokonać, t. j. zastąpić czem szczelnem nieoszkłone okno, przez które tu w nocy — nie mówiąc już o moskitach i jaszczurkach, jako gościach zwykłych — mogą się zdarzyć różnego rodzaju nawiedzenia.

Następnego dnia złożyłem wizytę komendantowi Elminy. Komendantura znajduje się w zamku San Jorge, którego silną budowę mogłem teraz podziwiać. Żołnierze plemień Haussa, zajmujący warty i posterunki, byli dzielnie wumustrowani i czynili dobre wrażenie składnością ruchów. Apartamenty komendanta i oficerów, sala recepcyjna, jak i inne części zabudowań, były w dobrym stanie, chociaż fort kilka wieków panował tu nad okolicą, widząc po kolei portugalczyków, holendrów i anglików, jako rządzących. Kapitan Dudley, obecny komendant, osobistość nadzwyczaj sympatyczna, przyjął mnie bardzo gościnnie, oprowadzając po wałach, skąd otwierały się malownicze widoki na okolicę, port i miasto. Oczekiwał on prawdopodobnych rozkazów wyruszenia z załogą w głąb kraju nad rzekę Prah, by zapobiedz zajściom, sięgającym dalej, niżby rząd jego mógł dozwoląć.

Wreszcie po południu, po rewizycie z zamku na „Łucyi-Małgorzacie,” zwiedziłem wraz z częścią towarzyszków mia-

sto i okolicę. Wszędzie na ulicach rozstawione były małe bazary, na których znajdowały się świecidelka z Europy ostatnich gatunków oraz złote wyroby z Aszanti i okolic, jako to: pierścienie, naszyjniki, szpilki do włosów, bransolety, sprzączki, wreszcie złoty piasek (czasem używany przez krajowych bogaczy do posypywania głowy) i pepity, wplatanie przez magnatów w brodę. Ogólne zajęcie wzbudzały pierścienie krajowej roboty ze znakami zodyaku, nader artystycznie odrobione. Główny jednakże rynek na te pierścienie nie znajduje się w Elminie, lecz w miejscowości Accrah, słynnem zarówno z krajowców Accrah (Accrahmen angiłków), kształconych przez tamtejszą misję na zdolnych rzemieślników, głównie bednarzy, kucharzy i cieśli.

Ciekawym zabytkiem są stare ruiny pałacu króla Elminy, widocznie wystawionego mu kiedyś w odległych czasach przez portugalczyków, gdyż struktura murów pozostałych zdradza sposób budowania portugalski. Nawpół zwalone kolumny pokryła roślinność, która też prądem południa wdarła się do wnętrza. Gmach ten był kiedyś otoczony rozległym placem—dziś sprzedano różne części takowego i w sąsiedztwie owych ruin, wspaniałych nawet w swych szczątkach—powstały nędzne chatki „kolorowych dżentelmenów” dni dzisiejszych.

Niedaleko od ruin, na końcu miasta, zauważyliśmy osadę Haussów. Słońce zachodziło, a jego ostatnie promienie padały na jej brunatnych mieszkańców, którzy siedzieli tu i owdzie na małych dywanikach, odmawiając wieczorne modlitwy. Lecz wieczór szybko zapadający zmusił nas do powrotu do miasta i znów spędziliśmy wieczór u konsula Brun. Jedno jeszcze zanotować muszę spostrzeżenie, a mianowicie, że cywilizowana czarna ludność Elminy, która uważa się za holendrów, nie jest zadowolona z rządów angiłków, choć prawdopodobnie jedynie dlatego, że Holandia będąc przez 200 przeszło lat władczynią Elminy, przyzwyczaiła ich do swych rządów, sposobów życia i języka. Większa też część

ludności mówi po holendersku i dlatego czuje po holendersku; swoją drogą jednakże niema prawie nikogo tu, ktoby (oprócz części Fantów) nie posiadał również języka angielskiego.

Wielką niedogodnością Elminy dla okrętów żaglowych jest brak wody. Trzeba ją kupować u pewnej „kolorowej lady,” która założyła wielkie murowane cysterny i robi na nich bardzo dobre interesa; cysterny te jednakże są dość daleko od przystani, trzeba więc beczki transportować do nich, a następnie napelnione przetaczać znów nazad przez całe miasto.

Zajęło to dwa dni prawie naszej załodze.

Czas w Elminie upłynąłby mimo to nader przyjemnie, gdyby nie febra, spowodowana w Krindzabo, a która jeszcze panowała na pokładzie „Łucyi.” Tymczasem widząc zawód, jakiego doznali trzej francuzi w swych planach, zaproponowałem jednemu z nich, dzielnemu p. Lanchier, czyby nie chciał skorzystać z okazji i zwiedzić choć inne strony, do których płyniemy, t. j. Fernando-Poo i strony Kameruńskie, i że w takim razie z przyjemnością powitam go na pokładzie. P. Lanchier przyjął też zaproszenie; niestety, wycieczka ta nie mogła przedstawić mu wiele chwil przyjemnych, gdyż, jak wkrótce zobaczymy, ściągnęły się czarne chmury nad biedną „Łucyą Malgorzatą” w pierwszych zaraz czasach po przybyciu do Kamerunu.

D. 6 kwietnia mieliśmy świeże zapasy mniej więcej skompletowane; woda była też nabrana — odbyłem więc pożegnalne wizyty w zamku u konsula Brun, oraz u pozostających towarzyszków p. Lanchiera — i sprawdziwszy bieg chronometrów, opuściliśmy brzegi Elminy 7 kwietnia po południu, dążąc do Santy Isabeli na Fernando-Poo, przy silniejszym i pomyślniejszym dla nas wietrze.

Szybko pruć „Łucya” fale i gdy zachodzące słońce ozlacało swemi ostatnimi promieniami brzegi i ich osady, mijaliśmy stolicę kolonii, miasto Cape-Coast Castle tak blisko, że było widać pojedyncze budynki i zamki, od których

miasto nosi nazwę. Miejsce imponuje swemi silnemi murami i przedstawia centrum rządu kolonii. Stąd też wojska angielskie wyruszyły w r. 1874 do Kumassi, stworzywszy od czasu owej kampanii szeroką drogę prostą, łączącą stolicę kolonii z rezydencją dworu aszantyjskiego. Niestety, mieliśmy ją ominąć jak na teraz i mury zamków Złotego Brzegu zbladły na oddalającym się tle, na którym noc wkrótce rozesała swe cienie.

ROZDZIAŁ XXII.

Kilka słów o Nigrze. — Dawne o nim pojęcia. — Zbadanie Nigru. — Mungo-Park, René Caillé, Lander, Ekspedycya Nigru.—Ostatnie dni żeglugi naszej.—Tornado.

Droga nasza, która od przylądka Cape Mount w Liberyi wiodła wzdłuż brzegu, by o ile możności poznać charakter jego w całości, musiała odtąd odmienić kierunek, gdyż tu zatoka Benin, wrzynająca się w ląd pomiędzy Złotym Brzegiem a ujściami Nigru, posuwa linię lądową na ENE, podczas gdy kurs na Fernando-Poo wypada na ESE. Kierunek ten powinien nam być odkryć na chwil kilka na horyzoncie ujścia Nigru, lecz minęliśmy przylądek Formoso w nocy tak, iż nie widzieliśmy sławnej rzeki, której odkrycie trwało przeszło wiek cały i życia ludzkiego niemało kosztowało. Po olbrzymiej rzece Kongo jestto największa arterya handlowa drogą wodną w głąb tego lądu, po której europejskie parowce i kanonierki różnych państw (kursujące dość często dla często zdarzających się potrzeb interwencyjnych) płyną teraz już po nad ujście rzeki Binue.

To zwyczajtwo cywilizacji, z którem łączy się szereg podróży i imion, nigdy nie zapomnianych ani na falach majestatycznych Rzeki Świętej, ani wśród geografów północy—nie może nam pozwolić, byśmy choć w tym pamiętniku nie poświęcili kilku chwil rzece Niger, chociaż około ujść jej przepłynąć tylko kazala potrzeba białym żaglom naszej „Lucyi” bez zatrzymania się. Z rzeką tą albowiem związane są podania i historia całego prawie Sudanu, którego czarni

mieszkańcy zachowali dla niej pewną głęboką cześć religijną, a wśród niej snują na tle jej wód mnóstwo przesądów i bajek. Ten, ktoby się odważył czerpać wody Nigru z jego źródła — utrzymują — ujrzałby naczynie swe wyrwanem z rąk przez niewidzialne siły, przez które straciłby świętokradzkie swe ramię — i długo olbrzymia rzeka drzemała w cieniu afrykańskiej nocy.

Już Herodot daje nam pierwsze wieści o Nigrze, wielkiej rzece Sudanu, twierdząc, iż rzeka ta płynie ze wschodu na zachód i wpada w ocean pomiędzy 10 a 20 stopniem sz. płn. Następnie przez długie lata brano Senegal za ujście Nigru i jako identyczny z Nigrem Herodota. Mniemanie to utrzymywało się przez długie lata i było bronionem przez wielu geografów; przeciw niemu jeden z wybitniejszych występował Edrisi, twierdzący, że Senegal i Niger są dwie rzeki odrębne, że każda bierze początek w jednym z dwóch sąsiednich jezior, lecz że jedna płynie na zachód, druga zaś na wschód.

Na mapach ukazało się to twierdzenie jednakże dopiero w roku 1714, a mianowicie na „Mapie Świata Delisla,” wydanej owego roku. Mimo to długo jeszcze utrzymywano, że istnieje komunikacya pomiędzy górnym Senegalem a Nigrem — i dopiero sławnej pamięci Mungo-Park dowiódł, iż mniemanie to jest mylnem. Wysłany w r. 1795 przez afrykańskie towarzystwo angielskie dla rozwiązania tego zadania, ¹⁾ popłynął podróżnik ten w górę po Gambii i przybył wkrótce do miasta Medina. Opuszczając tam rzekę tę i przechodząc przez Talehme — ramię Senegalu, a następnie przez sam Senegal, dotarł do miejsca Jarzah (czytaj Dżarza), gdzie napotkał na ostatnie ślady nieszczęśliwego majora Houghton, który zamierzając to samo, zginął tu w r. 1791.

¹⁾ Travels in the interior of Africa performed under the direction and patronage of the African Association in the years 1795, 1796 and 1797. London 1799 in 4-o (3-o edition).

Stąd obrał kierunek na południo-wschód i po ciężkich przejściach dotarł do celu, nad Niger, przy miejscowości Sego, stolicy kraju Bambarra; tu wreszcie ujrzał, czego pragnął: wody Nigru. „Patrząc przed siebie—pisze Mungo-Park w swym pamiętniku—ujrzałem wielki cel mej missyi, majestatyczny Niger, którego szukałem od tak dawna. Szeroki jak Tamiza przy Westminster, błyszczał on ogniem słońca i płynął powoli na wschód. Pobiegłem do jego brzegu i napiwszy się z jego wód, podniosłem ręce do nieba, składając dzięki Rządzącemu wszechświatem, że uwieńczył me zabiegi zupełnem zwycięstwem.”

Ta podróż Mungo-Parka oznajmiła światu, że z tych samych gór, w których biorą początki Senegal, Cambia, Rio-Grande i inne płynące do Atlantyku — wypływa Niger jako olbrzymi potok, dający wstęp daleko na wschód w głąb lądu.

By dalej odkryć tę drogę wodną, rozpoczął się cały szereg podróży. Pierwszym był sam Mungo-Park, który w r. 1805 nanowo puścił się w drogę, mniej więcej tą samą linią, jaką był obrał w swej pierwszej podróży. 2 października 1805 r. popłynął on z Sego na dół po rzece—niestety więcej z niej nie wrócił. Później dopiero dowiedziano się od krajowców, że z po za Timbaktu przybyli w owym czasie biali z prądem rzeki, lecz zginęli zdradziecko na wodach Dżoliby.¹⁾

Śmierć Mungo-Parka nie wstrzymała innych. Wkrótce potem major Laing dotarł do Timbaktu, do owej tajemnicą okrytej metropolii wewnętrznej Afryki, o której mówi już Leon Afrykanin. Dążył on właśnie z Timbaktu do Europy z bogatemi odkryciami, gdy wstępując w obszary Sahary, został zabitym. Wreszcie René Caillé dotarł do Timbaktu nad Niger w tem miejscu i pierwszy powrócił szczęśliwie

¹⁾ Jak wiadomo, Niger znany różnym krajowcom pod różnemi nazwami, jak Tebiem (przy źródłach), Baba czyli Dżolibia (t. j. wielka rzeka), a niżej Timbaktu nosi nazwę Kworra.

z owocami swemi do Europy 1824 — 1828). Według niego, Niger około Dżenne (blisko Timbaktu) ma szerokość Sekwany przy Pont-Neuf w Paryżu (a więc nie tak szeroki jak nasza Wisła między Warszawą a Pragą).

Środkowej części Nigru do dziś dnia w całości nie znamy. Najdalej sięga tu marszruta Bartha, która przecina bieg Nigru przy miejscowości Say. Część jednak pomiędzy Yaurie i Komba nawet na najnowszych mapach Afryki oznaczoną jest tylko punktami.

Co do dolnego biegu olbrzymiej rzeki, położyli tu największe zasługi bracia Ryszard i Jan Lander, którzy w roku 1830 zbadali główne ujście, co przy sieci „krików,” jakie tworzą delty Nigru, nie było łatwym zadaniem, tem bardziej, że krajowej tych delt należą do najdzikszych na całym tym brzegu, a ich kula czy strzała spowodowała śmierć Ryszarda Landera, który leży pochowany w Fernando-Poo, dokąd płyniemy.

Ważnym rokiem dla eksploracji Nigru jest też 1859, rok działań smutnej pamięci Ekspedycji Nigru (Niger Expedition), która tyle kosztowała życia ludzkiego. Niestety, przedsięwzięcie to miało za wiele w sobie, jak słusznie zauważył Burton — wpływów i ideałów z Exeter Hall — i to było jej zgubą. Niejeden z czytelników będzie się dziwił tym moim opiniom, wypowiedzianym już raz obszerniej; niestety, mogę tylko powiedzieć: „idź i przekonaj się.”

Oto w krótkości historia odkrycia i zbadania biegu Nigru; sto lat już się ciągnie ono, a jeszcze nie jest skończonem! Afryka nie łatwo odkrywa swe tajemnice; tylko po wielkich ofiarach otworzy ona swe drogi, a do chwili, w której odsłoni się zupełnie — wieleż jeszcze zgonów oświeci słońce południa!

Lecz powróćmy na pokład naszego okrętu, gdzie każdego wieczora tej ostatniej dłuższej żeglugi „Lucyi-Małgorzaty” zbierało się całe grono jej mieszkańców do wspólnej gawędy. Czem bliżej byliśmy kresu żeglugi, tem niecierpliwiej wyglą-

dano ładu—nie wiedzieliśmy niestety, wiele złego miało nas spotkać na nim zaraz na wstępie! Dzięki ci, Opatrzności przezorna, która zakrywasz przyszłość przed oczami śmiertelnych!

Pogoda była zmienna, jak zwykle w czasie tornadów. Częstokroć panowała cisza na morzu zupełna; żagle obwisły, linami nawet nie poruszała fala kołysząca: — morze, okręt i załoga zdawały się uśpione; tak 8 kwietnia nie odbyliśmy więcej nad mil kilkanaście. W dniach następnych, 9 i 10, letarg natury stał się jeszcze bardziej martwym, nastąpił zupełny „calm plat,” podczas gdy gorąco stało się nadzwyczajnem. „Łucya” stała na miejscu. Wreszcie 11-go zawiął lekki, stały wietrzyk, lecz jakże stały! Jak wszystko na południu (a czasem i na północy) na 24 godzin. 12-go nad ranem zawarczało w linach, „Łucya” zaczęła pędzić jak szalona, morze zaszumiało złowrogo, a gdym wyszedł na pokład, zastałem horyzont czarny, groźny, straszny. Tornado—rzekłem do przechodzącego po pokładzie wice-kapitana Boutes—i za chwil kilka zawył huragan z taką siłą, że wszystko drżało w przyrodzie. Zapanowała prawie zupełna ciemność dookoła—maszty zdawały się niewytrzymywać dłużej szamotania i parcia wichru, podczas gdy bałwany, jak pijana zgraja średniowiecznych najemników, zdobywających mury nieprzyjaznego miasta — wdrapywały się na pokład i wpadały do kajut. Wkrótce żywioły doszły do apogeji w swej walce; pioruny uderzały po piorunach, grzmoty i błyskawice ścigały się nawzajem. Wreszcie zaszumiała gwałtowna tropikalna ulewa. Lecz w niej też powoli słabły grzmotów tony i przechodząc powoli w diminuendo, ustały około południa, ukazując znów niebo z wypogodzonym obliczem.

Jeszcze trzy dni żeglugi, a byliśmy u celu.

ROZDZIAŁ XXIII.

Wycieczki po wyspie.—Obfitość owoców i inne cechy kraju.—
„Dżyg.“ — Różne klasy ludności na Fernando-Poo: Bubisi,
kolorowe obywatelstwo, kubańczycy i biali.—Plantacye kakao.

Pierwszych zaraz dni pobytu na pięknej wyspie użyliśmy na zwiedzenie jej północnych brzegów, poprzerzynanych licznymi malowniczymi zatoczkami, pomiędzy którymi pierwsze miejsca zajmują: Gravina, uroczą Baya de Venus, Baya San Nicolao i zatoka Horacyusza.

Coziennie ze wschodem słońca odbijała jedna z naszych szalup od burtu okrętu i po porannej morskiej kąpieli odbywaliśmy owe ekskursye, lądując w licznych punktach, a zaw sze żywo ujęci czarami tej przyrody wspanialej, której siła bez granic w zdumienie wprowadza przybysza.

Tu i owdzie tylko rysowały się jaśniejsze odcienia drobnych plantacyi kakao, należących do czarnych właścicieli; resztę brzegów pokazywał jeden ciemny bukiet lasów. Podczas gdyśmy zwiedzali cieniste ich obszary, posyłałem majtków do skał po ostrygi, których pewne miejsca, głównie zaś wysepki Enrique dostarczają wielką ilość, lub zarzucano sieci, a gęszcze zatoczki nie jednokrotnie wyposażały stół okrętowy różnorodnemi owocami, w które obfituje w ogóle Fernando Poo.

Znajdujemy tu wszystkie prawie gatunki zatoki Gwinejskiej: ananasy, banany, platauny, pomarańcze, mandaryny, cytryny, gujawy, anony, owoc chlebowy, masło roślinne, papaje; brak tylko wyspie kokosów, co jest tem więcej zasta-

nawiającem, że sąsiednie wyspy: Principe i San Thomé obfitują w takowe. Tylko na plantacyach znajdują się tu te palmy błogosławione, których drogiecenne własności poznałem później dopiero, jak pokaże druga część opisu podróży.

Fauna jest tu mniej rozmaita. Zwierząt drapieżnych nie posiada wyspa wcale; na skłonach jej gór możemy najwyżej upolować, oprócz ptactwa, małpę lub antylopę; krajowcy łapią niekiedy jeszcze wiewiórki lub węże mniejsze — płazów i owadów tu zresztą wszędzie pełno; pomiędzy tamtymi napotykamy głównie przeróżnych odcieni jaszczurki i kameliony, wśród tych zaś mrówki czarne i białe, w końcu moskity — konieczne i znane zło stron gorących.

Tu musimy się też zapoznać z plagą, rozpowszechnioną od kilkunastu lat w całej zatoce Gwinejskiej, a sięgającą już w dalekie głębie lądu. Każdy europejczyk, który przez dłuższy czas przebywał w tych stronach, zapoznać się z nią musiał. Jestto pasożyt, zwany przez anglików „jigger” „chique,” przez francuzów „chigoc,” przez portugalczyków, czyli podług naukowej nazwy: *Sarcopsylla penetrans*. Drobnutki „dżyg,” jak nazywaliśmy go zwykle po polsku, wgryza się niepostrzeżenie w nogę — najczęściej w palec u nóg, gdzie sprawia z początku lekkie swędzenie. Zauważa się wtedy drobny, ciemny punkcik, który wkrótce się powiększa i tworzy się wypukłość, dochodząca do ziarnka grochu, a sprawiająca stopniowo ból coraz większy; pasożyt albowiem otoczył się wtedy już, wgryzając się coraz głębiej — pęcherzem, zawierającym liczne jaja, które przedstawiają się jako ślizka, lepiała się materya, jątrząca niezmiernie ciało w zagrożonem miejscu, t. j. naokolo jamki robaka. Zaniedbanie takiego „dżyga,” t. j. dopuszczenie złożonych jaj do rozwinięcia się w oddzielne „dżygi,” może spowodować amputację dotkniętego członka.

Wyjęcie go zaś zaraz w początku nie przedstawia żadnych dolegliwości i dokonywa się drewnikiem lub szpilką. Idzie tylko o to, by doznawszy owego swędzenia, wiedzieć

co ono znaczy i zaraz wykorzeńić zło w zaczątku, czego najczęściej dokonywa czarny służący. Europejczyk, nie chcący narażać się na cierpienia, spowodowane przez dżygi, powinien w ogóle z jednym z czarnych swych służących odbywać co wieczór przegląd nóg, gdyż takowy nie przepuści nigdy dobrze znanego mu „ciemnego punkcika,” t. j. pojawiającego się dżyga. ¹⁾

Plaga ta nie jest początkowo afrykańską — sprowadził ją okręt, przybywający kilkanaście lat temu z Brazylii, wyrzucając swój balast — piasek, który zawierał niemilych przybyszów, w bliskości miejsca Fernao-Vaz. Odtąd dżyg rozpowszechnił się z zastraszającą szybkością po całym brzegu zatoki Gwinejskiej.

Co do klimatu, wyrobiono wyspie Fernando-Poo w Europie tak niesłuszną reputacją, że w chwili przybycia sądziłiśmy, iż to jeden z najniezdrowszych punktów tych stron. Jakże jednak zmieniła się moja opinia pod tym względem następnie, po licznych i częstokroć długich tu pobytach. Tak góry Kameruńskie, jak i Fernando-Poo, powinny już oddawna być sanitarnemi strefami dla całego zachodniego brzegu Afryki. O stosunkach klimatycznych tutejszych pomówimy zresztą później w swoim czasie, gdy dobrze poznamy wyspę; pozostawię to więc również do drugiej części tego opisu.

Przypatrzmy się tymczasem teraźniejszemu życiu tej kolonii, drobnej jeszcze i nieznaczej co prawda, lecz mającej bezwarunkowo wielką przyszłość przed sobą.

W chwili naszego przybycia do Fernando-Poo, ludność tej wyspy składała się z czterech głównie żywiołów:

Pierwszy, najliczniejszy, stanowili i stanowią dzicy

¹⁾ Jeżeli „dżyg“ już się otoczył pęcherzykiem zawierającym jaja, wtedy po wyjęciu pasożyta należy starannie wycisnąć jamkę pozostałą; a najlepiej wysmarować ją naftą i zasypać popiołem od cygara — przedmiotami nie trudnemi zwykle do osiągnięcia.

krajowej — bubisi, w liczbie mniej więcej 30,000. Rozproszeni po lasach i skłonach gór, przychodzą oni do Santy Isabeli tylko w nielicznych gromadkach, przynosząc kalabasy z olejem palmowym, orzechy palmowe oraz drób (kury przeważnie) i zamieniając te produkty na towary europejskie w miejscowych faktoryach; w życiu zaś społecznym wyspy stanowią oni odrębną, nieprzystępną dla innych całość, niepragnącą mieć żadnej styczności ze światem cywilizowanym (do którego bubisi czują poprostu wstręt), prócz owych niezbędnych stosunków handlowych przy zamianie produktów.

Żadną miarą nie można bubisów zmusić do pracy, choćby za wysokim wynagrodzeniem; wyrabiają oni w gąszczu swój olej. polują i hodują swój jama, lecz do innego zajęcia, do jakiegokolwiek pracy w służbie innych, do zgodzenia się np. na plantację — nikt ich skłonić nie zdoła.

Po dwóch latach dopiero, po częstych odwiedzinach wyspy i jej lasów, mogłem bliżej nieco poznać tryb życia i obyczaje tajemniczego tego plemienia, obyczaje tak dziwne i odrębne od innych szczepów sąsiedniego lądu, że w drugiej części podróży dłużej zatrzymam się przy bubisach.

Drugą pod względem ilości klasę mieszkańców stanowi czarne obywatelstwo „cywilizowane” (najczęściej tylko w porównaniu z krajowcami), reprezentujące drobny handel, mniejsze plantacje, oraz, choć w słabym jeszcze stopniu — rzemiosła.

Ludność ta, która się wytworzyła z potomków oswobodzonych dawniej i osiedlonych tu — jak wspomniałem wyżej — niewolników, przedstawia mieszczaństwo Santy Isabeli i nie jest liczniejszą nad 1,500—1,800 dusz. Ponieważ rodzice ich przesiedleni zostali przez anglików i przez długi czas pozostawali pod wpływem i rządami angielskich misjonarzy, więc też dzisiejsi przedstawiciele tej klasy mówią po angielsku — najczęściej żargonem kolonialnym — uważają język ten za swój ojczysty i zachowują zwyczaje przeważnie angielskie, częstokroć sparodyowane, a zawsze prawie nacechowane

brakiem zamięłowania do czystości i ścisłości. Kolorowi ci obywatele są przeważnie protestantami, należąc zwykle do jakiegokolwiek z wegetujących wszędzie w koloniach przeróżnych sekt angielskich.

W ostatnich jednakże czasach rząd hiszpański zaczął pilniej śledzić za owemi misyami, pragnąc mieć w swych koloniach ludność uważającą się za hiszpańską, nie zaś angielską. Zaczyna się takowa też już przekształcać i w niedalekiej przyszłości będziemy prawdopodobnie widzieli na miejscu pp. Johnsonów, Davisów etc. — jakiego: Don Diega X., Don Pedra Y. lub Don Pabla Z. — co się zresztą kolorowym bardzo podobą. Szunne nazwisko albowiem oddziaływa niezmiernie na wyobraźnię kolorowego dżentelmena: niejednokrotnie napotyka podróżnik pomiędzy nimi: pp. Walterów Scottów Miltonów, Szekspirów, Beaconsfieldów, lub Diazów da Cunha, markizów de Cintra itp.

Trudniej będzie z kobietami, które są pod tym względem zwykle najważniejszym czynnikiem — i jeżeli rząd hiszpański chce jaknajprędzej dopiąć swego celu, niechaj posłucha tej rady: niech sprowadzi do Fernando Poo kilkadziesiąt kolorowych przedstawiolek płci pięknej, mówiących wyłącznie po hiszpańsku lub choć po portugalsku, co bynajmniej nie byłoby trudnem i śledzi za postępami. L'effet sera merveilleux — odparł mi na to pewien francuz, znający dobrze tamtejsze stosunki — i napewno miał racya.

Zajęciem tej klasy ludności jest przeważnie skupywanie oleju od bubisów i sprzedawanie takowego bądź do faktoryi, bądź wprost do Europy. W tym celu niejednokrotnie cała rodzina wyrusza z różnemi towarami do gąszczu, do osad bubisów, przebywa tam przez kilka lub kilkanaście dni i powraca z nabytym olejem do Santy Isabeli. Celują w tem skupowaniu przedewszystkiem kobiety.

Kawalkada tego rodzaju wygląda niejednokrotnie bardzo oryginalnie. Do starej, obszernej i zwykle nieporządnie utrzymywanej łodzi wciska się pomiędzy niezliczone mnóst-

wo pudeł, skrzyń i pak—cała kolekcya członków wybierającej się w drogę rodziny i domowników: sama „coloured lady,” najczęściej bardzo słusznej tuszy, kilka innych „dam” w powiewnych długich spódnicach, sporządzonych na wyrost, gdyż „damy” te mają te same inklinacje zaokrąglania swej śmiertelnej powłoki—kilku chłopców w wytartych ubraniach i kapeluszach, wreszcie pół tuzina piszczących murzyniątek; wszystko mieści się gdzie może — na pakach lub pomiędzy nimi, i żywo giestykulując, odpływa całe towarzystwo do tego lub owego punktu wyspy, skąd prowadzi najbliższa droga do osady bubisów, obranej jako miejsce zamiany.

Niektórzy z tych czarnych gentlemenów posiadają własne drobne faktorye, właściwie sklepiki tylko; inni znów fermy, małe plantacye, na których chodują przeważnie: kakao, kawę, oprócz jamsu „coco” i batatów.

Nie wszyscy jednakże z nich zajmują podrzędne stanowiska. Jest tu kilku czarnych plantatorów o bardzo znacznych obrotach handlowych. W zatoce San Carlos np., na zachodnim brzegu wyspy, leżą plantacye niejakiego Vivoura, czarnego właściciela, który zaczął swe interesa kilkanaście lat temu z kilkoma dolarami w kieszeni, — dziś zaś jest on nababem wyspy, posiadając milionowy majątek — rozległe pola kakao, kawy, tytoniu, trzciny cukrowej i kilka własnych faktoryi.

Pod względem rzemiosł przedstawia owa klasa ludności jeszcze niewiele ruchu. Santa Isabel posiada pomiędzy nimi kilku cieśli, stolarzy, ślusarzy, kilku krawców, szewca jednego; oprócz tego nie, lub niewiele więcej.

Trzecią kategorię ludności stanowią wspomniani deportowani powstańcy z wyspy Kuby — czarni i mulaci, w liczbie 150 — 180. Są oni tu wolni zupełnie; wzbroniono im jedynie opuszczać wyspę do chwili oczekiwanej przez nich ustawicznie amnestyi. Rząd wydaje im nawet tygodniowe porcey żywności, przez co zresztą pobudzał bezwiednie część kubańczyków do lenistwa.

Mimo to jednakże rozpoczął się z ich przybyciem—jak nadmienilem w ostatnim rozdziale—właściwy ruch plantatorski na wyspie i powstały pierwsze plantacye tytoniu. Odpowiadało to poniekąd nadziejom, jakie rząd hiszpański pokładał w przesiedleniu pewnej liczby kubańczyków do tej kolonii; był to w ogóle dawny plan władzy, a powstania na Kubie dostarczyły materiału i wytworzyły oficjalny powód do przymusowego przesiedlenia. Pobyt wygnańców na Fernando-Poo dodał wyspie również więcej żywiołu i cech hiszpańskich, tak upragnionych przez rząd.

Pod względem inteligencji, należeli ci kubańczycy do najróżniejszych warstw swego społeczeństwa. Jedni mieli własne plantacye lub posady, bądź rządowe, bądź prywatne—ci zajmowali lepsze domki Santy Isabeli; inni znów pracowali jako robotnicy na polach, lub wyrabiali cygara, mieszcząc w nędznych chatkach czyli raczej szalasach, zbudowanych z gałęzi bambusów i liści palmowych.

Niejednokrotnie, gdy upał całodzienny ustąpił miejsca wieczornemu chładowi, powiodła mnie droga za miasto, ku tym chatom, w których często i chętnie przebywałem. Ostre, szare ich dachy spostrzedz można było zdaleka wśród bananów, kasady i grządek tytoniu, a zwykle „buenas tardes señor” zapraszało wejść do ich wnętrza i pogawędzić z mieszkańcami. Główną część tego wnętrza zajmował zwykle przygotowany zapas schuącego tytoniu, wiszący dokoła na ścianach i zapelniający cały kąt wysokiego dachu; na wilgotnej ziemi zaś stał stary, brudny tapczan—skrzynia, zawierająca nieliczne ruchomości gospodarza, a służąca równocześnie za stół — na niej stara blaszanka od sardynek napelniona olejem palmowym i przedstawiająca przy pomocy skręconego z czegośkolwiek knota — lampę; kilka kur dreptających dokoła i wygasłe ognisko z kociołkiem—oto prawie i cała chudoba wygnańca!

Dziwny czulem czasem pociąg do tych ludzi, a sympatya nasza była zdaje się wzajemną. Często wynurzali mi oni

tu swe smutki i żale, a wśród tych postaci nieokrzesanych, zdziczałych niejednokrotnie i namiętych — taka nurtowała w głębiach dusz miłość i tęsknota do kraju zamkniętego dla nich i oddalonego tysiącami mil, że niejednokrotnie czulem się głęboko poruszonym i następowały chwile, w których słowa są głuche. Milczałem też wtedy, przysłuchując się dalszemu ich opowiadaniu; kubańczycy zaś czuli, że to milczenie więcej im znaczyło niż zwykle: „esperanza, amigos, esperanza!” podawane im często przez innych. W tych gawędach wieczornych poznałem niejednego rys z ich życia i bytu — mogę powiedzieć niejako historię murzynów w Ameryce — a gdy zapadała noc i czas mi było wracać do domu, zegnał mnie tak serdecznem „gracia, señor!”, jak gdyby to trochę uczucia było dla nich już wilią powrotu do ojczyzny.

Była to jednakże, mimo to, garść ludzi gwałtownych i burzliwych najeźściej.

Po tych wieczorach smutku i tęsknoty następowały inne, zupełnie odmienne i nietrudne do pojęcia. Wtedy czara uczuć wrzących w sercu zaszumiała i jak z wulkanu wybuchaly dzikie namiętności. Przy tańcach i szklance nietrudno im było porwać się do noża i zamiast cichej, skarg pełnej gawędy, w chacie za miastem zabarcowały w „tiendzie” niedzielnej inne instynkty — rozbijałe do szału, instynkty pragnące rumu, krwi, nieładu i wrzawy. Komisarz policyi był wtedy bezsilnym.

Inną ujemną stroną osiedlania kubańczyków na wyspie Fernando-Poo była ta okoliczność, że przybyli oni sami, t. j. bez żon i rodzin. Brakowi temu zaradzali jak mogli, naturalnie na niekorzyść małżonków i ojców kolorowych dam Santy Isabeli, co sprawiło, że zapatrywania się matrymonialne tych ostatnich stawały się coraz bardziej elastycznymi, a wreszcie wyswobodziły się zupełnie z pod jarzma wszelkiego niedogodnego porządku rzeczy, dopasowując się do upodobań chwili. Za pierwszymi przykładami pospieszyła też niebawem cała młoda kolorowa generacja.

Przy opisie częstszych i późniejszych odwiedzin wyspy Fernando Poo, poznamy oryginalne zaiste sceny z życia domowego i rodzinnego, obserwowane wśród kolorowego obywatelstwa.

Arystokrację wreszcie miejscową stanowią biali, w chwili naszego przybycia bardzo jeszcze nieliczni. Oprócz gubernatora, kilku oficerów i urzędników, oraz załogi z pontonu „Trinidad,” było wtedy w Fernando-Poo ogółem 8 białych, a mianowicie: trzech agentów angielskiej faktoryi, należącej do firmy John Halt et Comp. z Liverpoolu, dobry nasz przyjaciel Jeronimo Lopez, którego wkrótce poznamy na pięknej jego plantacyi; agent domu A. Gazulla z Walencji, proboszcz miejscowy, oraz angielski misyonarz z żoną — jedyną białą kobietą na wyspie. Europejczyków tych jednakże podróżnik rzadko spotyka na ulicach, jak zresztą wszędzie w koloniach podzwrotnikowych. Upał całodzienny zatrzymuje ich w domach; dopiero wieczorem, około 6 ej, odbywa białe towarzystwo swe spaceru, a z niem wybitniejsi i ambitniejsi reprezentanci kolorowego obywatelstwa, starającego się zwykle kopiować mniej lub więcej skrupulatnie ruchy i zwyczaje europejczyków.

Spaceru te odbywają się najczęściej za miasto ku mostowi nad Rio del Consul, lub po pięknych cienistych alejach, ciągnących się przez kilka kilometrów i należących do najpiękniejszej plantacyi — aczkolwiek wtedy bardzo zaniedbanej — plantacyi pp. Gazulla et Comp.

Mówiąc o plantacyach, nie mogę nie nadmienić, że stanowią one (głównie zaś plantacye kakao) coraz większą potęgę tak dla białych, jak również dla cywilizowanych czarnych. Jestto albowiem przedsiębiorstwo zupełnie pewne, a dające niezmierne zyski, wynoszące przeciętnie 50—100 o/o.

Wyspy Fernando-Poo, San Thomé i Principe są głównemi i jedynemi prawie dotychczas punktami, eksportującemi kakao, w zatoce Gwinejskiej. Dziwna ta roślina, której owoce w kształcie niewielkich melonów, nie wyrastają z gałęzi,

lecz z pnia, częstokroć obwieszono go niemi — znalazła sobie tu grunt odpowiedni i prosperuje w zupełności.

Urządzenie plantacyi kakao jest zupełnie analogicznem z urządzeniem plantacyi kawy: podczas gdy kawa jednakże wymaga wiele pracy ręcznej przy oczyszczaniu ziarna — zbieranie kakao przeciwnie odbywa się bez wszelkich prawie zachodów. Robotnicy odrywają od pnia dojrzałe melony, łamią je, wyrzucają ziarna na maty do osuszenia, a następnie, gdy takowe nastąpiło, zbierają je w workach, zawierających 100 funtów każdy, a cenionych na rynku w Liverpoolu po 60 — 70 szylingów (30 — 35 rs.).

Kwadratowy kilometr, zasadzony drzewami kakaowemi (dającymi pierwsze plony po trzech latach), zawiera zwykle 250,000 roślin. Przypuśćmy więc, biorąc wyjątkowo złe warunki, że jedno drzewko daje tylko 1 franka dochodu w przeciągu roku — otrzymamy z tego weale pokąźną sumę 250,000 fr., w której koszta wynoszą zaledwie $\frac{1}{5}$ część: stąd 200,000 fr. czystego dochodu.

„W takim razie — odpowie sceptyk — wszyscy plantowaliby kakao”.

„Zapewne — muszę zauważyć — lecz okoliczność, że klimat zabierze 50% z tych wszystkich, — rzuca najeczęściej strumień zimnej wody na plantatorskie zapęły europejczyków w tych stronach.”

ROZDZIAŁ XXIV.

Wycieczka do Basiléh. — Okolica w świetle porannego słońca. — Nad kaskadą. — Dumania. — Polskie pieśni u stóp Clarence-Piku. — Dalsza droga. — Plantacya. — Albinos. — Owoce pracy p. Lopeza. — Powrót do miasta. — Zaproszenie na wieczór. — Bohater zgiełków. — Przygotowania do niezwykłej wyprawy.

Północne strony górzystej tej wyspy, które zajmują bubisi miast: Robola, Bassupu, Banapa i Basiléh — niby oddzielne kraiki, mające każde swego naczelnika czyli kokoróko, zaczynają niedaleko za miastem łagodnie się podnosić i w wysokości mniej więcej 1,200 stóp, o jakie trzy godziny drogi od Santy Isabeli, leży plantacya założona przez p. Montes de Oeca, byłego gubernatora wyspy i p. Jeronima Lopeza, oraz niewielka willa rządowa, służąca jako stacya sanitarna. Miejsce to nazwali Basiléh (nie Basilea — podług imienia Bazyla, jak przypuszcza wielu mylnie); nazywa się ono tak dlatego, że należało ono i leży w terenie bubisów z Basiléh. Tam zaproponował nam nasz przyjaciel z Fernando Poo, Antonio Borges, odbyć wycieczkę, gdyż p. Jeronimo Lopez był dobrym jego znajomym i wiedział o naszym przybyciu.

Zabrawszy więc z sobą Luisa, krumana, wyruszyliśmy bez przewodnika, gdyż droga prowadzi prostą linią do miejsca, by poznać nieco góry tutejsze i zwiedzić plantacye pana Lopeza.

Słońce stało jeszcze nisko, a nad okolicą leżała parna, mglista powłoka, gdyśmy, mijając plantacye kubańczyków i witani przez ich liczne: „buenos dias!” przeszli przez Rio del Consul, zapuścili się w zielone gąszcze. Droga była, jak

wszędzie w Afryce, wążką, wydeptaną przez chodzących po niej bubisów ścieżynką. Jakże zresztą można było liczyć na lepszą wtedy na Fernando-Poo, gdy nawet w mieście ulice były chwastem porośnięte, przez które w pośrodku prowadziła wążka ścieżka, podczas pory deszczowej tak wydeptana, że w powstałych dołkach ciągnęły się długotrwałe kałuże i błota. Jednakże piękność krajobrazów i przyrody tutejszej kazała nam zapomnieć, gdyśmy byli po za obrębem miasta, o niedbalstwie ludzi i pełnemi piersiami oddychaliśmy na swobodzie, dążąc naprzód szybkim krokiem. Zwycięzna przyroda, powietrze i obszary dziewiczych lasów, ujmują naturę człowieka, spłaszczają troskę z czoła, uspakajają umysł i nawet rany duszy chroniczne już i zastarzałe mniej bołą na chwilę. Poczucie piękna jest silnem, potężnem tehniem w duszy ludzkiej; prawda, że ci, którzy najsilniej je w sobie czują i najpełniej mu się poddają — najciężej częstokroć za to cierpią, lub też w niem jedynie znajdują ulgę wśród ciosów życia — przecucia nieśmiertelnego wśród rysów śmiertelnych.

Żaden głos ludzki nie mącił tego spokoju, tylko szmery odwiecznych olbrzymów leśnych, wrzask papug i świergot ptactwa mniejszego dodawał życia pełnej piękna sceneryi. Od czasu do czasu wabił nas szum kaskady, a gdyśmy, opuszczając drogę na chwilę, podążyli za zapraszającym jej głosem, ujrzelśmy się wśród bazaltowych głazów i grot, pomiędzy którymi srebrny, kryształowy potok, igrając z promieniami porannego słońca, wił się w zgrabnych flory ramionach, jakby w uścisku uroczej bogini.

Pozostawiając towarzyszków odpoczywających na jednym z głazów przy strumyku — puściłem się po nim pod górę, przeskakując ze skały na skałę, dopóki odstęp wysoki, z którego nowa spadała kaskada, dalszej nie zagroził mi drogi. Roślinność pokryła tu szemrzące wody, ściśnięte w wąskiej otchłani skał zielonem sklepieniem, a przyjemny, orzeźwiający chłód razem z pół-mrokiem panującym dookoła, wstrzymał me kroki. Oparty o „sahhę” bubisów, stanąłem, by nasycić

oko! Taką być musiała ojczyzna rusalek, gdy się kąpały w czystych źródłach wymarzonego raj. Szczęśliwa kraino! Jakżeś uroczą w dziewiczym twym połysku, z nieskazonem piętnem boskości na czole. Dnie twe płyną spokojnie jak jasne, przezroczyste twe wody—i jeszcześ potężną i wielką, panujesz nad stworzeń koroną. Panuj, panuj, wspaniała Maharani; nie ufaj owej koronie stworzeń i spoglądając dumnym twem okiem na nieudolne ich dzieła, u stóp twych leżące—odwróć się z pogardą, gdzie on, człowiek, panuje—tam sny twe przerwane, tam wieje brudami i chłodem.

Czas jednakże w dalszą drogę! Zadumany powróciłem na dół do towarzyszków, którzy już na mnie czekali i dalej ruszyliśmy pod górę, na której skłonach wkrótce rozległy się nasze pieśni. Po raz pierwszy może słyszało Fernando-Poo dźwięki mistrzów i ludu z nad Wisły, z dalekiej sarmackiej ziemi—i dumki ukraińskie, a może po raz pierwszy też polska stopa stąpała po tym kraju. Zresztą kto wie! Z nieszczęśliwej naszej ojczyzny tylu wyszło pielgrzymów w tym wieku, że wszędzie napotkać ich można, na lądzie i morzu. Słońce tymczasem postąpiło także naprzód w dziennym swym biegu i coraz gorętszemi promieniami zaczęło nam towarzyszyć, lecz strumyków znajdowała się po drodze taka ilość, że co chwila przedstawiał się odpoczynek i kryształowej wody czara, zaimprovizowana z liścia leśnego.

Droga jednakże w drugiej połowie stała się więcej stromą, gdyż odtąd właściwie byliśmy dopiero na skłonie gór, przeszedszy dolny pas, który niby zielona platforma okala wewnętrzną górzystą masę wyspy. Ścieżki dążące w różnych kierunkach, świadczyły o bliskości osad bubisów i sprawiły, że w jednym miejscu zaczęliśmy jednak żałować, żeśmy nie wzięli przewodnika, gdyż się tu rozchodziły i niewiadomo było, czy puścić się prawą, czy lewą. Poszedłem więc w kierunku, w którym zdawały się leżeć wioski, by spotkać jakiego krajowca i dowiedzieć się, która z drózek prowadzi do piantacyi. Wkrótce też napotkałem przy strumyku kobietę

bubisów, nabierającą wodę w duże gliniane naczynie. Na widok cudzoziemca, afrykanka trwożliwie rzuciła garnek i oparła się o drzewo. „Szczególne mam szczęście przestraszać pleć piękną tutejszych krajowców” — pomyślałem i starałem się jej wytłumaczyć, że idzie mi wyłącznie o drogę do Basiléh. Porozumiewszy się, głównie mimiką i powtarzaniem nazwy miejsca, do któregośmy dążyli — uspokoiłem wreszcie za-trwożoną piękność, niezbyt zresztą pociągającej powierzchowności, gdyż była pomazana czerwonawą pomadą roślinną „tola” i w końcu wskazała ręką na lewo, oddalając się szybko w przeciwną stronę.

Po godzinie dalszej drogi stanęliśmy wreszcie, odgarniając zarośla to z jednej, to z drugiej strony, przed otwartym terenem, zaplantowanym regularnie drzewkami. Kilkunastu krumanów pracowało nad oczyszczeniem dalszego gruntu, a pomiędzy nimi stał jegomość barczysty, w kapeluszu o szerokich polach; był to gospodarz plantacyi, Don Jeronimo. Znajomość była wkrótce zawartą i prowadzeni przez niego, zeszliśmy do głębokiego wąwozu, a podniósłszy się znów z drugiej jego strony do pewnej wysokości, stanęliśmy przed białym domkiem, który przy dobrej i jasnej pogodzie zauważa się z morza; było to sanitarium wyspy, a obecnie mieszkanie gospodarza.

Odpocząwszy nieco i odświeżywszy się, wyszliśmy na werendę. Śliczny widok rozpościerał się przed nami: olbrzymi taras lasu, utworzony przez przyrodę, spadał stąd do morza. Santa Isabel, niby mała biała plamka, rysowała się u jego stóp wraz z malowniczą zatoką, a w niej, niby srebrzyste wstęgi, można było zauważyć prądy morskie, ciągnące się to w tym, to w owym kierunku. Temperatura przytem była świeża, — lekki wietrzyk wiejący z gór, czynił ją jeszcze przyjemniejszą, a niebo czyste i błękitne, jak rzadko w górach, dopełniało całości panoramy rzeczywiście wspaniałej.

Za chwil kilka przybył młody albinos, o rudych włosach i oczach przymrużonych, jak gdyby razilo go światło— i prosił na śniadanie, które minęło nam nader wesoło. Plantacya, jak opowiadał nam energiczny jej gospodarz, dzięki umiarkowanej swej temperaturze, której średnia ma wynosić nie więcej nad 20° Celsyusza, uwieńczyła jego starania i oczekiwania w zupełności i rzeczywiście wkrótce przekonaliśmy się o tem, oglądając ją pod jego przewodnictwem. Kakao, kawa i tytoń stanowiły główną jej część, lecz oprócz tych roślin, prosperowało tu mnóstwo innych w dość znacznej ilości; i tak zauważyłem: wanille, cynamon, indygo, herbatę nawet, a co na główną zasługuje uwagę— chinę, która, jeżeli tu się zaaklimatyzuje, będzie nieoszacowanym dobrem dla krajów tych, gdzie europejczyk i czarny wiele jej zużywa corocznie. Oprócz tych artykułów, p. Lopez hoduje jarzyny europejskie, które, z małemi wyjątkami udają się bardzo dobrze tu w górach, jak również też w górach kameruńskich. Tak np. pomidory, ogórki, sałata, rzodkiewki, także kapusta i kalarepa, pietruszka i marchew, udają się wysmienicie; kartofle niestety, dotychczas nie dawały dobrych rezultatów—rośliny pędzą w górę, rozwijają wiele liści, lecz mało samych ziemniaków, choć może przy dalszych próbach i szczególnem obchodzeniu się z nią, i ta ważna jarzyna się tu przyjmie. Zastępuje ją zresztą poniekąd w tych stronach jams i „coco” (*Colocasia Esculenta*).

A jednak twierdzą niektórzy, że ląd ten nigdy nie będzie mógł żywić kolonistów. Ośmielam się stanowczo zaprzeczyć temu, co do niektórych jego punktów. Gdy lasy ustąpią—warunki się zmienią i niejeden kraj Afryki stanie się prosperującą kolonią rolniczą; o jednym tylko pamiętać będzie trzeba, że z początku zawodów i ofiar będzie wiele.

Powracając ku wąwozowi zauważyłem chatę, a w niej hawańczyków zajętych robieniem cygar; praca szła im niezmiernie szybko, widać było wielką wprawę, a Don Jeronimo stał przy tem, spoglądając z widocznem zadowoleniem na

owoce długoletniej pracy ciężkiej i ucziwej. Z całego serca ci życzymy tych dobrze zasłużonych owoców, zaeny gospodarzu—oby jak najwięcej znalazły naśladowców.

Kilka godzin tak zeszło na zwiedzaniu plantacyi, aż wreszcie pożegnaliśmy się z wyjątkowo energicznym hiszpanem, który nas jeszcze odprowadził spory kawał drogi—i szybkim krokiem poczęliśmy schodzić z gór. Teraz milczało towarzystwo zmęczone trochę, a przytem spieszące się na dół do miasta przed zachodem słońca. Prędzej też jak w tamtą stronę odbyła się droga napowrót—i około 6-jej wieczorem stanęliśmy w porę w Santa Isabeli.

Jeden z plantatorów zaprosił nas był na ten wieczór do siebie, po krótkim więc odpoczynku udaliśmy się do niego. Jak zwykle pomiędzy kolorowymi—a takim był zapraszający—panowała wystawa w przyjęciu nad stan; sprawa to naturalnie w końcu ubóstwo, a nie jest zresztą weale oczekiwaniem przez gościa przybywającego w te strony, przygotowanego na skromniejsze ramy życia domowego tu po za obrębem Europy.

Siedząc przy wieczerzy, usłyszeliśmy nagle wielki zgiełk na placu, a wyszedłszy na werendę domu, dostrzegłem na rogu jednej z ulic grupę czarnych, otaczającą w wielkiej agitacyi olbrzymią jakąś postać, broniącą się w obec całej zgrai; wkrótce też usłyszałem wyzywające francuskie wykrzykniki z niecenzurowanego słownika marynarskiego. Był to nasz przywódca majtków, Guédan—zawadyaka pierwszej klasy. „Ciekawym co on znów zbroił?”—zawołał K. Tomczek, ale już za chwilę zjawiły się dwie figury z laskami i galonami na rękawach—czarni policyanci miejscowi, gestykulując i rozprawiając w żargonie jakimś anglo-murzyńsko-hiszpańskim. Mogłem tylko zrozumieć: majtek!—pijany!—potłukł! zbil!

— Dlaczegożście go nie zaaresztowali?—zapytałem się.

— Nic daje się, señor! — zawołali, patrząc zadyszani na mnie.

Roześmieliśmy się wszyscy na te słowa biednych stróżów publicznego porządku miasta Santa Isabel, dodając, by posłali po rezerwę. Zmieszani wrócili nanowo na miejsce zgiełku, z widocznym postanowieniem wziąć się odważnie do swego zadania; widząc jednakże, że takowy tylko się wzmaga, a olbrzymi majtek gotów rzeczywiście posunąć się za daleko, poszedłem sam za nimi. Ujrzałem kilkunastu krumanów, widocznie tylko co powstałych od palącego się na ulicy ogniska, naokoło którego byli uctowali przy hałaśliwych swych bębnach i śpiewach, a w pośrodku nich stał herkulesowy nasz botsman, będący już pod dobrą datą. Wybił on dwie szyby w domu krumanów—oto powód ogólnego wzburzenia umysłów. Policyjanci starali się go schwycić, lecz powitani nielagodnym uściskiem dłoni broniącego się, odskoczyli napowrót, podczas gdy Guedan rozwodził donośnym głosem: „Nom de nom, par exemple!—ah ça! vous me prendrez!—moi?—ha, ha, ha! nom d'un!” Tu posypały się wykrzykniki przyjaźni, nieco za otwartej dla uszu słuchających—aby nadać słowom swym więcej siły przekonawczej, schwycił jednego z gapiących się murzynów i rzucił go o ziemię. Powstała nowa wrzawa, lecz tu nadszedłem sam, a rozogniony majtek spostrzegłszy to, poskromił swe popędy: „Allons, allons, Guédan—qu'est-ce que vous faites là—allez à bord!” Uspokoilem go. „Y'a pas d'danger M'sieur,—somes un peu-amusés” — i potaczając się ruszył ku przystani, przerywając swój odwrót od czasu do czasu monologiem lub przelotnemi wykrzyknikami, stosującemi się do pozostałej czarnej gromady, która otrzymawszy zapłatę za zbite szyby i butelkę dżynu, rozeszła się uspokojona.

Następnego dnia szykowano jedną z naszych szalup „Warszawiankę” do podróży niezwyklej, jak na małą szalupę; postanowiłem albowiem wyruszyć na rekognoskowanie przeciwległego ładu gór Kameruńskich, by obrać miejsce na zbudowanie stacyi i potem z okrętem wyruszyć do obranego już miejsca. K. Tomczek należał naturalnie do tego. Mie-

liśmy 24 mil do przebycia na otwartem morzu w 4-wiosłowej szalupie i rozpoczęto przygotowania niezwłocznie, by wyruszyć następnego dnia o świcie.

Dziś, po dwóch blisko latach, kreśląc te słowa, mimowoli zadumać się muszę nad tem. Było to szaleństwem, do którego rwała się żądza jaknajprędszego dotarcia do celu; lecz ileż takich szaleństw popelnia człowiek w życiu, unoszony niepoohamowaną siłą, goniąc za urzeczywistnieniem wymarzonej swej myśli! Nad niemi, zdaje się, osobna czuwa Opatrzność.

ROZDZIAŁ XXV.

Wyruszamy na rekonesans. — Do przylądka Horatio. — „Warszawianka” na otwartym oceanie. — Zbliżamy się do brzegu. — Zatoka Ambas. — Osada Viktorya. — Kąpiel. — W porcie. — Ranne poszukiwania. — Osada w świetle rzeczywistości. — Misyonarz Thomson. — Wyspa Mondoleh. — Układ z Akemą. — Miejsce dla stacyi znalezione.

Następnego dnia, 22 kwietnia, wezwanie rano, zanim słońce podniosło swe złote oblicze po nad zatoką Santa Isabel, zaczęto ładować potrzebne przybory i prowiant na „Warszawiankę,” przygotowując ją do projektowanej żeglugi. Załoga jej: 2 białych majtków i 4 krumanów zajęła swe miejsca i razem z K. Tomczékiem odbiliśmy od burtu „Łucyi-Małgorzaty,” udając się na pierwszy rekonesans przyszłych działań.

Silny tornado zerwał się był w nocy po nad górami Fernando-Poo i ślady ulewnego deszczu, który mu towarzyszył, błyszczały jeszcze na zielonych brzegach, gdy Phoebus Apollo zbudził je wreszcie z nocnego snu i oświecił jasnymi promieniami nowego poranka. Lekki, świeży wiatr morski dozwolił rozpiąć żagiel szybkiej łodzi i rozwiewał chmury otaczające sine szczyty gór, odsłaniając kształtną ich koronę — Clarence-Pik. Żwawo dążyliśmy wzdłuż brzegu wyspy do przylądka Horatio, by stamtąd przeciąć kanał morski, dzielący Fernando-Poo od lądu o ile możności w najkrótszej linii. Około owego przylądka leży niewielka, lecz piękna wysepka, porośnięta świeżą, jasną zielenią, a że — jak twierdzą Rzymianie — *in corpore sano mens sana* — więc przed puszcze-

niem się z drobną „Warszawianką” na otwarty ocean, za-
trzymaliśmy się na chwilę w tem miejscu, dla śniadania
i zgotowania ryżu dla krumanów, nie zapominając o maj-
tkach. Wysepka przepelniona jest ptactwem; głównie białe
rybitwy i miejscowe popielate i czerwone papugi obraly so-
bie na niej ulubioną siedzibę, zwabiając od czasu do czasu
ku niej hiszpańskich oficerów z Fernando-Poo. Lecz droga
była długą i nie można było zapuszczać się w las, pozost-
awiając krumanów wrodzonemu ich instynktowi lenistwa;
dawszy więc kilka strzałów na brzegu wysepki, które strą-
ciły z drzew kilku leśnych mieszkańców i zauważywszy, że
dzienna porcja ryżu krumanów ugotowana — rozpięto żagiel
nanowo i bystro posunęła się „Warszawianka” naprzód, po-
zostawiając wyspę i wysepkę za sobą w coraz to większej
odległości i bledszem świetle.

Słońce tymczasem się podniosło, wiatr morski ustał
i nieruchomo roztoczyły się naokoło uśpione wody oceanu.
Załoga chwyciła za wiosła, spuściliśmy maszt i otworzywszy
kompas, wziąłem kurs ku zatoce Ambas, której zarysy jesz-
cze nie ukazywały się na horyzoncie. Gorąco było niezmier-
ne, słońce stało blisko południka i paliło nasze twarze,
jak gdyby nie dzieliły je od samotnych żeglarzy całe światy
i przestrzenie. Wkrótce straciliśmy wszelkie brzegi z oka,
gdyż w południe ciężka, gęsta atmosfera otacza prawie zaw-
sze wyższe ich punkta gęstemi chmurami; płynęliśmy więc
podług kompasu, zmieniając się wzajemnie co dwie godziny.
Każdy z nas był głęboko zamyślony; dnia tego mieliśmy uj-
rzeć miejsce, o którym przedumaliśmy wiele chwil w Euro-
pie — o którym niejako przywykliśmy razem myśleć jako
o miejscu przyszłej długoletniej pracy — dalekich planów
i różnych nadziei— a owa zasłona, którą Opatrzność przezor-
nie i dobroczynnie zawiesiła przed oczami śmiertelnika, nie
dozwalając mu zajrzeć w przyszłość — odbijała tylko jasne
promienie pogodnego poranku.

Rzadko kto z mych ziomeków tak się kołysał na wolnej

łodzi po za obrębem brzegów, wśród południowej fali i pod pogodnym niebem. Dziwna to rozkosz! Nie czujemy żalów i trosk, ani bezdennej głębi pod sobą; przebijamy jedynie wzrokiem firmament i rozsyłamy myśli w dalekie streny — po za horyzont, nad chmury, w oteblań wodną i ku owej chwili odległej, w której pierwszy żagiel zbudził oceany ze snu. Minęło południe. Zwolna, niby jasne sine chmury, zarysowały się na wschodzie wysokie górne skłony. Bystro oko Tomczéka pierwsze je spostrzegło: „Patrz! Góry Kameruńskie się odsłaniają” — zawołał nagle — i podnosząc się na siedzeniach, powitaliśmy wspaniałą krainę Mongoma-Loby — „Boskiej góry” krajowców.

Znów zawiął lekki wiatr morski i zmęczeni wiosłarze mogli spocząć nareszcie, powierzając nanowo losy „Warszawianki” żaglowi; prąd jednakże, dążący w tem miejscu bystro ku południowi, przedłużał naszą drogę i słońce już zachodziło, gdyśmy się zbliżali do zatoki Ambas, pomiędzy wyspami Mondoleh i Ndameh. Pamiętny wieczorze! Dokąd uleciały twe godziny? Pasma gór wznosiło się wspaniale przed nami, ukazując zieloną sceneryę dziwnej piękności; nie był to krajobraz afrykański — to jakby część Szwajcaryi, przeniesiona na równikowe brzegi Atlautyku.

Zatoka Ambas, która rozciąga się u stóp południowego skłonu gór Kameruńskich, przedstawia mniej więcej kąt prosty, którego strony dążą w kierunkach południka i równoleżnika. Długi wazki łańcuch pagórków, dzielący ją od innej zatoki i od kraju Bimbía, tworzy wschodni jej brzeg i zasłania ją przed tornadami, podczas gdy podnóże Mongoma-Loby i jego tarasy południowe przedstawia północne jej tło. Zatoka byłaby zbyt otwartą ku stronie południa i ku zachodowi, gdyby nie wystający na zachodzie przylądek Limboh i wyspy Mondoleh i Ndameh (czyli Ambas), które tworzą niejako zasłony w kierunku oceanu.

Słońce tymczasem zaszło i — jak zwykle w stronach równikowych — noc nastąpiła niezwłocznie; coraz ciemniej ry-

sowało się wszystko dokoła, a jednak silny odpływowy prąd dozwalał nam tylko nader powoli posuwać się naprzód. „Oryginalne przybycie!” — zauważył Tomeczek i miał rację. Nigdy nie byliśmy tu przedtem, a przybywaliśmy do nieznanego miejsca w nocy i bez przewodnika, choć łatwo można się było spodziewać lekkiej barry, która też wkrótce miała sprawić nam kąpiel. Lecz ufaliśmy w swą znajomość mapy i sterowali podług niej. Mimo ciemności, zauważyliśmy też wreszcie zarysy domków, — płynęliśmy więc dobrze, wpływaliśmy do wewnętrznego kąta zatoki, gdzie od dwudziestu kilku lat angielscy misjonarze utworzyli osadę pod ich zarządem prywatnym, osadę zwaną Victoria. Wkrótce też (było około 9 ej wieczorem) „Warszawianka” stanęła w brzegowym piasku — lecz zanim zdołaliśmy wyskoczyć, nadszedł grzebień burunów, wkrótce drugi i trzeci i razem z rzeczami zostaliśmy skąpani w wodzie. Trzeba więc było łowić nasze rekty podrwizyózne i wyciągnąć szalupę na ląd, co zajęło niespełna godzinę, a podczas tego czasu zostaliśmy otoczeni liczną gawiedzią czarnego koloru. Nie byli to jednakże nadszy krajowcy, lecz utworzone przez misjonarzy „czarne obywatelstwo” Victoryi, przystrojone w surduty czarne i krawaty — z przyczyny niedzieli.

Okoliczność, żeśmy przy niedzieli odbyli tę podróż, wydawała im się — stosownie do mdłej pobożności angielskiej niedzieli — niezmiernie „shocking”; w ten dzień albowiem nie wolno podług pojęć angielskich misjonarzy, ani wyjeżdżać, ani urządzać zabawy, — po wodę posyłać, lub gotować nawet — gdyby ci szanowni misjonarze nie posiadali sami żołądków, nie byłoby tu zapewne nawet wolno jeść i pić podczas niedzieli. Nieopodal miejsca, gdzieśmy wyciągnęli szalupę, zauważyliśmy większy budynek, pokryty cynkiem i wybielony; domyślałem się, że to hamburska faktorya, która, jak wiedzieliśmy w Europie, tu się znajduje — i przemoczeni do szczytu, podążyliśmy ku niej, pytając czy nie mogą mi wynająć pokoju na 24 godzin.

Stary czarny jegomość, wyglądający bardzo sympatycznie i poważnie z długą siwą swą brodą, p. Brew (w następnych latach dobry nasz przyjaciel), poprosił bardzo grzecznie, byśmy sprowadzili nasz bagaż, oświadczając, że jest zarządzającym faktoryą, a oprócz tego sędzią osady Victoria; dodał przytem, że konsul angielski p. Hewett, który niedawno tu był, zapowiedział im nasze przybycie, oświadczając, by nam okazywano wszelką możliwą pomoc, że więc „wszystko znajduje się do naszej dyspozycji.” Poprosilem jednakże tylko o naparzenie mi herbaty i podczas gdy przygotowywano rozgrzewający napój, przebraliśmy się pospiesznie z Tomczkiem. Gawieź oblegała faktoryę tłumnie, przypatrując się ciekawie dalekim przybyszom, gdyż od miesięcy mówiono tu już o przybyciu ekspedycyi, tak że po wydzieleniu ludziom naszym wieczornej porcy i podwójnej czarki rumu, pozostaliśmy sami w naszym własnie otrzymanym pokoju i siadłszy zmęczeni na łózkach, zajęliśmy się w krótkich słowach notatkami dziwnej naszej żeglugi. Czuliśmy razem, żeśmy w porcie długoletnich oczekiwań i przejęci myślami o dniu jutrzejszym, zasnęliśmy wreszcie twardym snem.

Gdym następnego dnia wcześniej rano się obudził, zauważyłem, że Tomczek już wyszedł; ubrałem się więc także pospiesznie i wyjrzałem na świat. Piękny słoneczny dzień jak wczorajszy, panował również i dziś. Od brzegu zatoki wznosił się wspaniały taras gór, podczas gdy na wodach przeciągały tu i owdzie pirogi krajowych rybaków, a w posrodku czarującej zatoki wznosiła się wyspa Mondoleh, niby wieniec kwiecisty, rzucony na jasne jej fale. Udałem się na prawo od faktoryi, by zwiedzić osadę. Niestety, sama Victoria nie wzbudzała bynajmniej uczucia przyciągającego. Położenie jej w najduszniejszym kącie zatoki, zamiast miejsca na skłonach—jest najniefortunniej obranem; leży ona nisko, w niezdrowem sąsiedztwie dwóch drobnych krików, które z lewej jej strony wpadają, wśród kępki mangrowiowej

i bagnistej — do morza. Kępka ta jest jedynem miejscem w całej zatoce Ambas, które posiada bagniste te rośliny — i wybudowanie osady w tej właśnie stronie było oryginalnym, lecz smutnym w swych skutkach pomysłem. Przybywającemu zdaje się, jak gdyby naumyślnie wybrano w tej wspaniałej zatoce najgorszy punkt, by w nim założyć osadę.

Rzędy nieszczególnych domków, wśród których chwast do kolan oraz śmiecie pokrywają t. zw. ulice, kilka miejsc błotnistych, wreszcie „meeting-house” murowany (kościół baptystów) i takiż dom mieszkalny misjonarzy — oto cała osada Victoria. Jedyny w niej punkt uwagi godny, to rzeczka, która po za nią spływa bystro z gór ku zatoce. Nazywają ją Victoriabrook.

Założenie Victoryi miało miejsce 9 sierpnia 1858 r. W owym roku misjonarze baptyści zostali wypędzeni z Fernando Poo; pod dowództwem więc jednego z nich, Alfreda Sakera, kupili teren w zatoce Ambas od bimbijskiego króla Williama i założyli w nim osadę pod nazwą Victoria. Teren ten ciągnie się od zatoki Man-of War do połowy odległości, mniej więcej między ujściem rzeczki Victoriabrook a skałami Bobja, których fantastyczne kontury, niby szkielet olbrzymiego starego statku, rysują się na zachodzie od Victoryi. Podczas życia Sakera w osadzie panował pewien ruch. Saker był swego rodzaju niezwykleym człowiekiem: sam kształcił tu cieśli, ceglarzy i innych robotników, a nawet drukarzy, przy pomocy których sprowadziwszy prasę drukarską, zaczął tłumaczyć Pismo Święte dla krajowców na język bakwiri. Lecz obecnie Victoria przedstawia smutny i duszny widok, czyniący przygnębiające wrażenie na widzu; tu pokryła również ręka ludzka świetne dary przyrody jedynie brudami śmietnika.

Następcy Sakera, misjonarze przysłani po nim z Anglii od towarzystwa baptystów, przybywali obojętni, mało zajmowali się osadą, mimo wszelkich „listów z Afryki” i „raportów,” które umieszcza „Mission Herold” (sprawozdanie

babtystów) w Londynie, a podług którego rzeczywiście mieszkawiec Europy sądzićby mógł, iż tu Bóg wie co uczyniono. Jestto ogólna wada i wina misyonarzy angielskich na tych brzegach; w rzeczy samej nie przynoszą oni żadnego pożytku, przeciwnie są często plagą tych brzegów—jak już widzieliśmy wyżej. Tu w Victoryi rzadko który krajowiec, choć tytułuje się „a Victoria gentleman,” umie rzeczywiście płynnie czytać i pisać, język zaś panujący jest też tylko owym budującym nigro-angielskim żargonem. Głównej rzeczy—pracy, rzemiosła, które dałoby chleb osadzie—nie uczy przysłany misyonarz wcale, bo jej sam nie zna i nie lubi (oprócz założyciela Sakera, który był chwalebny wyjątkiem); to też w skleconych domkach i na wysoko chwastem zarosniętych uliczkach Victoryi nie zauważa się wiele ruchu; wszędzie panują zastój i brudy — jestto obraz martwy, nie tylko że nie przyciągający, lecz odpychający każdego. Natomiast udana pobożność, czyli, rzekłbym, nałogowa ekliwość, silnie zaprawiona hipokryzyą, rozrosła się tu bujnie i zamiast piły lub topora, słychać tu wiecznie tylko piski z monotonnego „hymnbooku,” który zresztą łatwiej uprawiać.

Patrząc na to, żalowałem, że ta cała Victoria w ogóle istnieje, psując harmonię świeżego krajobrazu i zdrowia reszty wspaniałej zatoki, oraz działając niekorzystnie, przynębiająco, na umysł i energię przybysza. Jest ona tu poprostu anachronizmem. Tu mogłaby i powinna istnieć piękna kolonia, ale dlatego trzebaby zburzyć co istnieje i zacząć z początku.

Nad rzeczką spotkałem Tomczéka, opartego o swój kij i spoglądającego zadumanem okiem na jej czyste wody. Wyczytałem z jego twarzy, że jednakowe zajmują nas myśli.

— Cóż ty na to?—zapytałem.

— A ty?—odparł niespokojnie.

— Brr!—otrząsałem się mimowoli—co za gniazdo w naszej wymarzonej zatocie! Miejsca dla naszej stacyi poszukać musimy jak najdalej od tej Victoryi.

Przyjaciel mój odetchnął, jak gdyby mu spadł ciężar z piersi. „Bogu dzięki — zawołał — a to przecie na sam widok jej duszno człowiekowi.” I postąpiliśmy ku faktoryi, by po szklance herbaty zwiedzić okolicę i upatrzeć spokojne jakie nie nadpsute jeszcze miejsce dla przyszłej stacyi, która, stosownie do planu, miała stanąć w zatoce Ambas.

Przed tą wycieczką jednakże postanowiliśmy złożyć wizytę głowie misyjnej tej osady, panu Q. Thomsonowi. Posłałem mu więc swój bilet z zapytaniem, czy przyjmuje tak rano. Wkrótce nadeszła bardzo uprzejma odpowiedź, zapraszająca nas na „lunch” i przy niem zawarliśmy znajomość z misyonarzem. Mieszkał, jak na Afrykę, wykwintnie, wraz z żoną i dwoma pannami, misyonarkami: panną Comber, siostrą znanego podróżnika i inną młodszą. Gdy usłyszał, że zamierzamy szukać miejsca dla budowy stałej stacyi w zatoce, ofiarował się za przewodnika. Ruszyliśmy więc z nim na okoliczne pagórki, leżące za rzeką; lecz choć widocznem było, że p. Thomson pragnął, byśmy wybrali miejsce w pobliżu jego misyi — nie czułem do tego jednakże, jak już wiemy, najmniejszej chęci po rannem poznaniu Victoryi. Na okręcie już zresztą, sądząc podług mapy, myśleliśmy z Tomczékiem o jednej z wysp leżących w zatoce, a mianowicie o większej z nich, Mondori czyli Mondoleh. Zgodziliśmy się też równocześnie na to, że będzie ona najdogodniejszym punktem dla utworzenia naszej stacyi, mającej być bazą operacyjną, czyli główną kwaterą podczas przyszłych eksploracyi przyległych nieznanych krain.

Już dawniejsi podróżnicy, Burton i inni podnosili jej korzystne warunki sanitarne, jej żyzność i piękność. Odległość jej od lądu wynosiła zaledwie pół mili morskiej, a północne jej wybrzeża, leżące naprzeciw wspaniałego tarasu gór, przedstawiały spokojną przystań, podczas gdy izolowane jej położenie nadawało jej charakter spokojnego miejsca do pracy. Tu mogliśmy być wolni i swobodni. Przedstawiłem p. Thomsonowi te zapatrywania i pożegnaliśmy się

z grzecznym gospodarzem, powracając do faktoryi, skąd wkrótce, zabrawszy z niej tłumacza, popłynęliśmy na „Warszawiance” ku wyspie Mondoleh.

Jestto górzysta formacya, o którą ze wszech stron biją morskie buruny, oprócz dwóch punktów: na południo-wschodniej i północnej jej stronie. Wysokość jej dochodzi do przeszło 200 stóp, a na niej leży płaska, rozległa wyżyna z osadą krajowców, liczącą mniej więcej 60 dusz. Północny skłon wyspy, posiadający najlepszą przystań (przyszłą przystań stacyi), spada dość stromo ku morzu, ukazując taras bujnej gęstej roślinności, tu i owdzie malowniczo udekorwanej pierzastemi koronami palm; ku południowym zaś brzegom pochyla się teren łagodniej i dlatego krajowcy tędy obrali swą drogę na wyżynę do osady; lecz przystań tu skalista i mniej bezpieczna od północnej. Poszliśmy na górę do osady, przeszliśmy wyspę wzdłuż. Wszędzie pokrywający ją las (oprócz górnej wyżyny) utrzymywał skalistą drogę, wiodącą wśród urwisk w półzmroku, dopóki nie doszliśmy do wioski. Zapytałem się o kacyka — niestety nie było go na wyspie; pojechał na połów ryb, lecz miał wkrótce powrócić. Zaczekaliśmy więc; żona kacyka przyniosła nam kokosów, których orzeźwiający mleko jest zawsze pożądanym napojem dla podróżnika; minęła jedna godzina, wkrótce druga — Akemy jednakże (takie było imię kacyka) nie było. Wróciliśmy więc do łodzi i już mieliśmy odbijać od wyspy, gdy wskazano powracającego Akemę. Pod rozłożystem więc drzewem południowej przystani przywitaliśmy się z nim; następnie rzekłem, że pragniemy osiedlić się na jego wyspie. Oczy muryzna zabłysnęły radośnie:

— O! — zawolał — tego pragnę oddawna, by biali ludzie uczynili mą wyspę krajem białych.

Wkrótce umówiliśmy się o dary, jakie miały Akemę wynagrodzić za oddany teren; składały je: 10 sztuk materyi, 6 fuzyi (skalkówek), trzy skrzynki dżynu, 4 kufarki, 1 tożurek czarny 1 cylinder, 3 kapelusze, tuzin czapek czerwonych

4 tuziny słoików pomady, tuzin bransoletek i 4 chustki jedwabne. Następnie pożegnaliśmy się. Miejsce na budowę stacyi było znalezione i nasze; było już dokąd z „Lucyą” zawinąć. Tego więc wieczora odpłynęliśmy znów do Fernando-Poo, do okrętu.

ROZDZIAŁ XXVI.

Powrót do okrętu.—Wypłynięcie z Fernando-Poo.—Ostateczne przybycie do zatoki Ambas.—Tomczék i Janikowski robiją namiot na wyspie Mondoleh. — Rzeka Kameruńska.— Pierwsza febra.—Oddanie okrętu.—Śmierć d-ra Retzera.

Powrót z zatoki Ambas do okrętu, t. j. do Fernando-Poo, nie był tak fortunnym, jak podróż do zatoki.

Wypłynawszy przed północą, by korzystać z wiejącego podczas noey zwykle wiatru od lądu, spotkaliśmy się nad ranem 24 kwietnia z tornadem. Na szczęście, p. Thomson, który był zdziwiony odbytą przeprawą na drobnej „Warszawiance,” nalegał w Wiktoryi, byśmy nie próbowali podobnej przeprawy po raz drugi, ofiarując nam dla powrotu do Fernando-Poo wielki swój surfbot, któryśmy też przyjęli. To, oraz okoliczność, że tornado zaskoczył nas już blisko brzegów Fernando-Poo, gdzieśmy się mogli schronić do jednej z zatoczek wyspy, ocaliło nas na ten raz i stanęliśmy szczęśliwie u burtu „Łucyi-Małgorzaty.”

Postanowiłem nie bawić teraz dłużej w porcie Santy Isabeli, niż wymagała konieczność; zakupiwszy więc materiał budowlany: belki, deski, płyty cynkowe, któremi w tych stronach pokrywają zwykle zewnętrzne ściany i dachy domów, oraz nieco narzędzi i świeżego prowiantu, podnieśliśmy kotwicę i wypłynęli ostatecznie do zatoki Ambas, by rozpocząć budowę stacyi na wyspie Mondoleh.

Stanęliśmy w zatoce 28 kwietnia po południu Lawirowaliśmy jeszcze na morzu, gdy przybiła do okrętu łódź, na-

leżąca do jednej z faktoryi kameruńskich. Agent takowej przybył niebawem na pokład i przedstawiwszy się jako reprezentant domu handlowego C. Woerman z Hamburga na rzece Kameruńskiej, zaofiarował nam wszelką swą pomoc, zapraszając byśmy zawinęli do Kamerunu, t. j. na rzekę i zaznaczając, że w razie, gdyby „Łucya” już mi dłużej potrzebną nie była, pragnąłby ją wynająć dla swej faktoryi. Przyrzekłem wziąć propozycję jego pod uwagę i dać mu dnia następnego stanowczą odpowiedź, rozpatrzywszy ściślej różne punktu takowej; tymczasem zaś stanęliśmy na kotwicy w kanale, dzielącym wyspę Mondoleh od wschodniego przylądka zatoki i udali się następnie do Wiktoryi, gdzie właśnie poznany kupiec już nas oczekiwał z obiadem, jak na te strony bardzo wystawnym.

Następnego dnia, 29 kwietnia, Akema kacyk wyspy Mondoleh, wraz z braćmi swymi: Eboko i Ekaka przybyli z powitaniem na pokład „Łucyi-Malgorzaty,” przynosząc w podarku koźlą, dwie kury i trzy pęki bananów. Posadziłem ich przy głównym maszcie, ofiarowując im również kilka przedmiotów europejskich i wymieniwszy wzajemne zapytania o stanie zdrowia—przystąpiłem do umowy z nimi co do wycięcia lasu przy północnej przystani wyspy Mondoleh, tak by można niezwłocznie rozpocząć budowę stacyi. By przyspieszyć pracę krajowców, obiecano im, że podarki umówione z Akemą d. 24, głównie zaś znajdujący się pomiędzy nimi dżyn—otrzymają wtedy, gdy wymagana praca wycięcia i oczyszczenia gruntu pod dom będzie dokonana.

Ukończywszy ten „paławer,” kacykowie pożegnali się, wypiwszy kilka szklanek niezbędnego w takich razach rumu i obiecując, że wraz z ludźmi swymi wezmą się niezwłocznie do dzieła.

Zastanowiwszy się tymczasem nad propozycją hamburskiego agenta, postanowiłem ją przyjąć tembardziej, że ofiarowywał równocześnie magazyny swej faktoryi na pomieszczenie naszego ładunku—rekwizyt i pak — dopóki dom na

wyspie Mondoleh nie będzie wykończonym. Zacząłem więc zaraz wyładowanie materyałów budowlanych i potrzebnych innych przedmiotów na przystani stacyi, gdzie K. Tomczék i L. Janikowski rozbili namiot, by prowadzić roboty; z „Łucyą” zaś i resztą załogi wyruszyłem tego samego dnia na rzekę Kameruńską.

Obym nigdy nie był przyjmował nieszczęsnej tej propozycyi chytrego i zwodniczego berlińczyka!

Rzeka Kameruńska, na której faktorya hamburska powitała nas wystrzałem armatnim, nie przedstawia tego pięknego widoku, jakim witają podróżnika zatoka Ambas i góry Kameruńskie. Niskie jej brzegi tworzą przy niezmiernie szerokiem ujściu bagna mangrowiowe, ciągnące się po prawej stronie rzeki, nawet w zwężonem już wyższem korycie, prawie do samego miasta Hikory. Przeciwny zaś brzeg przedstawia tu wysokie, stromo ku rzece spadające wzgórze, na którym leżą główne miasta: miasto króla Bella czyli „Belltown,” miasto króla Akwy czyli „Akwatown,” Didotown, oraz kilka mniejszych. Wszystkie te miasta tworzą długi rząd osad, nazywających się razem: Kamerunem (Cameroons anglików). Przed temi miastami ciągnie się na rzece rząd czarnych pływających faktoryi „hulków”; są to stare okręty, z których zdjęto takelaz i które postawiono na głuchych kotwicach, pokrywszy je palmowemi dachami. Brzegi uważano dotąd za niezdrowe; znajdowała się na nich wtedy tylko jedna faktorya, a mianowicie ta, z którą mieliśmy do czynienia — hamburska; inne zaś firmy miały na lądzie tylko swe magazyny.

Przez cały dzień snują się po rzece pirogi, zwożące olej i ziarna palmowe do faktoryi i hulków. Krajowcy sprawiają przytem hałas czysto piekielny; murzyn albowiem przy wszystkim co czyni, lubi hałas i wrzawę, a kameruńczycy czyli plemię Dualla — są zażartymi handlarzami. Wieczorem dopiero handel ustaje; nie zawsze jednakże następuje wtedy cisza i spokój, — wtedy albowiem tak czarni w swych cha-

tach, jak i biali w swych faktoryach, głównie zaś reprezentanci „wielkiego Vaterlandu” pokrzepiają się po trudach i skwarze dnia elaboratami liverpoolskich i hamburskich dystylarni.

Kraje kameruńskie, również jak ich wnętrze, będą stanowiły główną treść drugiej części podróży; teraz, zaledwie przybywszy, nie mieliśmy czasu dokładnie się rozpatrzeć w kraju pomiędzy jego mieszkańcami i zwyczajami.

Po kilku dniach „Łucya” była wyładowana, co pod pałacem promieniami słońca nie było zbyt łatwą pracą. Zmuszony odbywać ciągle kursy łodziami między okrętem a magazynami faktoryi, dokąd zwoziłem paki, dostałem febrę, pozabawiającą mnie pokilkakrotnie przytomności, a męczącą przez całe dni. Jestto dług, jaki każdy europejczyk oddać musi po przybyciu nieznanemu lądowi, z przyczyny zmienionego zupełnie trybu życia i warunków klimatycznych, w jakich się znajduje. W żegludze, zmieniając ciągle miejsce pobytu i powietrze, podróżnik bywa daleko mniej narażonym na febrę afrykańskie, którym podlega przedewszystkiem przebywając stale na jednym miejscu.

Przytem rzeka Kameruńska nie jest zdrową, — dowodem tego są faktorye, które, jak wspominałem, odbywały dotychczas swe interesy na owych „hulkach,” czyli w mieszkaniach i magazynach pływających.

Wyczekiwałem też z niecierpliwością chwili ukończenia interesów na rzece Kameruńskiej i powrotu do zatoki Ambas, do budujących nasz dom na wyspie Mondoleh: Tomeczka i Janikowskiego.

Wreszcie d. 7 maja spisałem kontrakt z agentem faktoryi, załogę zwieziono z okrętu dla odesłania jej do Europy, a żwawa „Łucya” dowiózłszy nas do celu podróży, otrzymała załogę nową, krumańską, wyznaczoną już przez faktoryę; syrena Warszawy przestała powiewać nad jej masztami.

Trudno rozstać się marynarzowi z okrętem, który wiózł go wiernie przez dalekie morza, pokazawszy mu niejedną

kraj nowy i nauczywszy niejednego. Wiele burz moralnych i fizycznych przeszedłem na niej od czasu, gdy po raz pierwszy stanąłem na jej pokładzie w Hawrze — wiele, bardzo wiele! — a jednak gdy mieliśmy się rozstać z poczciwemi temi deskami — żal mnie ogarnął! Lecz konieczność wymagała tego, a ona jest surowym panem — musieliśmy się pożegnać i pożegnaliśmy się, a to pożegnanie miało za dni kilkanaście zaledwie stać się jej pieśnią łabędzią.

Wkrótce potem udałem się nazad do zatoki Ambas, pozostawiając paki ekspedycyi w faktoryi do chwili ukończenia robót na wyspie Mondoleh.

Drogę z rzeki Kameruńskiej do Wiktoryi odbywa się zwykle łodzią przez „creki,” dzielące jej ujście od przyłądka Bimbii i rzeki Mungo; tylko niewielką część podróży odbywa łódź na otwartem morzu, a mianowicie od Bimbii do zatok-Ambas.

Ponieważ poznałem w Kamerunie dwóch podróżników, badających również te strony: d-ra Passavant, szwajcara, i jego towarzysza: doktora Retzera, którzy wybierali się właśnie do zatoki Ambas, by stamtąd udać się w góry Kameruńskie, popłynąłem więc z nimi w ich krajowem czólnie, zabrawszy tylko kilka skrzynek, zawierających instrumenta i część umówionych darów dla kacyka Akemy. Mieliśmy w projekcie odbywanie równoczesnych obserwacyi meteorologicznych na dole w zatoce, podczas ich pobytu i obserwacyi w górach.

Droga przez „creki” jest długą i jednostajną i choć wielka piroga d-ra Passavant posuwała się szybko, a wypłynęliśmy z Kamerunu wczesnie rano, chyliło się jednakże słońce już dobrze ku zachodowi, gdyśmy wypływali z mangrowiowych gąszczów i stanęli przed faktoryą w Bimbii.

Następnego dnia, 17 maja, przygotowaliśmy się rano do dalszej drogi i już miałem siadać do pirogi, gdy ujrzałem nagle żagiel zbliżający się od strony zatoki Ambas. Był to Tomeczek, przybywający z wyspy Mondoleh do faktoryi znaj-

dującej się w Bimbii, po jakiś sprawunek, którego nie mógł załatwić w Wiktorji. Zostałem więc jeszcze z nim w Bimbii, by wrócić do zatoki razem, w jego łodzi. Dr. Passavant zaś wraz z towarzyszami i wspólnym bagażem puścili się na swem czólnie dalej w drogę.

Tomeczek zaczął mi opowiadać, jak postąpiły roboty na wyspie; agent faktoryi zatrzymał nas na śniadanie—tak minęły niespełna dwie godziny i odbywaliśmy właśnie małą siestę na łózkach polowych faktoryi, gdy ujrzałem nagle wbiegających krumanów, należących do załogi d-ra Passavant, a o których mniemałem, że już są w Wiktorji. Byli oberwani, zziębnięci i wystraszeni.

— Co się stało? gdzie biali? — zawołałem, przypominając sobie równocześnie, że wkrótce po odplynięciu czólna Passavanta zerwała się niepogoda.

— O Massa! ¹⁾ — wrzasnęli krumani w swym żargonie — wielkie nieszczęście! Jeden z białych już nie żyje.

Zerwaliśmy się na równe nogi jak piorunem rażeni.

— Jakto! — co takiego, mów! — posypało się ze wszech stron.

— O Massa! — jęknął najstarszy z czarnych — woda była silna, canoe zalała; potem ono tonęło, biali ludzie długo pływali, a silna woda ich odpychała od brzegu; potem jeden znikł — utonął, a reszta dostała się do brzegu; są tam jeszcze i posłali nas tu, byśmy o tem powiedzieli, bo niewiedzą jak wrócić.

— Kto utonął? — zapytał się Tomeczek.

— Ten biały, co to był chory na febrę — z brodą — odparli.

Domyśliliśmy się, że to dr. Retzer, który rzeczywiście był bardzo osłabiony przez liczne febry.

¹⁾ Massa — korupcja angielskiego wyrazu master (panie), zwykle używane przez krumanów i w ogóle czarnych, służących w koloniach.

Nie czekając, siedliśmy do naszej szalupy, biorąc z sobą dwóch krumanów, by wskazali nam miejsce, gdzie schronili się rozbitki—i mimo ulewnego deszczu, który niebawem spadł, popłynęliśmy.

Między przylądkiem Bimbia a zatoką Ambas wcina się w łódź wązka, długa zatoka, zwana zwykle przez anglików: Man-of-War-Bay (zatoka wojennego okrętu). W połowie drogi do owej Man-of-War-Bay, u stóp stromej skalistej ściany, wśród rozciosanych skał, dostrzeżliśmy wreszcie ocalałych.

Skierowałem łódź ku nim, lecz buruny były tu tak silnie, że dwa razy rzuciły nas w przeciwną stronę, grożąc i nam rozbięciem; podczas trzeciej próby zaś, nadchodzące grzebienie bary zalewać zaczęły „Warszawiankę.” Zawolałem więc, że popłynę szybko do Wiktoryi po wielki surfbot p. Thomsona; szum balwanów jednakże i szelest ulewy zagłuszały głosy nasze, musiałem więc zmusić krumana, by wskoczył do morza i popłynął do rozbitków z wiadomością, co się też szczęśliwie udało. Ruszyliśmy zaraz dalej do zatoki Ambas, gdzieśmy wkrótce przybyli.

W Wiktoryi dano nam niezwłocznie łódź ratunkową, zaopatrzoną w latarnię i buj, gdyż dzień chylił się już ku końcowi. Łódź poszła pod dowództwem pilota, lecz długie godziny minęły w niepewnem oczekiwaniu, nim powróciła. Nareszcie około 11-ej w nocy usłyszeliśmy głosy powracających; d-ra Retzera jednakże nie było już między nimi—spoczywał w tej chwili na koralowych rafach tropikalnego oceanu.



ROZDZIAŁ XXVII.

Rozbicie się „Łucyi-Małgorzaty.”

Po ciężkim dniu nastąpiła bezsenna noc. Ulewa i zająścia wczorajszego dnia nową wywołały febrę, która też od północy mnie nawiedziła. Czulem się przez cały następny dzień chorym, a że Tomeczka i Janikowskiego zdrowie nie było również w najlepszym stanie przez dwutygodniowy pobyt na wyspie Mondoleh pod namiotem, wśród bujnego jeszcze, niewyciętego wtedy gąszczu; postanowiłem więc nająć jeden z domów Wiktoryi do chwili wykończenia naszej stacyi na wyspie.”

Na brzegu zatoki, nieopodal faktoryi, posiadała misya baptystów niewielki biały domek, w którym mieszkał niegdyś misyonarz i podróżnik Comber, a następnie siostra jego; nazywano go tu powszechnie Miss Comber's Cottage; był to domek schludny, czysty, o trzech pokojach i niewielkim magazynie; przy nim stała kuchnia z pokoikiem dla służby, a całość była otoczona małym ogródkiem, wprawdzie bardzo zapuszczonym, lecz mającym zawsze pewną wartość przy każdym domostwie. Wynająłem więc to miejsce od p. Thomsona i wprowadziliśmy się zaraz tego samego dnia do tymczasowego mieszkania.

Okno mego pokoju wychodziło na morze, zdaleka rysowały się zielone wyspy Ndameh i Mondoleh, a na tej ostatniej wznosiły się już ściany naszego domu; jeszcze dalej, niby kształtną siną chmurę, wynurzającą się z morza na horyzoncie, spostrzedz mogłem niekiedy piękną sylwetkę gór Fernando-Poo.

Po południu przybyła „Lucya-Małgorzata” do zatoki, płynąc z rzeki Kameruńskiej i Bimbii, a choć już w obcej była służbie, ucieszył jej widok szczerze mych podróżników. Stała na kotwicy tuż przed mem oknem—niestety po raz ostatni.

Febra moja trwała ciągle i przez cały dzień następny, t. j. 19 maja, utrzymywała mnie na polowem mem łóżku; pogoda była zmienną, deszcze i wichry naprzemian z jasnym niebem panowały ustawicznie, gdyż z marcem pora sucha się skończyła, ustępując miejsca porze tornadów.

Nadszedł wieczór—gawędziłem długo z siedzącym przy mnie Tomczékiem, rozpatrując z nim przyszłe plany; następnie i on się położył, febra moja się wzmogła i nastąpiła noc na 20-go maja, noc straszna, która niezatartemi głoskami w duszy się wyrzyła.

Leżałem w lekkiej gorączce, wsłuchując się w szum fal morskich, bijących nieopodal domku naszego o brzegowe skały; od czasu do czasu oświeślała błyskawica w ciemności pograżony pokój i morze—wtedy ujrzałem przed sobą na chwilę kołyszącą się w pewnej odległości sylwetkę „Lucyi.”

Naraz błyskawice częściej świecić zaczęły — morze głośniejszszumiało, zerwał się wicher krążąc w wirowym swym biegu naokoło dachu domu, zagłuszył wszystko inne. Ustał wreszcie na chwilę — wtem zerwałem się z posłania. Co to było! Czym słyszał dobrze? Przed gankiem, nad brzegiem zebrał się jakiś tłum ludzi; słyszałem wołania i głosy: „She is lost! she is lost! the anchor left!”

Pot kroplisty wystąpił na rozpalone me czoło. Kto zgubiony? Tu jest tylko jedna „she”—„Lucya!” I szarpamy straszmem przeczuciem, które czasem w mgnieniu oka się rodzi, wybiegłem na brzeg morski. Stało tu kilkudziesięciu wiktoryjczyków — spojrzeli wszyscy naraz na mnie; wtem nowa błyskawica oświeśliła horyzont i ujrzałem „Lucyę” pochyloną na jeden bort, wśród skał.

Dziki, szalony ból opanował mną na ten widok! Sądzi-

łem, że to mara, sen gorączkowy, lub żem obłąkany,—lecz nowe błyskawice przeszły horyzont; tak, „Łucya” konała, a jaskrawe pioruny, rozdzierające firmament, szarpały mą duszę w bezdennych otehlaniach rozpaczy i bólu; podobny do dzikiego zwierzęcia, złorzeczyłem niebu i piekłu.

Wtem ujrzałem dwie łodzie przy brzegu, a niedaleko od nich starego pana Brew, przelożonego osady i zawiadawcę faktoryi. „Ludzi na łodzie” wrzasnąłem — i kilku murzynów z linami siadło na takowe. „Do burtu „Łucyi” — odciągać od skał!” — zawołałem, lecz osłabiony febrą, musiałem się oprzeć o głaz, a wichur uniósł niedosłyszane słowa. Posłałem powtórzyć je — łodzie ruszyły ku okrętowi, fale jednak nie dały im dopłynąć i po kilku chwilach jedna z nich rzuconą została o przeciwległe brzegi wewnętrznej zatoczki. Tymczasem nieszczęśliwy okręt, któremu wichur wyrwał był kotwicę, osiadł nieruchomy wśród skał.

„Bezsilniśmy!” — zawrzało we mnie — gdyż widzieć przed sobą straszny ten dramat, a niemódz nic — nic, nic, wśród dzikiej tej walki — czekać świtu — czekać przez długie godziny — było to męczarnią!

W przystani szamotał się Tomczék z falami — mimo febrы i przemoczony do szczytu, próbował on z garścią krumaków zepchnąć czółno krajowe, by na niem popłynąć za drugą łodzią, wysłaną razem z rozbitą. „Dość ofiar, Klemensie!” — zawołałem stanowczo — lecz już czółno jego było na wodzie; przemocą musieli posłani ludzie odwieść dzielnego towarzysza od poświęcenia pełnego kroku, który już wtedy byłby mi go zabrał na zawsze.

Po godzinie, która zdawała się wiekiem silny bałwan szarpnął na nowo okrętem — fala przyływowa rzuciła nim jeszcze straszniej o skały — a za chwilę ujrzelśmy przy nowem błysnięciu burzy nadpływające grupy załogi „Łucyi.”

Ostatnie szarpnięcie strzaskało bort pochylony — woda zalała wnętrze i nieszczęśliwa załoga rzuciła się w rozhukane fale szukając przystani. Na długo usiłowania rozbitków by-

ły próżnemi — dzikie bałwany odrzucały czarne ich ramiona od brzegów miotając nimi wśród bloków i głazów zatoki — a żadnej z brzegu pomocy lub łodzi! Znów ludzka nasza bezsilność palącym przeszyla mnie bólem! Wreszcie dopłynęli — wśród nich biały — był to półmartwy z wycieńczenia kapitan Boutes — jedyny ze starej naszej załogi, który został z okrętem w służbie faktoryi jako kapitan; bez ubrania, nagiego, wyrzuciły go wreszcie fale na piasek przystani.

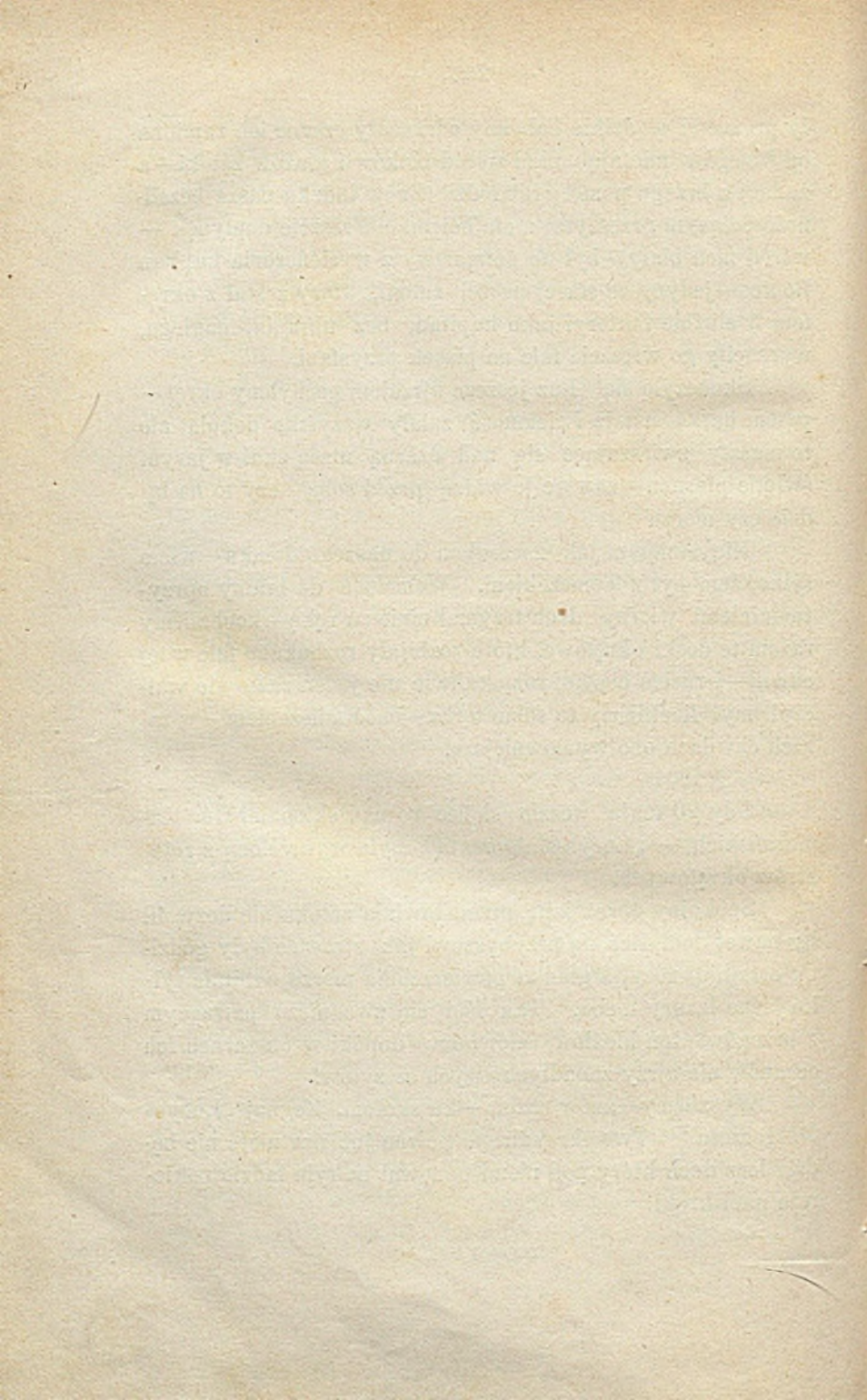
Skończyło się! Raz jeszcze ujrzałem pochylony okręt — potem burza ustała i ciemność załazy wszystko dokoła; ale te maszty zwieszające się nad czarną masą skał w jarym świetle pioruna — zawsze je widzę przed sobą — czy to na lądzie czy morzu

Niepamiętam jak zaszedłem do naszego domku — wiem tylko, że byłem z Tomeczkiem. Wchodząc do bramy oprzytomniałem; wierny druh trzymał mnie za rękę — kochaliśmy razem te deski okrętowe, które rozbijały rozhukane fale w tej chwili — i razem ciężko, rozpaczliwie nie jeden raz o nie walczyliśmy! Rzekliśmy to sobie teraz — choć milczeniem — w takich chwilach ono wymowniejsze.

.
Gdy 20 maja weszło słońce po nad skłonami Gór Kamernuńskich — „Łucya-Małgorzata” była wykreśloną z rejestrów okrętowych.

Spokojny obraz jaki przedstawiała zatoka nie dozwolił by nawet domyśleć się przybyszowi jak straszne były godziny ostatniej nocy, a gładka powierzchnia morza odbijała tylko jasne lazury nieba. Tak lśni się zwodniczo patrzącym z brzegów — toń ideałów człowieka — dopóki w obszarach ich oceanów nie ujrzy zapadłych swych szczytów!

Wyszliśmy — znów razem — ku skałom. Żegnaj „Łucyo-Małgorzato!” Twe skrzydła powiewne już nas nieść nie będą, lecz duch który pod nimi panował na tym lądzie pokieruje nam kroki!



SPIS ROZDZIAŁÓW.

ROZDZIAŁ I.

Str.

Kilka słów do czytelnika. — Cel i zadanie wyprawy. — Tomczék i Janikowski. — Zwłoka i walka o byt. — Załoga „Łucyi-Małgorzaty” i urządzenie okrętu. — Pożegnania i pożegnalne uwagi. — Stary Vattier. — Wypłynięcie z Havru 1

ROZDZIAŁ II.

W kanale Angielskim. — Różnica francuskich i angielskich brzegów. — Pierwsze chwile żeglugi. — Wiatr się wznaga. — Barometr. — Charakter majtka. — Wichry zmuszają „Łucyę” do szukania schronienia w Falmouth 10

ROZDZIAŁ III.

Falmouth. — Korzystne jego położenie. — Komora angielska. — Jej ścisłość. — Wycieczka do miasta. — Konserwatyzm angielski. — Angielska kawiarnia. — Uprzejma straż. — Policeman agielski i kolonialny. — Chronometry ekspedycyi. — Pogoda się uspokaja. — Na ocean. 15

ROZDZIAŁ IV.

Żegnaj Europo! — Zmyłone rachuby. — Burze. — Wigilia Bożego Narodzenia. — Złamany bugszpryt. — Chronometry stanęły. — Nowy Rok. — Zmiana pogody. — Nowa burza. — Ostateczny zwrot pogody. — Przyładek Bocca. — Na wodach afrykańskich. — Połów tona. — Porto Santo. — Przybycie do Madery 20

ROZDZIAŁ V.

Notatki geograficzne o Maderze. — Funchal z morza. — Port. — Grzeczność portugalczyków dla eksedycyi. — Niefortunne wylądowanie. — Osoblwości Funchalu. — Poczta z Europy. — Hr. Benedykt Tyszkiewicz. — Jego willa i obserwatorium. — Przerwana komunikacya z okrętem. — Gościnniej redaktor. 28

ROZDZIAŁ VI.

Wycieczka po wyspie. — Ludność Madery. — Szkice fizyograficzne. — Krajobrazy. — Śniadanie nad przepaścią. — Fotografie. — Hr. Tyszkiewicz jako strzelec. — Powrót do Funchalu. — Reparacye okręto- we. — Pożegnanie z hrabią — Wypłynięcie 40

ROZDZIAŁ VII.

Na Kanaryjskie wyspy. — Yacht angielski — Pierwsza wiadomość o Kanaryjskich wyspach. — Kartagińczycy. — Ekspedycja króla Ju- by. — Pliniusz. — Bracia Magroini. — Juan de Bethencourt i zdobyte wysp dla Hiszpanii. — Guanchy. — Pierwsza arystokracja wysp. — Mumie Guanchów i ich kryjówki

ROZDZIAŁ VIII.

Przybycie do Teneryfy. — Pilot. — Port Orotawy. — Ogród botanicz- ny. — Pan Wildpred. — Plany wycieczki — Fonda Espanola. — „Lucya Małgorzata” odpływa naprzód do Santa-Cruz. — Powrót do pana Wildpreda. — Panna Luiza. — Droga do miasta. — Pik Teneryfy. — Las Canadas. — Formacja wyspy. — Przybycie do miasta. — Hotel de Teyde. — Piękne damy Orotawy. — Ogrody. — Stary smok. — Wyjazd.

ROZDZIAŁ IX.

Wyjazd z Orotawy. — Smutne pomniki. — Widma z Barranco- Hondo. — Kilka kartek z historii wyspy. — Plantacje cochenilli. — Matanza. — Tacoronte. — Muzeum pana Lebrun. — Laguna. — Ruch piśmienniczy Kanaryjskich wysp. — Do Santa Cruz

ROZDZIAŁ X.

Stolica Kanaryjskich wysp: Santa Cruz — Jej znaczenie w przy- szłości. — Plac Konstytucyi. — Wiadomości portowe. — Opóźnienie „Lucyi-Małgorzaty”. — Wizyty. — Komendant Borrís i jego obietni- ca. — Generał Veyler. — Gubernator wojenny Kanaryjskich wysp i admirał Vigo-Nina. — Karnawał w Santa Cruz. — Zbiory profesora Maffiotta i muzeum miejskie. — Francuzka korweta „Cher.” — Don Pablo Pebrer i jego biblioteczka. — Pożegnanie. — Serdeczność ko- mendanta Lafond. — Wyjazd

ROZDZIAŁ XI.

Ocean podzwrotnikowy.

Spokój oceanu. — Fauna morska. — Passaty i ich powstawanie. — Pas cisz i jego niebezpieczeństwa. — Huragany, tajfuny i tornady. — Kliper „Oprycznik.” — Deszcze tropikalne. — Ulewa w Brazylii. — Harmatan. — Rozrywki na morzu. — Połów rekina. — Noc oceanu podzwrotnikowego

ROZDZIAŁ XII.

Ląd! — Charakter zachodnich brzegów Afryki. — Przylądek Monte. — Pierwsza noc przy Afrykańskim brzegu. — Osady i pirogi krajow- ów. — O krumanach i ich angażowaniu, cechy charakterystyczne, zalety i wady. — Dziwaczne przezwiska. — Rzeczpospolita Liberya — jej początek i historia. — Przybycie do Monrowii. — Przylądek Me- surado. — Krootown. — Natrętni goście

ROZDZIAŁ XIII.

W przystani Monrowii. — Faktorye afrykańskie — ich urządzenie i handel zamienny. — P. Travis. — Charakter miasta Monrowii. — Osada Krootown. — Wizyta u prezydenta. — Stan rzeczy w Libe- ryi. — Europejczycy względem liberyjczyków

ROZDZIAŁ XIV.

Wycieczka na rzekę Św. Pawła. — W krzaku; brzegi mangrowio- we. — Las dziewiczy; termity i ich budowy. — Ławy aligatorów; znów zmiana scenery: farmy i plantacje; przyszłość Liberyi. — Nawracamy. — Plantacja p. Ducoursy. — Kawa. — Plantacja p. Sbar- 49 pa, trzcina cukrowa. — Wioska Wejów. — Powrót

ROZDZIAŁ XV.

Obiad u kanclerza rzeczypospolitej. — P. Smith, reprezentant ame- rykański. — Wyciągi. — Wizyta wieczorna na pokładzie „Lucyi.” — Belgijczycy na ładzie afrykańskim. — Sekty. — Oryginalny napis. — Gimdu i Luis. — Wypłynięcie z Monrowii. — Południowe prowincye Liberyi — Prowincya Bassa — Pilot. — Przybycie do Cap Palmas. — 57 Burza. — Wiasło, faktorye i monety. — Znajomości zawarte na plan- acyi p. Verdier. — Deszcz. — Cywilizowany kaczyk Grebo. — Gościń- ność miasta Cap Palmas

ROZDZIAŁ XVI.

Wypłynięcie z Cap Palmas. — Pożegnania. — Południowa granica 81 Liberyi. — Noce pod niebem tropikalnem. — O mały włos w barze. — Bary afrykańskie. — Hegemonia wpływów angielskich. — Próbką anglo-afrykańskiego żargonu. — Królestwo Assini. — Na kotwicy w Assini. — Trudna przeprawa na ląd. — Przywitanie w francuskiej faktoryi. — Kąpiel upragniona i przymusowa. — Ulewa. — Wyjazd po- zecze Assinijskiej do króla Amatifu

ROZDZIAŁ XVII.

Po Assinijskiej rzece. — Jezioro Aby. — Elima. — Nieudane polowa- nie nocne. — Plantacja kawy. — Boa Constrictor. — Po rzece Krin- 94 żabo. — Jej panorama. — Przybijamy do przystani

ROZDZIAŁ XVIII.

Przybycie do Krindżabo. — Delegacje króla Amatifu. — Pałac kró- ewski. — Sędziwy Amatifu i mowy powitalne. — Akasamadu. — 106 pacer wieczorny. — Domek fetyszów. — Cmentarzysko. — Uprzej- ność i piecza nad nami starego króla

ROZDZIAŁ XIX.

Podarki króla Amatifu. — Heroldowie królewscy. — Dary przyslane d Akasamadu. — Stary tron króla Amatifu i sala tronowa. — Fu- u. — Przybycie do króla na obiad. — Dziwny obowiązek assini- jkiego ministra. — Etykieta assinijska. — Zona tygodniowa króla. — 117 iesta. — Obraz z tysiąca i jednej nocy. — Uroczystość na cześć go- wi. — Orowadzanie fetyszów. — Taniec miłości. — Podarki. — Pierście- nie Amatifu. — Chorzy nasi zmuszają do odwrotu.

ROZDZIAŁ XX.

Pożegnanie u Akasamadu. — Projektowana przez niego jeszcze 127 większa uroczystość. — Wymiany grzeczności. — Dziwne żądanie. — Ostatnia wizyta u Amatifu. — Żywy obraz z Rzymu starożytne- o. — Śpiew kobiet. — Młody satelita. — Powrót do Assini. — Anema. — 127 łożowa droga do Timbuktu. — Rzetelny obyczaj. — Wypływamy

Str.

Str.

ROZDZIAŁ XXI.

Projekta. — Różne punkta Złotego Brzegu. — Historia Elminy. — Kilka słów o kolonii, jej klimat. — Handel złotego brzegu i innych punktów angielskich w zatoce Gwinejskiej. — Do portu. — Charakter miasta. — Konsul Brun — Zawiedzione nadzieje. — Rewolucja aszantyjska. — Królewska żona naszego nowego znajomego. — Po mieście. — Gość na „Lucyi” do dalszej drogi. — Wyptywamy. — Cape Coast 211

ROZDZIAŁ XXII.

Kilka słów o Nigrze. — Dawne o nim pojęcia. — Zbadanie Nigru. — Mungo-Park, René Caillé, Lander, Ekspedycya Nigru — Ostatnie dnie żeglugi naszej. — Tornado 222

ROZDZIAŁ XXIII.

Wycieczki po wyspie. — Obfitość owoców i inne cechy kraju. — „Dżyg.” — Różne klasy ludności na Fernando-Poo: Bubisi, kolorowe obywatelstwo, kubańscy i biali. — Plantacye kakao 227

ROZDZIAŁ XXIV.

Wycieczka do Basiléh. — Okolica w świetle porannego słońca. — Nad kaskadą — Dumania. — Polskie pieśni u stóp Clarence-Piku. — Dalsza droga. — Plantacya. — Albinos. — Owoce pracy p. Lopeza. — Powrót do miasta. — Zaproszenie na wieczór. — Bohater zgiełków — Przygotowania do niezwyklej wyprawy 237

ROZDZIAŁ XXV.

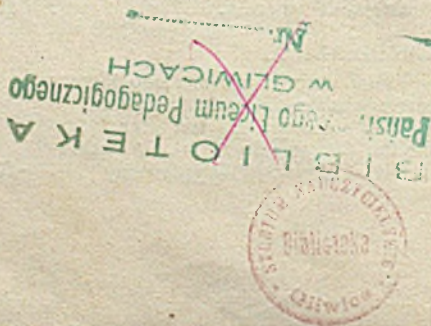
Wyruszamy na rekonesans. — Do przylądka Horatio. — „Warszawianka” na otwartym oceanie. — Zbliżamy się do brzegu. — Zatoka Ambas. — Osada Victorya. — Kąpiel. — W porcie. — Ranne poszukiwania. — Osada w świetle rzeczywistości. — Misyonarz Thomson. — Wyspa Mondoleh. — Układ z Akemą. — Miejsce dla stacji znalezione 245

ROZDZIAŁ XXVI.

Powrót do okrętu. — Wypłynięcie z Fernando-Poo. — Ostateczne przybycie do zatoki Ambas. — Tomeczek i Janikowski rozbijają namiot na wyspie Mondoleh. — Rzeka Kameruńska. — Pierwsza febra. — Oddanie okrętu. — Śmieć d-ra Retzera 255

ROZDZIAŁ XXVII.

Rozbicie się „Lucyi-Małgorzaty” 262



1993-01-10

11.05.1999

2009-03-02

04.05.2012

2013-09-10

2011-10-18

373

~~373~~

STUDIUM NAUCZYCIELSKIE
w GLIWICACH

kp 18856